



Siostry z Auschwitz

PRAWDZIWA HISTORIA OPORU DWÓCH ŻYDOWSKICH SIÓSTR
W SERCU NAZISTOWSKIEGO PIEKŁA



ROXANE VAN IPEREN



MARGINESY

Siostry z Auschwitz

ROXANE VAN IPEREN

Przełożyła Anna Gregorowicz-Metz

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Słowo wstępne

Prolog. Człowieku, odważ się żyć

CZEŚĆ I. WOJNA

1. Skok z okna Binnenhofu
2. Bitwa o Nieuwmarkt
3. Brunatna zaraza
4. Strajkujcie! Strajkujcie! Strajkujcie!
5. Dzieci wojny
6. Rewizja w mieszkaniu
7. Oś ruchu oporu
8. Kuracja głodowa
9. Uwięzienie
10. Czas uciekać
11. Pierwszy pociąg
12. Bergen aan Zee
13. Befszyk z grzybów
14. Siostry Jansen

CZEŚĆ II. WYSOKIE GNIAZDO

1. Willa w lesie
2. „Wolny Artysta”
3. Sąsiedzi
4. Maski
5. Wspólnicy
6. Niechciane spotkania

7. Sokół
8. Piosenka jesienna
9. Chiński wazon
10. Kula
11. Westerbork
12. Ostatni pociąg
13. Porwana

CZEŚĆ III. PRZETRWAĆ

1. Podróż na wschód
2. Czy znasz może Mosselmana?
3. Fiołek Lien
4. Marsylianka
5. Obóz Gwiazdy
6. Burza
7. Święta
8. Miasto umarłych
9. Ostatnia droga

Epilog. Człowieku, odważ się żyć (bis)

Po Wysokim Gnieździe

Podziękowania

Źródła

Zdjęcia

Przypisy

Tytuł oryginału *’t Hooge Nest*
Przekład ANNA GREGOROWICZ-METZ

Wydawca KATARZYNA RUDZKA
Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja IDA ŚWIERKOCKA
Korekta JAN JAROSZUK, BEATA WÓJCIK
Projekt okładki © Orion Books
Adaptacja projektu okładki DAWID GRZELAK
Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK
Zdjęcia na okładce © Shutterstock
Opracowanie graficzne i typograficzne, łamanie **manufaktura**

Tłumaczka gorąco dziękuje dr. Piotrowi Pazińskiemu i dr Karolinie Szymaniak za nieocenioną pomoc w kwestiach dotyczących języka i kultury jidysz. Składa także gorące podziękowania Ryszardowi Turczynowi.

Nederlands
letterenfonds
dutch foundation
for literature

Przekład powstał dzięki wsparciu finansowemu Dutch Foundation for Literature

’t Hooge Nest
Copyright © by Roxane van Iperen, 2018
Copyright © for the translation by Anna Gregorowicz-Metz
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Warszawa 2023
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67790-53-6

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

SŁOWO WSTĘPNE

Kiedy wjeżdżamy na leśną dróżkę i pomiędzy drzewami otwiera się widok na dom, jesteśmy wprost oczarowani. Przysłowiowa „chatka na odludziu”, której szukaliśmy, w żaden sposób nie pokrywa się z tym, co mamy przed sobą – ten dom jest ogromny i ma nawet własną nazwę: Wysokie Gniazdo. Nasz wzrok przesuwa się po majestatycznej fasadzie, ceglanych ścianach porośniętych bluszczem i oknach z otwartymi skrzydłami starych okiennic. Wszystko tu tchnie historią i świetnością, ale bez pretensjonalności i sztywności, która często się z nimi wiąże. Przeciwnie: dziki leśny ogród, wysoka trawa, kołyszące się tu i tam sznurowe drabinki i sad za domem zapraszają do biegania, zabawy, rozpalania ogniska i długich wieczornych rozmów pod gwiazdzistym niebem, niezakłócanych przez zamieszkały świat. Patrzymy na siebie i myślimy o tym samym: zamieszkać tu.

Dzieje się coś niebywałego. Pod koniec lata 2012 roku mój mąż i ja z trojgiem naszych dzieci, długowłosym owczarkiem niemieckim i trzema kotami wprowadzamy się do dużej przyczepy kempingowej ustawionej w ogrodzie Wysokiego Gniazda i zaczynamy długi proces przywracania blasku temu wyjątkowemu miejscu. Przystępujemy do odnawiania ścian, szlifowania schodów; po usunięciu paneli ukazują się sufity z pomysłowym belkowaniem. Gołymi rękami zrywamy wykładzinę i prawie w każdym pokoju odkrywamy puste miejsca pod drewnianą podłogą i skrytki za starą boazerią. Znajdujemy tam ogarki świec, nuty, stare gazetki ruchu oporu. W ten sposób zaczyna się również rekonstruowanie historii Wysokiego Gniazda. Oszłamiającej historii, która – jak się okaże – obejmuje ważną część naszej wojennej przeszłości, szerzej nieznaną – nawet w okolicy, gdzie stoi dom.

Rozmawiam z dawną właścicielką, tutejszymi mieszkańcami i sklepikarzami z pobliskich wiosek, zaglądam się w księgach katastralnych i archiwach, i raz po raz coś mnie zaskakuje. W kulminacyjnym momencie II wojny światowej, kiedy zatłoczonymi pociągami wywożono ludzi do obozów koncentracyjnych, a *Endlösung der Judenfrage*, czyli „ostateczne rozwiązanie kwestii

żydowskiej”, stawało się faktem, w Wysokim Gnieździe dwie żydowskie siostry stworzyły miejsce schronienia dla prześladowanych i ośrodek ruchu oporu. W następnych latach poznaję potomków tej grupy ludzi, a ukrywające się kiedyś tutaj dzieci, teraz już dorośli ludzie, ponownie pojawiają się w domu. Dziękuję ze mną wspomnieniami i dokumentami, dzięki którym mogę przywrócić tej historii barwę i oddać głos siostrom.

Powoli, choć niepowstrzymanie, pokój po pokoju, kawałki puzzli układają się w niewyobrażalną wręcz historię, która obecnie, sześć lat później, ukazuje się w formie drukowanej. To historia potwierdzająca moje pierwsze przeczucie: ten dom jest większy od nas. My jesteśmy tylko przechodniami mającymi szczęście w nim mieszkać.

PROLOG

Człowieku, odważ się żyć

Tę historię rozpoczyna piosenka. Mimo że w 2017 roku obchodziła setne urodziny, nadal jest jedną z najbardziej znanych piosenek w Holandii, uwielbianą przez wszystkie warstwy społeczne oraz śpiewaną przez każde pokolenie: *Człowieku, odważ się żyć*.

Dirk Witte, cudowne dziecko nauczycieli z regionu Zaanstreek, już w bardzo młodym wieku pisze muzykę i teksty. Zdaniem jego rodziców kariera muzyczna nie oznacza poważnego sposobu na życie, toteż kiedy w 1900 roku, mając piętnaście lat, kończy szkołę, zaczyna pracę w handlu drewnem w Zaandam. W wolnym czasie nadal jednak uparcie komponuje muzykę i pewnego wiosennego dnia 1914 roku bierze los w swoje ręce. Wchodzi do filharmonii w Amsterdamie w momencie, gdy przepełniona po brzegi sala podziwia występy światowej sławy holenderskiego piosenkarza i artysty kabaretowego Jeana-Louisa Pisuisse'a. Jego repertuar z powodu braku dobrych niderlandzkich tekstów składa się z utworów francuskich, angielskich i niemieckich. Po przedstawieniu Dirk puka do drzwi garderoby, w której Pisuisse zmywa makijaż, i zwraca się do niego: „Jestem tylko sprzedawcą drewna w Zaandam, ale dla kilku towarzystw śpiewających w naszej miejscowości napisałem piosenki, które bardzo podobają się ludziom. Wybrałem najlepsze. Czy zechce pan posłuchać?”^[1].

Wręcza Pisuisse'owi tekst piosenki *Moja pierwsza*, o rodzącej się miłości chłopaka do dziewczyny z chóru, uczuciu kończącym się gwałtownie, kiedy chłopak traci głos:

Lecz kiedy nagle straciłem głos
Ona rzuciła mnie, taki los.^[2]

Jednak chłopak przez całe życie myśli o „swojej pierwszej”, aż do dnia własnego ślubu:

A kiedy na ślub z inną czas nadejdzie
I wydam przyjęcie, gdzie pięknie będzie
Fraki i suknie, kwiaty okazałe
Wujkowie i ciocie, i wino białe
Gdy spojrzę na wybrankę, smutek serce oprzędzie
W kościele przy ołtarzu, gdzie oboje
Staniemy na kobiercu, trzymając dłonie swoje
Podczas gdy ludzie napatrzeć się nie mogą
Na pana młodego i pannę młodą
I wszyscy wraz tak pięknie, że aż się boję
Zaśpiewają, a radość będzie biła z ich min
Dla nas marsz weselny z opery *Lohengrin*
A ja słuchając tych pięknych głosów
Sopranów, altów i basów
Znów na chwilę pobiegnę myślami do mej pierwszej.

Pisuisse jest zachwycony, włącza piosenkę do swojego repertuaru i wkrótce *Moja pierwsza* rozbrzmiewa we wszystkich holenderskich domach. Spotkanie z pionierem holenderskiego kabaretu na dobre odmienia życie Dirka Wittego, a ich współpraca prowadzi do powstania wielu utworów, które zostawią ślad w zbiorowej pamięci mieszkańców tego kraju.

Kilka miesięcy po ich pierwszym sukcesie, 28 czerwca 1914 roku, w Sarajewie zastrzelono austriackiego następcę tronu Franciszka Ferdynanda – było to ostatnie wydarzenie prowadzące do rozpoczęcia I wojny światowej, a jednocześnie pierwsza przeszkoda na drodze Dirka do kariery.

Pod koniec lipca ogłoszona zostaje w Holandii mobilizacja setek tysięcy mężczyzn. „Wszyscy poborowi natychmiast do broni!” – wzywają plakaty rozlepione w całym kraju. Biją dzwony na wieżach kościołów; ze strychu ściągane są plecaki wojskowe, a małżonki całowane na pożegnanie, kiedy kilkaset tysięcy poborowych musi zameldować się w koszarach, składach, magazynach, a z braku miejsca, nawet w domach u obcych ludzi. Wśród nich Dirk Witte, który jako dwudziestodzieściolatek ma obowiązek zgłoszenia się

do wojska. Chociaż prawdziwa walka toczy się poza granicami kraju – Niemcy zostawiają Holandię w spokoju, a Holandia jednoznacznie deklaruje neutralność – kolejne lata wojny odciskają na nim głębokie piętno. Zwłaszcza z powodu sąsiedniej Belgii, która odmawia niemieckim wojskom pozwolenia na przejście przez swoje terytorium. Niemcy, żeby złamać opór Belgów, reagują egzekucjami niewinnych mieszkańców i podpalaniem wiosek, a w konsekwencji dziesiątki tysięcy Belgów uciekają do holenderskiej Limburgii. 15 września 1914 roku w mowie tronowej królowa Wilhelmina oświadcza, że Holandia zachowuje całkowitą neutralność w tym konflikcie i przyjmie uchodźców z otwartymi ramionami.

Wojska niemieckie posuwają się szybko naprzód i pędzą przed sobą setki tysięcy Belgów, zmuszając ich do przekroczenia granicy kraju. W czasie starannie przygotowanej przez niemieckie dowództwo wojskowe ofensywy rozpoczyna się „gwałt na Belgii”. Ponieważ Belgowie nie chcą współpracować, a w niektórych miejscach mają nawet odwagę ostrzeliwać Niemców, każdy podejrzany o jakąkolwiek formę oporu jest surowo karany. Krążą przerażające opowieści o niemieckich akcjach odwetowych: o niemowlętach zabijanych uderzeniem głową o ścianę domu, dokonywanych rozpalonymi sztabami gwałtach na kobietach czy zakonnicach przywiązywanych do serc dzwonów kościelnych i ginących po ich rozkołysaniu. Później okazuje się, że część z nich to brytyjska propaganda mająca na celu dehumanizację Niemców, ale z całą pewnością dochodzi do okrucieństw – w wyniku niemieckiej przemocy ginie około sześciu tysięcy Belgów.

Dirk Witte jako sanitariusz – według jego siostry najbardziej fajtłapowaty na świecie – stacjonuje w tym czasie w Eindhoven i swoje zdumienie sytuacją, w jakiej nagle znalazł się wraz z krajem, opisuje w licznych piosenkach wojennych. *Aspirynę* w wykonaniu współtwórcy jego sukcesów Pisuise’a minister wojny włączył do *Zbioru piosenek dla wojska holenderskiego*. Utwór staje się szybko ulubioną piosenką żołnierzy:

Rankiem stają skoro świt
Przed lekarzem, przed lekarzem
Choć to jeszcze wczesnie zbyt
To dostają skoro świt

By ulżyło odrobinę:
Aspirynę, aspirynę!

Aspiryna dla poczciwych
Co z trudem przespali noc
Aspiryna dla tchórzliwych
Co zamiast warty wolą pod koc!
Aspiryna się należy
Dla oficerów i dla żołnierzy
Dla kwatermistrza i dla sierżanta
A nawet dla konia pana adiutanta.

Do cywila jak wrócimy
Nie pójdziemy do lekarza
Precz choróbska przepędzimy
Do cywila jak wrócimy
Bo pięć kilo zakupimy:
Aspiryny, aspiryny!^[3]

W czasie, kiedy Holandia kurczowo trzyma się swojej neutralności – skutki wojny boleśnie dotyczą mieszkańców kraju. Królowa Wilhelmina, niczym poprzedniczka Angeli Merkel, zaprezentowała w mowie tronowej szlachetność i gościnność. Nie mogła wtedy przewidzieć, że w ciągu kilku miesięcy z jej oferty skorzysta milion Belgów.

10 października 1914 roku upada miasto portowe Antwerpia. Belgowie masowo uciekają; zwłaszcza Zelandia, Brabancja oraz Limburgia zostają zalane przez rzesze zdesperowanych sąsiadów z południa. Dworce kolejowe są przepełnione, a niekończąca się rzeka wiozących całe rodziny i góry sprzętów domowych furmanek płynie przez holenderską granicę. Rząd nie ma pomysłu na przyjęcie takiej liczby uchodźców i dlatego ludność Holandii sama musi szukać rozwiązania. Miasta takie jak Roosendaal i Bergen op Zoom, każde liczące około szesnastu tysięcy mieszkańców, przyjmują pomiędzy sto a dwieście tysięcy uchodźców, z czego najwięcej umieszcza się w domach prywatnych. Jednak uciekających jest zbyt wielu. Szkoły, fabryki, dworce

kolejowe, łąki, parki i skwery: gdziekolwiek spojrzeć, siedzą i leżą belgijscy uchodźcy. Dzieci rodzą się na błotnistych poboczach, ludzie śpią na dworze podczas mrozów; ciągły napływ ludności zdaje się nie kończyć. W kolejnych dniach wydaje się, jakby sąsiadujące ze sobą kraje zostały poprzesuwane niewidzialnymi rękami i dwa narody nagle umieszczono na jednym terytorium. Exodus kończy się dopiero, gdy Niemcy budują wzdłuż holendersko-belgijskiej granicy dwustukilometrowe ogrodzenie pod napięciem: *de Draad des Doods* – Drut śmierci, wysokie na dwa metry, co dwadzieścia centymetrów rozciągnięty jest drut pod napięciem dwóch tysięcy woltów. Wielu Belgów owiniętych wełnianymi kocami, z rękami i nogami na porcelanowych talerzach, albo wykonując samobójczy skok szczupakiem, nadal jednak próbuje przekroczyć granicę. Setki giną porażone prądem.

Gdy nie da się już zaprzeczyć, że sytuacja wymknęła się spod kontroli, i rząd holenderski czuje się zmuszony do przedstawienia planu działania, sytuację przejmuje wojsko. W całym kraju powstają duże obozy, które w wielu przypadkach w pełni potwierdzają negatywne skojarzenia związane z tą nazwą. Z powodu braku jednoznacznej polityki rządu organizacja obozów należy do miejscowych komendantów, a większość belgijskich rodzin zostaje po prostu zamknięta w drewnianych barakach pod nadzorem wojskowym. Są w nich kuchnie polowe, prymitywne miejsca do mycia się i rowy służące za kanały ściekowe. Przygotowywane przez Holendrów jedzenie przynosi Belgom także niewiele pocieszenia: każdego dnia mają nadzieję, że nie dostaną po raz kolejny grochówki – *béton armé* (uzbrojony beton), jak z obrzydzeniem wspominają to jeszcze długo po wojnie.

Masa uchodźców stanowi zbyt duże obciążenie dla warunków życia w kraju. Rząd holenderski prowadzi negocjacje z niemieckim okupantem, zwracając się z prośbą o umożliwienie Belgom powrotu do kraju bez narażania się na represje. Niemcy wyrażają zgodę, jednocześnie wiadomo już, że walki toczą się w okopach na froncie, dzięki czemu duże obszary Flandrii są stosunkowo bezpieczne. Minister wojny poleca holenderskim gminom, żeby „z delikatnym naciskiem” kierowały Belgów z powrotem do domu. W niektórych miejscach ten rozkaz realizowano ze zbyt dużą holenderską dosłownością: w Harderwijk Belgów bez pardonu usunięto z gminy, a w Scheveningen uchodźców umieszczonych w budynku Circustheater poinformowano, że jeśli szybko nie

wyjadą pociągiem, to poniosą tego konsekwencje. W maju 1915 roku około dziewięciuset tysięcy sąsiadów z południa wraca – to koniec nader krótkiej wizyty.

Dirk Witte w czasie służby nieprzerwanie pisze. Chociaż nie musi walczyć, wojna i masowy napływ uchodźców robią na nim ogromne wrażenie. Nagły chaos, sposób traktowania Belgów i postawa Holandii sprawiają, że zastanawia się nad swoją rolą, a także nad tym, jak być częścią tego wszystkiego, nie tracąc jednocześnie poczucia własnej wartości.

Kiedy widać już koniec wojny i zaczyna się powrót do normalnego życia, spadają na niego codzienne zmartwienia: Dirk miota się pomiędzy życiem w świecie sztuki w otoczeniu wolnych duchów a „przyzwoitym” życiem biznesmena z dobrze płatną pracą w handlu drewnem – dokładnie tak, jak chcieli mieszczańscy rodzice. Pod wpływem tych zmagania w 1917 roku powstaje jego najśłynniejszy utwór: *Mensch, durf te leven! (Memento vivere)* [Człowieku, odważ się żyć!]. Dziennik „Algemeen Handelsblad” 6 listopada 1917 roku publikuje recenzję z występu Jeana-Louisa Pisuisse’a, a w niej prawdopodobnie po raz pierwszy pojawia się wzmianka o wykonaniu tej piosenki. „Napisana wierszem przez Dirka Wittego upoetyczniona lekcja życia z zachwytem przyjęta przez publiczność”.

Żyje się tak krótko, tylko jeden raz
Jak zechcesz inaczej, to nie ma już szans!
Człowieku, odważ się żyć!
Nie pytaj ciągle na wszelki wypadek
Jak robił to twój ojciec, jak robił to twój dziadek
Jak robi to kuzyn, jak robią koledzy
Albo jak to widzi sąsiad twój zza miedzy
Czy też jakim „dobry obyczaj” nakazuje być!
Człowieku, odważ się żyć!

Więc pierś wypięta dumnie i do góry głowa.
Wy, co się tak wymądrzacie, nic mi tutaj po was!
Ważne jest serce mieć pełne ciepła i miłości

Lecz w swoich sprawach bądź panem na włościach!
Nikt ci nie będzie mówił, jaki ty masz być!
Człowieku, odważ się żyć!^[4]

Brawurowe wykonanie sprawia, że piosenka emanuje sprzeciwem i krytycznym myśleniem. Odnosi ogromny sukces w powojennej Holandii.

Krótko po pierwszym wykonaniu utworu Dirk podejmuje decyzję o rezygnacji z pracy, żeby wspólnie z Pisuisse'em całkowicie poświęcić się działalności artystycznej. Żeni się z piękną i majątną Doralize „Jet” Looman z Bussum i w 1920 roku małżonkowie zlecają architektowi z Zaandam zaprojektowanie dla nich wymarzonego domu. W bajkowym miejscu, pośrodku rezerwatu przyrody w Naarden, na granicy między wrzosowiskiem i lasami powstaje okazała willa. Duże okna zapewniają rozległy widok, aż po znacznie oddalone wody Zuiderzee. Widziany z lotu ptaka dom zlewa się z otoczeniem, a duży ogród otaczają dęby przechodzące w las, dach zaś pokrywają żółte trzciny, splecione tak samo jak te nieco dalej nad brzegiem wody.

Pewnego słonecznego dnia latem 1921 roku Dirk i Jet ze świeżo narodzoną córką Doralize w wózku pozują dumni do zdjęcia przed swoim nowym domem: Wysokim Gniazdem. Witte nie mógł wtedy przypuszczać, że niespełna dwadzieścia lat później, kiedy podczas II wojny światowej ludzkość znów zostanie wystawiona na próbę i wielu Holendrów będzie się zastanawiać nad swoją rolą w obrębie ogólnoświatowej wspólnoty, jego wezwanie do walki w tak dosłowny sposób urzeczywistni się w wybudowanym przez niego domu, jakby dusza tej piosenki wniknęła w ceglane mury.

I

WOJNA

Skoro trzeba walczyć, to trzeba walczyć. Trzeba pozostać wiernym sobie. Nie można sobie też nic wmawiać. Byliśmy gotowi. Zrobiliśmy, co musieliśmy zrobić, co mogliśmy zrobić. Ani mniej, ani więcej.

Janny Brandes-Brilleslijper

1

SKOK Z OKNA BINNENHOFU

Naarden, luty 1943 roku. Janny porządkuje właśnie dowody tożsamości, a Eberhard gra na pianinie w pokoju frontowym, gdy z Amsterdamu przyjeżdża Mik van Gilse z wiadomością, że znany im wszystkim przemiły Gerrit wyskoczył z okna parlamentu Binnenhof. Głową na bruk. Nie żyje.

Czy kiedykolwiek byli przeświadczeni, że są bezpieczni tutaj, poza miastem, w tym domu z bajki? Że wojna przeleci wysoko nad ich głowami jak samoloty Royal Air Force nocami kierujące się z Anglii do Niemiec i z powrotem? Że cierpienie będzie krążyło gdzieś wokół nich niczym wyjeżdżające koło czwartej nad ranem samochody policyjne, które oni słyszą, wstrzymując oddech, kiedy zaczynają się łapanki? Wycie syren więzi ich pomiędzy chęcią ucieczki na łeb na szyję przez drzwi frontowe gdzieś do lasu a spokojnym przekonaniem, że wystarczy poczekać, aż samochody przejadą. I dotąd zawsze tak właśnie postępowali. Żadne z nich nigdy nie bagatelizowało niebezpieczeństwa związanego z tym, co tu robią, i powagi zagrożenia, ale wiadomość od Mika, że Gerrit rzucił się z okna i roztrzaskał na klinkierowym bruku przed zaanektowanym przez okupanta Binnenhofem, w jednej chwili przypomniała im o rzeczywistości.

Gerrit Kastein był neurologiem o żelaznych nerwach i twardej głowie, co niestety nie uchroniło go przed takim, a nie innym losem. Janny przyjaźniła się z nim już od czasu, kiedy jako dwudziestolatkowie w ramach Międzynarodowej Czerwonej Pomocy zaoferowali wsparcie hiszpańskim przeciwnikom faszyzmu. Wojna domowa w Hiszpanii okazała się próbą generalną przed latami, które miały dopiero nadejść. Gerrit i Janny dołączyli do komitetu „Pomoc Hiszpanii”, holenderskiego oddziału Międzynarodowej Czerwonej Pomocy. Najważniejszym zadaniem Janny było zbieranie pieniędzy na środki opatrunkowe, których brakowało walczącym. Gerrit poszedł na wojnę jako szef holenderskiej służby sanitarnej. Właśnie uzyskał stanowisko asystenta na

oddziale neurologii w szpitalu w Oegstgeest i został doktorantem, co otwierało przed nim perspektywę kariery, która dla większości byłaby wystarczającym powodem, żeby bez reszty się na niej skupić – ale nie dla Gerrita. Z ramienia katalońskiego Ministerstwa Zdrowia pojechał pociągiem w Pireneje, blisko francuskiej granicy, gdzie jednostki Frontu Ludowego walczyły z faszystami, i pomagał tam opatrywać rannych cywilów i żołnierzy.

Po trzech miesiącach Gerrit powrócił do Holandii do swojej kariery lekarskiej i w 1937 roku obronił doktorat na Uniwersytecie w Lejdzie. Ale jego zapal ideologiczny bynajmniej nie osłabł: był członkiem redakcji miesięcznika Komunistycznej Partii Holandii „Polityka i Kultura” i prowadził wykłady o hiszpańskiej wojnie domowej. „Zwycięstwo Franco jest zgubne dla Europy Zachodniej, a więc także dla nas” – dowodził. Pisał artykuły, a w 1938 roku opublikował książkę zatytułowaną *Het Rassenvraagstuk* [Problem rasowy]. Była to rozprawa naukowa na temat konfliktów klasowych i antysemityzmu w Niemczech, która kończyła się tezą, że rasizm nieuchronnie doprowadzi do wojny. Na potwierdzenie prawdziwości tego stwierdzenia nie musiał długo czekać.

Kiedy w połowie 1940 roku działalność Komunistycznej Partii Holandii (CPN) zostaje przez Niemców zakazana, komuniści przenoszą się do podziemia, żeby organizować akcje sabotażowe. Doktor Kastein, który mieszka z żoną i dwiema córeczkami w Hadze, uczestniczy w zebraniu założycielskim haskiego oddziału partii i jest inicjatorem różnych grup ruchu oporu. Swoje zdolności przywódcze ujawnia także w amsterdamskim ugrupowaniu CS-6 i gdy w lipcu 1942 roku zaczynają się deportacje Żydów, które wiele zawdzięczają sprawnej holenderskiej infrastrukturze, Gerrit dochodzi do wniosku, że podziemie musi przeprowadzać drastyczne akcje: należy likwidować holenderskich kolaborantów. Przekonuje członków CS-6, żeby razem z nim przeprowadzali zamachy na ludzi, którzy entuzjastycznie wspierają okupanta, i przygotowuje listę nazwisk.

Pierwszym celem staje się Hendrik Seyffardt: siedemdziesięciodwulatek urodzony w Bredzie, emerytowany generał holenderskich sił zbrojnych, noszący na piersi więcej medali, niż można znaleźć w gablotce niejednego mistrza olimpijskiego; mężczyzna o ustach wydętych jak u damy dworu.

Seyffardt od lipca 1941 roku jest komendantem faszystowskiego Ochotniczego Legionu Holenderskiego, nacjonalistycznego tworu, walczącego na froncie wschodnim jako integralna część Waffen-SS. Niedawno został też mianowany przez przywódcę holenderskiego narodu Antona Musserta pełnomocnikiem w gabinecie cieni; oczekiwano, że wkrótce zostanie ministrem wojny, a wtedy wprowadzi powszechną służbę wojskową na rzecz niemieckiej armii. Nic dziwnego, że stanowi on oczywisty cel dla ruchu oporu.

5 lutego 1943 roku w domu Seyffardta przy ulicy Van Neckstraat 36 w Hadze, dwieście metrów od miejsca zamieszkania Kasteina, rozlega się dzwonek do drzwi. Niczego niepodejrzewający Seyffardt otwiera i widzi przed sobą dwóch młodych mężczyzn: nieznanego mu członka grupy ruchu oporu CS-6^[5], Jana Verleuna i Leo Frijdę. Frijda chce się upewnić, że ma przed sobą właściwą osobę, i pyta generała o nazwisko. „Miał taki piękny głos” – powie później. Seyffardt podaje nazwisko. Verleun natychmiast strzela i obydwaj ulatniają się, zakładając, że generał zginął na miejscu.

Seyffardt jest ciężko ranny, ale udaje mu się poinformować Sicherheitsdienst (SD), że sprawcami byli „dwaj studenci”. Umiera następnego dnia i mimo jego stanowczej prośby, żeby nie mścić się za jego śmierć, natychmiast zaczynają się łapanki. Do aresztu trafia tysiąc ośmiuset młodych mężczyzn między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, wśród nich sześciuset studentów – zostają wywiezieni do obozu koncentracyjnego Hertogenbosch.

Ukrywający się Verleun ma przy sobie pistolet, którym dokonał zamachu. Gerrit Kastein wybrał już następny cel. Tym razem sam chce przeprowadzić akcję, ale musi szybko zdobyć nowy pistolet. Pożycza go od członka ruchu oporu Lucasa Spoor – to początek końca Gerrita.

Dwa dni później, 7 lutego 1943 roku, Gerrit dokonuje drugiego planowanego zamachu, tym razem na Hermannusa Reyдона. Ten poważny prawnik i znaczący członek Ruchu Narodowo-Socjalistycznego (Nationaal-Socialistische Beweging; NSB) był przed niemiecką okupacją redaktorem politycznym jego dziennika „Naród i Ojczyzna” i został właśnie nagrodzony za wierność ideologii Wielkiej Rzeszy. Kilka dni przed zamachem mianowano go prezesem Izby Kulturalnej Holandii, organu państwowego propagującego „zdrową sztukę dla rasy aryjskiej”, do której musieli należeć wszyscy

holenderscy artyści, i sekretarzem generalnym specjalnie utworzonego oddziału NSB „Oświecenie Narodu i Sztuka”.

Kiedy Kastein dzwoni wieczorem do drzwi domu Reyдона w Voorschoten, otwiera żona polityka. Gerrit zabija ją z zimną krwią, zamyka drzwi i czeka w środku, w ciemnym korytarzu, na powrót Reyдона. Po jakimś czasie słyszy klucz w drzwiach wejściowych. Gdy się otwierają, Gerrit natychmiast strzela. Reydon zostaje trafiony w szyję, a Kastein oddała się niezauważony. Reydon jest ciężko ranny i jeszcze pół roku sparaliżowany przebywa w szpitalu, zanim w końcu umrze.

Gerrit Kastein naciska wprawdzie na spust, ale Reydon i jego żona są świadomie wybranymi przez Niemców ofiarami w ramach przygotowanego wcześniej planu zwabienia Kasteina w pułapkę, zgodnie z niepisaną zasadą, że zabity członek ruchu oporu jest ważniejszy niż żyjący członek NSB. Kastein miał pecha, trafiając po drugiej stronie na człowieka dorównującego mu ambicją, ale przerastającego go bezwzględnością. SS-Sturmbannführer Joseph Schreieder pod komendą Heinricha Himmlera został radcą kryminalnym i w tej roli ponosi odpowiedzialność za kontrwywiad SD w Holandii, mieszczący się w dawnym gmachu parlamentu. Jego głównym zadaniem jest rozbięcie grup ruchu oporu – wszystkie chwytaki są tu dozwolone.

Tak zwany przyjaciel z ruchu oporu, Lucas Spoor, który dostarcza Gerritowi pistolet, to tak naprawdę Anton van der Waals: holenderski szpieg SD infiltrujący działalność podziemia – człowiek, który przejdzie do historii jako jeden z największych zdrajców ojczyzny, i to w okresie, kiedy było ich naprawdę wielu. Kastein zapytał go w czasie spotkania, dzień po zamachu na Seyffardta, czy może mu załatwić pistolet na 6 lutego. Natychmiast van der Waals popędził do swojego szefa Josepha Schreiedera. Ten nie ma żadnych wątpliwości: oczywiście, że dadzą temu gościowi broń, i oczywiście, że on z niej kogoś zastrzeli. Potem każą przeprowadzić sekcję zwłok i na podstawie kalibru pocisku dowiedzą się, czy ten ktoś użył ich broni. Jeśli tak, będą też mogli założyć, że to on zastrzelił Seyffardta.

Wczesnym rankiem 6 lutego zdrajca Anton van der Waals jako członek ruchu oporu Lucas Spoor przekazuje Gerritowi broń. W Binnenhofie, dawnym budynku parlamentu, Schreieder i jego koledzy z SD czekają w napięciu na przebieg gry w rosyjską ruletkę. Ciekawe, kto zostanie zastrzelony?

Schreieder nie musi długo czekać na ciała. Ciężko ranny Reydon trafia do szpitala. Na szczęście mają ciało jego żony, żeby przeprowadzić sekcję. Schreieder odbiera z wielkim zadowoleniem raporty: strzały rzeczywiście padły z pistoletu, który przekazał swojemu prowokatorowi. To, że poplecznik Musserta i jego żona musieli zginąć, jest oczywiście przykre, ale – jak rozumuje – członków NSB jest wystarczająco dużo.

Kiedy Anton van der Waals przychodzi z raportem do szefa, czeka go przykra niespodzianka: Schreieder nie chce aresztować Kasteina. Przeciwnie, zależy mu na tym, żeby van der Waals nadal utrzymywał z nim kontakty i uzyskał od niego więcej informacji na temat działań ruchu oporu i jego członków. W tym czasie van der Waals zdaje już sobie sprawę z bezwzględności Kasteina i ten pomysł mu się nie podoba, ponieważ może i jest skutecznym zdrajcą, ale nie jest ani trochę odważny. Obawia się, że w końcu sam przegra w tę grę. Van der Waals próbuje przekonać Schreiedera, ale ten ani myśli przerywać operacji. Wprost przeciwnie: widzi to jako świetną próbę sił pomiędzy swoim najlepszym wywiadowcą a fanatycznym komunistą Kasteinem. Jeśli nasz Anton poniesie przy tym porażkę, to będzie ona jednocześnie wnioskiem i rozwiązaniem.

19 lutego 1943 roku van der Waals ma umówione kolejne spotkanie z Gerritem Kasteinem, tym razem w kawiarni Pod Koroną przy ogrodach Houttuinen w Delft i niespodziewanie dla szpiega problem rozwiązuje się sam. Tuż przed spotkaniem jednostka specjalna SD aresztuje Kasteina. Schreieder jest wściekły i podejrzewa swego tchórzliwego szpiega o podwójną grę: może ze strachu przed Kasteinem poprosił któregoś z kolegów z SD o podjęcie działania? Kastein zostaje zakuty w kajdanki; znaleziono przy nim dwa rewolwery. Funkcjonariusze prowadzą go do czekającego już samochodu służbowego i wiozą do Binnenhofu, gdzie od momentu rozpoczęcia niemieckiej okupacji znajduje się kwatera główna SiPo/SD, czyli policji politycznej i tajnych służb. Jednak Gerrit nie bez powodu ma budzącą strach reputację u swoich przeciwników. Nie zamierza dać się prowadzić Niemcom na rzeź potulnie jak owca. Kiedy dojeżdżają na miejsce, wykorzystuje nadarzącą się okazję: ze skutymi rękami, przez specjalną kieszeń wewnętrzną w spodniach strzela

z pistoletu małego kalibru. Jednego z eskortujących trafia w nogę, a drugi strzał odbija się rykoszetem, zanim odbierają mu pistolet.

W środku czeka już czterech mężczyzn, którzy mają go przesłuchać. Po pewnym czasie dwóch funkcjonariuszy wychodzi po kawę, a trzeci do toalety. Jeden członek SD to dla Kasteina żaden przeciwnik. Powala mężczyznę, wybija okno i skacze z drugiego piętra. Umiera w wieku trzydziestu dwóch lat – lądując głową na klinkierowej kostce przed zajęтым przez okupanta Binnenhofem, dokładnie w miejscu, gdzie tydzień wcześniej, pod szpalerem wyciągniętych w nazistowskim pozdrowieniu rąk, odbył się imponujący pogrzeb pierwszej ofiary z jego listy: generała porucznika Seyffardta.

W Wysokim Gnieździe wszyscy są załamani wiadomością przyniesioną przez Mika. Bob wraca do domu z pracy w biurze dystrybucji w Weesp i zastaje ich z kamiennymi, bladymi twarzami w półmroku pokoju frontowego. Janny bierze męża na stronę i opowiada, co się stało. Bob i Gerrit byli przyjaciółmi z kręgów komunistycznych. Kiedy Janny dzieli się z nim informacją o śmierci przyjaciela i podejrzanych okolicznościach tego nieszczęścia, Bob bezradnie opuszcza ramiona; aktówka niemal wysuwa mu się z ręki. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że Gerrit wykonywał niebezpieczne zadania dla partii i odgrywał decydującą rolę przy organizowaniu zamachów na holenderskich kolaborantów, ale na jakiejś dziwnej zasadzie uważali go za nietykalnego.

Tego wieczoru atmosfera podczas kolacji jest przygnębiająca, a rozmowy prowadzi się przyciszonym tonem: każdy chce usłyszeć od Mika, jaki będzie rozwój wypadków. Przy długim stole siedzi dużo ludzi, świece rzucają blask na ich poważne twarze. Słychać rozmowy o oczekiwanym utworzeniu drugiego frontu, o epidemii czerwonki już od paru miesięcy pochłaniającej życie mnóstwa dzieci i o postępach przy budowie przez Hitlera Wału Atlantyckiego, co wyгнаło ich z Bergen do Wysokiego Gniazda tutaj w Naarden.

Próbują ukrywać przed sobą smutek, jak zawsze. Po posiłku, kiedy dzieci leżą już w łózkach, wspominają Gerrita. Jego i Janny działalność w czasie hiszpańskiej wojny domowej, jego rolę w ruchu oporu i ugrupowaniach, które organizował od początku okupacji. Jego strategiczne myślenie i talent organizacyjny, które nigdy nie przeszkadzały mu w ubrudzeniu sobie rąk. Spekulują na temat powodu jego skoku przez okno. Znając Gerrita, chciał

jeszcze raz przechytryć wroga: z urazami odniesionymi podczas upadku trafiłby do szpitala, skąd być może jeszcze udałoby mu się uciec. Nie tylko dlatego, że było to nowe miejsce i nowe okoliczności, ale także dlatego, że jako lekarz wiedziałby, jak się tam poruszać. Poturbowane ciało nie było dla niego przeszkodą, najważniejszy do dalszej walki był zdrowy umysł. Jednak upadł tak nieszczęśliwie, że nie będzie już mógł im sam o tym opowiedzieć.

Śmierć Gerrita jest namacalnym dowodem na to, że okupacja wkracza w nowy etap: po obu stronach w szybkim tempie pojawi się teraz coraz więcej ofiar.

Tuż przed powrotem do Amsterdamu Mik rozmawia osobno na korytarzu z Lien, Eberhardem, Janny i Bobem. Z młodzieńczej twarzy spoglądają poważne oczy: wojna odciska się na niej piętnem bardziej niż czas.

– Starajcie się jednak nie udzielać schronienia zbyt wielu osobom. To może z czasem doprowadzić do nieszczęścia.

– Mik – reaguje z oburzeniem Lien – kiedy ktoś jest w potrzebie, musimy mu przecież pomóc!

– Chcę was tylko ostrzec: bądźcie ostrożni.

Całują Mika na pożegnanie, ostatni uścisk, a potem patrzą, jak odchodzi ścieżką biegnącą przez ogród w ciemny las.

BITWA O NIEUWMARKT

Amsterdam, 1912 rok. Rodzina Brilleslijperów prawdopodobnie by nie istniała, gdyby bitwa o Nieuwmarkt skończyła się inaczej. To tam, na tym placu w amsterdamskiej dzielnicy żydowskiej, u stóp wiekowej bramy miasta De Waag Joseph Brilleslijper walczył o rękę Fijtje Gerritse.

Ich rodziny to dwa przeciwne bieguny: Joseph wywodzi się z wędrownej rodziny cyrkowej, mówiących w języku jidysz muzykantów, i chociaż jego ojciec jest teraz importerem owoców, dom Brilleslijperów przy ulicy Jodenbreestraat nadal znany jest z hucznych piątkowych wieczorów, podczas których wszyscy krewni razem muzykują i odgrywają przedstawienia.

Fijtje Gerritse pochodzi natomiast z rodziny pobożnych fryzyjskich Żydów, postawnych i gburowatych, o rudoblond włosach, wychowujących swoich sześcioro dzieci z żelazną dyscypliną pośrodku bezbożności amsterdamskiej ulicy Zeedijk, zamieszkiwanej przez robotników portowych, dziwki i marynarzy. Już od wczesnego dzieciństwa ich córka Fijtje pracuje tam w otwieranym wieczorem sklepie rodziców, stojąc na skrzynce za kasą, z trzema braćmi w roli wykidajłów u boku. Jest zakochana na zabój w skorym do śmiechu Josephie Brilleslijperze, ale jej rodzice nie chcą nawet o nim słyszeć: ladaco bez zawodu, przy każdej okazji uciekający, żeby odwiedzić dziadka w wędrownym cyrku.

Po tym, jak Joseph już kilka razy bezlitośnie zostaje pobity przez trzech braci Gerritse, a kiedy wreszcie przychodzi do domu rodziców Fijtje prosić o jej rękę, zostaje przez nich wyrzucony z budynku i ląduje twarzą na bruku, wie już, że ma jeszcze tylko jedno wyjście. Prosi słynnych niepokonanych olbrzymów z ulicy Zeedijk, aby zeszli ze swojego tronu, by mógł raz na zawsze udowodnić rodzinie Gerritse, ile jest wart. Razem ze starszym bratem Rubenem skrzykuje kilku przyjaciół z ulicy Jodenbreestraat i z ulicy Joden Houttuinen, między innymi Głupiego Öpie, chłopaka, który jeszcze nigdy nie wypowiedział ani

jednego słowa, ale który jest tak silny, że nikt nie ośmiela się głośno o tym mówić, i ze ściśniętymi pięściami i zaciśniętymi szczękami ruszają w kierunku dawnej bramy miasta. Przed Halą Rybną na Nieuwmarkt dochodzi do spektakularnej walki na pieści i po raz pierwszy w swoim życiu bracia Gerritse zostają pokonani. Joseph wyciera krew z knykci, zabiera „swoją Fietje” ze sklepu jej rodziców i wprowadza się z nią do Rubena i jego żony. Niezależnie od tego, czy była to strategiczna przenikliwość, brutalna siła czy szczęście, zwycięstwo jest początkiem czulej relacji. 1 maja 1912 roku biorą ślub, a ojciec Josepha znajduje dla młodej pary domek w najbiedniejszej części dzielnicy żydowskiej. To tam przy ulicy Joden Houttuinen, na rogu Uilenburgersteeg, 13 grudnia 1912 roku przychodzi na świat ich pierwsze dziecko Rebekka „Lientje” Brilleslijper.

Rodzina jest biedna, ale szczęśliwa. Po kilku trudnych latach udaje im się z pomocą ojca Josepha, zwanego Dziadkiem Jaapem, przejąć sklepik przy ulicy Nieuwe Kerkstraat, nad którym zamieszkują razem z małą Lien. Fietje pracuje tam dniami i nocami, podczas gdy Joseph pomaga w hurtowni Dziadka Jaapa. Miną jeszcze cztery lata, zanim państwo Gerritse z ulicy Zeedijk, oddzielonej od nich zaledwie placem Waterlooplein i Nieuwmarkt, ale należącej jakby do innego świata, poszukają ponownie kontaktu z córką. Okazją są narodziny drugiej córki Fietje, której ta nadała imię po matce: Marianne – „Janny”. Pięć lat później, w lecie 1921 roku, rodzi się w końcu długo oczekiwany syn, Jacob – „Japie” – i rodzina jest w komplecie.

Podczas gdy Joseph i Fietje pracują bez przerwy, żeby jakoś dotrzeć do końca miesiąca, dzieci wychowuje dzielnica żydowska. Duże rodziny mieszkają w domkach wąskich jak kiszki, z miejscami do spania pod zlewozmywakami i przy ścianach w korytarzu, więc życie dzieci toczy się przede wszystkim na ulicy. Tuż za rogiem rodzinnego domu znajduje się teatr Carré, gdzie patrzą godzinami na tłumnie napływających, pięknie wystrojonych ludzi, przychodzących na rewię. Nieco dalej przy ulicy Jodenbreestraat znajduje się teatr Tip Top, ulubione miejsce spotkań, w którym lecą nieme filmy i występują znani artyści, jak Louis i Heintje Davidsowie. Wszyscy w okolicy się znają. Bracia pomagają utrzymywać rodziny, siostry – wychowywać dzieci, a na ulicach wokół domu unosi się zapach jedzenia. Od placu Waterlooplein aż do ulicy Jodenbreestraat stoją stragany pełne pieczonych kasztanów, świeżych ryb,

ostrzych przypraw i kwaszonych ogórków. Fietje co piątek, jak kilka innych kobiet w okolicy, przygotowuje duży garnek zupy dla biednych. W czasie I wojny światowej, kiedy w sklepie nagle zaczęło pojawiać się wielu belgijskich uchodźców, Fietje daje zatroskanym matkom zakupy za darmo. „Zapiszę to” – mówi tylko i odprawia je z uśmiechem ze sklepu. Co piątek wieczór rodzina Fietje i Josepha, tak jak i reszta rodziny Brilleslijperów, spotyka się w domu Dziadka Jaapa przy ulicy Jodenbreestraat. Jedzą wtedy rosół i przez cały wieczór muzykują i bawią się w teatr ze wszystkimi wujkami, ciociami, kuzynami i kuzynkami. To tradycja, którą Joseph po śmierci Dziadka Jaapa kontynuuje ze swoją rodziną.

I tak wczesna młodość trójki dzieci Brilleslijperów, Lien, Janny i Japiego, upływa w niezamożnym, ale bezpiecznym środowisku amsterdamskiej dzielnicy żydowskiej, w atmosferze pełnej miłości i muzyki. W połowie lat dwudziestych życie staje się jednak trudniejsze. Rośnie liczba bezrobotnych, rodziny nie mają co jeść i kiedy któregoś piątku Fietje idzie do sąsiadki, okazuje się, że jej tradycyjny garnek zupy dla biednych to duży garnek parującej wody. Dom, w którym znajduje się ich sklep i mieszkanie nad nim, sprzedano dużej firmie i rodzina musi przeprowadzić się do mieszkania przy ulicy Rapenburgerstraat. To zaledwie parę kroków od ich dawnego domu, ale Fietje straciła sklepik i trudno jej się z tym pogodzić. Joseph zarabia zbyt mało, żeby móc płacić za wynajem, i rodzina znów się przeprowadza, tym razem do dwóch małych pokoików na rogu ulicy Marnixstraat przy granicy dzielnicy Jordaan. Fietje i Joseph opuszczają razem domek każdego ranka przed świtem, żeby zarabiać pieniądze w hurtowni owoców i warzyw.

Dopiero kiedy w 1925 roku ku ich rozpaczy umiera Dziadek Jaap, sprawy przyjmują nieco inny obrót. Joseph z pomocą swojego brata Rubena przejmuje hurtownię i rodzina Brilleslijperów przeprowadza się do budynku przy ulicy Marnixstraat zamieszkanego przez licznych bliskich krewnych, gdzie zajmują pierwsze piętro, a Janny i Lien dostają wspólny piękny pokój. Jednak dziewczynom bezpieczna dzielnica żydowska wydaje się bardzo daleko. Brakuje im dawnej okolicy, ludzi i amsterdamskiego jidysz z sepleniącym „s”. Odcięte od dzielnicy żydowskiej po raz pierwszy rozumieją, dlaczego coraz liczniej napływający żydowscy uchodźcy z Rosji i Polski tłoczą się w malutkich domkach. W obrazie ulicy wokół Nieuwe Prinsengracht, w pobliżu ich starego

sklepiku, gdzie wielu Żydów ze Wschodu kupowało zawsze u Fietje świeże ryby, stanowią zwartą społeczność mężczyzn z długimi pejsami, ubranych w czarne kaftany i kobiet w chustach na głowach.

Siostry trudno rozróżnić nie tylko ze względu na wygląd, są także nierozłączne i cieszą się wolnością, którą zapewnia im zaniechanie ze strony kochających rodziców. Kiedy Joseph i Fietje wyruszają rano w ciemnościach na targ, a Japie jeszcze śpi, wyciągają rowery z szopy i pedałuja pochylone do przodu wokół Stadionu Olimpijskiego, drogą Amstelveenseweg, a potem w prawo na IJsbaanpad. Przy drewnianym mostku nad torami do Aalsmeer zsiadają z rowerów. Most jest tak stromy i wysoki, że muszą wyteńczyć siły, żeby z wyprostowanymi rękami pchać rowery do góry, mając przy tym prawie zamknięte oczy, by tylko nie zobaczyć torów daleko pod sobą. A tam, gdzie rzeka Schinkel wpada do Nieuwe Meer, znajduje się na wysokich palach basen Schinkelbad, zbudowany z drewna, odkryty, pełen wody miejskiej. Spocone od jazdy na rowerze i końcowej wspinaczki, wskakują szybko do zimnej wody i zawsze pływają nieco za długo, tak że muszą się potem mocno spieszyć, żeby zaprowadzić Jaapa na czas do szkoły.

Janny i Lien wyrastają na dwie przepiękne dziewczyny. Są drobne i ciemne, mają proste nosy i wysokie kości policzkowe, brwi niczym lisie ogony i związaną tuż nad karkiem burzę czarnych włosów. Ich edukacja kończy się na szkole podstawowej. Ojciec i matka nie mają pieniędzy, żeby dalej posyłać je do szkoły, a poza tym potrzebują ich pomocy. To nic strasznego: siostry chętnie się uczą i uważnie obserwują świat wokół – Amsterdam oferuje im wszystko, czego potrzebują. Pomagają Fietje w zajmowaniu się domem, pracują całymi dniami jako szwaczki i opiekują się młodszym bratem. W miarę jak dorastają, różnica wieku między nimi wydaje się zmniejszać, ale różnica charakterów staje się coraz bardziej wyraźna. Lien jest spontaniczna i ekstrawertyczna, bezpretensjonalna z natury, tak jak jej ojciec, często chodzi z głową w chmurach. Janny jest rozsądna, czasem zdystansowana, ma żelazną wolę, tak jak jej matka.

Lien odkrywa w sobie talent muzyczny. Jako mała dziewczynka śpiewa w dziecięcym chórze i stoi z przodu na wieczorkach u Dziadka Jaapa. Jako nastolatka przez kilka lat pobiera lekcje w szkole tańca Florrie Rodrigo, żydowsko-portugalskiej tancerki, która stała się sławna dzięki występom

w kabarecie Jeana-Louisa Pisuise'a, a później jako tancerka ekspresjonistyczna w Berlinie. Po ucieczce z coraz bardziej antysemitycznych Niemiec zaczęła prowadzić szkołę tańca w dzielnicy żydowskiej w Amsterdamie. Josephowi nie podoba się frywolne hobby córki i zakazuje jej chodzenia do Florrie. Ale uparte geny Josepha są silniejsze niż jego autorytet: dzięki Florrie Lien trafia do choreografki Lili Green i około szesnastego roku życia zaczyna się u niej potajemnie uczyć. Lili jest pionierką w świecie tańca, tancerką unowocześniającą klasyczne techniki baletu, i widzi w tym zawodzie poważną przyszłość dla Lien. Dlatego w ciągu dnia Lientje pracuje jako szwaczka, wieczorem pędzi do studia Green przy ulicy Pieter Pauwstraat na lekcję, a w nocy prezentuje swoje umiejętności taneczne w klubach przy placu Rembrandtplein. Kiedy znów o świcie wraca do domu i trafia na czekającą na nią na schodach zatroskaną matkę, ta prowadzi ją szybko do jej pokoju, zanim zobaczy to Joseph.

Janny, młodsza z sióstr, wytrzymała w szwalni zaledwie pół roku. Tak jak w czasach szkolnych, tak i teraz jest niecierpliwa i zbuntowana. Mówi o sobie, że jest wierząca, ale niereligijna. Dorastała w centrum dzielnicy żydowskiej, jednak nigdy nie była w synagodze. Pochodzi z rodziny sklepikarzy, ale zgłasza się do syjonistycznej organizacji młodzieżowej Ha-Szomer ha-Cair, do której należą przede wszystkim dzieci lekarzy i adwokatów. Gdy tylko dostrzega tam oznaki złego traktowania, buntuje się gwałtownie – zainspirowana historią jej dziadków Gerritse, którzy uznawali jej ojca za niegodnego poślubienia jej matki. Po nieudanej przygodzie w szwalni podejmuje się różnych prac i trafia do laboratorium, gdzie dzięki zarobionym pieniądząom może od czasu do czasu brać udział w różnych kursach. Janny uczy się tam trochę angielskiego, francuskiego i niemieckiego, a także kończy kurs pierwszej pomocy, co być może później uratuje życie jej i Lientje. Występuje z ruchu syjonistycznego, ponieważ uważa, że należy walczyć o lepsze życie dla wszystkich, a nie o utrzymywanie praw dla zamożnej warstwy społeczeństwa. Pochłaniają ją idee komunizmu, zagłębia się w pisma Marksa, w podstawy socjaldemokracji – ojciec i matka Brilleslijperowie czytają socjalistyczny dziennik „Het Volk” – i wdaje się w dyskusje z każdym i na każdy temat. Patrzy z ubolewaniem na wzrost liczby uciekających ze Wschodu Żydów i innych emigrantów w dzielnicy żydowskiej, chociaż mają coraz większe trudności

z przekroczeniem granicy. Janny próbuje przekonać ojca o zagrożeniu, jakie niesie ze sobą brunatna ideologia: faszyzm. Joseph uważa, że nie będzie aż tak źle, ale Janny widzi realne zagrożenie w przymierzu Hitlera, Mussoliniego i Franco, i kiedy latem 1936 roku zaczyna się hiszpańska wojna domowa, jako dziewiętnastolatka zaczyna działać w podziemiu.

Janny zajmuje się przede wszystkim Międzynarodową Czerwoną Pomocą: wspiera holenderskich ochotników walczących w hiszpańskiej wojnie domowej. Jest członkinią komitetu Pomoc dla Hiszpanii i z tego powodu współpracuje z członkami komuny artystów przy Keizersgracht 522, których poznała dzięki Lien – dziennikarzem Mikiem van Gilse, fotografami Evą Besnyö i Carelem Blazerem oraz filmowcem Jorisem Ivensem. W Amsterdamie Janny zbiera pieniądze na środki opatrunkowe i inne potrzeby, szmugluje przez granicę karetkę pogotowia i pomaga w znalezieniu schronienia dla rosnącej liczby ludzi uciekających z Niemiec. Od nich słyszy opowieści o wzmożonej fali nienawiści w stosunku do Żydów i „bolszewików”. Porażka Niemców w I wojnie światowej, krach na giełdzie Wall Street w 1929 roku przyczyniający się do światowego kryzysu i boleśnie uderzający w Niemcy oraz coraz bardziej otwarcie wyrażany antysemityzm – wszystko to prowadzi do przygniatającego zwycięstwa wyborczego Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników, NSDAP.

Także w Holandii sytuacja się pogarsza. Kryzys ekonomiczny wywołuje powszechne zubożenie, wzrasta bezrobocie, a premier Colijn uprawia żelazną politykę oszczędności. W domu Brilleslijperów też nie dzieje się dobrze: Joseph przeszedł kilka ciężkich operacji oczu i z trudnością wraca do zdrowia. Fietje i trójka dzieci utrzymują rodzinę do chwili, kiedy także matka zaczyna chorować i trafia do szpitala. Pod koniec tych burzliwych lat trzydziestych widać jeden jasny punkt: obie siostry spotykają mężczyzn, którzy odmieniają ich życie.

Lien mieszka już sama, przede wszystkim po to, by uniknąć gniewu ojca, któremu nie podoba się jej aktywność taneczna. Zatrzymuje się we wspólnocie artystycznej przy ulicy Bankastraet w Hadze, w barwnym towarzystwie studentów. Mają wspólną kuchnię, wspólne pieniądze na utrzymanie, a w korytarzu wisi tablica szkolna z nazwiskami mieszkańców, numerami pokoi

i ogłoszeniami administracyjnymi. Kiedy Lientje leży przykuta do łóżka z powodu wstrząsu mózgu – przewróciła się w drodze na lekcję tańca – pewien nowy mieszkaniec przynosi jej bukiet samodzielnie zerwanych kwiatów. Jest oczarowana tym wysokim blondynem o niebieskich oczach i nieśmiałym uśmiechu. To Eberhard Rebling, niemiecki pianista koncertowy i muzykolog, który uciekł z kraju przed nacjonalizmem i mającym militarystyczne zapędy ojcem. Eberhard jest z kolei zafascynowany tą drobną, ciemną kobietą o ciętym języku. Teoretycznie trudno byłoby znaleźć większe przeciwieństwa, ale w rzeczywistości bardzo mocno się w sobie zakochują. Także muzycznie szybko tworzą duet: gdy tylko Lien znów staje na nogi, udziela lekcji tańca i występuje na scenie, a Eberhard akompaniuje jej na pianinie. Zaprzyjaźniają się z innymi studentami przychodzącymi do domu artystów i całymi wieczorami rozprawiają z nimi na temat niebezpiecznej sytuacji politycznej w sąsiednich krajach. Są tam młody lekarz Gerrit Kastein, grający na oboju Haakon Stotijn i jego żona Mieke oraz student ekonomii Bob Brandes z zamożnej haskiej rodziny architektów.

Kiedy latem 1938 roku Lien w związku z pracą w rewii wynajmuje tymczasowo pokój przy placu Leidseplein w Amsterdamie, jej cztery lata młodsza siostra wpada tam często po pracy, żeby coś zjeść. Pewnego wieczoru Janny przy okazji kolejnych odwiedzin poznaje u Lien Boba Brandesa, który droczy się z nią na temat jej przekonań politycznych – on jest członkiem zarządu Socjaldemokratycznego Związku Studentów i odbywa w Amsterdamie staż w komunistycznym wydawnictwie Pegasus. Podczas dyskusji Janny tak się denerwuje, że zaczyna rzucać poduszkami, żeby zamknąć usta temu mądrali. Ale kiedy kilka tygodni później dostaje klucz od pokoju Lien przy haskiej Bankastraat, bardzo szybko zaczyna z niego korzystać, żeby częściej spotykać Boba. „To chyba jakiś lewicowy burdel” – mruczy jeden ze współlokatorów, kiedy zostaje tam przypieczętowany kolejny związek.

Pani Brandes, matka Boba, zwiertżyła romans i dzwoni do Eberharda Reblinga, kulturalnego pianisty, który kiedyś dał koncert w ich pokoju frontowym, z prośbą o przemówienie do rozsądku swojemu przyjacielowi. Ta dziewczyna pochodzi z podejrzanego środowiska kupców i naprawdę nie jest odpowiednią partią dla ich syna. Eberhard wysłuchuje rozbawiony, po czym uspokaja panią Brandes, zapewniając, że rodzina Brilleslijperów wydała na

świat z pewnością najmilsze, jakie można sobie wyobrazić, córki. W styczniu 1939 roku Bob zabiera Janny do kina w Hadze, po filmie idzie z nią do domu i już zostaje.

Rodzice Boba odmawiają wyrażenia zgody na ślub syna: oprócz społecznego statusu Janny także jej żydowskie pochodzenie wiąże się w tym czasie z ryzykiem. Chociaż ich postawa sprawia jej przykrość, idzie w ślady swoich przekornych rodziców: we wrześniu 1939 roku prawie dwudziestotrzyletnia Janny i dwudziestosześcioletni Bob wstępują w związek małżeński, wyruszając z domu rodzinnego Janny w Amsterdamie. Bez ojca i matki Boba, ale w obecności jego sióstr, między innymi Aleid, z którą Janny dobrze się dogaduje. Joseph przygotowuje dla wszystkich kanapki, Fietje wróciła już ze szpitala, a Janny z niedającym się nie zauważyć brzuchem staje się centrum uwagi. Z pewną przekorną radością Bob zamieszcza powiadomienie o ich ślubie w haskiej gazecie, w konsekwencji pani i pan Brandes całymi tygodniami zasypywani są życzeniami szczęścia od swojego dystyngowanego kręgu znajomych.

Miesiąc po ślubie, 10 października 1939 roku, rodzi się Robert Brandes, a Janny, Bob i niemowlę wprowadzają się do dwóch pokoi przy haskiej Bazarlaan, do panny Tonnie de Bruin sprzedającej swoje wdzięki przy ulicy Prinsenstraat – jednak to tajemnica poliszynela.

Młoda para żyje z głową w chmurach, ale tak długo się nie da. Z ostatniej pracy w hali fabrycznej przy maszynie do szycia Janny otrzymała niewielki zasiłek ciążowy, który błyskawicznie się jednak kończy. Bob przerywa studia i znajduje pracę jako urzędnik państwowy, a Janny zajmuje się małym Robbiem.

Rodzina szybko się powiększa: zimą 1939 roku przyjmują do domu pierwszego ukrywającego się. Alexander de Leeuw jest wybitnym adwokatem z Amsterdamu, członkiem zarządu Holenderskiej Partii Komunistycznej CPN i dyrektorem w wydawnictwie Pegasus, gdzie poznał Boba. De Leeuw jest znany ze swojego trudnego charakteru, ale także z zaciętej walki przeciwko faszyzmowi i cieszących się popularnością publikacji. Jako komunista i adwokat CPN stanowi cel w coraz bardziej nieprzyjaznym Amsterdamie. Trwająca latami polityka oszczędności kolejnych gabinetów premiera Colijna nie pomogła krajowi wyjść z kryzysu ekonomicznego, przeciwnie: wzrost jest

prawie niewidoczny, a utrzymująca się bieda prowadzi do rosnących napięć. Setki tysięcy Żydów i socjalistów próbuje wydostać się z Niemiec i położonych dalej na wschodzie krajów, uciekając przed falą agresji, która rozpętała się po nocy kryształowej pod koniec 1938 roku, kiedy Żydzi byli linczowani na ulicy. W obawie przed Niemcami rząd holenderski zamknął granice dla uchodźców, którzy zostali uznani za „element niepożądany”. Poza tym, jak rozumował Colijn, masowy napływ Żydów pogłębił tylko istniejący już w kraju antysemityzm. „Należy unikać wszystkiego, co prowadzi do wspierania stałego osiedlania się w naszym już tak gęsto zaludnionym kraju, ponieważ dalsze wkraczanie obcych elementów byłoby szkodliwe dla utrzymania charakteru niderlandzkiego rodu. Rząd zajmuje stanowisko, że zasadniczo nasze niewielkie terytorium powinno być zarezerwowane dla naszego narodu” – głosi oficjalne uzasadnienie ustawy budżetowej z 1938 roku.

Podatny grunt dla szukania kozła ofiarnego pojawia się także w Holandii, gdzie coraz bardziej otwarcie ujawnia się nienawiść. Zimą 1939 roku w różnych kinach stolicy pokazywana jest *Olimpiada*, film nakręcony na polecenie Hitlera przez Leni Riefenstahl i opowiadający o igrzyskach olimpijskich z 1936 roku w Berlinie – rozwlekłe egzaltowanie się wysportowanymi aryjskimi ciałami. Film przyciąga grupki wyrostków z NSB, a w mieście wybuchają bójki: członkowie NSB napadają na lewicowych i żydowskich nastolatków.

Adwokat de Leeuw nie czuje się bezpiecznie już nawet w swojej ulubionej kafejce Reynders przy placu Leidseplein i szuka miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać. W haskim mieszkaniu Janny i Boba śpi na strychu i musi myć się cichutko w pokoiku dopiero co narodzonego Robbiego. Janny zauważa, jak bardzo zamknięty w sobie i skrępowany jest ukrywający się u nich Alexander. Kiedy jej siostra Lientje wchodzi pewnego ranka niezapowiedziana, a de Leeuw je śniadanie w salonie u Janny, gapią się na siebie wystraszeni. De Leeuw mruży coś pod nosem, zbiera swoje rzeczy i umyka ze spuszczoną głową na strych. Lien unosi pytająco brwi, ale jej siostra wydyma demonstracyjnie usta i wzrusza ramionami, jakby nigdy wcześniej nie widziała tego mężczyzny.

Kiedy 10 maja 1940 roku o godzinie 3.55 niemieckie pociągi pancerne przekraczają holenderską granicę, a eskadry Luftwaffe wdzierają się w przestrzeń powietrzną, Janny nie jest zaskoczona. To dzień, w którym się

zaciska i pryska złudzenie holenderskiej neutralności. Proklamacja królowej Wilhelminy tego dnia brzmi następująco:

Po tym, jak nasz kraj przez tyle miesięcy z drobiazgową dokładnością stosował się do zachowania ścisłej neutralności i nie miał żadnych innych zamiarów, jak tylko stanowczo i konsekwentnie zachowywać takie stanowisko, minionej nocy niemieckie siły zbrojne bez jakiegokolwiek ostrzeżenia napadły nagle na nasze terytorium. Stało się to pomimo uroczystego zapewnienia, że neutralność naszego kraju będzie uszanowana tak długo, jak my będziemy jej przestrzegać.

Przez kilka pierwszych dni Janny i Bob żywią jeszcze nadzieję, że Anglicy przepędzą Niemców, ale nic takiego się nie dzieje. Z ich domku przy alei Bazarlaan mogą prawie dotknąć królewskich stajni pałacu Noordeinde, i kiedy 13 maja widzą odjeżdżający stamtąd konwój eleganckich samochodów, z całą mocą dociera do nich, że Holandia znalazła się pod okupacją. Tego wieczoru, gdy Robbi śpi, Janny i Bob omawiają sytuację. Pamiętają opowieści uchodźców ze wschodu Europy, traumy walczących w Hiszpanii i niedawny nieprzyjazny nastrój panujący w Holandii. Nie mają jednak żadnych wątpliwości: będą stawiać opór faszyzmowi. Nie mają też złudzeń, jeśli chodzi o możliwe konsekwencje, chociaż tak naprawdę nie zdają sobie sprawy z tego, co ich może spotkać.

Kiedy kilka dni później podczas spaceru z synkiem w wózku Janny zostaje zaskoczona przez alarm przeciwlotniczy, pędzi haskimi ulicami w poszukiwaniu pomocy. Złowieszcze wycie wypełnia powietrze, krąży najpierw nisko i ciężko wokół niej, a następnie strzela w górę – podczas gdy strach ściska jej żołądek, a stopy biegną po płytach chodnika. Widzi znajomą fasadę, dzwoni do domu znajomych rodziny Brandesów, niejakich de Pres, i z trudem łapiąc oddech, pyta, czy mogłaby się u nich schronić. Z zawstydzeniem, ale zdecydowanie dają jej do zrozumienia, że ma sobie pójść.

BRUNATNA ZARAZA

Pierwszą osobą, którą tracą po kapitulacji, jest Anita, radosna dziewczyna z artystycznej wspólnoty przy Bankastraat. 14 maja 1940 roku Lien, Eberhard i reszta ich przyjaciół stoją w milczeniu i patrzą przez okno w pokoju frontowym na czarne kłęby dymu w oddali nad Rotterdamem – błąd Niemców, którzy po kapitulacji Holandii nie odwołali na czas swoich samolotów. Nagle słyszą jakieś jęki dobiegające z pierwszego piętra. Lien biegnie po schodach na górę, Eberhard za nią, znajdują Anitę białą jak kreda i bezwładnie leżącą na łóżku, a obok niej spoczywa szklana fiolka. Młoda kobieta uciekła z Niemiec z powodu coraz gwałtowniejszych przejawów antysemityzmu i powiedziała kiedyś Lien o porcji arszeniku, którą jej ojciec, żydowski lekarz, dał jej w prezencie pożegnalnym. Chociaż jej opowieść po raz kolejny podkreśliła powagę sytuacji w Niemczech, gest jej ojca uznali za nieco dramatyczny. Do tej chwili. „Lepiej umrzeć niż trafić w ręce nazistów”, wpajał Anicie ojciec.

Wiele osób w całej Holandii myśli podobnie: kiedy ogłoszono wiadomość o kapitulacji, setki ludzi popełniło samobójstwo. A jednak życie publiczne dość szybko wraca do normy. Chodzi się do pracy, sklepy są otwarte, ukazują się gazety. Janny i Lien regularnie odwiedzają rodziców i brata w Amsterdamie i także tam wszystko wygląda na pozór normalnie. Starsza siostra Boba, Aleid, biorąc dobry przykład, zaczyna prowadzić wspólnotę zrzeszającą ludzi o takich samych zapatrywaniach – przy Nieuwe Herengracht, w okolicy ogrodu botanicznego, gdzie mieszkają jej przyjaciele, tacy jak Janric van Gilse, starszy brat Mika, i inni, znajomi Janny i Lien. Dopiero kiedy siostry odwiedzają Aleid i nie spotykają tam prawie nikogo z przyjaciół, dociera do nich, że niektórzy już jedną nogą zesli do podziemia: nocują wszędzie i nigdzie i tylko czasem wpadają, żeby zabrać rzeczy. Janny i Lien słyszą, że krążą listy z nazwiskami walczących kiedyś w Hiszpanii, młodzieży lewicowej, socjaldemokratów, komunistów i innych antyfaszystów, których Niemcy mają już pod obserwacją. Przy tworzeniu tych list wykorzystują wiedzę piątej kolumny: faszyzujących

obywateli, którzy chętnie pomagają, dzieląc się znanymi od dawna informacjami – zaczynając od holenderskich przedsiębiorców podających nazwiska „czerwonych” klientów, a na niemieckich służących, donoszących na rodziny, u których od lat sprzątają, kończąc. Janny obawia się, że ona, Bob i ich przyjaciele być może są już zarejestrowani na jakiejś liście, ale kiedy rozmawia o tym z mężem, ten wzrusza ramionami: „Przekonamy się”.

I tak zaczyna się czekanie.

29 maja 1940 roku komisarz Rzeszy w Holandii Arthur Seyss-Inquart jako najwyższy urzędnik sił okupacyjnych wygłasza swoją pierwszą przemowę w Sali Rycerskiej w Hadze. Ten austriacki prawnik o przylizanych włosach i w okrągłych okularkach daje do zrozumienia, że naród holenderski nie musi się obawiać Niemców:

Przybyliśmy tutaj nie po to, żeby zagrozić charakterowi narodowemu i niszczyć ani żeby odebrać krajowi wolność. [...] Tym razem nie chodziło o charakter narodowy ani o pieniądze, ani o wolność. Te dobra nie były nigdy zagrożone. Tym razem chodziło o to, żeby Holendrzy nie zostali wykorzystani jako odskocznia do ataku na wiarę, wolność i życie narodu niemieckiego. [...] To są słowa, które chcę skierować dzisiaj do narodu holenderskiego podczas przejmowania najwyższego zarządu w Niderlandach. Nie przyszliśmy tu chętnie ze zbrojną siłą, chcemy być wyzwolicielami i wspierającymi, żeby potem pozostać przyjaciółmi, to wszystko jednak w imię wyższego zadania, jakie mamy my, Europejczycy, ponieważ chodzi tu o budowanie nowej Europy, której zasadniczą podstawą będą narodowy honor i wspólna praca.

Holandia oddycha z ulgą. Tu będzie inaczej niż w krajach na wschodzie znajdujących się pod okupacją: dla ich kulturalnego zachodniego kraju Niemcy mają przynajmniej szacunek. Hitler zawsze dawał jasno do zrozumienia, że narody słowiańskie traktuje jak śmieci do posprzątania w ogrodzie za domem. Chce tam stworzyć *Lebensraum*, przestrzeń życiową, i ma nadzieję, że jego germańscy bracia na zachodzie Europy mu w tym pomogą. Holandia liczy na to, że skoro zachowała neutralność w kwestii niemieckiej polityki ucisku, zostanie łagodniej potraktowana. Nawet niemieccy żołnierze nie wydają się tacy źli: przy pięknej letniej pogodzie widać ich wszędzie na ulicach, a na plaży

w Scheveningen popijają, o dziwo, ciepłe mleko czekoladowe z bitą śmietaną. Także w artystycznej wspólnocie przy Bankastraat czuć optymizm: to, że któreś z zaprzyjaźnionych mocarstw szybko pokona Hitlera, to pewne, pozostaje kwestią otwartą, czy będzie to trwało rok czy dwa. Dla Żydów tutaj nie będzie to miało jakichś wielkich konsekwencji. Holenderscy Żydzi są całkowicie zintegrowani ze społeczeństwem i reszta obywateli nie pozwoli, żeby coś się im stało.

Kiedy podekscytowana Lien idzie potem na kawę do Janny, siostra nie podziela jej optymizmu, jest jakby nieobecna i nieprzyjemna.

– Nie przychodź tu już tak często.

Mówi to przed zaproponowaniem siostrze czegoś do picia. Lien myśli o obcych mężczyznach, których ciągle widuje w mieszkaniu, zakazanych gazetkach, potajemnych spotkaniach. Czyżby Janny nie ufała własnej siostrze?

– Chodzi o Eberharda?

To pytanie z trudem przechodzi Lien przez usta. Mruży oczy, przekrzywia głowę i patrzy na siostrę. Lien wie, że Janny nie ma żadnych złudzeń co do tej okupacji, i uważa, że każdy dzień z Niemcami w granicach kraju to o jeden dzień za dużo. A Eberhard jest przecież Niemcem.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Ufam Eberhardowi jak własnej rodzinie.

Janny przytula mocno do siebie Lien i wzdycha głęboko. Potem odsuwa siostrę na odległość wyciągniętej ręki i patrzy na nią poważnym wzrokiem.

– Tu jest niebezpiecznie, Lientje. Nie masz pojęcia, do czego są zdolne te szkopy. Wierz mi: im rzadziej tu będziesz, tym lepiej. Dla ciebie i dla mnie.

Krótko po rozmowie z siostrą Lien stoi pod studium tańca, gotowa na kolejną lekcję, kiedy podchodzi do niej obcy mężczyzna. Gdy ten zaczyna coś do niej mówić, Lien czuje strach, ale wtedy rozpoznaje jego głos. To jeden z jej żydowskich studentów ze Wschodu. Zgolił długą brodę i obciął pejsy. Z gładką, bladą twarzą i w nowym ubraniu – trudno go rozpoznać. Prawie nie śmie spojrzeć Lien w oczy. Ona z ogromnym trudem wyczarowuje na ustach uśmiech i niedługo potem zaczyna lekcję, jakby nic się nie stało. Przez resztę popołudnia ma jednak ściśnięty żołądek, a jej kończyny wydają się tak ciężkie, że podnosi je z trudem.

Pewnego październikowego wieczoru Bob wraca z biura z formularzem. To oświadczenie o pochodzeniu aryjskim – wszyscy urzędnicy w Holandii muszą obowiązkowo podać, czy sami albo ich rodziny są Żydami. Po położeniu Robbiego do łóżka siadają obok siebie i z uwagą czytają dokument:

Niżej podpisany:...

zawód:...

zatrudniony:...

urodzony dnia... w...

zamieszkały w...

oświadcza, że o ile mu/jej wiadomo ani on/ona, ani jego żona/jej mąż/jego narzeczona/jej narzeczony, ani jego (jej)/ich rodzice albo dziadkowie nigdy nie należeli do religijnej wspólnoty żydowskiej.

Niżej podpisany/-na jest świadom/-a, że w przypadku gdy powyższe oświadczenie okaże się nieprawdziwe, naraża się na natychmiastowe zwolnienie z pracy.

..., 1940

(własnoręczny podpis)

Przy ostatnim zdaniu zatrzymują wzrok na papierze. Potem patrzą na siebie. Zaczęło się. Bob nic nie mówi, z wyrazem ogromnego obrzydzenia na twarzy bierze kartkę za róg, otwiera drzwiczki żeliwnego piecyka i pozwala ogniovi wolno ją pochłonać.

– Co robisz? – pyta Janny.

– Nie będę niczego wypełniał. Ty też nie. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, poczekamy, zobaczymy, co się stanie.

Miesiąc po tym, jak Bob spalił w piecyku formularz oświadczenia o aryjskim pochodzeniu, wszyscy zatrudnieni na posadach rządowych, o których było wiadomo, że są Żydami, zostają zwolnieni. Wśród nich ojciec ich przyjaciółki Tilly, prezes Sądu Najwyższego Lodewijk Visser. Żaden z jego kolegów nie podpisuje protestu.

Janny i Bob nie wyobrażają sobie, co zapowiada skrupulatnie zorganizowana rejestracja Żydów, i nie przejmują się dłużej sprawą oświadczenia. Bardziej

interesują ich podnoszące na duchu oznaki sprzeciwu we własnym otoczeniu. Słyszą o strajku wielu uczniów amsterdamskiego gimnazjum imienia Vossiusa i o obywatelskim nieposłuszeństwie profesora Rudolpha Cleveringi z Uniwersytetu w Lejdzie. Mowę protestacyjną Cleveringi nielegalnie w tysiącach egzemplarzy rozprowadzają studenci w całej Holandii, trafia ona także do rąk Janny i Lien. Cleveringa, tak jak Bob, należy do niewielkiej grupy holenderskich urzędników, którzy postanowili nie podpisywać oświadczenia o pochodzeniu aryjskim – w jego przypadku w geście solidarności wobec dwóch kolegów pochodzenia żydowskiego, profesorów Meijersa i Davida, którzy właśnie zostali zwolnieni. Wszystkim odmawiającym podpisania takiego oświadczenia także grozi utrata pracy. Cleveringa nie jest człowiekiem skorym do aktów odwagi, dobrze zdaje sobie sprawę z możliwych konsekwencji, a mimo to chce zająć jasne stanowisko. 26 listopada 1940 roku rano udaje się na uczelnię oficjalnie po to, żeby odbyć zajęcia w zastępstwie swojego kolegi Meijersa. Następnie w Wielkim Audytorium Uniwersytetu w Lejdzie zwraca się do niczego niepodejrzewających studentów z mową protestacyjną do dzisiaj uważaną za jedno z najlepszych przemówień wygłoszonych kiedykolwiek w Holandii. Składając hołd swojemu mistrzowi Meijersowi, Cleveringa przedstawia różnorodność jego prac i tym samym podkreśla ludzki aspekt holenderskiego prawa. Zagłębia się w podwaliny różnych jego dziedzin i podkreśla imponujące zasługi Meijersa na tym polu, a potem odwołuje się do rozumu, sumienia i poczucia sprawiedliwości młodych słuchaczy:

Meijers jest tym Holendrem, tym szlachetnym i prawdziwym synem naszego narodu, tym człowiekiem, tym ojcem studentów, tym uczonym, którego obcy, który nas w obecnej chwili złowrogo podbił, „pozbawił jego funkcji”! Mówiłem państwu, że nie będę opowiadać o moich osobistych uczuciach; dotrzymam słowa, jakkolwiek uczucia te grożą wydostaniem się niczym gotująca się lawa przez wszelkie możliwe szczeliny, które pod naporem tej lawy – chwilami mam wrażenie – mogą się otworzyć w mojej głowie i w sercu. Jednakże na wydziale, którego celem jest poświęcenie dążeniu do sprawiedliwości, musi zostać wypowiedziane następujące stwierdzenie: konstytucja głosi, że zgodnie z niderlandzkimi tradycjami każdy Holender może być powołany do każdej służby krajowi i do zajmowania każdej godności i każdego urzędu, i przypisuje mu te same prawa obywatelskie niezależnie od wyznawanej przez niego religii.

Po tym, jak wykładowca wypowiada ostatnie słowo, wybucha gromki aplauz i kilku studentów intonuje *Wilhelmusa*, niderlandzki hymn, co podchwytuje reszta sali. Poczucie wspólnoty wypełnia ulice Lejdy, ale dzień później zostaje ono brutalnie zgaszone po aresztowaniu Cleveringi, który za swój sprzeciw aż do lata 1941 roku będzie przebywał w więzieniu w Scheveningen. Uniwersytet w Lejdzie zostaje zamknięty.

Janny i Lien rozmawiają o tym ze swoją przyjaciółką Tilly, żeby dodać jej otuchy, i podkreślają odwagę jej ojca – Lodewijka Vissera. Uważają za godne podziwu, że nie zgina karku, nawet gdy naziści i kolaboranci – przy tchórzliwym milczeniu jego kolegów – zwalniają go z pracy w wymiarze sprawiedliwości. Kiedy pytano go o zwolnienie, utrzymywał uparcie, że nie jest prawomocne: został powołany przez królową i tylko ona ma prawo pozbawić go tej funkcji – wszystko inne uważa za bezprawne. Były sędzia Sądu Najwyższego Lodewijk Visser nie poprzestaje na tym i aktywnie stawia opór Niemcom. Jest pracownikiem nielegalnej gazety „Het Parool” i zostaje przewodniczącym Żydowskiej Komisji Koordynacji: niezależnej organizacji ogólnokrajowej, założonej przez dwa żydowskie związki religijne.

Lien w postawie takich ludzi jak Lodewijk Visser widzi ogniska oporu, które z pewnością poruszą masy do oporu przeciwko okupantom – ci myśleli pewnie, że Holendrzy poddadzą się bez walki, ale jeszcze się zdziwią. Janny natomiast nie liczy ani na łaskę Niemców, ani na ratunek ze strony narodu holenderskiego. Kiedy w styczniu 1941 roku, kilka miesięcy po wprowadzeniu obowiązku składania przez urzędników oświadczeń o pochodzeniu aryjskim, wchodzi w życie obowiązek rejestracji dla wszystkich Żydów w Holandii, ona także się nie zgłasza. Jako jedna z niewielu w jej środowisku nie pozwala na wstemplowanie sobie do dowodu osobistego wielkiej czarnej litery „J” od *Jood* (Żyd). Jedyne, czego potem żałuje, to że nie zabroniła tego zrobić wszystkim w swoim otoczeniu. Na przykład własnej siostrze Lien, która nie przejmując się zbyt biurokracją, zgłasza się i dostaje stempel „J” w dowodzie osobistym, tak jak 160 820 innych Żydów w Holandii. To drobny administracyjny zabieg o ogromnym znaczeniu dla wprowadzonego w życie wkrótce potem systemu deportacji, wspomaganego efektywnością i biurokracją, tak cenionymi przez Niemców u Holendrów.

W samym tylko Amsterdamie zarejestrowano około siedemdziesięciu tysięcy Żydów – dziesięć procent wszystkich mieszkańców miasta. W Zentralstelle für Jüdische Auswanderung, Centralnym Biurze Emigracji Żydowskiej, przy placu Adama van Scheltemaplein, można dzięki temu na dalszym etapie wojny za pomocą kilku zwykłych pudeł wypełnionych kartkami dokładnie odnotować, kto już został, a kto dopiero ma być wywieziony. Kopia listy nazwisk z każdego odjeżdżającego pociągu jest wysyłana do Zentralstelle, gdzie księgowy przekłada przynależną każdemu nazwisku kartę osobową z jednego pudła do drugiego. Jedna karta na wywiezionego mężczyznę, kobietę czy dziecko. Czynność powtarzana do chwili, kiedy pudło z zarejestrowanymi w Amsterdamie Żydami jest prawie puste, a to z deportowanymi niemal pełne.

STRAJKUJCIE! STRAJKUJCIE! STRAJKUJCIE!

To niezwykle mroźna zima, pierwsza od chwili rozpoczęcia niemieckiej okupacji, a NSB pod przywództwem Antona Musserta i jej paramilitarne ramię o nazwie Oddział Obrony (Weerbaarheidsafdeling, WA) – wytworne określenie bojówek noszących czarne uniformy – stają się coraz bardziej zuchwałe. NSB zyskuje na znaczeniu, wykorzystując prężące mięśnie obce siły okupacyjne. Do momentu wtargnięcia Niemiec partia NSB miała niewielkie znaczenie w politycznym krajobrazie Holandii. Mimo fanatycznej kampanii ze sloganem „Mussert czy Moskwa?”, w której Musserta przedstawiano jako wybawcę od bolszewickiego zagrożenia, w czasie wyborów w 1937 roku partia nie zebrała w kraju nawet czterech procent głosów – połowy z prawie ośmiu procent, które zdobyła dwa lata wcześniej w czasie wyborów do stanów poszczególnych prowincji, co można wytłumaczyć tym, że wtedy tradycyjna prawica przejęła częściowo punkt widzenia faszystów.

W życiu codziennym coraz wyraźniej odczuwa się pewność siebie NSB, chronionej silnym ramieniem Hitlera. W okolicach, gdzie mieszka wiele żydowskich rodzin, partia organizuje prowokacje, a wśród mieszkańców amsterdamskiej dzielnicy żydowskiej – znajdującej się pomiędzy Dworcem Głównym, Kloveniersburgwal, placem Waterlooplein, ulicą Valkenburgerstraat i Prins Hendrikkade – panuje nerwowa atmosfera.

Okupant ogłosił nowe wytyczne dla holenderskiej policji, które nakładają na nią obowiązek zapewnienia lepszej ochrony NSB w czasie konfrontacji z Żydami i zbuntowanymi obywatelami; zabroniono zatrzymywania członków bojówki WA.

Janny często bywa w Amsterdamie. Widzi kamienne twarze, słyszy szepty na uliczkach i czuje napięcie rosnące w centrum miasta i jego najbliższym otoczeniu. Wydaje się, że każdy się dokądś spieszy, a kto nie ma powodu, żeby być na ulicy, siedzi w domu. Wieczorami zdaje Bobowi relację z sytuacji

w stolicy. I tak kiedyś opowiada, że widziała, jak grupki członków WA składają wizyty właścicielom tych kawiarni, gdzie na drzwiach nie wiszą jeszcze tabliczki z napisem ZAKAZ WSTĘPU DLA ŻYDÓW – i nie odbywa się to zbyt delikatnie. W kawiarni De Kroon przy placu Rembrandtplein wybito wszystkie okna, w innych, odwiedzanych przez wielu Żydów, wspomagani przez niemieckich żołnierzy członkowie WA demolują wnętrza, a wszystkiemu bezsilnie przyglądają się holenderscy policjanci.

– To się nie może dobrze skończyć, Bob. Zwykli ludzie też mają tego dość. W jednej z bójek z NSB ktoś nawet zginął, niejaki Koot, a teraz na jego cześć przechrzcili Snoekjesgracht na Kootwijk.

Janny mówi o prowodyrze bójek i fanatycznym członku WA o nazwisku Hendrik Koot. 9 lutego rozgrywa się bitwa przy kawiarni Alcazar przy niewielkim placu Thorbeckeplein, odchodzącym od placu Rembrandtplein. Alcazar jest ostatnią kawiarnią, która odmówiła umieszczenia tabliczek z napisem ZAKAZ WSTĘPU DLA ŻYDÓW, i NSB siłą wdziera się do lokalu. Upojeni zwycięstwem mężczyźni ruszają następnie przez miasto w kierunku dzielnicy żydowskiej. Wokół placu Waterlooplein wyrządzają ogromne szkody: niszczą drzwi i okiennice, biją przechodniów. Kiedy ludzie widzą zbliżającą się rozpasaną bandę czarnych koszul, wycofują się z lękiem w małe uliczki albo chowają gdzieś po kątach, ale nie wszyscy mieszkańcy Amsterdamu dają się zastraszyć.

Tego niedzielnego popołudnia kilku klientów siedzi w knajpie blisko placu Waterlooplein, gdy z zewnątrz dochodzą do nich krzyki ostrzegające o zbliżaniu się WA. Niewiele myśląc, biorą kije bilardowe, łamią je na pół i pędzą na ulicę. Okoliczni mieszkańcy na widok mężczyzn z drewnianymi kijami spieszą ze wszystkich stron, żeby pomóc, i będąc w przytłaczającej większości, przeganiają zabijaków Musserta z dzielnicy żydowskiej.

W mieście szybko rozchodzą się wieści o tym, że członkowie WA sięgają po przemoc, a holenderska policja nie interweniuje. Dzień później przyjaciele i znajomi z innych amsterdamskich dzielnic, takich jak Jordaan czy Kattenburg, dołączają do grupki z okolic placu Waterlooplein. Zamierzają bronić dzielnicy żydowskiej przed kolejnym atakiem. W poniedziałek 10 lutego 1941 roku nic się jednak nie dzieje.

Do ataku dochodzi dzień później. We wtorek rano pomiędzy straganami przy placu Waterlooplein pojawiają się dwaj członkowie WA, ale kiedy podbiega do nich grupa mieszkańców, biorą nogi za pas, „i to tak szybko, że aż trudno to sobie wyobrazić”, jak opowiada później w kawiarni zachwycony naoczny świadek. Pewien sprzedawca wyrobów żelaznych, przyjaźnie nastawiony do sąsiadów, otwiera dla nich swój skład. Mężczyźni biorą stamtąd żelazne pręty i drewniane drągi i przygotowują się na powrót członków WA, którzy nie każą na siebie długo czekać.

Tego dnia w różnych częściach miasta dochodzi do przepychanek i bójek pomiędzy żydowskimi, nieżydowskimi i komunistycznymi mieszkańcami miasta z jednej strony a zwolennikami NSB z drugiej. Krążą plotki, że także w haskiej dzielnicy żydowskiej dochodzi do walk i że członkowie NSB w Amsterdamie zamierzają podpalić synagogę przy placu Jonas Daniël Meijerplein. Atmosfera w mieście jest napięta, zwłaszcza że ludzie przekonali się na własnej skórze, że holenderska policja naprawdę nie zapewnia już ochrony przed agresją członków NSB. Na ulicach jest bardziej pusto, niż dałoby się to wytłumaczyć wyłącznie zimnem, a kiedy słońce zaczyna zniżać się za dachy domów, wydaje się, jakby nawet wskazówki zegara na wieży Westertoren przesuwwały się do przodu w zwolnionym tempie.

Po upokarzającym odwrocie dwóch członków WA z placu Waterlooplein NSB wzywa pięćdziesięciu swoich bojówkarzy do stawienia się przy Vendelhuis, należącym do WA budynku przy ulicy Singel 400. Zaczynają działać we wczesnych godzinach wieczornych. Poczynając od ulicy Singel przez Spui, Rokin, ulice Nieuwe Doelenstraat i Staalstraat i plac Waterlooplein w sercu dzielnicy żydowskiej maszerują w kolumnie przez miasto, w czarnych jak smoła mundurach, i śpiewają antyżydowskie pieśni bojowe. Ludzie zamykają drzwi i okna, na ulicach panuje absolutna cisza, a chóralne śpiewy członków WA niosą się daleko pomiędzy domami, podczas gdy słońce szybko zachodzi.

W uliczce Turfsteeg przy placu Waterlooplein czekają na nich w ciemnościach dziesiątki uzbrojonych mieszkańców Amsterdamu. Nieco dalej stoi w gotowości druga grupa. Gdy tylko nadchodzą członkowie WA, po stronie placu zabaw przy Waterlooplein, wybucha zbiorowa bójka. Prawie nic nie widać, ale według jednego z przywódców sprawa jest prosta: bij wszystko, co

nosi czarny mundur. W ruch idą pałki, kije, kije bilardowe, żelazne pręty i kamienie. Kiedy po kilku minutach członkowie WA uciekają, okazuje się, że jeden z nich leży bez ruchu. To Hendrik Koot. Trafia do szpitala z pęknięciem podstawy czaszki i umiera tam w wyniku odniesionych obrażeń. Koot jest męczennikiem, którego faszyci potrzebują, żeby wykonać następny krok.

Jeszcze tej samej nocy serce amsterdamskiej dzielnicy żydowskiej, Jodenhoek, zamieszkaną przez ponad dwadzieścia pięć tysięcy osób, zostaje odcięte od reszty miasta. Podniesiono mosty, a w innych miejscach porozciągano wysokie na człowieka, zagradzające dostęp zasieki z drutu kolczastego, których pilnuje niemiecka Grüne Polizei. Dzień później okupant żąda utworzenia Judenratu (Rady Żydowskiej): centralnego organu reprezentującego żydowskie „prawa”, za którego pośrednictwem Niemcy będą porozumiewać się z Żydami. Rada szybko staje się organem, który Niemcy będą mogli obarczać odpowiedzialnością za wykonywanie ich poleceń. Lodewijk Visser, przedstawiciel Żydowskiej Komisji Koordynacyjnej, natychmiast przeciwstawia się temu organowi i polityce przewodniczących Rady Żydowskiej: Abrahama Asschera i Davida Cohena. Podczas gdy Asscher i Cohen uważają, że mogą pośredniczyć między społecznością żydowską a Niemcami i może nawet osiągać pozytywne rezultaty, Visser twierdzi, że są nazbyt chętni do współpracy. Visser w imieniu Żydowskiej Komisji Koordynacji odmawia rozmów z Niemcami i zwraca się tylko do holenderskiego rządu. Jeszcze w tym samym roku Niemcy zakazują działalności Żydowskiej Komisji Koordynacyjnej i wskazują Judenrat jako jedyne ogólnokrajowe przedstawiciela społeczności żydowskiej.

Tymczasem machina propagandowa NSB, wykorzystując śmierć Koota, działa pełną parą. Tygodnik NSB „Naród i Ojczyzna” donosi:

Żyd zrzucił maskę! [...] Wachmistrz Hendrik Evert Koot został zamordowany. Zamordowany? Nie, zdeptany z sadystyczną rozkoszą! Zmiażdżony prostackimi buciorami plemienia nomadów obcej nam krwi. Ten wschodni sposób szlachtowania jest właściwy wyłącznie Żydom. [...] Niech zbrodniarze wiedzą, że to ostatni, naprawdę ostatni raz, kiedy jeden z nas został zamordowany przez Żydów.

Podczas następnego tygodnia w różnych holenderskich gazetach ukazują się artykuły w podobnym tonie. Złożono doniesienie o wielu śladach po ugryzieniach, które miał ponoć Koot, napisano nawet, że jakiś Żyd przegryzł mu krtań. W ciągu kilku dni śmierć Koota zyskuje wręcz mityczny wymiar, a Joseph i Fietje Brilleslijperowie przyglądają się bezsilni, jak żydowska dzielnica zostaje odcięta od reszty Amsterdamu wysokimi ogrodzeniami. Wszędzie, także wokół ich domu, stoją wbite w ziemię duże tablice z napisem: JUDENVIERTEL / DZIELNICA ŻYDOWSKA.

Ale to jeszcze nie koniec. 19 lutego znów rozgrywa się bójka, tym razem obok żydowskiej lodziarni Koco przy ulicy Van Woustraat 149 pomiędzy członkami Grüne Polizei a grupą złożoną ze stałych klientów, którzy już od dłuższego czasu ochraniają właścicieli tego lokalu, czyli żydowskich uchodźców z Niemiec Alfreda Kohna i Ernsta Cahna. Okupanci zostają przy okazji potraktowani amoniakiem w formie gazu ze specjalnie przygotowanej butli. Właściciele i klienci trafiają do aresztu, a meldunek o incydencie otrzymuje sam Heinrich Himmler, dowódca SS. Poczynając od kawiarni Alcazar, przez śmierć Koota, do incydentu z amoniakiem przy lodziarni Koco, Niemcy mają już wystarczającą liczbę pretekstów do rozpoczęcia rozprawy z Żydami na dużą skalę. Nie spodziewają się zarazem zbyt gwałtownych protestów ze strony holenderskich mieszkańców miasta. Muszą zrobić jeszcze tylko jedno: nakazać Judenratowi rozbrojenie wspólnoty. Świeżo upieczeni przewodniczący Rady, handlarz diamentami Asscher i profesor historii starożytnej Cohen, wzywają społeczność żydowską do oddania wszelkiej broni do piątku 21 lutego 1941 roku. „Niepodporządkowanie się będzie prowadziło z pewnością do surowych konsekwencji ze strony rządu”.

W ten weekend mieszkańcy Holandii po raz pierwszy poznają zjawisko, z którym przyjdzie im się szybko oswoić: łapanki. Ludzie są wywlekani z domów, mężczyźni o żydowskim wyglądzie ściągani z rowerów, a próbujące interweniować kobiety brutalnie odpychane.

Podczas pierwszych łapanek 22 i 23 lutego 1941 roku zatrzymanych zostaje czterystu dwudziestu siedmiu mężczyzn żydowskiego pochodzenia między dwudziestym a trzydziestym piątym rokiem życia. Wielu z nich w pobliżu synagog w Amsterdamie, przy Jonas Daniel Meijerplein, na obszarze małego trójkąta między wodą i placem Waterlooplein. Do holenderskiej policji nie

dochodzą żadne informacje, a ponieważ 23 lutego odbywa się niedzielny targ, wielu nieżydowskich mieszkańców jest świadkami tej akcji. Spędzeni w jedno miejsce mężczyźni siedzą w kucki z podniesionymi rękami albo z rękami za głową, z białymi jak kreda twarzami i rozszerzonymi źrenicami. Pilnują ich żołnierze, kopniakami zaganiając z powrotem na miejsce, inni z kolei kolbami karabinów pędzą na plac nowe grupy z pobliskich ulic. Podjeżdżają ciężarówki, do każdej zapędma się po kilkadziesiąt osób, kierowca szybko rusza – i już ich nie ma. Przesuwać się, ręce do góry, krzyki, uderzenia. To żydowscy mężczyźni w ubraniach roboczych, mężczyźni w dobrych, niedzielnych garniturach, jeden nawet we fraku. Osoby stojące wokół przyglądają się, znieruchomiałe, jakby wrosły w ziemię, inni z kolei biegną w popłochu do domów. Tego niedzielnego wieczoru, kiedy odjeżdża ostatnia ciężarówka, w dzielnicy żydowskiej panuje przeraźliwa cisza.

Wśród aresztowanych są także przyjaciele Janny i Lien. Mężczyźni trafiają w większości do Mauthausen: obozu koncentracyjnego w Austrii, gdzie wydobywa się granit. I znów to Lodewijk Visser jest tym, który wielokrotnie apeluje do sekretarza stanu – tych samych, którzy odwrócili się do niego plecami, kiedy zwolniono go z pracy. Pyta, czy może zechcieliby zająć się losem aresztowanych i wywiezionych żydowskich mężczyzn. Visser słyszał, że więźniowie obozów pracy masowo umierają z powodu wyczerpania w kamieniołomach, z głodu, chorób, tortur, i uważa, że holenderski rząd musi interweniować. Jednak i tym razem nie udaje mu się nic wskórać. Niemcy mają już tak bardzo dość tego człowieka, że grożą mu wysłaniem do obozu koncentracyjnego, jeśli nie będzie siedział cicho. Okazuje się to niepotrzebne. Lodewijk Visser umiera na początku 1942 roku z powodu wylewu krwi do mózgu. Żaden z jego kolegów z Sądu Najwyższego nie przychodzi na jego pogrzeb.

Wszyscy mężczyźni wywiezieni z Holandii w weekend 22 i 23 lutego 1941 roku umierają w ciągu kilku miesięcy, poza dwoma „szczęściarzami”, wysłanymi do obozu koncentracyjnego Buchenwald, którym udało się przeżyć. Ernst Cahn z lodziarni Koco przy Van Woustraat zostaje rozstrzelany przez pluton egzekucyjny na równinie Waalsdorpervlakte w marcu 1941 roku i jest

pierwszym holenderskim cywilem zamordowanym w ten sposób podczas II wojny światowej. Jego współnik Alfred Kohn nie wraca z Auschwitz.

Wtedy dzieje się coś nadzwyczajnego. Dzień po łapaniach zakazana partia komunistyczna rozprowadza po całym mieście ulotki. Na jednej kartce wypełnionej czarną, maszynową czcionką i wieloma wykrzyknikami znajduje się wezwanie do strajku i solidarności z Żydami:

Organizujcie we wszystkich zakładach pracy strajk protestacyjny!!!

Ramię w ramię walczyć z terrorem!!!

Żądajcie natychmiastowego uwolnienia aresztowanych Żydów!!!

[...]

Chrońcie dzieci żydowskie przed nazistowską przemocą, przyjmujcie je do swoich rodzin!!!

PAMIĘTAJCIE, JAK POTĘŻNĄ MOC MA WASZ WSPÓLNY CZYN!!!

Jest ona wielokrotnie większa niż niemiecka okupacja!!!

STRAJKUJCIE!!! STRAJKUJCIE!!! STRAJKUJCIE!!!

Nieco wcześniej, późnym popołudniem 24 lutego, kilkuset członków CPN, przede wszystkim robotnicy komunalni, odpowiada na wezwanie przywódców, żeby zebrać się na Noordermarkt w Amsterdamie. Ze wszystkich ulic i uliczek ruszają na plac mężczyźni w grubych paltach i naciągniętych głęboko na uszy czapkach z powodu zimna. Nad tłumem zebrany pod kościołem Noorderkerk unosi się para z oddechów zmieszana z papierosowym dymem, a inicjatorzy wiecu w płomiennych słowach przemawiają do zebranych.

Wcześniejsze plany ogłoszenia strajku zostały odwołane ze względu na wysłanie holenderskich robotników przemysłu metalowego do Niemiec, ale w związku z serią aktów przemocy wobec Żydów w ostatnich tygodniach liderzy partii komunistycznej spodziewają się większego poparcia społecznego i postanawiają przystąpić do akcji. Wszyscy obecni na placu Noordermarkt – co podkreślają przemawiający – muszą nie tylko sami przystąpić do działania, ale także zachęcić innych, żeby zrobili to samo w ramach wspólnego protestu przeciwko okrutnemu traktowaniu i wywożeniu przez wojska okupacyjne amsterdamskich Żydów – ich Żydów. Gniew z powodu tego, co spotkało

mężczyzn spędzonych na plac Jonas Daniël Meijerplein, coś w ludziach budzi i tego wieczoru wiele osób popiera ideę zorganizowania dużego protestu. Pod koniec wiecu organizatorzy rozdają stopy ulotek i tłum rozchodzi się do swoich amsterdamskich dzielnic, żeby rozpowszechnić wezwanie.

Następnego dnia rano wybucha strajk lutowy, czyli powszechny, zorganizowany i masowy protest przeciwko prześladowaniu Żydów. Pierwszym jego przejawem jest bunt amsterdamskich motorniczych tramwajów. Ponieważ tramwaje nie przyjeżdżają, czekający na przystankach zastanawiają się, co się dzieje, i nie pojawiają się w pracy. Wywołuje to efekt domina i wieść szybko rozchodzi się po mieście. Dla wielu osób wezwanie do strajku to prawdziwa próba nerwów, ponieważ okazywanie nieposłuszeństwa jest czymś sprzecznym z ich sposobem zachowania – ale wystarczy, że w zakładzie znajdzie się jedna osoba, która zainicjuje działanie, i dalej już wszystko toczy się samo. Chłopak w fabryce damskich kapeluszy braci van Duinów wiadrem wody gasi ogień w dużym piecu, przez co brakuje pary niezbędnej do produkcji kapeluszy – powoduje to zatrzymanie całej fabryki i masowe opuszczanie budynku przez pracowników. Młoda szwaczka wspólnie z mężem przygotowała plan: czeka w oknie szwalni na pierwszym piętrze na jego znak z ulicy, że strajk się rozpoczął. Przejęta odwraca się w stronę sali ze szwaczkami, odchrząkuje i wzywa je, by przestały pracować i zastrajkowały przeciwko okupantowi i zbrodniczemu traktowaniu Żydów. Ku jej zaskoczeniu wszystkie kobiety wstają i wychodzą z nią na dwór.

Sytuacja jest już nie do zatrzymania, kiedy pierwsi robotnicy opuszczają miejsca pracy i w paltach i czapkach naciągniętych na uszy pojawiają się na ulicy. Wszędzie w mieście zbierają się grupy ludzi, mężczyźni i kobiety, pracownicy biur i robotnicy drogowi. Najpierw niepewnie i blisko siebie, ale w miarę jak pustoszeją domy i fabryki, a na ulicach rośnie liczba osób, z coraz bardziej wyprężoną dumnie piersią czekają na nieuniknioną reakcję.

Niemcy są całkowicie zaskoczeni oporem i drugiego dnia strajk rozszerza się na inne części kraju: północ, het Gooi, Utrecht, a także – choć dość ostrożnie – Hagę. Ludzi ogarnia oszałamiające poczucie wspólnoty, a panujące w kraju napięcie ustępuje miejsca nadziei i duchowi walki. Jednak trwa to krótko. Pierwszego dnia strajków zgromadzeni na placu Noordermarkt zostają brutalnie rozpędzeni przez Grüne Polizei, co sprawia, że powraca strach. Drugiego dnia

na nogi postawiono duże siły policyjne, a także SS, starszych braci WA. Ogłoszono stan wyjątkowy, a opór strajkujących jest łamany przy użyciu brutalnej siły.

Lien i Janny śledzą sytuację z Hagi z poruszeniem, które szybko zmienia się w zatroskanie. Widzą pędzące po ulicach wozy policyjne; syreny wyją w całym mieście, a przez głośniki nakazuje się ludziom pozostać w budynkach i natychmiast wracać do pracy. Jedno jest pewne: faszyci wpadli w panikę. Do takiego strajku nie doszło jeszcze w żadnym z okupowanych przez nich krajów. W Amsterdamie uliczki wypełniają się pospiesznie ściągаныmi batalionami mającymi za zadanie zapędzić mieszkańców z powrotem do domów i fabryk. O ile pierwszego dnia strajku z bruku ulic dochodziły odgłosy butów robotników, o tyle teraz słychać ciężkie policyjne buciory. Ginie co najmniej dziewięć osób, są dziesiątki rannych, setki mężczyzn trafiają do aresztu. Niemcy nakładają kary finansowe na miasta biorące udział w strajku – sam Amsterdam musi zapłacić piętnaście milionów guldenów – a burmistrza Willema de Vlughta zastępuje proniemiecki urzędnik Edward Voûte. Nawet działający od niedawna Judenrat ogłasza apel do strajkujących robotników, aby powrócili do pracy.

Dzięki rodzinie i przyjaciołom ze środowisk komunistycznych Janny i Lien poznają krwawe szczegóły przebiegu strajku i mają odmienne oceny co do skutków ostatnich wydarzeń. Dwudniowy protest sprawia, że Lien po raz pierwszy od rozpoczęcia łapanek optymistycznie patrzy w przyszłość. Amsterdamscy robotnicy udowodnili przecież, że można się przeciwstawić nawet najstraszniejszemu terrorowi. Jednak Janny nie chce o tym słyszeć, przewiduje, że akcje te przyniosą odwrotny skutek.

– Judenrat próbuje teraz uspokoić Żydów – mówi do siostry – a dokładnie na tym właśnie zależy szwabom.

Zaraz po wojnie zorganizowana zostaje uroczystość upamiętniająca strajki i w czasie pierwszego wiecu w 1946 roku królowa Wilhelmina ogłasza, że w związku z wydarzeniami lutowymi na godle Amsterdamu pojawi się motto Heroiczny, Stanowczy, Miłosierny. Pomimo wyjątkowego charakteru tego zorganizowanego protestu przeciwko prześladowaniu Żydów w Holandii, a może właśnie dzięki niemu, przez dziesięciolecia trwa walka o przypisanie sobie zasługi rozpoczęcia strajków. Zaprzecza się decydującej roli CPN – albo

ją przemilcza. W pierwszych latach po wojnie próbowano utrwalać mit głoszący, że to ludzie sami spontanicznie wyszli na ulice ze złości na politykę nazistów. W czasach zimnej wojny przywódcom Komunistycznej Partii Holandii nie pozwalano wręcz brać udziału w oficjalnych uroczystościach upamiętniających strajk lutowy. Do dzisiaj związek CPN-u z owymi słynnymi wydarzeniami nie jest powszechnie znany. Symbol sprawiedliwości dziwnym trafem staje się przez to symbolem niesprawiedliwości.

Na placu Jonas Daniël Meijerplein w Amsterdamie, w miejscu, gdzie spędzono ofiary pierwszych łapanek i zmuszono, by siedziały tam godzinami w kucki na mrozie, stoi dla upamiętnienia strajku lutowego pomnik Dokera (De Dokwerker): potężnego niezłomnego mężczyzny z podwiniętymi rękawami i podniesioną głową, ale z bezradnie opuszczonymi rękami.

DZIECI WOJNY

W czasie trwania strajku lutowego Janny dosłownie siedzi wrogowi na głowie. Zajmowane przez nich mieszkanie przy Bazarlaan znajduje się nad drukarnią, w której wydawana jest gazeta NSB, i równie szybko jak z taśmy na parterze schodzi propaganda faszystowska, ona i Bob piętro wyżej powielają na olbrzymiej maszynie nielegalne wydawnictwa ruchu oporu. Janny, niczym wykwalifikowany drukarz, odbija swoją pierwszą podziemną gazetkę „Het Signaal”, co jest ironiczną aluzją do propagandowego tytułu Wehrmachtu „Signaal” wychodzącego co dwa tygodnie w nakładzie dwu i pół miliona egzemplarzy w dwudziestu językach. Janny daleko do takich osiągnięć, ale robi, co może, tuż obok śpiącego Robbiego.

Aby rozszerzyć działalność, wynajmuje domek w haskiej dzielnicy Schilderswijk, kilka kilometrów dalej, gdzie zakłada podziemną drukarnię. Strach i wzajemna nieufność rosną z dnia na dzień: po strajku lutowym aresztowano w Amsterdamie wszystkich dotychczasowych pośredników i osoby utrzymujące łączność, dlatego Janny ma coraz częściej do czynienia z zupełnie obcymi ludźmi. Kosztuje ją to sporo nerwów. Każdy kontakt wzrokowy, list bez nadawcy, spotkanie na rogu ulicy w Schilderswijk w celu wymiany informacji na temat dystrybucji wydrukowanych gazetek – nigdy nie wie, kogo ma przed sobą. Czy to konfidenci, naiwni poszukiwacze przygód stanowiący dla niej zagrożenie, czy też ludzie, którzy tak jak ona świadomie chcą się poświęcić dobrej sprawie? Każda nowa twarz i spoglądające nieufnie spod czapki oczy powodują, że zastanawia się, czy to ktoś, komu można zaufać. Na szczęście wymiana haseł po obu stronach jest szybka, dzięki czemu od razu wiadomo, jaki jest cel spotkania.

Rosnąca paranoja nie bierze się znikąd: opowieści na temat obozów pracy w kraju i za granicą, dokąd wywożeni są aresztowani żydowscy mężczyźni, słychać coraz częściej. Jednak pogłoski o umierających tam ludziach składa się

raczej na karb strasznych warunków: zimna, chorób czy ciężkiej pracy. Żydzi nie mogą już odwiedzać kin, kawiarni czy targowisk, a w Amsterdamie muszą dokładnie informować, ile posiadają domów i sklepów, gdzie uczęszczają do szkoły ich dzieci, jakimi tramwajami czy autobusami jeżdżą, do jakich instytucji kulturalnych chodzą. Podróżowanie staje się dla Żydów praktycznie niemożliwe. Następnym celem okupanta jest zgromadzenie jak największej liczby Żydów z Amsterdamu, a później z całej Holandii, w jednym miejscu. Zamknięta dzielnica żydowska wydaje się idealnie temu służyć, jednak blokady nie daje się utrzymać. W Amsterdamie jest zbyt wielu Żydów, żeby ich wszystkich pomieścić w tej małej części miasta, a poza tym za podniesionymi mostami mieszka jeszcze co najmniej sześć tysięcy nieżydowskich mieszkańców. Nie można ich tak po prostu usunąć z domów, a poza tym chcą przyjmować gości i jeździć do pracy w innych częściach miasta. Ogrodzenia zostają więc usunięte, ale tablice pozostają: JUDENVIERTEL / DZIELNICA ŻYDOWSKA. Żydzi nie mogą się przeprowadzać. Zakaz zmiany miejsca pobytu umożliwia przeprowadzenie zakrojonego na szeroką skalę spisu społeczności.

Gdy pewnego wieczoru w grudniu 1941 roku Lien zbiera swoje rzeczy po występie tanecznym, rozmawia o sytuacji z bliską przyjaciółką, pianistką Idą Rosenheimer, która jej akompaniowała. Lien nie potrafi sobie wyobrazić, że okupowane kraje pozwolą, żeby Hitler nadal wprowadzał w życie swoje plany, a operacja logistyczna polegająca na wywiezieniu dziesiątków tysięcy ludzi wydaje jej się wprost niewykonalna, ale Ida przez cały wieczór pozostaje przybita. Wie od rodziny, że Żydzi w Polsce i Czechach zamykani są w gettach, i że każdy, kto stawia choćby najmniejszy opór, jest wywożony do nowo utworzonych obozów koncentracyjnych. Uważa przyjaciółkę za naiwną i próbuje ją ostrzec: Hitler od dwudziestu lat powtarza, że chce unicestwić Żydów. Na wschodzie już się do tego zabrał, i w Holandii niedługo też przyjdzie na nich kolej.

Młodsza siostra Lien takiego ostrzeżenia nie potrzebuje: Janny w szybkim tempie rozszerza nielegalną działalność. Bob pracuje w centrali zaopatrzenia w żywność, co okaże się później bardzo przydatne, a Janny – oprócz drukowania i rozprowadzania nielegalnych gazetek ruchu oporu – zajmuje się też innymi sprawami, które ratują Żydom życie. Kiedy trzeba, obydwójce oferują swój niewielki domek jako schronienie dla ludzi w niebezpieczeństwie –

uchodźców politycznych i członków podziemia, których Niemcy mają już na oku. Wkrótce do ich drzwi pukają uciekający komuniści. Ukrywa się też u nich były członek izby niższej parlamentu Kees Schalker. Jest jednym z przywódców nielegalnej partii komunistycznej i jego nazwisko znajduje się na niemieckiej liście. Schalker przebrany za starego mężczyznę, w kapeluszu, z siwą brodą, próbuje przejść metamorfozę, ale podobnie jak ukrywającemu się u nich wcześniej Alexandrowi de Leeuw, tak i jemu nie uda się doczekać końca wojny. Robbie jest przyzwyczajony, że przez jakiś czas nocują u nich przyjaciele rodziców, a kiedy Lien przychodzi w odwiedziny do młodszej siostry i znów widzi obcego mężczyznę czytającego gazetę w małej kuchni, nie zadaje już nawet pytań.

Nagłą koniecznością stają się fałszowanie i kradzież dowodów osobistych. Dla ludzi, którzy chcą się ukrywać, fałszywe dokumenty są niezmiernie ważne. Ukradzony dowód tożsamości podczas zatrzymania na ulicy, łapani czy podróży pozwala udowodnić, że nie jest się Żydem, a fałszywy dowód osobisty potwierdzić fikcyjny adres miejsca zamieszkania. Wcześniej w tym samym roku okupanci wzywają Żydów, by zgłaszali się do rejestracji uzupełniającej, co kończy się ich ogromnym sukcesem: w kraju trafia do rejestru sto sześćdziesiąt tysięcy Żydów – ludzi z wielką literą „J” na lewej stronie dowodu tożsamości, obok zdjęcia. Tylko nieliczni z nich, tak jak Janny, nie mają takiego stempla.

Dowody osobiste stają się potężnym narzędziem sprawujących władzę, świstkiem papieru, który w kluczowych momentach może decydować o życiu lub śmierci. Fałszywy dowód ułatwia przejście przez kontrolę, podróżowanie do rodziny lub przyjaciół czy schronienie. Zdarza się, że informacje zawarte na prawej stronie dowodu są również fałszowane, zamiast nazwisk żydowskich pojawiają się brzmiące po holendersku, na przykład Hendrik Akkerman zastępuje Simona Wallacha.

Obok fałszywych dowodów pojawia się inny ważny obiekt handlu: karty reglamentacyjne i bony. Okupacja spowodowała, że handel z zagranicą praktycznie nie istnieje, czego konsekwencją jest brak wielu dóbr i artykułów spożywczych. Każde gospodarstwo domowe potrzebuje karty reglamentacyjnej wystawianej na nazwisko, na której jest zapisywane, jakie bony zostały wydane. Po lewej stronie znajdują się kategorie: artykuły spożywcze, buty, narodziny, choroba, paliwo, różne. Obok znajdują się okienka, gdzie stawia się krzyżyk, ile

czego wydano. Choć karta sprawia wrażenie prostego dokumentu administracyjnego, stanowi także ważne narzędzie sprawowania władzy: po Pierwszej Karcie Dystrybucji, wprowadzonej na początku wojny, w 1943 roku, kiedy deportacje są już w pełnym toku, pojawia się Druga Karta Dystrybucji, i tylko „zwykli” Holendrzy mogą ją odebrać. Dla ukrywających się albo legitymujących fałszywymi dowodami jest ona niedostępna. Wielu udzielających schronienia – zarówno pojedynczym osobom, jak i całym rodzinom – wymaga, by ukrywający się nie mogli korzystać z ich kart, ale mieli własne karty i bony żywnościowe. To skuteczny sposób na zagłodzenie ludzi, którzy nie stawili się do transportu, albo na wykurzenie ich z kryjówek.

Karty i bony reglamentacyjne kradnie się więc masowo, by mogli je rozdać członkowie ruchu oporu. Janny ma już wówczas całą sieć stałych zaufanych kontaktów. Jeździ tam i z powrotem pomiędzy Hagę, Amsterdamem i Utrechtem z papierami ukrytymi w staniku albo pod spódnicą.

Bójki z WA i pierwsze łapanki wyraźnie pokazują, że zarówno okupant, jak i NSB nie mają litości, ale dopiero z upływem kolejnych miesięcy 1941 roku do Janny dociera tak naprawdę, jak niebezpieczne jest to, czym zajmują się ona i Bob. Rozpoczyna się także polowanie na komunistów: ludzie, którzy pracują w podziemiu dla Komunistycznej Partii Holandii, trafiają do aresztu i znikają bez jakiegokolwiek formy procesu.

Kolejnym celem są holenderscy ochotnicy walczący przeciwko faszystom w czasie hiszpańskiej wojny domowej: dawni obrońcy Hiszpanii, a wśród nich wielu przyjaciół sióstr Brilleslijper. Większość z nich znów – albo nadal – działa w podziemiu; hiszpańska wojna domowa nie bez przyczyny nazywana jest próbą generalną przed II wojną światową. Dawni obrońcy Hiszpanii wydają nielegalne gazety, takie jak: „Het Parol”, „Vrij Nederland” i „De Waarheid”, i tworzą nowe ugrupowania ruchu oporu. Janny można zaliczyć do każdej kategorii wymyślonej przez faszystów, więc jest zagrożona z trzech powodów: jako Żydówka, komunistka i ochotnicza uczestniczka w wojnie w Hiszpanii, choć z terenu Holandii.

W maju 1941 roku ogłoszono, że internowaniu podlegają wszystkie osoby, które zarejestrowano jako uczestników walk w Hiszpanii. Od tej chwili traktuje się je jako bezpaństwowych kryminalistów. W obozie koncentracyjnym

w Dachau przygotowano dla nich specjalne baraki, tak zwany blok brygad międzynarodowych, i są tam zwożeni z całej Europy. Janny słyszy opowieści przyjaciół i zdaje sobie sprawę z możliwych konsekwencji swoich działań. Nie powstrzymuje jej to jednak przed kontynuowaniem pracy. Konieczność niesienia pomocy Żydom i innym pozostającym w potrzebie staje się coraz większa, Janny stale więc rozszerza sieć swoich kontaktów o ludzi, którym ufa. Na przykład, żeby usuwać z dowodów osobistych wstemplowaną literę „J”, oznaczającą Żyda, jeździ do Hans Verwer^[6] do Amsterdamu. Hans jest baleriną i przyjaciółką Lientje, tańczyły razem przed wojną u Lili Green. Precyzja w ruchach dłońmi i gracia, które czyniły z niej tak dobrą tancerkę, przydają się wspaniale w czasie wojny: ona i jej mąż są najlepszymi fałszerzami. Także dom rodzinny pozwala Janny utrzymywać dobre kontakty, chociaż Joseph często mówi córce o swoich obawach dotyczących jej pracy. Nad mieszkaniem Josepha i Fietje przy Nieuwe Achtergracht mieszkają ich przyjaciele Leo Fuks i jego żona Loes. Leo ma dużą sieć znajomych wśród żydowskich intelektualistów i pomaga Janny skontaktować się z ludźmi, których ona potrzebuje do nielegalnej działalności. I tak na przykład zdobywa stały kontakt w urzędzie gminy, dostarczający jej druki amsterdamskiego rejestru meldunkowego, i kogoś, kto przekazuje jej oryginalne dowody osobiste z autentycznymi pieczętkami, które Janny z fałszywymi danymi przekazuje opiekunom nowo narodzonych dzieci.

Latem 1941 roku trwa spisywanie wszystkich holenderskich Żydów. Zostaje zarejestrowanych ponad sto sześćdziesiąt tysięcy – tracą swobodę przemieszczania się, nie mogą chodzić na targowiska, baseny czy plaże, odbiera się im firmy i konfiskuje radia. Urzędnicy gminy Amsterdam, gdzie mieszka ponad osiemdziesiąt tysięcy Żydów, dostali od Niemców polecenie sporządzenia mapy, na której z dokładnością co do metra należy zaznaczyć miejsce zamieszkania Żydów, każda kropka oznaczać ma dziesięciu żydowskich mieszkańców. Natychmiast można zobaczyć, ile jest jeszcze do zrobienia: niektóre dzielnice są czarne od kropek, podczas gdy w innych układają się one w bardziej ażurowy wzór. Krok po kroku, bez znaczącego sprzeciwu rządu holenderskiego, całej grupie odbiera się prawa i godność, izoluje od reszty społeczeństwa i szczegółowo spisuje.

Jednak dla większości ludzi życie codzienne toczy się dalej. Myśl o lepszej przyszłości po wojnie, bez terroru nazistów, trzyma przy życiu wiele osób, w otoczeniu sióstr Brilleslijper sporo par oczekuje nawet dzieci. Lien i Eberhard, ku swojej rozpaczy, nie są małżeństwem, uniemożliwiają im to norymberskie ustawy rasowe, które już od 1935 roku zabraniają osobom żydowskiego pochodzenia wstępować w związki małżeńskie z Niemcami czystej krwi. Lien jest nadal szaleńczo zakochana i nurtuje ją pytanie, czy w tej chwili powinni zakładać rodzinę. Janny i Bob, mimo nielegalnej działalności, są bardzo szczęśliwi z małym, rocznym już Robbiem, podobnie jak Haakon i Mieke z ich nowo narodzonym synkiem René. Haakon, syn znanego w kraju i za granicą oboisty i dyrygenta Jaapa Stotijna, jako członek orkiestry symfonicznej radia VARA dostaje propozycję pracy w charakterze solisty oboisty w orkiestrze filharmonii. Z dumą przyjmuje tę fantastyczną ofertę i przeprowadza się razem z rodziną z Hilversum do mieszkania przy ulicy Johannes Verhulststraat 26 w Amsterdamie, tuż za budynkiem filharmonii. Ten adres będzie miał duże znaczenie dla sióstr Brilleslijper.

W ten sposób wielu ludzi próbuje ułożyć sobie życie, pozostając w przeświadczeniu, że okupacja nie będzie trwała długo. Lien odwiedza przyjaciół w Amsterdamie z okazji narodzin ich dziecka i gdy tylko bierze niemowlę w ramiona, pozbywa się wszelkich wątpliwości.

Wkrótce potem obie siostry Brilleslijper spodziewają się potomstwa: Lien po raz pierwszy, a Janny drugi.

Eberhard i Lien żartują czasem, że jego niemiecki ojciec odczuwałby wstręt, gdyby mógł teraz zobaczyć swojego syna. Ten dumny pruski oficer z cesarskiego wojska, nienawidzący wszystkich rodzajów muzyki z wyjątkiem marszów wojskowych, spłodził syna, który stał się wszystkim, czego on sam nienawidził: jest marksistą, pianistą, muzykologiem z tytułem doktora i żyje bez ślubu z Żydówką – na dodatek w ciąży – we wspólnocie artystów w Holandii. Eberhard od dziecięcych lat brzydził się wojskowym usposobieniem ojca. Opowieściami o wielkim Cesarstwie Niemieckim, romantyzowaniem I wojny światowej, podczas której ojciec stacjonował w Belgii, oraz towarzyszącą temu rytmiczną muzyką. Eberhard na całe życie zapamiętał uderzenia kijem, którymi ojciec próbował mu wbić do głowy posłuszeństwo i takie same upodobania.

Kiedyś ojciec poprosił go, żeby coś zagrał podczas wieczornego spotkania z jego dawnymi kolegami z pułku. Co roku z okazji urodzin cesarza mężczyźni wynajmowali salkę, żeby uczcić ten fakt trzykrotnym okrzykiem hura, przemowami i wspaniałymi wspomnieniami o tej dobrej, starej wojnie. Ojciec Eberharda, Rebling, poprosił swojego szesnastoletniego wtedy syna o zagranie czegoś ładnego na pianinie. Nastolatek postanowił wykonać dla nich sonatę Waldsteinowską Beethovena – dzieło, nad którym od dawna pracował. Ojciec i koledzy tupali i gorąco klaskali w rytm muzyki. Następnie ojciec zapytał syna, czy – po wybrzdąkaniu sonaty – zechciałby wreszcie zagrać jakiś porządny marsz wojskowy. Eberhard z wypiekami na twarzy zdobył się na odwagę i odmówił ojcu, mimo jego wielokrotnych nalegań. Jako wymówkę podał, że nauczyciel wyraźnie polecił mu, żeby grać tylko to, do czego porządnie się przygotował.

Eberhard miał szczęście, że wziął go pod opiekę dyrygent Otto Klemperer i pod jego okiem został doskonałym pianistą. Dzięki Klempererowi poznaje świat Strawińskiego, Hindemitha, Wagnera i Beethovena. Studiuje historię muzyki, germanistykę i filozofię w Berlinie i coraz bardziej pociąga go ideologia komunistyczna. W 1935 roku Eberhard, mając dwadzieścia cztery lata, otrzymuje tytuł doktora na podstawie pracy *Podłoże socjologiczne zmiany stylu w muzyce w Niemczech w połowie XVIII wieku*. W tym okresie działa już w partii komunistycznej, a atmosfera w kraju i rodzinie budzi w nim coraz większe obrzydzenie. Z chwilą przejęcia władzy przez NSDAP, dwa lata wcześniej, następuje koniec Republiki Weimarskiej, a Adolf Hitler przyznaje sam sobie dyktatorskie prawa, żeby wprowadzić w życie plan utworzenia Rzeszy Niemieckiej. Starszy brat Eberharda, Dietrich, który zdaniem ojca wyrósł przynajmniej na godnego syna, dołącza do narodowych socjalistów, Eberhard zaś po spłaceniu długów związanych ze studiami decyduje się na opuszczenie kraju zmierzającego w kierunku, którego nie akceptuje, i rodziny, która nazbyt chętnie chce skorzystać na dojściu Hitlera do władzy. Rok później – w 1936 – opuszcza *Heimat* i z maszyną do pisania i paroma centami w kieszeni przyjeżdża do Hagi, gdzie poznaje swoją wielką miłość Lientje. Reszta jest historią.

REWIZJA W MIESZKANIU

Należące do Janny i Boba mieszkanie na piętrze w Hadze to siedlisko ruchu oporu. Dają oni schronienie wrogom państwa: uciekającym Żydom, członkom podziemia i nielegalnej partii komunistycznej. Najpierw Alexandrowi de Leeuw, humorzastemu adwokatowi z Amsterdamu, potem Keesowi Schalkerowi, przed wojną członkowi izby niższej i tak jak Alexander członkowi zarządu CPN. Przez jakiś czas przebywa u nich w domu także ich przyjaciel Frits Reuter: on także jest prominentnym komunistą, a poza tym jednym z inicjatorów strajku lutowego. Wspólnie z nim Janny prowadzi nielegalną drukarnię w dzielnicy Schilderswijk. Drukuje i rozprowadza ulotki, broszury i czasopisma. Z Robbiem w wózku i wielkim brzuchem krąży po Hadze, czasem sama, a czasem z Bobem, a kilka razy także z Dickiem Teixeirą de Mattosem, zagranicznym dziennikarzem pracującym dla nielegalnej, komunistycznej gazety „De Waarheid”. Sama lub z kimś stojącym na czatach na wybranych ulicach przykleja ulotki na skrzynkach i słupach. W jej domu leżą nie tylko klucze do nielegalnej drukarni, znajduje się tam także całe archiwum Komunistycznej Partii Holandii. Gerrit Kastein przyniósł je do Janny zaraz na początku okupacji. Prowadzenie tyłu działań pod jednym adresem jest niebezpieczne i tego lata dzieje się coś złego.

W Hadze Niemcy przechwytyują ulotki z tekstami antyfaszystowskimi. Ktoś został aresztowany i zapewne niedobrowolnie podaje nazwiska Janny i Boba. Następnie on lub ona zdradza adres mieszkania na piętrze przy Bazarlaan, gdzie sapiąca z upału i mająca opuchnięte kostki Janny odlicza ostatnie tygodnie do narodzin drugiego dziecka.

Jest niedziela, 17 sierpnia 1941 roku, parny letni dzień, kiedy grupa mężczyzn z wielkim hałasem wpada do domu i wbiega po schodach na górę. To SD, nazistowska służba bezpieczeństwa, w towarzystwie kilku holenderskich policjantów. Janny przychodzi właśnie pod dom z małym Robbiem; dziecięcy

wózek jest pełny: poszła do punktu Czerwonego Krzyża po basen, specjalne prześcieradło i klocki do podwyższenia łóżka. Nie ma już czasu, żeby zawrócić. Na szczęście Bob jest w biurze. Mężczyźni, którzy zostali na dole, zatrzymują ją.

– Czy mieszka tu Bob Brandes? – wyszczekuje jeden.

– Mieszkał, ale już dawno nie mieszka – mówi Janny to, co przychodzi jej do głowy. Mężczyźni otaczają ją groźnie, a mały Robbie, płacząc, czepia się matki. Holenderski policjant pochyla się w jej kierunku, jego nos prawie dotyka jej twarzy.

– Ty jesteś żoną Boba Brandesa.

Janny nie śmie już nic powiedzieć i w milczeniu podnosi klucz, niczym tarczę, która ją od nich odgradza. Gdyby grzecznie poprosili, nie musieliby wyważać drzwi.

Mężczyźni towarzyszą jej i Robbiemu na górę i sadzają ją w maleńkiej kuchni. Pozostali policjanci przeszukują mieszkanie: otwierają z impetem szafy, wyrzucają z nich ubrania, opróżniają szafkę z książkami. Janny wpada w panikę. Naprędce próbuje wymyślić, jak zapobiec odkryciu nielegalnych przedmiotów – przy tak dużej liczbie osób na tak małej powierzchni wydaje jej się to zadaniem niemożliwym do wykonania. Łapie się za brzuch, krzyczy, że jest w zaawansowanej ciąży, i pyta przybyłych, czego od niej chcą. Kiedy nikt nie reaguje, mówi, że za chwilę urodzi. W zasadzie brzmi to bardzo prawdopodobnie, bo zostało jej kilka tygodni i brzuch ma mocno zaokrąglony. Mężczyźni są przestraszeni, żadnemu z nich nie uśmiecha się odbieranie porodu, i kiedy Janny błaga, żeby zadzwonić do lekarza, jeden z członków SD ulega.

Prowadząc Robbiego za rękę, Janny pospiesznie udaje się do sklepu spożywczego po drugiej stronie ulicy, gdzie mają telefon. Dzwoni do przyjaciółki Joop Moes, lekarki w haskim szpitalu De Volharding. Ponad tydzień wcześniej, 8 sierpnia, Joop przyjęła już poród Lientje. Lekarka natychmiast rozumie, co się dzieje, i wskakuje na rower. Janny wraca z Robbiem do domu, gdzie udaje się jej ukradkiem zabrać klucze od drukarni, idzie położyć się do sypialni, w której czekają na Joop z kluczami w jednej ręce i zaciśniętą rączką Robbiego w drugiej. Słuchając, jak mężczyźni brutalnie

wywracają wszystko do góry nogami, modli się, żeby nie znaleźli archiwum partyjnego, ukrytego w kuchni w garnkach i wiadrze.

Na dworze jest duszno i powietrze w mieszkaniu na piętrze jest ciężkie. Janny słyszy, jak mężczyźni jeden po drugim wchodzą do kuchni, żeby napić się wody. Za każdym razem, kiedy ktoś odkręca kran, żeby napełnić szklankę, ona uświadamia sobie, że kilka centymetrów nad jego głową znajduje się kompletne archiwum CPN. Jeśli je znajdą, będzie to oznaczało jej koniec. Jeszcze mocniej przyciska do siebie Robbiego i z zapartym tchem słucha, jak ktoś opróżnia szklankę dużymi łykami, po raz kolejny przekonana, że to ta chwila, kiedy policjant rzuci okiem na półki nad swoją głową. Jednak za każdym razem szklanka odstawiana jest na blat przy zlewozmywaku i mężczyźni szukają dalej.

Wtedy przyjeżdża Joop Moes. Wbiega po schodach na górę do sypialni i wyrzuca z niej członków SD.

– Panowie, muszę tu panią zbadać palpacyjnie. Byliby panowie tak mili i natychmiast wyszli?

Janny, zdejmując dla niepoznaki spodnie, szybko podaje przyjaciółce klucze od drukarni. Jej towarzysz Frits Reuter jest w tej chwili w domu Joop, blisko Kijkduin, więc klucze trafią w dobre ręce.

Joop wychodzi, ale najpierw wypisuje receptę. Stara się, żeby ci z SD usłyszeli, jak instruuje Janny:

– To jest recepta na środek uspokajający, musi go pani natychmiast odebrać w aptece, inaczej życie dziecka będzie zagrożone.

Jest już prawie piąta, a o piątej Bob wyjdzie z biura. Janny bierze Robbiego za rękę i wybiega z domu. Apteka jest naprzeciwko miejsca pracy Boba i Janny musi go złapać, zanim on wpadnie w ręce policjantów. Jeden z nich idzie za nią. Apteka znajduje się przy niewielkim placu, po jego drugiej stronie pracuje Bob. Ze śledzącym ją mężczyzną za plecami Janny okrąża plac, trzymając Robbiego za rękę, gdy nagle z nieba zaczyna lać deszcz. Letnia ulewa w ciągu minuty nadaje matowym kamieniom placu ciemny połysk. Janny chowa się w bramie i czeka, aż policjant pospiesznie minie ją w deszczu. Po drugiej stronie placu otwierają się drzwi i Janny widzi wychodzącego z pracy Boba. Zaskoczony

patrzy na żonę i dziecko w bramie. Obchodzi plac, przechodząc obok policjanta, obaj nie zdają sobie sprawy, kto jest kim, i daje buziaka Janny i Robbiemu.

– Co ty tu robisz? – pyta. Wtedy dostrzega, że jest bardzo zdenerwowana. – Co się dzieje, na Boga?

– Musisz natychmiast stąd zniknąć! Teraz! – mówi Janny.

Bob odwraca się i nie oglądając się za siebie, wskakuje do przejeżdżającego tramwaju. Za wagonem pojawia się policjant, który szukał jej na placu.

– Proszę pani, miała pani iść do apteki?

– Tak, proszę pana, ukryłam się tu na chwilę przed deszczem.

Janny realizuje receptę i wraca z Robbiem do mieszkania, do którego Bob już nigdy nie przyjdzie.

Członkowie SD wywracają do góry nogami prawie każdy przedmiot w domu, przeganiają nawet Janny z łóżka, żeby rozciąć materac. Zabierają wiele należących do nich książek, prawie wszystkie Boba, ale także egzemplarz ulubionego przez Janny w czasach młodości *Małego Janka* Frederika van Eedena^[7]. Jej przyjaciel, który jest introligatorem, obciągnął dla niej okładki tej powieści piękną czerwoną skórą – Niemcom to wystarczało, by wzbudzić podejrzenie. Książki zniknęły, wszystkie szafki kuchenne zostały opróżnione, nikt jednak nie zaglądał do garnków na półkach. Kiedy zapada zmrok, a w domu oprócz garnków zawierających archiwum partii naprawdę nic już nie stoi na swoim miejscu, mężczyźni wychodzą. Robbie płacze straszliwie z emocji, aż dostaje od tego gorączki, i zatroskana Janny kładzie go do łóżka. Wtedy ktoś dzwoni do drzwi. Na dole, przed drzwiami w ciemnościach stoi jakiś chłopak. Konspiracyjnym tonem informuje, że słyszał, co się stało.

– Daj mi klucze – mówi szeptem.

Janny odpowiada, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi.

– Muszę się skontaktować z naszym pośrednikiem, możesz mi dać jego adres?

– Nie – mówi Janny. – Nie mogę. Przyjdź jutro na Noordeinde, pod pomnik Wilhelma I Orańskiego.

I zatrzaskuje drzwi.

Z ciężkim brzuchem wspina się po schodach, opatula Robbiego, który ze zmęczenia nie może już chodzić i jest rozpalony jak piec, sadza go z tyłu na rowerze i jedzie z nim do domu swojej przyjaciółki Joop. Ciężko dysząc, naradza się tam z Fritsem Reuterem, co robić. Jest oczywiste, że są w tarapatach: ktoś ich wydał. Nazwisko Boba jest na liście, prawdopodobnie też Janny i Fritsa. Ile wiedzą faszyci? Kim był ten chłopak pod drzwiami? Wiedzą o drukarni czy szukają po omacku? U Janny nie znaleźli niczego obciążającego, a Bobowi udało się na razie bezpiecznie uciec. Janny umawia się z Fritsem, że następnego dnia pójdzie na Noordeinde, a on z bezpiecznej odległości będzie przyglądał się, co to za ludzie.

Po niespokojnej nocy, zarówno dla małego Robbiego, jak i dla niej samej, Janny wyrusza następnego ranka wykończona i spięta na Noordeinde. Gdy tylko zbliża się do miejsca spotkania, wszystko staje się dla niej jasne i myśli tylko o słowach Fritsa: „Jeśli to będą szkopy, dasz mi znak, żebym mógł się oddalić”. Janny daje znak, zostaje zatrzymana, lecz udaje, że nie wie, co się dzieje. Milczy, nawet kiedy próbują ją straszyć, a Robbie zaczyna płakać. Niemcy musieli trafić na jej adres, ponieważ pewnie jeden z informatorów im wygadał, więc ma tylko jedno postanowienie: niezależnie od wszystkiego milczeć. Niemcy pozwalają jej odejść, ale dają do zrozumienia, że ją obserwują. Od tej chwili Bob ukrywa się u Haakona i Mieke przy ulicy Johannes Verhulststraat w Amsterdamie. Janny zostaje natomiast sama w mieszkaniu na piętrze w Hadze, z małym Robbiem i wielkim brzuchem. Pali w piecyku wszystkie ważne dokumenty.

Wkrótce potem przychodzi na świat Liselotte.

OŚ RUCHU OPORU

Podczas gdy Janny już od początku wojny działa w ruchu oporu, Lien, razem z Eberhardem, koncentruje się na życiu artystycznym. Często odwiedza komunę artystów przy Keizersgracht w Amsterdamie. Jest w ciąży, a większość jej przedstawień tanecznych zostaje odwołana z powodu okupacji. Mik van Gilse apeluje o szybkie dostarczenie większej liczby fałszywych dowodów tożsamości dla ukrywających się. Lien dzięki życiu w drodze zna wielu ludzi w różnych miastach. Mik proponuje, żeby odwiedziła tak wielu przyjaciół, jak może, i namówiła ich, by zgłosili zaginięcie swoich dowodów osobistych, po czym wystąpili o nowe w urzędzie gminy. Te „zaginione” trafią do nielegalnego obiegu.

W ten sposób w 1941 roku także Lien zaczyna działać w ruchu oporu. Najpierw odwiedza młodego rzeźbiarza, który przygotowuje maski do jej przedstawień. Mężczyzna waha się, słysząc jej prośbę, a wtedy do pokoju wchodzi jego ojciec i pyta, o czym rozmawiają. Lien opowiada mu, o co chodzi. Mężczyzna wybucha śmiechem.

– Co, jeszcze nie zgubiłeś dowodu osobistego? To skandal. Daj go jej natychmiast. No, a teraz pójdziesz do urzędu gminy i poprosisz o nowy, nie mogą ci odmówić.

Puszcza oko do Lien i od tej chwili jej działalność się rozkręca. Lien szybko się uczy; może nie ma tak dużego doświadczenia jak Janny, ale obie natura obdarzyła cechami wymaganymi w tej działalności: nie boją się nikogo i zdają sobie sprawę ze skali potrzeb.

Kariera taneczna Lien mocno przyhamowuje, ale jej zwinność służy teraz celowi ważniejszemu niż kiedykolwiek. Dlatego chodzi ona regularnie na publiczny basen, ignorując tym samym tabliczki ŻYDOM WSTĘP WZBRONIONY. Po pływaniu, w kostiumie kąpielowym i z dużym brzuchem, przeciska się po śliskich płytkach pod ściankami oddzielającymi przebieralnie, żeby kraść

dowody osobiste z kieszeni wiszących tam spodni. Gdy robi się zbyt gruba, żeby przedostać się pod spodem, przechodzi górą. Ścianki działowe są tak cienkie, że obawia się, że pewnego dnia załamią się pod nią.

Początkowo zabiera każdy dowód tożsamości, który wpadnie jej w ręce, ale zadanie staje się trudniejsze, gdy trzeba znaleźć dowody z konkretnymi danymi, na przykład dla pięćdziesięcioletniej kobiety o czarnych włosach. Kilkoro Żydów złapano już z fałszywymi dokumentami, więc ruch oporu musi lepiej i dokładniej wykonywać swoją robotę. Holenderski dowód osobisty jest w Europie jednym z najtrudniejszych do podrobienia dokumentów: zawiera zarówno zdjęcie paszportowe, jak i odcisk palca, a żeby zapobiec fałszowaniu, dokumenty te są ponadto zewidencjonowane w centralnym rejestrze. Trudno podrobić tusz, za pomocą reakcji chemicznej dość łatwo można ustalić, czy na papierze zostały naniesione zmiany, a kiedy ktoś usunie z dokumentu zdjęcie paszportowe, złamie niewidoczny stempel na odwrocie zdjęcia, ze znajdującym się na nim odciskiem palca.

Lien wszystko omawia z Mikiem, który już obmyślił rozwiązanie. Ich stały grafik opracował wyrafinowaną technikę, dzięki której oddziela się zdjęcie paszportowe od dowodu osobistego, a miejsce z tyłu, gdzie znajduje się odcisk palca, pozostawia nienaruszone. Nowe, cieniutkie zdjęcie paszportowe jest naklejane na miejsce starego, a część stempla zostaje odtworzona. Zespół ma już wprawę, a na koncie setki dowodów tożsamości. Kłopoty są jedynie z odciskiem palca, ale tego i tak nie można sprawdzić podczas zwykłej kontroli na ulicy.

Pewnego dnia Mik daje Lien sfalszowane dowody osobiste i każe iść do biura wydawania kartek przy Laan van Meerdervoort w Hadze. Tam powinna spotkać się z kimś z ruchu oporu; Mik opisuje go bardzo dokładnie. „Pamiętaj: rozmawiaj tylko z nim, bo on pracuje dla nas. Jeżeli będzie ktoś inny, odwróć się na pięcie i wyjdź!” Mężczyzna ma dać jej karty reglamentacyjne na następny miesiąc, które ona później rozdzieli w podziemiu. Dzięki tym kartom można będzie z kolei dostać bony.

Pierwszy raz Lien idzie do biura z sercem podchodzącym do gardła. W środku rozpoznaje mężczyznę i przekazuje mu fałszywe dowody osobiste. Kiedy na nią patrzy, Lien obawia się przez chwilę, że coś pójdzie nie tak, ale mężczyzna nie daje nic po sobie poznać i przekazuje jej karty. Lien zapamięta tę

chwile na całe życie. Dwoje nieznanających się, ale zmuszonych sobie zaufać ludzi naprzeciwko siebie, oboje muszą zachowywać się swobodnie, jednocześnie zdając sobie sprawę, jak niebezpieczne jest to, co robią, żeby pomóc innym znajdującym się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

W pierwszych miesiącach ciąży Lien wciąż łączy pracę w ruchu oporu z ostatnimi występami i lekcjami. W Amsterdamie bierze udział w wieczorach muzycznych i kabaretowych dla żydowskiej publiczności i z żydowskimi artystami, którzy nie mogą już pracować. To wybitne towarzystwo: znani aktorzy i artyści kabaretowi, którzy uciekli z Niemiec, na przykład Max Ehrlich i Otto Wallburg. Ale także duński tenor Max Hansen, który w 1932 roku napisał satyryczną, homoerotyczną pieśń o Hitlerze: *War'n Sie schon mal in mich verliebt?* [Czy był pan już kiedyś we mnie zakochany?], czym sprowadził na siebie nieustający gniew nazistów, i holenderska artystka kabaretowa Henriëtte Davids, występująca pod pseudonimem artystycznym Heintje Davids w musicalu i filmie kinowym *De Jantjes*. Lien jest podziwiana w szerokich kręgach za interpretację pieśni w jidysz, a także znana z dużych rewii, w których gra już wiele lat, i cieszy się, że może występować w tak znakomitym towarzystwie. Ku swojemu zmartwieniu musi przestać grać wieczorami, kiedy jej ciąża staje się zbyt widoczna. Max Ehrlich żartuje: „Wreszcie mamy utalentowaną, młodą artystkę, a tu, proszę, zachciało jej się dziecka!”. Lien, pełna rozczarowania, które wkrótce okaże się tragicznym szczęściem w nieszczęściu, wycofuje się z towarzystwa. Całą grupę – z wyjątkiem Heintje Davids i Maxa Hansena – aresztowano i wywieziono do obozu przejściowego w Westerbork. Wszyscy trafiają do Auschwitz. Żadne z nich nie wraca.

8 sierpnia 1941 roku zaczynają się bóle porodowe. Eberharda nie ma w domu: akurat gdzieś występuje. Lien z trudem przenosi swój wielki brzuch ponad ramą roweru Eberharda i jedzie do szpitala De Volharding. Poród odbiera jej przyjaciółka Joop Moes i kiedy Eberhard dzwoni w przerwie koncertu symfonicznego, żeby zapytać, jak się sprawy mają, Joop informuje go z dumą, że właśnie został ojcem.

12 sierpnia 1941 roku Eberhard pisze do przyjaciela w Nowym Jorku: „To córeczka, Kathinka Anita, siedem funtów (3,5 kg), ciemne włosy, jasne brwi, ciemnoniebieskie oczy, nos po matce, a usta po ojcu. Na szczęście wszystko

poszło dobrze i Lien jest rozpieszczana przez wszystkich naszych znanych i bogatych uczniów kwiatami, owocami i pralinkami (naprawdę bardzo dobrymi!)”.

To jego ostatni list do przyjaciela. Wkrótce potem najpierw urywa się możliwość wysyłania listów za ocean, a kiedy 7 grudnia 1941 roku Japonia atakuje amerykańską bazę marynarki wojennej Pearl Harbor i Stany Zjednoczone bezpośrednio dołączają do wojny, zerwane zostają także wszystkie inne połączenia z resztą świata.

Janny podoba się to, że obie z siostrą w tym samym czasie urodziły córeczki. Bardzo się wspierają. Chociaż Janny początkowo wyrażała obawy co do nowej działalności Lien w ruchu oporu, jest teraz wdzięczna za współpracę. Bob ukrywa się nadal w Amsterdamie u Haakona i Mieke Stotijnów, więc Janny z ich mieszkania, trzymając przedszkolaka Robbiego za rękę i niemowlę Liselotte na biodrze, sama prowadzi nielegalną drukarnię. Część stosów podziemnych gazet przechowuje teraz u Lien, w skrzydle fortepianu marki Bechstein, należącego do Eberharda – uważają to za bardzo zabawne. Właścicielka tej znakomitej marki fortepianu, Helene Bechstein, jest znaną przyjaciółką i sponsorką Hitlera, którego uważa za syna i pieśczośliwie nazywa *mein Wölfchen*^[8]. Gdyby wiedziała, do czego niektórzy wykorzystują jej instrumenty!

Janny jest dumna z Lien, która z nowo narodzoną Kathinką w wózku przemierza całe miasto, w materacyku pod niemowlęciem przewożąc stosy nielegalnych czasopism drukowanych przez Janny: „Het Signaal”, „De Waarheid”, „De Vrije Katheder”. Z przyjaciółką i jej dzieckiem Lien woli umawiać się w poradni małego dziecka. Rozmawiają tam o rozwoju pociech, wyjmują niemowlęta z wózków i wymieniają grube wełniane kołderki wypełnione plikami ulotek i czasopism, które później trzeba rozprowadzić. Po badaniach kładą niemowlęta na przemyconych dobrach i każda rusza w swoją stronę. Ale ta działalność jest niebezpieczna i zaczynają tracić coraz więcej przyjaciół. Także przyjaciółka Lien z przychodni zostaje złapana: ona i jej dziecko trafiają do Auschwitz, gdzie giną.

Janny musi teraz samotnie wychowywać dzieci, ale na szczęście często widuje rodzinę. Ojciec Brilleslijper i brat Japie często ją odwiedzają i spędzają

wtedy dzień razem z Lien, Eberhardem i małą Kathinką w mieszkaniu przy Bazarlaan.

Cztery lata młodszy i zręczny niczym szwajcarski zegarmistrz brat Jaap jest oczkiem w głowie Janny. Już przy jej narodzinach ojciec był przekonany, że będzie miał syna. Akuszerka wołała, że widzi chłopięcą główkę. Kiedy jednak na świat przyszła dziewczynka, Joseph był tak zły, że trzepnął kobietę w głowę. Oczywiście bardzo szybko bez pamięci pokochał swoją córeczkę.

Japie jest bardzo podobny do sióstr. Wysokie kości policzkowe, pełne usta i czarne brwi niczym miotełki do ścierania kurzu. Wielu widzi w nim – co nie dziwi – coś indyjskiego. W całej trójce zresztą. Jednak dziewczyny mają okrągłe twarze, a Jaap podłużną – i w okularach w metalowych oprawkach z kasy chorych wygląda niczym wynalazca. Chłopak odziedziczył fantazję po ojcu, a etos pracy po matce. Jak daleko sięgają pamięcią, wymyśla i rysuje najdziwniejsze rzeczy, a na dodatek sam buduje te swoje wynalazki. I tak na przykład według Janny jest pierwszym wynalazcą radia do roweru. Całymi tygodniami siedział w swoim pokoju i pewnego dnia zbudował prawdziwe radio. To coś skrzeczało i trzeszczało, ale naprawdę dało się usłyszeć głosy. Były zniekształcone i nosowe, jednak zrozumiałe, a kiedy udało mu się złapać Anglię, wszyscy słuchali razem z nim. „Daventry calling!”^[9] Z deski, kilku pokręteł i kryształu Japie sfabrykował następnie radio, które zamontował na rowerze. Kontakt znajdował się w kierownicy, anteną był cienki miedziany drucik, a prądu dostarczało dynamo. Jeździł tak, śpiewając, do szkoły, a towarzyszyła mu muzyka z kierownicy roweru.

Podczas gdy jego starsze siostry mają już mężów i dzieci, dwudziestoletni Jaap nadal mieszka z rodzicami w Amsterdamie. Z powodu braku pieniędzy musiał wcześniej zakończyć edukację w rozszerzonej szkole podstawowej. To były lata kryzysu, a ojciec już od jakiegoś czasu nie mógł pracować z powodu choroby oczu. Jaap zaczął się uczyć wieczorowo prowadzenia korespondencji handlowej, ale pod koniec sierpnia 1941 roku wszyscy żydowscy uczniowie musieli opuścić szkołę. Kilka lat wcześniej, żeby trochę dorobić, naprzeciwko domu rodzinnego, otwiera strzeżoną przechowalnię rowerów. Całkowicie w duchu swoich sióstr uruchamia tam nielegalne centrum dystrybucji. Przyjmuje pocztę, paczki i wiadomości od podziemia i rozprowadza po całym kraju, wykorzystując przechowalnię jako przykrywkę.

W czasie, gdy Żydzi są izolowani, a reszta społeczeństwa zamyka się i zakłada klapki na oczy, podziemna sieć powiększonej rodziny Brilleslijperów obejmuje kolejne obszary Holandii. Z narażeniem życia pomiędzy Amsterdamem i Hagą tworzą coś w rodzaju osi ruchu oporu – albo też osi zła, w zależności od tego, z jakim nastawieniem się na to patrzy.

KURACJA GŁODOWA

Chociaż między sobą potrafią żartować z tego, że to nie siostry Żydówki ani niemiecki dezenter, ale właśnie zwykły holenderski serojad Bob zaczął ukrywać się jako pierwszy, to wszyscy zdają sobie jednak sprawę, że każde z nich może być następne.

To przypuszczenie staje się prawdą, kiedy Niemcy wzywają Eberharda do stawienia się w wojsku. Zaledwie niecałe dwa tygodnie cieszą się z Lien narodzinami córki Kathinki, gdy na wycieraczce ląduje list z wiadomością, że za cztery tygodnie Eberhard ma się zameldować w biurze niemieckiej armii w Hadze. W styczniu 1942 roku będzie musiał dołączyć do Wehrmachtu, jeśli tej jesieni przejdzie badania. Tego wieczoru Eberhard i Lien chcą porozmawiać na temat listu i zastanowić się, co mają robić. Proszą klarncistę Jollego Huckriedego, mieszkającego w pokoju obok, czy mógłby im pomóc uspić płaczącą Kathinkę, coś dla niej grając. Jolle chętnie spełnia tę prośbę. To w jego interesie jest, żeby dziecko przestało płakać. Wszyscy w domu artystów są przeszcześliwi z powodu pojawienia się na świecie nowego życia, ale dziewczynka odziedziczyła temperament po matce. W pierwszych tygodniach Kathinka była cicho tylko raz przez kilka godzin, i to wyłącznie dlatego, że Lientje, zanim nakarmiła dziecko piersią, wypila całą butelkę wina musującego, żeby uczcić jej narodziny.

Jolle wychodzi, gdy tylko Kathinka zasypia, a Lien i Eberhard omawiają sytuację. Czy Eberhard ma się ukryć? Ale gdzie? A może powinien się zgłosić i zobaczyć, czy przejdzie badania? Jeśli go odrzuca, to chyba będzie mógł po prostu wrócić do domu. Nie potrafią podjąć decyzji i po raz pierwszy od dawna opuszcza ich dobry humor. Jeśli Eberhard będzie musiał iść na front, może to oznaczać jego koniec, co byłoby jakoś uzasadnione, gdyby to była jego walka, a nie walka jego wroga.

– Idź do Rhijna – mówi w końcu Lien. – On na pewno będzie miał jakiś pomysł, co zrobić.

Rhijn to ich ukochany przyjaciel Rhijnvis Feith, którego poznali przez Janny i Boba. Od początku siła napędowa holenderskiego ruchu oporu, syn bardzo zamożnej rodziny, neurolog w Hadze. Mężczyzna naznaczony na całe życie paralizem dziecięcym (polio): pokrzywiony, garbaty i z nienaturalnie wielką głową na wąskich ramionach, ale znany przede wszystkim z moralnego kompasu bez skazy. Rhijn razem z Gerritem Kasteinem założył Fundusz Solidarności, dzięki któremu zbierają pieniądze na cele podziemia i rozdzielają tam, gdzie są one potrzebne. Nic więc dziwnego, że Lien wysłała do niego Eberharda: Rhijn wielu osobom pomaga w potrzebie. Nie tylko używa swojego gabinetu jako adresu kontaktowego dla działaczy podziemia, których wpisuje po prostu na listę pacjentów.

Kilka tygodni wcześniej pomógł też Janny, gdy Bob musiał się ukryć.

Tego ranka, po rewizji u nich w domu, która zupełnie wyprowadziła ją z równowagi, Rhijn przyszedł sam, ze swojego gabinetu, aż na Bazarlaan, z kubkiem kawy w jednej ręce i paczką papierosów w drugiej. Wszedł po schodach na jej piętro i powiedział do Janny, będącej w zaawansowanej ciąży:

– No, już jestem. Teraz zaparz świeżej kawy, a potem porozmawiamy co dalej.

Kiedy Rhijn palił papierosa, a Janny popijała gorącą kawę, zapytał ją bez ogródek, z czego zamierza żyć, mając już jedno małe dziecko, a drugie w drodze, teraz, gdy Bob zniknął. Nie potrafiła mu odpowiedzieć. Sama się jeszcze nad tym nie zastanawiała, ale jeśli Bob nie pojawi się w pracy, to oczywiście wypłata nie będzie wpływała na jego konto.

– Ile zarabiał ten twój Bob? – zapytał Rhijn.

Janny nie wiedziała dokładnie, ale powiedziała, jakie mniej więcej mają wydatki. Rhijn poprosił ją potem o numer rachunku, zapytał, czy Janny ma do niego dostęp, i wyszedł. Kilka dni później dostała przelewem na rachunek całą wypłatę Boba, nie z biura Boba, ale od niejakiego P.G. Jonkera – był to pseudonim Rhijnvisa Feitha. Otrzymywała równowartość jego wypłaty od Rhijna do czasu, gdy Bob znów mógł rozpocząć pracę i zarabiać. Rhijn

przychodził do niej na Bazarlaan, pili razem kawę, wypalał dokładnie dwa papierosy, a potem znów wracał do gabinetu i do pracy.

Jesienią 1941 roku do drzwi Rhijna puka Eberhard. Decyzja komisji o jego odrzuceniu to sprawa życia i śmierci. Rhijn przechodzi od razu do rzeczy.

– Ile teraz ważysz?

– Jakieś sześćdziesiąt siedem kilo, przy stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu.

– W takim razie czeka cię kuracja głodowa. Chcę, żebyś zszedł do pięćdziesięciu, maksymalnie pięćdziesięciu dwóch kilo, żebyś zrobił tak żałosne wrażenie, że nikt cię nie będzie chciał. Teraz musimy jeszcze wymyślić dla ciebie jakąś chorobę.

– Pamiętam, że mój trzy lata starszy brat miał coś z nerkami i został odrzucony przez komisję.

– Dobrze – mówi Rhijn. – Dziesięć dni przed terminem komisji dam ci lekarstwo z rabarbaru, żebyś mógł udowodnić, że w twoim moczu są oznaki wczesnej infekcji nerek. Ostrzegam cię już teraz: to ma wstrętny smak, ale jakoś przeżyjesz.

Eberhard od razu akceptuje ten plan i Rhijn przepisuje mu surową dietę. Opowiada, jak w tak krótkim czasie z wysportowanego, przystojnego mężczyzny ma się przemienić w żałosny worek kości.

– Masz zrobić, co następuje: pracujesz bez przerwy do trzeciej w nocy, następnie wypijasz kilka mocnych kaw, śpisz jakieś dwie godziny, nie więcej. Siadasz na rower i pedałujesz jak najmocniej jakieś dziesięć, lepiej jeszcze dwadzieścia kilometrów po mieście. Przychodzisz do mnie dwa razy w tygodniu na kontrolę. Od teraz jesteś moim pacjentem.

Eberhard zaczyna natychmiast. Najgorsze jest wczesne wstawanie: o godzinie piątej, w ciemnościach, kiedy cały dom tonie jeszcze w głębokim śnie, wlecze swoje wygłodniałe ciało na dwór, żeby robić rundki na rowerze po Hadze. Z burczącym brzuchem i nogami wiotkimi jak guma do żucia niczym zawodowy kolarz pędzi po bruku ulic aż do wschodu słońca i wraca z powrotem do Lien i Kathinki, ciepłych i leżących w łóżku. Jest wyczerpany, spocony,

widzi błyski przed oczami i prawie pada z nóg, ale myśli tylko o jednym: nie zostać wysłanym do Wehrmachtu, daleko od Lien i nowo narodzonej córki.

Podczas gdy Eberhard chudnie w szybkim tempie, docierają do nich wiadomości o ofensywie Hitlera w Związku Radzieckim. Armia niemiecka rozpoczęła tam największą operację wojskową w historii: operację Barbarossa. Ostateczny cel Hitlera leży na Wschodzie: tam, gdzie jest wystarczająco dużo Lebensraumu – przestrzeni życiowej – co pozwoli urzeczywistnić jego plany wobec narodu niemieckiego. W *Mein Kampf* jasno wyraził pogardę dla Słowian, *Untermenschen* (podludzi), i ich niedopuszczalnej ideologii, komunizmu. 22 czerwca 1941 roku, bez uprzedniego wypowiedzenia wojny, Wehrmacht wkracza na terytorium Związku Radzieckiego z czterema milionami żołnierzy, sześciuset tysiącami koni i dwoma tysiącami samolotów. Eberhard, a w konsekwencji także Lientje, od pierwszego dnia wojny są optymistami: ta wojna nie potrwa długo. Jednak otwarcie frontu wschodniego i wiadomości o tym, że niemieckie wojska piorunującym uderzeniem zaskoczyły Sowieców, sprawiają, że na ich optymistycznej wizji przyszłości pojawiają się pierwsze rysy.

Po kilku tygodniach cień dawnego Eberharda stawia się w mżysty, jesienny dzień przed komisją w Hadze. Między jego udami powstała wielka wolna przestrzeń, skóra napina się boleśnie na jego kościach, a twarz wygląda tak, jakby bez przerwy wciągał policzki. Żółtawe worki pod oczami i lśniąca warstwa potu na jego czole nadają mu chorobliwy wygląd. Rząd dobrze odżywionych mężczyzn w opiętych mundurach przygląda mu się z dezaprobatą, gdy rozbiera się do bielizny. Eberhard zostaje zmierzony i zważony.

- Pięćdziesiąt jeden kilo! – krzyczy jakiś głos.
- Trochę za mało, coś ci jest? – pyta ktoś.
- Tak, mam krótkowzroczność – mówi Eberhard.
- To nieistotne!
- Mam krzywe nogi i nie mogę za długo chodzić.
- To nie będzie piechoty, ale potrzebujemy też ludzi do obsługi dział przeciwlotniczych.

Eberharda dopada zwątpienie. Już od wielu dni czuje się kiepsko, ale reakcje zszokowanych domowników na jego wygląd dawały mu nadzieję, że ten plan się uda, jeśli tylko jeszcze trochę wytrzyma. Podczas gdy członkowie komisji spoglądają na niego obojętnie, dociera do niego, że teraz testy przechodzi pozytywnie wszystko, co tylko się rusza: oni potrzebują po prostu mięsa armatniego.

– Jako dziecko miałem trzy razy poważne zapalenie ucha... – próbuje Eberhard.

– Jesteś muzykiem, więc chyba jednak dobrze słyszysz?

– I na pewno dwa razy miałem ciężkie zapalenie nerek.

Jego protesty brzmią coraz słabiej, już wie, że cały jego wysiłek był na nic.

– Warunkowe KV! – rzuca mundurowy w kierunku mężczyzny wypełniającego formularze.

– Damy ci znać.

Odwracają się od niego, badanie jest zakończone. Mężczyźni przed nim i po nim zostali uznani za zdolnych do służby wojskowej i od razu na miejscu dostają powołanie. Eberhardowi rzucono źdźbło nadziei: warunkowo *kriegsverwendungsfähig*, czyli warunkowo „zdolny do udziału w wojnie”. Jego los wisi na włosku. Znow będą musieli czekać.

W ciągu kolejnych tygodni Eberhard je wszystko, co Lien mu serwuje, żeby znow trochę przytyć. Co najmniej dziesięć razy dziennie sprawdza skrzynkę na listy i omawiają wspólnie wszelkie możliwe scenariusze na wypadek powołania. Czy powinien włożyć znienawidzony mundur i walczyć dla wroga, w nadziei, że kiedyś wróci żywy do Lien i Kathinki? Czy może raczej zejść do podziemia, jak wielu ludzi, którym on i siostry już pomogli? Może się i tego spodziewali, jednak decyzja jest dla nich trudna: jeśli Eberhard dostanie powołanie, będzie musiał się ukrywać.

Nazajutrz po Dniu Świętego Mikołaja^[10] przychodzi list, który oficjalnie robi z Eberharda dezertera. Głównego wroga państwa. Hitler od początku jasno wyrażał się o zdrajcach ojczyzny czy o *Fahnenflucht*: na froncie mężczyzna może umrzeć, jako dezerterski musi umrzeć. W powołaniu jest napisane, że Eberhard musi się stawić 15 stycznia 1942 roku w Wolfenbüttel w pułku, do którego został przydzielony do zadań biurowych dla NSDAP.

W kopercie jest bilet na pociąg, podróż w jedną stronę. Trzymając go w ręku, już wie, że nie pojedzie, na pewno nie po ostatnich wiadomościach z frontu wschodniego.

Dzięki ruchowi oporu słyszał o blitzkriegu, wojnie błyskawicznej, która miała powalić Rosjan na kolana, a która zmieniła się w powolny, lodowaty marsz śmierci. Po licznych niemieckich sukcesach w pierwszych miesiącach machina wojenna zaczyna się zacinać. Piechota nie może dotrzymać kroku podążającym naprzód dywizjom pancernym, opóźnia się także dostarczanie uzupełnień, a Hitler podejmuje niezrozumiałe decyzje strategiczne. Miliony żołnierzy są pędzone do upadłego po stepach i tundrze, a za chwilę ma się zacząć bezlitosna rosyjska zima. Tego dnia, kiedy Eberhard dostaje powołanie, termometr w Moskwie wskazuje 29 stopni poniżej zera i po tym, jak Sowietci w pierwszej fazie Operacji Barbarossa stracili prawie osiemset tysięcy żołnierzy, wojsko niemieckie koło Świętego Mikołaja wskutek siarczystych mrozów nadrabia zaległości. Żołnierze tracą kończyny, powieki, włosy, nosy i uszy, ale muszą iść do przodu. Armia zombie ciągnie dalej i pozostawia za sobą na rosyjskim stepie ślad w postaci strachów na wróble. Niektórzy żołnierze Armii Czerwonej, sami ciężko doświadczeni przez „jasnowłose potwory” z nazistowskich oddziałów, dla sportu układają na śniegu ciała zabitych wrogów w najbardziej zadziwiających pozycjach, niczym makabryczne figury w tańcu wojny. Ogromna powierzchnia sowieckiego terytorium, w połączeniu z masowym napływem coraz to nowych żołnierzy, przy którym liczebność armii hitlerowskiej blednie, stanowią bufor, od którego wojska niemieckie bezradnie się odbijają. Stalin ma do dyspozycji sześć milionów żołnierzy i aktywną rezerwę w postaci kolejnych czternastu milionów – mięso armatnie powoli zabarwiające śnieg na czerwono.

W styczniu 1942 roku mija pół roku, odkąd Janny i Bob widzieli się po raz ostatni, a Bob nie poznał jeszcze swojej córki Liselotte. Nadal ukrywa się u Haakona i Mieke Stotijnów w Amsterdamie, a żona straszliwie za nim tęskni. Jej szwagierka Aleid wpada na pomysł, jak sprawić, żeby tych dwoje chociaż na chwilę mogło się zobaczyć. Mąż Aleid, Jan Hemelrijk, pochodzi ze znakomitej rodziny i ma dużą sieć znajomych w Holandii Północnej. Jego żydowski ojciec, Jaap Hemelrijk, był dyrektorem Murmellius Gymnasium w Alkmaarze i radnym

gminy w Bergen do chwili, gdy został wyrzucony przez Niemców na ulicę. Janny ma dla niego ogromny szacunek. Nazywa go pieszczotliwie „dziadek Hemelrijk”. Choć on, tak jak wszyscy inni Żydzi, cierpi z powodu uciążliwych restrykcji okupanta, emanuje od niego jakiś rodzaj niezniszczalności, która inspirowała Janny do działania. Jan Hemelrijk mieszka z Aleid w Bergen. Chce zapytać męża i teścia, czy oni sami albo ktoś z rodziny zna w okolicy jakiś domek letniskowy, w którym Janny, Bob i maluchy mogliby po kryjomu spędzić razem kilka dni. Ale wszystko układa się inaczej.

Janny dowiaduje się od swojej siostry, że Eberhard jednak dostał powołanie, i próbuje ją pocieszyć. Lien jest śmiertelnie przerażona, że Niemcy przyjdą zabrać go do Wehrmachtu albo że on, odmawiając, zostanie aresztowany jako dezertor, a przecież wiadomo, co to oznacza. Janny ma pomysł i omawia go ze swoim przyjacielem Rhijnem. Wydaje jej się rozsądne, żeby najpierw Eberhard pojechał do Bergen. Janny znajdzie inną okazję, żeby zobaczyć Boba – to ważniejsze.

Rhijn dobrze ocenia ten plan. Ale czas nagli: Eberhard musi 15 stycznia zgłosić się w Wolfenbüttel, a swoboda poruszania się Holendrów staje się coraz bardziej ograniczona. Żydzi już od jakiegoś czasu nie mogą się przeprowadzać, a Niemcy przygotowują dla nich przymusowe przenosiny, które nazywają strategicznym eufemizmem „ewakuacja” – słowo to szybko przejmuje ludność holenderska, pojawia się ono także w gazetach. Ta „ewakuacja” oznacza, że Żydzi ze wszystkich wsi i miast w Holandii muszą opuścić swoje domy i przenieść się do Amsterdamu, pozostawiając cały dobytek. Chodzi o to, żeby skoncentrować wszystkich w jednej z czterech dzielnic żydowskich: Transvaalbuurt, Rivierenbuurt, Jodenhoek i Asterdorp. Rhijn umawia się z Janny, że ponownie skontaktuje się ona z Janem Hemelrijkiem i poprosi go o pomoc, a ze względów bezpieczeństwa żadne z nich nie powie nic Lientje. Metody przesłuchiwanie przez Gestapo są dobrze znane, a tego, czego Lien nie wie, nie mogą też z niej wyciągnąć biciem. I tak się dzieje: Janny rozmawia z Janem i wspólnie postanawiają, że dla Eberharda najbezpieczniej będzie ukryć się w domu Jana i Aleid przy Karel de Grotelaan w Bergen. Nikt, oprócz Janny i Rhijna, nie zostanie o tym poinformowany.

Eberhard jakby nigdy nic przygotowuje się na nadchodzący wyjazd do wyznaczonego pułku. Także współlokatorzy nie mogą znać jego prawdziwych planów. Żegna się z uczniami, którym udzielał lekcji gry na fortepianie, pakuje książki muzyczne do skrzyni, którą zostawia na przechowanie w pokoju obok, u Jollego Huckriedego, i pisze krótki list do rodziców, że przez jakiś czas nie będzie od niego wieści, ale żeby się nie martwili. Bierze tylko najpotrzebniejsze rzeczy i dopełnia walizkę książkami, by odosobnieniu i samotności, które go czekają, nadać trochę barw, jak najwięcej czytając i studiując.

Przygnębieni, świętują wieczór sylwestrowy razem w Amsterdamie, u ojca i matki Brilleslijper i młodszego brata Jaapa. Janny też jest z maluchami i we własnym gronie mają odwagę wypowiedzieć życzenia na nowy rok. Biorą się za rękę, siedząc wokół stołu, jak podczas modlitwy, i próbują zagłuszyć lęki za pomocą klątw i zaklęć. Zaczyna ojciec Brilleslijper: „Życzymy sobie, żeby Związek Radziecki odniósł ważne zwycięstwa i żeby Anglia i Ameryka podjęły decyzję o otwarciu drugiego frontu w Europie Zachodniej. Dalej, życzymy faszystom szybkiego upadku, a Hitlerowi śmierci”. Przy tym ostatnim Fietje unosi brew, chociaż nie może zaprzeczyć, że też tego pragnie. „Obyśmy my, wreszcie, mieli wystarczająco dużo odwagi i siły, żeby tę wojnę znieść aż do ostatecznego zwycięstwa i zwalczyć nasze przygnębienie optymistycznymi marzeniami o przyszłości”. Wznoszą kieliszki i słodko-gorzkim toastem ogłaszają początek nowego roku.

14 stycznia 1942 roku Eberhard przypina na tablicy ogłoszeń dla mieszkańców w holu obok telefonu swój nowy adres w Wolfenbüttel, tak żeby był dobrze widoczny, całuje na pożegnanie Lien i swoją małą Kathinkę i wsiada w pociąg do Amsterdamu. W tym samym momencie pewien młody człowiek z ruchu oporu, z biletem Eberharda w ręku, przekracza holenderską granicę, żeby wyglądało tak, jakby Eberhard rzeczywiście pojechał do Wolfenbüttel. Tak to zorganizowali Rhijn i Jan Hemelrijk.

W dzielnicy żydowskiej Jodenhoek w Amsterdamie Eberhard goli się na łyso – nie wie przecież, kiedy znów będzie mógł wyjść do fryzjera – i tego samego popołudnia puka do drzwi pensjonatu dla artystów przy Prinsengracht, którego adres dostał od Rhijna. Ma tam przenocować, a następnego ranka pojechać do Bergen. Nie wiadomo, czy ze względu na jego ogoloną głowę czy ciężką

walizkę właścicielka pensjonatu domyśla się, że jest uciekinierem, i zanim Eberhard zdąży się rozgościć, zostaje z powrotem wyproszony na mróz. Dla Eberharda, który osobiście widział, jak na jego żonę, Żydówkę, patrzono z coraz większą pogardą, ale jego samego zawsze traktowano jako szanowanego obywatela, jest to pierwsze zaznajomienie się z nowym statusem pariasa.

O zmroku idzie przez Prinsengracht na Dworzec Główny w Amsterdamie, gdzie starając się pozostać niezauważonym, miesza się z ludźmi wracającymi z pracy. Pociągiem jedzie do Alkmaaru, tam wsiada do tramwaju parowego Bello do Bergen, a potem idzie, zgodnie z instrukcjami Rhijna, do domu Jana i Aleid Hemelrijków. Rhijn dał mu też fałszywy dowód tożsamości. Mężczyzna na zdjęciu ma mniej więcej tyle samo lat co on, również jest z zawodu pianistą i ma brzmiące niderlandzko nazwisko. Kiedy Eberhard, już w całkowitych ciemnościach, ale dokładnie w porze kolacji, puka do drzwi Jana i Aleid w Bergen, nazywa się Jean-Jacques Bos.

UWIĘZIENIE

Wiosna 1942 roku. Niepewne promienie słońca padają na bruk Nieuwe Achtergracht w centrum Amsterdamu. Kiedy rankiem Jaap opuszcza dom rodzinny, aby iść do swojej przechowalni rowerów, zdaje się nie pamiętać, że znajduje się pośrodku dzielnicy żydowskiej w czasie, gdy na pewno nie jest to godne polecenia. Okupacja, łapanki, fakt, że on i jego przyjaciele nie są już nigdzie w mieście mile widziani: w tym pięknym porannym świetle wszystko wydaje się niesłychanie odległe i przez chwilę świat jest taki jak dawniej. Po jednej stronie widzi teatr Carré z tyłu, po drugiej ulicę Weesperstraat, gdzie mieści się jego przechowalnia. Lubi tę ulicę, z jej gwarem, wieloma sklepami, mnóstwem ludzi i podzwaniającym pomiędzy tym wszystkim tramwajem numer 8. Zna wszystkich w tej okolicy.

Naprzeciwno delikatesów, które jeszcze kilka lat temu należały do nich, wujek Meijer Waterman miał warsztat wyrobu cygar. W dużym narożnym budynku przy ulicy Weesperstraat 74 rodzina prowadziła sklep z cygarami. Jaap lubił patrzeć, jak zręczny Meijer sam zwijał cygara – to precyzyjna robota. Obok Watermana był sklep z używanymi rzeczami, a obok tego sklepu miedziownik. W tym budynku mieszkały trzy rodziny: Werkerowie, od miedziownika, nad nią Elzasowie, a pod Werkerami, w suterenie, rodzina Korperów. Składająca się nie tylko z babci Korper, która prowadziła warzywniak, ale także dwóch chłopaków i dziewczyny o pięknych ciemnobrązowych kędzierzawych włosach i jasnej piegowatej skórze. Mieszkali tam pewnie jeszcze ich rodzice. Na schodach do sutereny od wczesnego rana stało pełno skrzynek z warzywami i kilka koszy z ziemniakami, ale nigdy nie widziano nikogo z rodziny przeciskającego się między skrzynkami na dwór albo do mieszkania. Naprzeciwko Korperów mieszkał Manke Nelis. Mężczyzna z drewnianą protezą nogi od kolana w dół, na której doskonale chodził. Sprzedawał piosenki za pół albo za całego (jednego) centa, ale najpierw je śpiewał, więc potem nikt już nie chciał płacić. Był jeszcze mężczyzna na

drewnianym wózku, którego ojciec Jaapa zawsze nazywał „murowanym nieszczęściarzem”. Żona ciągnęła go leżącego bezwładnie na ręcznym wózku po ulicach, podczas gdy on krzyczał na całe gardło: „Nieszczęśliwy murarz, ze złamanym kręgosłupem! Pracowałem od dwunastego do dwudziestego szóstego roku życia, kiedy to spadłem z dachu i ludzie zostawili mnie na łasce losu!”. Rozdzierający serce widok, nawet gdy widziało się go już sto razy. Potem jego żona obchodziła zebranych gapiów z czapką, a na koniec wjeżdżała z wózkiem do knajpy Hovingha. Gospoda znajdowała się na rogu ulicy Weesperstraat, naprzeciwko wujka Meijera Watermana, piękne miejsce z drewnianą ścianą szczytową. Późnym wieczorem okoliczni mieszkańcy widzieli „murowanego nieszczęściarza”, jak bełkocze na wózku, wracając do domu zygżakiem, popychany przez pijaną żonę. A za nimi podążają grupki wrzeszczących dzieciaków z okolicy.

Kiedy Jaap zamyka za sobą drzwi domu i idzie do swojej przechowalni rowerów, zbliża się do niego znajomy dzielnicowy. To ktoś z komisariatu przy placu Jonas Daniël Meijerplein, Jaap zna go od zawsze. Chce go pozdrowić, ale policjant patrzy prosto przed siebie i mijając go, rzuca półgłosem:

– Mają Henka. Zabieraj się stąd jak najszybciej!

Przez kilka sekund Jaap stoi bez ruchu, jakby przyklejony do kocich łbów, próbując zrozumieć, co policjant przed chwilą do niego powiedział. Henk jest jego współnikiem, razem prowadzą przechowalnię rowerów i koordynują wszystkie nielegalne kontakty. Potem opanowuje się, zapina kurtkę i idzie prosto do tramwaju w kierunku Dworca Głównego, gdzie wsiada do pociągu do Hagi. Kilka godzin później puka do drzwi Janny przy Bazarlaan, a ta, nie zadając pytań, wciąga go z ulicy do środka i zabiera na górę. Następnego ranka słyszą, że Niemcy, po nieudanej próbie zatrzymania go, w odwecie wyciągnęli z domu ich chorego, na wpół niewidomego ojca i uwięzili go. Jaap był przekonany, że razem ze współnikiem działali bardzo ostrożnie – pomysłowa sieć kontaktów, hasła i system ostrzegania, żeby chronić siebie i swoją nielegalną działalność – ale na to nie byli przygotowani. Jaap i Janny całkowicie niezgodnie z naturą Brilleslijperów nie wiedzą, co począć. Myśl o ojcu w celi jest nie do zniesienia. Jednak Janny szybko dochodzi do siebie i zastanawia się, kto z jej znajomych jest właściwą osobą, żeby się tym raz a dobrze zająć. Szuka kontaktu z Bennem Stokvisem, znanym adwokatem z Amsterdamu. Wie, że

utrzymuje on dobre stosunki z Niemcami. Stokvis ma swoje sposoby i wejścia i już wiele razy z powodzeniem pośredniczył w sprawach aresztowanych Żydów.

Janny nalega, żeby jak najszybciej wydostał jej ojca z celi i zrobił wszystko, co konieczne. Dzięki pieniądзом i zręcznym pochlebstwom udaje mu się to i po kilku dniach dla Josepha Brilleslijpera otwierają się drzwi celi. Ojciec Janny i Jaapa nie posiada się z radości, że może znowu przycisnąć do piersi swoją Fietje. Janny też jedzie do Amsterdamu, a Jaap zostaje w Hadze z małym Robbiem i Liselotte.

W prywatnej atmosferze domku przy Nieuwe Achtergracht Janny dziękuje adwokatowi Stokvisowi za jego usługi i omawia z nim swoje problemy. Niemcy ścigają już Boba, kilka razy telefonowali do domu artystów, gdzie mieszka Lien, żeby zapytać, gdzie się podział Eberhard, a teraz ścigają też jej młodszego brata Jaapa: sieć wokół nich zaczyna się powoli zaciskać. To cud, że siostry nie zostały jeszcze aresztowane. Stokvis radzi jej:

– Musicie stąd zniknąć. Zabierz ze sobą rodziców, zamknij za sobą drzwi i nigdy tu nie wracaj. Będzie o wiele gorzej, niż potrafimy sobie wyobrazić.

Janny ani przez chwilę nie ma wątpliwości co do powagi jego słów. Nie zwracając uwagi na protesty rodziców, nakazuje matce spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Bierze ją i ojca pod ramię i wiezie ich ze sobą do Hagi, gdzie przy Bazarlaan, czekają na nich Jaap i dzieci.

Ojciec, matka i Jaap wprowadzają się do Janny, nikt z tej trójki już nie wróci do ukochanego Amsterdamu.

Kiedy rodzina Brilleslijperów przegrupowuje się na tyle, na ile to możliwe, naziści przygotowują się do następnego etapu polityki ludnościowej. Większość zarejestrowanych w Holandii Żydów jest skoncentrowana w Amsterdamie i wokół niego, a Komisarz Rzeszy Arthur Seyss-Inquart prawie już zakończył przygotowania do planowanych deportacji. Grupy bezrobotnych i pochodzących z zagranicy Żydów zostały już przewiezione do obozu Westerbork, zbudowanego w 1938 roku, żeby przyjąć uchodźców z sąsiednich krajów. Niemcy mają teraz dla niego inne przeznaczenie: staje się obozem przejściowym w drodze do obozów koncentracyjnych.

W polskiej miejscowości Oświęcim, leżącej jakieś tysiąc sto kilometrów na wschód od Westerborku, w 1940 roku Niemcy zbudowali na terenie dawnych koszar wojskowych obóz, żeby poradzić sobie z ogromnym napływem polskich więźniów. Nazwa Oświęcim ulega szybko przekształceniu w niemiecki Auschwitz. Na tym terenie w murowanych barakach można więzić piętnaście do dwudziestu tysięcy ludzi. To nie wystarczy. Hitler wydaje rozkaz wybudowania nowego, dużo większego obozu i w marcu 1941 roku kilka kilometrów od macierzystego Auschwitz I zagospodarowano powierzchnię stu siedemdziesięciu pięciu hektarów, żeby zbudować Auschwitz II, zwany też Auschwitz-Birkenau. Podczas wojny powstanie jeszcze około czterdziestu mniejszych, dodatkowych podobozów Auschwitz, w których więźniowie są zmuszani do pracy zarówno w fabrykach, jak i w gospodarstwach rolnych.

Następnym krokiem ku „ostatecznemu rozwiązaniu” jest tajna konferencja w Wannsee 20 stycznia 1942 roku. W willi Marlier, posiadłości nad jeziorem Wannsee na południowo-zachodnich przedmieściach Berlina, na zaproszenie SS-Obergruppenführera Reinharda Heydricha, na posiedzeniu, które trwa zaledwie dwie godziny, spotyka się piętnastu wysokich dostojników nazistowskich. Rozmowy z tego dnia zostają podsumowane w piętnastostronicowym protokole. Jego częścią jest jednostronicowy spis, a w nim wielkość społeczności żydowskiej w każdym kraju zapisana, jak w księdze kasowej. Suma końcowa pod kreską to jedenaście milionów. Holandia widnieje tam z liczbą 160 800 osób. W czasie obrad pojawiają się różne rozwiązania – od odseparowania do masowej sterylizacji. Bardzo konkretnie zapisano, jak będzie przebiegała zorganizowana wywózka tych jedenastu milionów Żydów:

W trakcie praktycznej realizacji ostatecznego rozwiązania Europa zostanie przeczesana z zachodu na wschód. Przede wszystkim należy dokonać tego na terytoriach Rzeszy z Protektoratem Czech i Moraw włącznie – chociażby ze względu na kwestię mieszkaniową i inne konieczności społeczno-polityczne.

Ewakuowani Żydzi będą stopniowo umieszczani w tak zwanych gettach przejściowych, skąd w dalszym ciągu przetransportuje się ich na Wschód.

Niemcy wydają Nederlandse Spoorwegen – Kolejom Holenderskim – polecenie doprowadzenia torów do obozu Westerbork, żeby pociągi mogły się

zatrzymać na jego terenie i stamtąd odjeżdżać, co ułatwi logistykę. Burmistrz leżącej w pobliżu wsi Beilen próbuje protestować przeciwko położeniu torów na sąsiadujących z nią terenach ze względu na niebezpieczeństwo zniszczenia piękna natury, ale ten sprzeciw zostaje odrzucony przez Niemców. Chodzi przecież tylko o konstrukcję tymczasową, jak piszą w reakcji na protest, *das wieder entfernt wird sobald das Lager seinen Zweck erfüllt hat* – która zostanie rozebrana, gdy tylko obóz spełni swoją funkcję.

Koleje Holenderskie, wykorzystując pracę setek więźniów, budują odgałęzienie od stacji Hooghalen do obozu Westerbork. Ta rozbudowa nie przyspiesza jednak zbyt wiele podróży: na stacji Hooghalen bydlęce wagony z tysiącami ludzi muszą często bardzo długo czekać, zanim wjadą na główny tor – pierwszeństwo mają pociągi towarowe z dostawami do Niemiec. Okoliczni mieszkańcy i urzędnicy gminy mówią o płaczu i lamentach wydobywających się z wagonów – pochodzących od dzieci, chorych i osób z niepełnosprawnościami, a nawet rodzących kobiet. Koszty budowy tej linii kolejowej, ustalenia rozkładu pociągów aż do niemieckiej granicy i w końcu także każdego transportu Żydów do obozów koncentracyjnych na Wschodzie, zostały przez NS ujęte w rachunku wystawionym okupantowi, który zapłacił go pieniędzmi ukradzionymi Żydom.

W Auschwitz I, obozie macierzystym, eksperymentowano tymczasem z gazem o nazwie Cyklon B. W jednym z krematoriów około tysiąca więźniów, przede wszystkim jeńców wojennych ze Związku Radzieckiego i ciężko chorych, wykorzystano jako króliki doświadczalne. Truciznę w formie niewielkich kryształków wysypano z puszek bezpośrednio do pomieszczenia, które następnie zostało hermetycznie zamknięte. W zetknięciu z powietrzem kryształki uwalniają śmiertelny gaz: cyjanowódór (kwas cyjanowodorowy lub inaczej kwas pruski). Mijają godziny, zanim wszyscy więźniowie umrą.

Kolejne eksperymenty odbywają się w latach 1941 i 1942, zazwyczaj na Żydach z polskich gett i radzieckich jeńcach wojennych, aż w końcu udaje się ustalić właściwą ilość gazu. Kiedy w 1942 roku przyjeżdżają pociągi z całej Europy, niewiele już potrzeba, aby unicestwienie mogło się odbywać sprawnie i na wielką skalę. Nadaje się do tego drugi, o wiele większy teren obok obozu Auschwitz: zatrudniony architekt projektuje przy wiosce Brzezinka miasto dla

około stu tysięcy osób, gdzie będzie miała miejsce masowa eksterminacja Żydów, „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”. Wszystko wskazuje tutaj na cel powstania obozu. Nie ma żadnych urządzeń z bieżącą wodą ani porządnej podłogi, którą można utrzymać w czystości – przez co groźba chorób jest ogromna. Zamiast jednej osoby, jak zwykle bywa w niemieckich obozach dla więźniów, tu przypadają cztery na pryczę, w wyniku czego całkowita pojemność obozu wynosi 129 456 osób. W Auschwitz-Birkenau, obok obozu, wybudowano cztery duże komory gazowe i krematoria, za pomocą których szybko przekroczona zostaje liczba osób uśmierconych w dwóch innych obozach zagłady, Treblince i Bełżcu.

CZAS UCIEKAĆ

Przy Lange Voorhout rozkwitają lipy i wszędzie w mieście pojawiają się na poboczach krokusy. Po raz pierwszy nie robi to na Janny żadnego wrażenia. Ulga z powodu nadejścia kolejnej wiosny jest zarezerwowana dla ludzi, którzy nie mają zmartwień.

Pierwsze dwa lata okupacji były pułapką. Niemcy krok po kroku izolowali Żydów od reszty ludności. Stopniowo narastały dyskryminacja, ucisk, odbieranie dóbr i godności. Niektórzy wpadli w tę pułapkę, wierząc w szczęśliwe zakończenie. Część z nich została zwabiona przez własnych przywódców – takich jak szefowie Judenratu. Większość wepchnięta przez bojówki albo policję. Jednostkom udało się wyjść cało; dzięki szczęściu, uporowi, a zwykle połączeniu jednego i drugiego. To ludzie, którzy nie zostali zarejestrowani jako Żydzi, na czas dostali fałszywe dokumenty, zdążyli się ukryć, stworzyli wokół siebie sieć innych upartych szczęściarzy, dzięki czemu stali się niezależni i nie potrzebowali pomocy osób, które mogły się okazać kolaborantami albo tchórzami. Teraz oni muszą wyciągnąć z tej pułapki jak najwięcej innych.

Janny słyszała od znajomych z siatki w Amsterdamie, że represje wobec jej żydowskich sąsiadów z okolic domu rodzinnego przy Nieuwe Achtergracht stają się coraz bardziej jawne i agresywne. Judenrat kierowany przez Asschera i Cohena dostarczył Niemcom listy nazwisk bezrobotnych Żydów, a oni ich wszystkich aresztowali i wysłali do obozów pracy. Judenrat ma już swój oddział w Hadze, na rogu Noordeinde, i biura w całym mieście. Jakby sytuacja nie była wystarczająco niezręczna, do Janny ponownie wprowadza się Frits Reuter. Właściciel jego domu został aresztowany i Frits szuka tymczasowego dachu nad głową.

O uwięzieniu jej chorego ojca nie rozmawia się w i tak już zbyt ciasnym mieszkaniu, i chociaż ostatecznie udaje im się go uwolnić, Janny zdaje sobie

sprawę bardziej niż kiedykolwiek, że igra z ogniem. Niemcy mają na celowniku jej brata Jaapa, jej męża Boba i szwagra Eberharda, a jej własnych zadań w ruchu oporu tylko przybywa. Potrzeb i próśb o pomoc z dnia na dzień, z godziny na godzinę jest coraz więcej. Wśród wielu żydowskich rodzin łatwowierność czy nadzieja na ochronę ze strony holenderskich polityków zmienia się w panikę. Żydzi, którzy wcześniej w dobrej wierze, z polecenia Judenratu pozwolili sobie wstemplować „J” w dowodach osobistych, rozumieją teraz, że może to oznaczać ich „ewakuację”.

Zdarza się zatem, że zdesperowani ludzie dzwonią do drzwi domu Janny i krzyczą z ulicy: „Czy tu mieszka pani Brandes?! Czy mogłaby pani usunąć «J» z naszych dowodów osobistych?”. Ojciec Brilleslijper strasznie się tym denerwuje i kiedy znowu jakaś kobieta w biały dzień wali do drzwi i wykrzykuje nazwisko Janny, zabrania córce zejść na dół. Matka Brilleslijper próbuje uspokoić małą Liselotte – można odnieść wrażenie, że dziewczynka od chwili urodzenia we wrześnieu bez przerwy płacze – a Jaap zajmuje czymś Robbiego. Kiedy walenie do drzwi zaczyna ich wszystkich denerwować i Janny najchętniej zbiegłaby na dół i uderzyła kobietę w twarz, ojciec wyprowadza córkę do holu.

– W ten sposób wpędzisz nas wszystkich do grobu, Janny. Musisz z tym skończyć!

Jego szept brzmi niczym wicher poruszający turbinę wiatrową, niemalże głośniejszy niż wrzaski kobiety na dole. Janny wpatruje się w ojca i nagle przypomina sobie dzień, kiedy rodzice byli w teatrze Carré na *Kupcu weneckim*. Wrócili radośni, a ojciec pogwizdywał, nucił, śpiewał jeszcze miesiącami wszystkie piosenki albo coś, co je przypominało. To wydaje się tak odległe w czasie. Podczas gdy kobieta na ulicy nadal wykrzykuje jej nazwisko, Janny uświadamia sobie, że muszą stąd zniknąć. Natychmiast.

Także tym razem jej szwagier, Jan Hemelrijk, podsuwa rozwiązanie: wspólnie ze swoim ojcem znajduje w Bergen pusty dom dla rodziny Brilleslijperów. Dom nazywa się Het Aafje i jest ukryty w lesie, poza wsią, w kierunku Bergen aan Zee. Jeszcze lepszą wiadomością jest to, że Bob będzie mógł dołączyć tam do rodziny. W prowincji Holandia Południowa jest zarejestrowany przez NSB oficjalnie jako komunista, ale ponieważ systemy rejestracji nie są ze sobą połączone, można założyć, że władze Holandii

Północnej nie znają jego nazwiska. Dwa lata nielegalnej działalności nauczyły ich, że nie ma żadnej zorganizowanej wymiany informacji między prowincjami. Poza tym Bob nie jest Żydem i nie ma w związku z tym „J” w dowodzie osobistym. Jeśli zostanie zatrzymany, ryzyko, że miejscowa NSB uzna go za podejrzanego i aresztuje, jest niewielkie.

Janny załatwia dokumenty potrzebne do oficjalnego przeniesienia się z dziećmi do Bergen. Resztę rodziny trzeba będzie ukryć w furgonetce do przeprowadzek. Dla Fritsa Reutera ruch oporu znajduje nowy adres.

W dniu przeprowadzki Janny czeka na ulicy gotowa do wyjazdu. Jej rzeczy są już zapakowane do samochodu, Liselotte i Robbie siedzą z przodu, a Janny zamyka część bagażową, gdzie ukrywają się rodzice i Jaap, kiedy dostrzega zbliżającą się sąsiadkę z naprzeciwka. Janny jej nie lubi. Widzi tę kobietę, jak ciągle wygląda zza firanki w salonie, i podejrzewa ją o sympatyzowanie z Niemcami.

– Przeprowadza się pani? – pyta sąsiadka, nawet się nie witając.

– Przecież pani widzi.

– Tak też sobie pomyślałam: z tyloma Żydami w kamienicy to się nie może dobrze skończyć.

Policzki Janny zaczynają płonąć. Poprawia szal i siada za kierownicą, dając do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona.

– Przenosi się pani do większego domu?

Janny słyszy to pytanie, ale zatrząskuje drzwiami auta, odpala samochód i kilka razy przyciska pedał gazu. Kobieta odskakuje na chodnik, a Janny kieruje się na ulicę. Siedzący obok niej Robbie krzyczy z radości. Janny z roztargnieniem gładzi go po główce, patrząc, jak sylwetka sąsiadki w lusterku wstecznym staje się coraz mniejsza. Bicie serca Janny zagłusza hałas samochodu i tak naprawdę uspokaja się ona dopiero, kiedy docierają do domu w Bergen. Po raz pierwszy od wielu miesięcy może przytulić Boba i przedstawić mu córkę Liselotte.

Dla Lien także robi się w Hadze zbyt niebezpiecznie. Jest tu osobą znaną ze względu na spektakle taneczne i koncerty, poza tym wielu jej uczniów mieszka w mieście i okolicy. Nie da się jej nie zauważyć, a w dodatku w dowodzie

tożsamości ma wstemplowaną literę „J”. Janny wciąż się złości, że siostra swego czasu pozwoliła to sobie zrobić.

Nadal o najdziwniejszych porach Niemcy telefonują do domu Lien, żeby zapytać, gdzie podział się Eberhard. Na szczęście wszyscy konsekwentnie podają adres pozostawiony przez niego na tablicy ogłoszeń. Jednak Lien się niepokoi. Chce razem z Kathinką opuścić Hagę, zanim ktoś przyjdzie, by ją aresztować i dowiedzieć się, gdzie podział się Eberhard, a także zanim zarejestrowani hascy Żydzi zostaną „ewakuowani”.

Jej przyjaciel Jolle Huckriede, klarnecista z pokoju obok, u którego Eberhard zostawił na przechowanie skrzynkę pełną cennych dla niego rzeczy, wpada na pewien pomysł. Jego brat Jan jest związany z Violette Cornelius, młodą fotografką działającą również w ruchu oporu. Jej matka mieszka przy Prinsengracht w Amsterdamie i jest gotowa udzielić schronienia Lien. Zgadza się nawet, żeby wprowadziły się do niej nie tylko matka i córka, ale by dołączył do nich również Eberhard. Ten spędził zimowe miesiące u Jana i Aleid, którzy troszczyli się o niego. Musiał przez cały ten czas ukrywać się jednak w swoim pokoju, był samotny i sfrustrowany swoją bezsilnością. Poza listami od Lien, wysyłanymi przez Rhijna, nie miał żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Dziwnym trafem jedyne, co sprawiało mu przyjemność, to straszliwy mróz. Tej zimy w Holandii było wyjątkowo mroźno, temperatury spadały znacznie poniżej zera. Chociaż ludzie nie dawali rady ogrzać domów i wszyscy narzekali na zimno, Eberhard się nim cieszył. Razem z Janem śledził w radiu informacje na temat wojsk niemieckich w Związku Radzieckim, zderzających się ze ścianą zimowych mrozów, na które Hitler nie wyposażył swoich wojsk. Każdy dzień spędzany przez Eberharda u Jana i Aleid był dniem, kiedy nie służył w Wehrmachcie.

Jan Hemelrijk zauważa, że Eberhard jako nielegalny gość ma wyrzuty sumienia – jego obecność jest zagrożeniem życia dla tej rodziny – i udaje mu się wynająć dla niego domek w Bergen. Teraz w ciągu dnia Eberhard przebywa w pustym atelier zaprzyjaźnionego rzeźbiarza, a w nocy śpi w domku letniskowym przy Breelaan, w niewielkiej odległości od atelier. W ten sposób zmniejsza się ryzyko dla zbiega, któremu w razie niebezpieczeństwa zawsze pozostaje ucieczka do lasu.

Eberhard może przebywać w domku letniskowym do 1 maja i wkrótce będzie musiał poszukać czegoś innego. Choćby już z tego powodu pomyśl, żeby ukrywać się w Amsterdamie razem z Lien, wydaje się wspaniały. Mik van Gilse wszystko im załatwia: nawiązuje kontakt z panią Cornelius w Amsterdamie, informuje na bieżąco Eberharda w Bergen o terminie, w jakim będzie mógł dołączyć do rodziny w Amsterdamie, i daje znać Lien w Hadze, kiedy może przeprowadzić się z Kathinką.

W maju w końcu wszystko się udaje: w domu pani Cornelius zamieszkują wspólnie Lien, Eberhard i Kathinka. W tej kamienicy nad kanałem natychmiast czują się jak u siebie. Atmosfera przypomina tę, która panowała w haskim domu artystów, gdzie wiele lat mieszkali – pełno tu twórców i ludzi związanych z polityką. Zawsze jest dużo gości i Eberhard cieszy się rozmowami, których tak bardzo brakowało mu w lasach Bergen. Chociaż tętniące amsterdamskie życie sprzed wojny jest przyduszone przez wojenny terror, pod powierzchnią powstaje równoległe miasto. Miasto z trasami i przejściami, których Niemcy nie znają, sekretne kafejki w ciemnych piwnicach, wieczory karciane na strychach kamienic nad kanałami, koncerty zaczynające się dopiero po sygnale ogłaszającym godzinę policyjną i wyłączeniu nocnego oświetlenia ulic.

Początkowo Lien i Eberhard nie mogą wyjść z zachwyty, że znów mogą być częścią takiej społeczności, ale szybko uświadamiają sobie, że normalność nie jest już im pisana. Zwykli mieszkańcy Amsterdamu, choć na ich życie również wpłynęła okupacja, mogą sobie jeszcze pozwolić na pewną swobodę poruszania się. Jednak Lien ma „J” w dowodzie osobistym i zajmuje się nadal nielegalnymi zadaniami dla Mika – jeździ z Amsterdamu do Hagi i z powrotem – a Eberhard jest poszukiwanym niemieckim dezercerem. Co prawda zapuścił wąsy i nazywa się teraz Jean-Jacques Bos, ale to nie daje żadnej gwarancji. W domu jest tłumnie, przychodzą tu ludzie, których nie znają i nie wiedzą, czy są godni zaufania, czy to nie zdrajcy. Także na ulicy pojawia się wiele zagrożeń: roi się od policjantów, członków SS, WA i NSB. Eberhard prawie w ogóle nie wychodzi, a Lien już dwa razy ledwo wymknęła się Niemcom.

Pierwszy raz zdarzyło się to w Hadze, gdzie w umówionym miejscu miała spotkać kogoś z ruchu oporu, żeby odebrać karty żywnościowe. Chciała jeszcze

zajrzeć na chwilę do ich dawnego domu przy Bankastraat, żeby zabrać ostatnie rzeczy, ale była na tyle mądra, żeby zadzwonić najpierw z domu przyjaciółki i upewnić się, czy nie ma jakiegoś zagrożenia.

– Dzień dobry pani – usłyszała wygłoszoną formalnym tonem odpowiedź swojej dawnej współlokatorce Ankie, gdy tylko ta usłyszała jej głos. – Nie, nie, to pomyłka. Mamy spotkanie jutro, nie dzisiaj. Do zobaczenia!

I rozłączyła się.

Lien natychmiast zrozumiała, co się dzieje. Pewnie jakiś Niemiec albo członek NSB był obok Ankie, bo akurat przyszedł po Eberharda, a może także po nią. Lien stała ze słuchawką w drżącej ręce i czuła wręcz fizyczną bliskość wroga. Siedząc potem na krześle u innej z przyjaciółek, próbowała się uspokoić, ale upłynęło wiele godzin, zanim odważyła się wyjść. Lien pomyślała o tym, co powiedziała do Ankie i jej przyjaciela Jollego Huckriedego, zanim wyjechała z Kathinką: „Korzystajcie z fortepianu podczas naszej nieobecności, a gdybyśmy nie przeżyli wojny, możecie go zatrzymać”. Mówiła to pół żartem, pół serio, ale teraz ten scenariusz nie wydawał się aż tak nierealny.

Później jej przyjaciółka zadzwoniła raz jeszcze do domu i znów odebrała Ankie, potwierdzając, że rzeczywiście była rewizja. Wszyscy zapewniali, że Eberhard naprawdę wsiadł do pociągu do Niemiec i że nie wiedzą, gdzie mieszka teraz Lien, ale czuli się bardzo niepewnie w tej sytuacji. Mając nogi jak z waty, Lien wsiada wieczorem do pociągu do Amsterdamu, a potem w domu przez kilka nocy nie może zmrużyć oka z powodu tego, co się stało.

Drugi raz wymyka się z rąk Niemców, kiedy koło północy na Dworcu Głównym w Amsterdamie wpada w policyjną zasadzkę. Wtedy również wraca z Hagi z fałszywymi dokumentami dla Mika, ale jest już późno – za późno. Na Prinsengracht musi być na czas, nie tylko dlatego, że o północy zaczyna się godzina policyjna, ale także dlatego, że już dawno powinna nakarmić piersią Kathinkę. Czeka kilka godzin, a pociąg nie przyjeżdża. Na jedynym, jaki w końcu się zjawia, widnieje napis „Tylko dla osób związanych z Wehrmachtem”. Lien wyobraża sobie, jak Eberhard chodzi tam i z powrotem po pokoju z płaczącym dzieckiem, jak inni ludzie w domu przychodzą sprawdzić, co się dzieje w ich pokoju, więc wsiada.

Wydaje się, że pociąg jedzie w zwolnionym tempie, i kiedy mija zegar na peronie, Lien widzi, że jest już po północy, zatem nawet jeśli uda jej się przejść

przez kontrolę na Dworcu Głównym, na pewno zostanie zatrzymana na ulicy. Zamyka oczy i analizuje wszelkie możliwe aktorskie sztuczki, żeby jakoś wyjść z tego cało.

Kiedy znów otwiera oczy, gapi się prosto w twarz żołnierza siedzącego kilka ławek dalej. Jest wielki i ciężki i wygląda na niezbyt rozgarniętego. Chłopak przygląda się jej, a ona, podczas gdy jego koledzy zajęci są rozmową, puszcza do niego oko. Kiedy wysiada na Dworcu Głównym w Amsterdamie, żołnierz idzie za nią.

– Mogę pójść kawalek z tobą? – pyta.

Lien uśmiecha się nieśmiało i przytakuje skinieniem głowy.

– Dobrze, ale minęła już godzina policyjna i nie wiem, jak wrócić do domu.

– O nic się nie martw – odpowiada żołnierz i bierze ją pod rękę.

Razem idą do punktu kontrolnego, gdzie pomiędzy holenderskimi urzędnikami stoją dwaj członkowie SS, którzy obserwują peron. Żołnierz idzie wprost na nich, a Lien trzyma głowę podniesioną wysoko. Członkowie SS salutują żołnierzowi, on robi to samo i mówi:

– Ta pani jest ze mną.

I przechodzą. Lien nie śmie zaczerpnąć powietrza ani przełknąć śliny i mocno przyciska torebkę – fałszywe dokumenty prawie przepalają jej dno. Tramwaje już nie jeżdżą, a ona, nic nie mówiąc, wychodzi ze słabego kręgu światła na placu przy stacji kolejowej, prosto w jakby zanurzone w czarnym oleju miasto. Chłopak ledwie może za nią nadążyć i Lien słyszy, jak przeklina, potykając się o chodnik. Dziewczyna oddycha teraz tak szybko, że obawia się, że żołnierz to usłyszy. Na ulicy jest cicho jak makiem zasiał. Muzyka, światła, pijacy i kobiety lekkich obyczajów, publiczność kin, goście kawiarni i grupki turystów tworzące korki na chodnikach – wszystko to zniknęło. Amsterdam jest opuszczony.

Lien idzie coraz szybciej i nie reaguje na pytania mężczyzny podążającego jej śladem. Dopiero gdy docierają do Westermarkt, zwalnia i patrzy na niego przepraszająco.

– Mieszkam tu niedaleko. Moja matka na pewno zamartwia się, co się ze mną dzieje. Dziękuję ci.

I zanim zaskoczony chłopak jest w stanie cokolwiek odpowiedzieć, Lien rusza pospiesznie na Rozengracht, gdzie kryje się w bramie, żeby zobaczyć, czy żołnierz za nią idzie. Kiedy po kilku minutach wciąż nie słyszy żadnych kroków, zbiera się w sobie i biegnie na Prinsengracht, prosto do ich kryjówki.

Gdy otwiera drzwi, wita ją wrzeszcząca Kathinka i bezradny Eberhard, który spodziewał się już, że nigdy nie ujrzy ukochanej.

– Czyś ty już kompletnie oszalała?

Mik biega tam i z powrotem pod oknami od strony kanałów, pukając się palcem wskazującym w czoło. Słońce pojawiło się nad dachami równoległego rzędu kamienic po drugiej stronie kanału i odbija się teraz w wodzie. Cień sylwetki Mika przesuwa się po drewnianej podłodze. Lien słyszy za rogiem tramwaj jadący coraz szybciej Leidsestraat. Nie ma odwagi spojrzeć Mikowi w oczy. Jeszcze nigdy nie widziała go tak wściekłego. Przyszła, żeby dostarczyć dokumenty, i opowiedziała mu o tragedii, jakiej uniknęła wczoraj wieczorem. Po tym, jak w środku nocy nakarmiła Kathinkę, dziewczynka spała niczym suseł, ale Eberhard i ona nie mogli zasnąć i leżeli obok siebie bez słowa, aż do chwili, kiedy pogwizdywanie kosów obwieściło wschód słońca.

– Rebekka Brilleslijper, z wytłuszczonym „J” obok nazwiska. To czyste szaleństwo!

Mik staje przed nią, podpierając się pod boki. Ona czuje jego wzrok wbity w jej spuszczoną głowę. Lien nigdy nie powiedziała Mikowi, że dała się zarejestrować jako Żydówka, więc kiedy dziś rano prawie mimochodem, w związku z ostatnim incydentem, zapytał ją, jaki właściwie ma dowód osobisty, prawie wybucha. Tak jak zrobiła to wcześniej Janny.

– Słuchaj. Idziesz teraz prosto do domu i siedzisz tam tak długo, aż to załatwimy, jasne?

Kiedy Lien słyszy zamykające się za nią ciężkie drzwi i schodzi po kamiennych schodach zewnętrznych w stronę kanału, zdaje sobie sprawę, jak bardzo jej życie i życie jej bliskich oraz rodziny zależy w tej chwili od wielu wyjątkowych przyjaciół.

Kilka dni później Lien dostaje nowy dowód tożsamości. Wpatruje się w niego przez moment, podchodzi do lustra i podnosi swoje ciężkie, ciemne

loki, związując je w węzeł jak kobieta z Indonezji. Matka Kathinki nazywa się teraz Antje Sillevis – i urodziła się w Surabai. Nadeszła chwila, żeby opuścić miasto.

PIERWSZY POCIĄG

Janowi Hemelrijkowi udaje się przenieść także Lien, Eberharda i Kathinkę do Bergen – blisko Janny i reszty rodziny. W tym czasie codziennie ze wszystkich zakątków kraju przyjeżdżają do Amsterdamu pociągi pełne żydowskich rodzin wypędzonych ze swoich wsi i domów i upychanych w wyznaczonych dzielnicach. W ten sposób stolica powoli zmienia się w getto: miasto, gdzie gromadzi się Żydów, izolując ich od reszty holenderskiego społeczeństwa i przygotowując do następnego etapu „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Gminny Urząd Mieszkaniowy podwyższa ceny wynajmu mieszkań, w których umieszcza się rodziny żydowskie, i żąda dodatkowo kaucji w wysokości dziesięciu guldenów od mieszkania, w większości przypadków nigdy niezwróconej.

W tym samym czasie Zentralstelle für Jüdische Auswanderung, Centralny Urząd do spraw Emigracji Żydowskiej w Amsterdamie, gdzie przechowywano pudła z kartami zawierającymi nazwiska ludzi przeznaczonych do deportacji, otrzymuje z Hagi nowy rozkaz, którego realizacja wymaga od działu rejestracji meldunkowej wielu nadgodzin. Wcześniejsze polecenie wydane Komisarzowi Rzeszy Seyss-Inquartowi zmuszało Holandię do dostarczenia w 1942 roku piętnastu tysięcy Żydów. Liczba ta nie robiła na nikim wrażenia, gdyż można ją było osiągnąć, deportując jedynie Żydów przybyłych z zagranicy, toteż Seyss-Inquart nie spodziewał się specjalnego oporu ze strony holenderskiego społeczeństwa. Ponieważ jednak nazistowskie władze dowiedziały się, że Francja nie ma żadnych możliwości, żeby w tym samym roku skierować na wschód przewidziane sto tysięcy osób, postanowiono naprędce, że ten niedobór zostanie zrekompensowany gdzie indziej. Roczny kontyngent dla Holandii jednym pociągnięciem pióra podwyższono z piętnastu do czterdziestu tysięcy osób. 15 lipca 1942 roku na Dworcu Głównym w Amsterdamie ma się stawić pierwsze cztery tysiące Żydów.

Burmistrz Amsterdamu natychmiast wydaje pracownikom urzędu meldunkowego polecenie sporządzenia listy holenderskich Żydów. Wcześniejsza szczegółowa rejestracja ponad stu sześćdziesięciu tysięcy osób w połączeniu ze słynną mapą kropek ułatwia działania. Na poziomie administracyjnym i organizacyjnym dostarczenie czterdziestu tysięcy Żydów nie jest żadnym problemem, jednak zarówno okupant, jak i NSB obawiają się ewentualnych niepokojów wśród mieszkańców – teraz, gdy nagle ich sąsiedzi Żydzi, dawni koledzy i przyjaciele, będą musieli pakować manatki. Zentralstelle uważa więc za rozsądne włączenie do tej akcji Judenratu jako sojusznika, żeby niektóre zadania realizować sprawniej i bez nadmiernej paniki.

W piątek 26 czerwca wieczorem, w czasie szabatu, szef Zentralstelle Ferdinand aus der Fünten wzywa do siebie jednego z przewodniczących Judenratu – Davida Cohena. Informuje go, że w najbliższym czasie pierwsi Żydzi zostaną wysłani do obowiązkowej „pracy pod nadzorem policyjnym” w Niemczech. Cohen pisze we wspomnieniach, że bardzo przeraził się tą wiadomością, że protestuje i grozi rezygnacją ze stanowiska, ale aus der Fünten zapewnia go, że większość Żydów będzie mogła pozostać w Holandii, a praca w Niemczech będzie się odbywać w przyzwoitych warunkach. Judenrat może zatem pomóc w sporządzaniu list i zadecydować, kto uniknie deportacji, na przykład członkowie Judenratu, ich rodziny i przyjaciele, albo aus der Fünten zrobi to sam, bez względu na status danej osoby. Judenrat wybiera współpracę. Będzie musiał dostarczać osiemset nazwisk dziennie.

5 lipca 1942 roku do skrzynek pocztowych trafiają pierwsze przesyłki tej treści:

WEZWANIE!

Ze względu na ewentualny udział w obowiązkowej pracy pod nadzorem policyjnym w Niemczech musi się Pan/Pani stawić przed komisją lekarską w obozie przejściowym Westerbork, stacja Hooghalen. W tym celu musi Pan/Pani dnia [tu data] o godzinie [tu godzina] być obecny/a na miejscu zbiórki [nazwa stacji].

Wywołują panikę. Ludzie chcą się ukrywać albo wymyślają, jak zabrać ze sobą przemyślny bagaż z najróżniejszymi skrytkami, jak wszyć ukryte kieszonki z pieniędzmi i zdjęciami. Próbują ustalić, kto jeszcze spośród ich

przyjaciół czy rodziny dostał wezwanie, dlaczego tak się stało – albo dlaczego się nie stało. Cohen, Asscher i aus der Fünten spotykają się tymczasem jeszcze raz, ponieważ do przewodniczących Judenratu doszły wiadomości, że w ostatecznym rozrachunku wszyscy Żydzi mają zostać wywiezieni. Aus der Fünten uspokaja ich: taki jest rzeczywiście ostateczny cel, ale obiecuje im, że Judenrat i jego pracownicy nie muszą obawiać się deportacji i mogą powiedzieć swoim zwolennikom, że możliwa będzie korespondencja z osobami w obozach pracy. Judenrat natychmiast zatrudnia więcej pracowników, żeby także uzyskali zwolnienie: otrzymują oni od Niemców tak zwaną *Sperre*.

Te wiadomości dotarły przez Mika także do Janny. Podczas gdy jej mama zajmuje się wnukami, Janny relacjonuje mężowi, ojcu i bratu, co wie. Kiedy dociera do nich, że wszyscy zarejestrowani w Amsterdamie Żydzi dostali wezwanie z nakazem zgłoszenia się w celu wyjazdu do obozu pracy, zapada cisza. Co to znaczy? Czy jest to powód do paniki? Wydarzyło się już tyle niewyobrażalnych rzeczy, że nie mają już jakichkolwiek kryteriów do właściwej oceny sytuacji.

Joseph próbuje trzeźwo do tego podejść: właściwie to nic dziwnego, że Niemcy potrzebują pracowników, zwłaszcza teraz, kiedy wojna toczy się już na znacznie większym terytorium i nawet Ameryka jest w nią zaangażowana. Poza tym wygląda na to, że wezwanie dotyczy tylko mężczyzn pomiędzy szesnastym a czterdziestym rokiem życia. Fietje zgadza się z mężem: oczywiście potrzebne są dodatkowe ręce do pracy, żeby utrzymać działanie maszyny wojennej. Potrzebne są one i w fabrykach, i na polach. Z pewnością nie trzeba się tym martwić. Ale Janny patrzy z napięciem, jej wół przymknięte oczy spoczywają na młodszym bracie Jaapie – ma dwadzieścia dwa lata i gdyby teraz był w Amsterdamie, stanowiłby doskonały cel – i jednym zdaniem niszczy całe to ich myślenie życzeniowe.

– Każdy, kto teraz zostanie wezwany, trafi do obozu koncentracyjnego i nigdy nie wróci.

Rzeczywiście, wezwanie uruchamia wśród Żydów w Amsterdamie wszystkie dzwonki alarmowe i masowo chcą się ukrywać. Kiedy Niemcy zauważają, że ten kolejny krok na drodze potajemnego „ostatecznego rozwiązania” grozi niepowodzeniem, przygotowują łapankę dokładnie dzień przed terminem, w którym mają się zgłosić wszyscy wezwani Żydzi. We wtorek 14 lipca w ciągu

kilku godzin złapano od siedmiuset do ośmiuset przypadkowych Żydów. Zmuszeni są maszerować w długim pochodzie do Amsterdamu Południowego.

Przy ulicy Euterpestraat i na placu Adam van Scheltemaplein, w dawnej szkole średniej dla dziewcząt, swoje siedziby mają niemiecki Sicherheitsdienst i Zentralstelle. W kompleksie budynków torturuje się złapanych członków ruchu oporu, pracuje się tu nad doskonaleniem systemu deportacji, a Żydzi czekają na wyjazd między innymi w sali gimnastycznej. W budynkach przy Adam van Scheltemaplein znajduje się także osławiona Hausraterfassungstelle, czyli „urząd rejestracji dobytku”, kierowany przez Willema Henneickego. Zadaniem tej grupy dwudziestu, czasem trzydziestu urzędników, tak zwanej kolumny Henneickego, jest sporządzanie dokładnych list wyposażenia przejętych mieszkań żydowskich, odzyskiwanie niezgłoszonych dóbr żydowskich i wywiezienie wszystkiego do magazynów dawnego banku Liro. Ten przejęty przez okupanta żydowski bank Lippmann, Rosenthal & Co zaraz na początku okupacji zostaje przekształcony w tak zwaną organizację zaufania społecznego, której wszyscy Żydzi zobowiązani są przekazać swoją własność. Część trafiającego tam wyposażenia mieszkań jest przekazywana następnie rodzinom niemieckim, ale zysk z jego sprzedaży służy przede wszystkim do pokrycia kosztów „ostatecznego rozwiązania”.

Dzięki aresztowaniu ponad siedmiuset Żydów, w tym dzieci, kobiet z niemowlętami i starców, okupant dysponuje zakładnikami, których potrzebuje, żeby po raz kolejny zmusić Judenrat do działania. Asscher i Cohen mają do wyboru: albo wezwą członków społeczności żydowskiej, żeby posłusznie zgłosili się do obozów pracy, albo ta pojmana grupa zostanie wysłana do obozu koncentracyjnego, prawdopodobnie Mauthausen. Judenrat natychmiast drukuje nadzwyczajne wydanie gazety „Het Joodsche Weekblad” [Tygodnika Żydowskiego].

WYDANIE NADZWYCZAJNE

Amsterdam, 14 lipca 1942

Sicherheitspolizei przekazała nam, co następuje:

Około 700 Żydów zostało dziś aresztowanych w Amsterdamie. Jeśli w tym tygodniu 4000 wyznaczonych do tego Żydów nie wyjedzie do obozów pracy

w Niemczech, 700 aresztowanych zostanie przewiezionych do obozu koncentracyjnego w Niemczech.

Przewodniczący Judenratu Amsterdamu

A. Asscher

Prof. dr D. Cohen

Dzień później na Dworcu Głównym w Amsterdamie zgłasza się dziewięćset sześćdziesięcioro dwoje Żydów i pierwszy pociąg z Westerbork wyrusza do Auschwitz-Birkenau. Trafia do niego tysiąc sto trzydzieści siedem osób, wśród nich grupa sierot. Niemal wszyscy pasażerowie zostają zamordowani od razu po przybyciu na miejsce.

Do 13 września 1944 roku włącznie z Westerbork wyruszy jeszcze dziewięćdziesiąt sześć pociągów, wypełnionych stu siedmioma tysiącami ludzi. Spośród nich zaledwie pięć tysięcy powróci żywych. Z całej Europy Zachodniej wyjeżdżają pociągi, żeby usunąć ze społeczeństwa „niepożądane elementy” – z większym lub mniejszym powodzeniem. W Belgii deportowano do obozów koncentracyjnych trzydzieści procent społeczności żydowskiej, we Francji dwadzieścia pięć. Holandia w ciągu dwudziestu sześciu miesięcy wywiozła siedemdziesiąt sześć procent swoich Żydów.

BERGEN AAN ZEE

Dzień później, 16 lipca 1942 roku, Eberhard i Lien z jedną walizką i Kathinką w wózku idą z Prinsengracht na Dworzec Główny w Amsterdamie, wsiadają do pociągu i patrzą na powoli znikające w oddali miasto. Podczas kiedy ostatecznie zamykają się bramy miejskie, Lien i Eberhard w ostatniej chwili uciekają do Bergen.

Tam czeka na nich na peronie Jan Hemelrijk. Z poważną twarzą i włosami blond porządnie zaczesanymi do tyłu wygląda na więcej niż swoje dwadzieścia pięć lat. Na ostatnie dwa tygodnie lipca i cały sierpień załatwił dla rodziny Lien dom znajomych, którzy wyjechali na czas wakacji. Od 1 września wolny będzie znów domek letniskowy, w którym Eberhard ukrywał się przez jakiś czas minionej zimy. Mogą tam potem zamieszkać. Breelaan, gdzie Lien i Eberhard będą przebywać od września, i Buerweg, gdzie przebywa Janny z resztą rodziny, dzielą tylko dwa kilometry lasu. To zachodnie obrzeża Bergen, od strony Bergen aan Zee. Pod osłoną przyrody mogą się odwiedzać, gdy tylko przyjdzie im na to ochota.

I tak latem 1942 roku rodzina Brilleslijperów znów jest razem, ze wszystkimi partnerami i dziećmi, ale okoliczności są przerażające i nie ma mowy o radosnej atmosferze. Domki, w których przebywają, są pierwszorzędne, a okolice Bergen piękne, ale miejsca, które zawsze nazywali domem – Amsterdam, Haga, cała Holandia – i ludzie, którzy tam mieszkają, w ciągu dwóch lat zmienili się nie do poznania. Rozmowy między siostrami i resztą rodziny dotyczą wyłącznie tego.

Po wezwaniu i następującej po tym łapance, z której Lientje, Eberhard i Kathinka ledwo uszli cało, rozpoczyna się wyścig po *Sperre*, czyli tymczasowe zwolnienia, które Judenrat wyciąga od okupanta. Rada dostała ich siedemnaście i pół tysiąca i w społeczności żydowskiej Amsterdamu zaczyna się gorączkowa walka o znalezienie się w posiadaniu takiego zaświadczenia. Wybuchają bójki, pod drzwiami Judenratu przy Nieuwe Keizersgracht 58

słysząc rozpaczliwe błagania, ludzie próbują w ostatniej chwili wziąć ślub z kimś, kto ma *Sperre*, albo żebrzą o pracę w Judenracie. Pracownicy i ich rodziny jako pierwsi dostają *Sperre*, obok grupy wybitnych Żydów, uznanych za mających znaczenie dla społeczności – oczywiście przez Judenrat. Aż siedemnaście tysięcy osób zostaje „zatrudnionych” przez Radę. Da im to ostatecznie rok odroczenia.

Tymczasem Janny nieprzerwanie działa w ruchu oporu, także z Bergen. Często podróżuje, żeby móc fałszować i rozprowadzać dowody osobiste. Szuka przede wszystkim dokumentów z konkretnymi datami urodzenia, które można od razu przekazać Żydom mniej więcej w tym samym wieku. Janny działa zwykle razem z przyjaciółką Trees Lemaire, która tak samo pracuje dla Persoonsbewijzencentrale (PBC^[11]), centrali dowodów osobistych, założonej między innymi przez jej przyjaciela Mika van Gilzego. Janny dostarcza skradzione dowody Trees, a ta przekazuje je z kolei następnej osobie w siatce podziemnej.

W wieczór poprzedzający pierwsze urodziny Kathinki Lien i Eberhard siedzą w milczeniu, pochyleni nad „Het Joodsche Weekblad”. Eberhard był tego dnia w Amsterdamie, żeby poszukać jakichś słodczy na urodziny, ponieważ w sklepach w okolicy nie można już dostać nic słodkiego. Przy Prinsengracht odwiedził na chwilę panią Cornelius, która powiedziała mu, że dzień wcześniej znowu była łapanka wśród społeczności żydowskiej. Od pani Cornelius dostał najnowsze nadzwyczajne wydanie „Het Joodsche Weekblad” z 6 sierpnia 1942 roku. Z gazetą wciśniętą pomiędzy koszulę i spodnie wsiadł do pociągu do Bergen.

„Het Joodsche Weekblad”

WYDANIE NADZWYCZAJNE

Wszyscy Żydzi, którzy nie zastosują się niezwłocznie do skierowanego do nich wezwania do zasilenia siły roboczej w Niemczech, zostaną aresztowani i przewiezieni do obozu koncentracyjnego Mauthausen. Ani ta, ani inna kara nie zostanie zastosowana wobec tych Żydów, którzy najpóźniej w sobotę 9 sierpnia, o godzinie piątej zgłoszą się osobiście albo oświadczą, że są gotowi wziąć udział w poszerzaniu siły roboczej.

Wszyscy Żydzi, którzy nie noszą gwiazdy żydowskiej, zostaną wysłani do obozu koncentracyjnego w Mauthausen.

Wszyscy Żydzi, którzy bez pozwolenia władz zmieniają miejsce zamieszkania – nawet jeśli tylko tymczasowo – zostaną wywiezieni do obozu koncentracyjnego Mauthausen.

Przez chwilę oboje milczą, próbują zrozumieć tę wiadomość. Właściwie to dobrze, myśli Lien, wskazując na pierwszy punkt: Niemcy w ten sposób dają do zrozumienia, że wielu ludzi się nie zgłasza i zaczyna ukrywać, gdy tylko dostaje wezwanie. Eberhard unosi brwi i wskazuje na drugi punkt. To także można interpretować jako dodające otuchy: skoro grozi się deportacjami, to znaczy, że żółta gwiazda jest sabotowana. Ale jak długo potrwa ten upór? Wszyscy w Holandii wiedzą już, że w Mauthausen przebywa się nie dłużej niż pół roku. Na obszarze okupowanej Polski Niemcy zbudowali już dużo o wiele większych obozów koncentracyjnych, z których nikt nie wraca. Tak, zgadzają się ze sobą – to fałszywe promyki nadziei. Judenrat wzywa po prostu do całkowitego posłuszeństwa faszystom. Palec Eberharda zatrzymuje się na trzecim punkcie: jest tam mowa o Lien, o całej rodzinie Brilleslijperów. Ukrywają się przed władzą, nie ma żadnych wiadomości na temat miejsca ich pobytu. Eberhard składa gazetę, Lien idzie do kuchni. Wszystko już zostało powiedziane. Nie ma odwrotu.

We wrześniu 1942 roku, dwa miesiące po apelu Judenratu i wyruszeniu pierwszego pociągu z Westerbork, Jan Hemelrijk zwraca się do Eberharda z pytaniem, czy mógłby on zaprowadzić jedno dziecko do kryjówki. Eberhard robił to już wcześniej: w gronie bliskich bywa z lekką ironią nazywany „handlarzem dziećmi”. Resztki naiwności, jaka istniała wśród społeczności żydowskiej, zniknęły w związku z ostatnimi wydarzeniami i ludzie posuwają się do ostateczności, żeby tylko uratować najmłodszych z rąk nazistów. Z rodzicami lub bez rodziców, bez braci i sióstr, u obcych albo u znajomych, często bez słowa wyjaśnienia: po całej Holandii ukrywa się dzieci niczym jajka wielkanocne, bez pytania ich o zdanie. Czasem takie dziecko jest wystarczająco duże, by rozumieć, co się dzieje, i wie, że należy się pożegnać, ale są też rodziny, w których ojciec i matka nagle znaleźli się w pociągu, a dzieci zostają same w domu i nie wiedzą, co robić.

Pewna opiekunka do dzieci w Groningen przypomina sobie instrukcje swojej pani, Żydówki z siedmiorgiem dzieci: „Jeśli po nas przyjdą, położę niemowlę w szafie, z tyłu, za kocykami. Obserwuj dobrze nasz dom i poszukaj dziecka, jeśli się okaże, że nas wywieźli!”. I tak się stało: rodziców i sześcioro dzieci deportowano, a kobieta znajduje z tyłu w szafie niemowlę, schowane pod stosem wełnianych koców, ale żywe. Grubo je ubiera, przypina z tyłu na rowerze i rusza pod wiatr w długą drogę na północ, nad morze. Tam oddaje dziecko załodze kutra rybackiego, który przewozi je do Norwegii, gdzie zostaje przyjęte z miłością i wychowane przez nieznaną małżeństwo. Jedyne, co wiedzą oni o niemowlęciu, to jego imię i nazwisko przekazane razem z nim przez opiekunkę. Dopiero wiele lat później, tuż przed śmiercią, była opiekunka widzi w gazecie nazwisko, którego nigdy nie zapomniała, i kontaktuje się z mężczyzną, żeby opowiedzieć mu o jego prawdziwych rodzicach. Może mu wreszcie przekazać albumy ze zdjęciami, które zabrała z ich domu i przechowywała przez cały ten czas.

Zadanie, które Eberhard dostał od Jana Hemelrijka, jest mniej skomplikowane, ale nie mniej niebezpieczne. Chodzi o szesnastoletniego żydowskiego chłopca Herberta Spijera mieszkającego z rodzicami w Amsterdamie. W związku z deportacjami i łapankami w mieście rodzina obawia się o życie syna. Chcą, żeby ukrył się, dopóki jest to możliwe.

W mizernym przebraniu, składającym się z kapelusza i doklejonych wąsów, Eberhard jedzie pociągiem do Amsterdamu i zabiera przestraszonego nastolatka do swojego domku w Bergen, gdzie tymczasowo będzie się ukrywał. To cud, że wszystko dobrze się skończyło. Kontrole na Dworcu Głównym od momentu pierwszych wezwań bardzo przybrały na sile. Eberhard wszędzie widzi tajniaków, jak mówi się o niemieckich policjantach w cywilu. Gapią się bez wyrazu na tłum schodzący po wąskich schodach z peronów na dół, do hali głównej, i dalej na ulicę. Eberhard ma wrażenie, że tajniacy stoją zawsze u dołu schodów, żeby łatwo im było prześwietlić pasażerów. Kiedy Eberhard towarzyszy dzieciom, stara się, żeby szły zawsze tuż za nim, schowane za jego wysoką postacią, która od czasu nieudanej terapii głodowej nie robi już wprawdzie takiego wrażenia, ale w zupełności wystarcza.

W listopadzie Eberhard po raz drugi wyrusza w drogę na prośbę rodziny Spijerów. Ich siedemnastoletnia córka Elleke ukrywa się gdzieś w Amsterdamie i trzeba ją przetransportować pod jakiś adres w Velsen. Kiedy Eberhard pozostawia już dziewczynę bezpiecznie w Velsen, podczas drogi powrotnej do Alkmaaru okazuje się, że tramwaj Bello do Bergen o tej porze już nie kursuje. Eberhard nie zna trasy, tylko mniej więcej kierunek, ale rusza w mrok, wiedząc, że godzina policyjna jest tuż-tuż. Żeby dotrzeć do domku letniskowego, musi w pewnym momencie przejść między stawem a terenem jednostki wojskowej. Innej drogi nie ma. Już dawno minęła dziesiąta i nikt nie powinien być na zewnątrz, a już na pewno nie niemiecki dezertor. Niczym szpieg przemyka przez krzaki i w końcu bezpiecznie dociera do Lien, która zapłakana czeka na niego. Już prawie się pogodziła z tym, że został złapany przez Gestapo.

Jeszcze kilka razy jest o krok od wpadki. Raz zostaje zatrzymany na Dworcu Głównym w Amsterdamie. Gdy drzwi pociągu się otwierają, wychodzi z tłumem na peron, a następnie schodami na dół – pochylona głowa, żadnych dziwnych ruchów, nie chować się, ale i nie przyciągać uwagi. *Ausweis bitte!*^[12] Przez kilka sekund wszystko wydaje się dziać strasznie powoli: sięga do kieszeni, pokazuje dokument, jastrzębie oczy przesuwają się badawczo z góry na dół, znów mu się przyglądają i jeszcze raz patrzą na dokument, próbuje przełknąć ślinę, słyszy łomot serca, coraz mocniejszy i coraz cięższy, tak jakby tłoki w zwolnionym tempie popychały lokomotywę w stronę betonowego muru, a on już wie, co się stanie, i nie może temu zapobiec. *In Ordnung!*^[13] Nagła ulga, stężała krew z wolna znów zaczyna płynąć w żyłach, Eberhard rusza dalej, wtapia się w tłum aż do chwili, kiedy serce odzyskuje właściwy rytm. Nawet potem, już w podeszłym wieku, nie potrafi zejść po schodach na Dworcu Głównym w Amsterdamie bez uczucia lęku zapierającego dech w piersiach do momentu, gdy znajdzie się na placu przed dworcem, a tam potrzebuje kilku minut, żeby pod osłoną miasta dojść do siebie, zanim pójdzie dalej.

BEFSZTYK Z GRZYBÓW

Za każdym razem, kiedy Janny słyszy, jak wiatr od strony morza przynosi silne odgłosy wybuchów, wybiega z domu i nadstawia uszu w nadziei, że nadszedł czas. Że alianci otworzyli tu drugi front, o którym mówił w radiu Stalin. W tym czasie jest już jasne, że wojsk Hitlera nie da się pokonać atakiem z morza i powietrza – alianci, żeby mieć szansę, muszą stworzyć front na europejskim stałym lądzie.

Operacja Barbarossa początkowo przebiegała z wielkim impetem i ogromną szybkością. Jednak pod koniec 1941 roku Hitler stracił siedemset pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a morale niemieckiego wojska spadło niżej niż zimowe temperatury. Minister propagandy Goebbels wygłasza w grudniu w niemieckim radiu patriotyczne przemówienie, w którym wzywa społeczeństwo do wysyłania na front ciepłych ubrań. „Ludzie w domach nie powinni zaznać spokoju, dopóki choć jeden żołnierz bez odpowiedniego wyposażenia na froncie będzie narażony na straszne zimno”. Wezwanie Goebbelsa zaowocowało dostarczeniem siedemdziesięciu sześciu milionów sztuk ciepłej odzieży, chociaż ludność cywilna Niemiec sama od dwóch lat cierpi z powodu racjonowania ubrań. Ale nie jest to już wojna błyskawiczna. Najpierw niespodziewanie Moskwa broni się do stycznia 1942 roku, a potem po długiej i przynoszącej sukcesy nowej niemieckiej ofensywie wiosną 1942 roku następuje słynna bitwa pod Stalingradem, trwająca od sierpnia 1942 do lutego 1943 roku. Ta krwawa bitwa symbolizuje punkt kulminacyjny pojedynku pomiędzy Adolfem Hitlerem a Józefem Stalinem, w którym obydwaj poświęcają miliony ludzi.

Jednak Janny nie ma pojęcia o tym, co się dzieje na froncie wschodnim, a także nie wie, że Hitlerowi nie udaje się tak łatwo przejść od fazy projektu do realizacji idei Lebensraumu. Wie tylko, że na lądzie nie pojawili się jeszcze alianci i że życie codzienne w Bergen staje się coraz trudniejsze. Zważywszy na okoliczności, z Robbiem jest jeszcze stosunkowo dobrze, ale Liselotte nadal często płacze, a ona nie wie dlaczego. Z Kathinką też są problemy, staje się

apatyczna. Panuje czerwonka, więc Janny i Lien bardzo się martwią o maluchy. Krąży pogłoska, że epidemia wybuchła w obozie wojskowym położonym nieco dalej i że ta choroba przenosi się na mieszkających w okolicy, dotykając przede wszystkim dzieci.

Kathinka choruje. Dziewczynka chudnie, cały dziecięcy tłuszcz zniknął i żebra zaczynają wystawać spod skóry. Lien jest bliska rozpacz, gdy dziecko zaczyna wypróżniać się krwią, ale Jan i Aleid Hemelrijk sprowadzają do domu zaprzyjaźnionego lekarza, który przepisuje dziewczynce leki i dietę złożoną z ryżu z cynamonem. Jan załatwia, co potrzeba, a rodzice ponad tydzień siedzą załęknieni przy łóżku dziecka, starając się dopilnować, by cokolwiek zjadło. W mieszkającej obok nich katolickiej rodzinie umiera dwoje z jedenaściorga dzieci. W chwili, kiedy Lien i Eberhard tracą już prawie nadzieję, Kathinka zaczyna jeść i wracać do sił, a kiedy wreszcie zjada kilka kęsów normalnego pokarmu dla dzieci, na twarzach jej rodziców znów pojawia się uśmiech.

Zima 1942 roku jest bardzo ciężka. Praktycznie nie można zdobyć jakichkolwiek produktów spożywczych, i o ile nawet w innych porach roku, kiedy zwierzęta mogły same troszczyć się o siebie, a natura była w rozkwicie, już było trudno, teraz pojawiają się ogromne problemy. Wcześniej siostry trafiły w lesie kurki i na szczęście, usmażone i przyprawione, dzieci jedzą je jak słodkie ciastko. Na wszelki wypadek nazbierały kilka koszyków tych grzybów i zrobiły z nich weki, Janny gdzieś usłyszała, że także ozorek dębowy jest bardzo pożywny i w ostatnich tygodniach roku żywią się głównie różnymi grzybami. Na szczęście potrafią z tego żartować.

- Co jecie dziś wieczorem? – pyta Bob, kiedy Eberhard wpada na chwilę.
- Befszyk z grzybów. A wy?
- Befszyk z grzybów.

W grudniu temperatura spada jeszcze bardziej; tendencja ta utrzymuje się w następnych tygodniach, aż do rekordowego zimna przy 27,5 stopnia poniżej zera. Mróz przenika ściany i domów nie daje się już niczym ogrzać. Jaap Brilleslijper prosi Jana Hemelrijka, żeby przyniósł piłę i siekierę, i spędza dni na ścinaniu drzew, rąbaniu ich na kawałki i noszeniu drewna obu siostrą, które bez przerwy palą w piecykach.

Janny i Eberhard nadal regularnie jeżdżą do Amsterdamu w związku z działalnością w ruchu oporu i dowiadują się o nowych łapanekach – jak dotąd największych. W październiku niemiecka SD przy pomocy holenderskiej policji w Amsterdamie i w całej prowincji zatrzymały już około piętnastu tysięcy Żydów, w listopadzie to samo spotkało kilkuset Żydów w różnych miejscowościach w prowincji Geldria. Wszyscy aresztowani są wywożeni do Westerbork, gdzie z powodu przybycia tak wielu nowych osób wybuchają panika i chaos. Nie tylko dlatego, że baraki są przez to przepelnione, ale też dlatego, że obecność niezliczonych kobiet, dzieci i starców zabija resztki wiary w tak zwane obozy pracy.

Sprawna deportacja może się udać tylko w atmosferze spokoju i porządku, a osoba na stanowisku komendanta obozu odgrywa decydującą rolę przy ich zapewnieniu. Obydwaj dotychczasowi komendanci Westerbork, Erich Deppner i Josef Dischner, byli sadystami, ludźmi nieprzewidywalnymi, swoim zachowaniem wywołującymi jedynie panikę. Więźniowie szybko wyciągali wnioski: skoro tak się traktuje ludzi w dawnym obozie dla uchodźców w Westerbork, to co nas czeka w nieznanym miejscu przeznaczenia? Nowy komendant obozu musi zaprowadzić spokój, żeby udało się wywieźć z Holandii planowaną liczbę deportowanych.

W październiku 1942 roku nowym komendantem zostaje SS-Obersturmführer Albert Konrad Gemmeker, mężczyzna o regularnych rysach twarzy gwiazdora filmowego i manierach dyrektora szkoły. Przychodzi z obozu internowania Beekvliet w brabanckiej wsi Sint-Michielsgestel, gdzie holenderska inteligencja przetrzymywana jest w charakterze zakładników. Włos nie spadnie im z głowy, dopóki ludność Holandii będzie posłuszna.

Gemmeker aksamitną ręką przywraca porządek w Westerbork. Wprowadza się do pięknego domu dla komendantów przy wejściu do obozu – okazałej drewnianej willi z dwuspadowym dachem i prostokątną oszkloną werandą. Rezyduje tam, jakby był prawdziwym burmistrzem, a Westerbork jego miastem, i każe obsługiwać się żydowskiemu personelowi. Dzień w obozie organizuje najnormalniej, jak to tylko możliwe, z pracą, dużą ilością sportu, przedstawieniami kabaretowymi oraz wieczorami muzycznymi. Są tu pralnia, szwalnia, a także duży ogród z roślinami uprawnymi, żeby mieszkańcy sami mogli się zaopatrywać w żywność.

Równie porządnie, jak życie codzienne, Gemmeker układa listy deportacji. Tygodniowe kontyngenty są ustalane w Berlinie i przekazywane do Hagi, skąd Gemmeker otrzymuje rozkazy. Podczas organizowanych raz na tydzień odpraw układane są listy osób do wywiezienia, przy czym Gemmeker korzysta w znacznej mierze z pomocy żydowskich pracowników i administracji.

W pierwszych miesiącach pociągi wyruszają w poniedziałki i piątki, od 1943 roku co wtorek. W każdym baraku oddzielnie ogłasza się, kto musi spakować swoje rzeczy, kto jedzie z członkami rodziny, a kto bez – pytanie, którego nikt nie śmie zadać, brzmi: co gorsze. Wszystko przebiega w napiętej, ale zorganizowanej atmosferze, łącznie z upychaniem podróżnych, gdy wagony są już przepełnione. Liczba głów zostaje policzona i wypisana wapnem na wagonie. Potem drzwi zamykają się na głucho i pociąg może ruszać. Gemmeker prowadzi w ten sposób sprawny system wywózki, dzięki czemu – ku zadowoleniu Berlina – do końca 1942 roku wysłała pociągiem z Holandii do Polski czterdzieści tysięcy Żydów. Z tego powodu wydaje uroczystą kolację.

Janny i Lien uświadamiają sobie, w jak wyjątkowej sytuacji się znajdują, mogą być wszyscy razem, podczas gdy większość rodzin w kraju została rozdzielona, o ile jeszcze ich nie wywieziono. Dzięki ruchowi oporu mają wystarczającą liczbę bonów, a Janny nie zamierza zaprzestać swojej działalności. Nie jest lekkomyślna czy naiwna, ale nie widzi innego wyjścia. Skoro trzeba walczyć, to trzeba walczyć.

Siostry starają się, żeby życie dzieci toczyło się jak najbardziej normalnie. Obchodzą nawet wszyscy razem Dzień Świętego Mikołaja w domu u Janny i Boba przy Buerweg, z Janem Hemelrijkiem przebranym za świątobliwego męża i Japiem jako Czarnym Piotrusiem. Przez chwilę wszystko jest jak dawniej, przed wojną, ale dobrze wiedzą, że to „dawniej” było, o dziwo, zaledwie dwa i pół roku temu. Tego wieczoru wszyscy są zrelaksowani i biorą udział w rytuałach tej bajkowej uroczystości, przeznaczonej niby tylko dla dzieci. Liselotte i Kathinka są zbyt małe, żeby rozumieć, ale kiedy Święty Mikołaj bierze na kolana Robbiego i mówi do niego specjalnie obniżonym głosem, chłopiec przygląda mu się wielkimi oczami i ani drgnie.

– Odebrało ci mowę, młody człowieku? – pyta Święty Mikołaj basem.

– Nie, wujku Janie – bąka chłopczyk, na co cała rodzina, łącznie ze Świętym Mikołajem i Czarnym Piotrusiem, wybucha śmiechem.

Robbie nic z tego nie rozumie i jest bliski płaczu.

– Powinni go zatrudnić w tajnych służbach – mamrocze zza sztucznej brody Jan Hemelrijk, przekazując chłopca Janny.

Kiedy zegnają się, zaczyna straszliwie lać. Srebrnoszare niebo otacza ciemne obrzeże, ale w oddali rozbłyskują gwiazdy zapowiadające pogodną noc. Lien i Eberhard wychodzą z Kathinką schowaną pod przeciwdeszczowym płaszczem ojca do swojego domku przy Breelaan, Jan i Aleid do ich domu przy Lindenlaan. Machając Świętemu Mikołajowi na pożegnanie, Bob gubi w strugach deszczu cenny woreczek z tytoniem. Szukają go oboje z Janny z rozbawieniem, aż kosmyki włosów przyklejają im się do twarzy, a kolana prześwitują przez materiał mokrych spodni – na próżno.

Kilka dni później Janny znajduje pod krzakami woreczek z przemoczonym i w połowie zgniłym tytoniem, ale nie powstrzymuje to Boba przed jego paleniem. W tamtych czasach nawet wyimaginowana przyjemność jest mile widziana.

SIOSTRY JANSEN

Wiadomość, że muszą opuścić domki, nie jest całkowitym zaskoczeniem, ale i tak dotyka ich bardzo mocno. 1 lutego 1943 roku z nakazu okupanta wszyscy mieszkańcy pasa wybrzeża od Den Helder do Hoek van Holland mają zostać usunięci przez chodzących od drzwi do drzwi niemieckich żołnierzy, ponieważ ma tam zostać zbudowany tak zwany Wał Atlantycki. Hitler wydał rozkaz stworzenia linii obrony wzdłuż wybrzeży północno-zachodniej Europy, żeby zapobiec inwazji sił alianckich – inwazji, na którą Janny tak czeka. Linia albo raczej łańcuch przeszkód i umocnień o długości aż pięciu tysięcy kilometrów ma sięgać od północnej Norwegii aż do południowej Francji. W tym celu wśród holenderskich wydm zostaną zbudowane tysiące bunkrów, ale także zapory przeciwczołgowe takie jak: wysokie betonowe ściany, wały z piasku i głębokie rowy. Trzeba wytyczyć nowe drogi do składów amunicji, pojawiają się stanowiska obrony przeciwlotniczej i pola minowe. Wszystkie wsie, do dziesięciu kilometrów w głąb lądu, muszą zostać opróżnione. Ta zapowiedź stanowi dramat nawet dla zwykłych mieszkańców obszarów nadbrzeżnych, natomiast dla ukrywających się jest znakiem, że znaleźli się w pułapce.

Dni poprzedzające nowy rok upływają bez niespodzianek. Janny próbuje nie pokazywać swoich obaw rodzicom i dzieciom, ale niepokój narasta nie tylko u nich w domu. Ludzie wokół zaczynają zwijać żagle, i to „normalni” ludzie, którzy mogą się oficjalnie przeprowadzać, a nie tacy jak oni, czyli przepędzani Żydzi czy niemieccy dezertery, którym grozi kara śmierci. Kiedy wozy używane do przeprowadzek i zapakowane aż po dach samochody opuszczają Bergen, codziennie nowa fala żołnierzy krokiem marszowym wkracza do wioski. Zajmują drewniane baraki w obozowisku niedaleko, a hałas, który powodują, nie pozwala Janny spać w nocy. Leży w łóżku z otwartymi oczami, z dłonią w dłoni Boba i gapi się w sufit. Nad ich głowami przelatują angielskie

samoloty ostrzeliwujące obóz w Bergen, a niemieccy żołnierze wybiegają z baraków, żeby odpowiedzieć ogniem.

Pewnej nocy zestrzeliwiają angielski samolot, który płonąc, spada na drewniane baraki i wszystko staje w płomieniach. Jakimś cudem Robbie i Liselotte nie budzą się, ale Janny, Bob, Jaap, Fietje i Joseph w piżamach zbierają się przy oknie w salonie oświetlonym przez morze płomieni, jakby to był piękny letni dzień. Stoją za zasłoną zeszywniali, mrużąc oczy z powodu jaskrawego światła. Bob i Janny wymieniają spojrzenia: żołnierze znajdują się bliżej Lien i Eberharda oraz Jana i Aleid. Następnego dnia okazuje się, że na szczęście nic im nie jest, ale jedno jest pewne: każdy dzień tutaj to o jeden dzień za dużo. Muszą poszukać innych domów.

Siostry z Bobem i Eberhardem zbierają się na naradzie kryzysowej. Kogo znają? Komu ufają? Jan i Aleid też muszą się przeprowadzić, nie mogą się więc do nich przenieść. Czy będą musieli się rozdzielić i oddać dzieci obcym? To ostatnie jest nie do pomyślenia – od razu odrzucają ten pomysł. Ale co wtedy? Tworzą dużą grupę i chcą, a nawet muszą, pozostać razem, żeby przeżyć. Nie ma możliwości, żeby zostali w Bergen, nie mogą wrócić do Hagi, a Amsterdam jest szczelnie zamknięty. Poza tym wiedzą już z całą pewnością, że jeśli ktoś trafi do Amsterdamu, to można stamtąd wyjechać wyłącznie do Westerbork.

W końcu postanawiają, że Janny i Eberhard wyruszą w drogę po kraju każde osobno, zdadzą się na los szczęścia, szukając leżących na uboczu miejsc i pustych domów. To lichy plan, ale jedyny, jaki mają.

Od Jana Hemelrijka, który ciągle szuka mieszkań dla ukrywających się, wiedzą, że rodziny gotowe kogoś przyjąć należą w miastach do rzadkości – to zbyt ryzykowne, jest zbyt mało miejsca, czyha za dużo nazistów i członków NSB, także holenderska policja ochoczo przyjmuje donosy o tym, gdzie przebywają Żydzi. Niezdecydowanie okazywane w pierwszych dwóch latach okupacji przez nieżydowską społeczność Holandii, czy odciąć się od żydowskich współmieszkańców, u większości ostatecznie zmieniło się w akceptację ich losu.

Od przyjaciół z ruchu oporu dowiadują się, że w Amsterdamie roi się od zdrajców bez munduru. Zwykłych obywateli, którzy wydają swoich sąsiadów, dawnych kolegów, nawet własną rodzinę. Przejęty przez nazistów dawny bank

Lippman, Rosenthal & Co., zajmujący się teraz rejestracją i w następstwie konfiskatą żydowskiego mienia, nazywany jest przez mieszkańców Amsterdamu „złodziejskim bankiem” i przeżywa prawdziwy rozkwit. W związku ze wzrostem liczby deportowanych Żydów jest coraz więcej pustych domów, a kolumna Henneickego pojawia się w nich szybko, żeby zinwentaryzować wyposażenie. Brygada Hausraterfassung staje się coraz ważniejsza. Jej członkowie jeżdżą po całym kraju, żeby sporządzać listy inwentarzowe opuszczonych pod przymusem domów. Czasem prześcieradła są wciąż jeszcze ciepłe, a na stole stoją filiżanki z herbatą, zdarza się, że panowie sumiennie wypełniają swoje obowiązki administracyjne w obecności dotychczasowych mieszkańców. Rodziny zmuszone są wtedy patrzeć, jak ich codzienne życie zamienia się w dokumentację, starannie przygotowaną – jak przystało na dobrych urzędników – w czterech egzemplarzach. Odpis listy wyposażenia idzie do Zentralstelle, jedna kopia podróżuje z wyposażeniem, inna zostaje w rękach członka kolumny na dowód wykonanej przez niego pracy, a kolejna zostaje przekazana rodzinie. Pokwitowanie, jako ostateczne wspomnienie jej normalnego życia, zanim zamknie za sobą drzwi.

Miejsce ma leżeć na uboczu, na tym muszą się skoncentrować. Dzięki aryjskiemu wyglądowi, fałszywemu dowodowi osobistemu i bezbłędnemu już teraz niderlandzkemu Eberhard nadal nie boi się podróżować, a Janny podczas podejmowanych dla ruchu oporu wypraw do Amsterdamu przeczesuje pobliskie wioski. Ustalają, że w zalesionym regionie het Gooi mają największe szanse na znalezienie czegoś, i każdego ranka Eberhard jeździ pociągiem do Hilversum, żeby odbywać stamtąd wyprawy rozpoznawcze.

Pewnego dnia udaje się przez Hilversum do Hollandsche Rading, maleńkiej wioski otoczonej zielenią. Ze stacyjki wychodzi na główną ulicę i dzwoni po kolei do wszystkich drzwi. Dzięki temu, że jest przystojny i wysoki, ma blond włosy, jasne oczy i jest elokwentny, ludzie rozmawiają z nim wprawdzie z pewną nieufnością, ale bez większego oporu.

– Może pan/pani wynajmuje pokoje? – zadaje ciągle to samo pytanie, a po nim: – A może wie pan/pani, czy tu w okolicy jest jakiś pusty domek letniskowy?

Nie może nic wskórać, chodząc od drzwi do drzwi, po kolejnych ulicach, aż na drugim końcu wsi trafia tylko na same drzewa. Jest grudzień, temperatura spadła poniżej zera i Eberhard, próbując rozgrzać przemarznięte palce, odrzuca rozpaczliwe rozwiązanie, które przebiega mu przez głowę, a mianowicie, żeby z całą rodziną zamieszkać w namiotach w lesie. Jednak las pociąga go, być może znajduje się tam domek myśliwski, jakaś pusta chata? Myśli o swojej rodzinie w Bergen, bierze się w garść i zanurza pomiędzy pnie drzew. Idzie długo przez las Baarn, nie spotykając nikogo i niczego. Po kilku godzinach szybkiego marszu kostnieje z zimna i chce się poddać, gdy nagle dostrzega wyraźną, piaszczystą ścieżkę. Nie śmie już mieć nadziei, że prowadzi ona do domu, ale kto wie, może dojdzie nią przynajmniej do stacji.

Zmierzcha się i Eberhard, chociaż obawia się rozczarowania na twarzach domowników, nie może przecież wiecznie szukać. Nagle coś prześwituje między drzewami – budynek, białe mury, długie wąskie okna zasłonięte żaluzjami; i w miarę jak się zbliża, ukazuje się przed nim gigantyczna willa. Dalej stoi kilka małych domków i po raz pierwszy tego popołudnia czuje krążącą w żyłach krew. Idzie do domku, w którym świeci się światło, i dzwoni do drzwi. Gdy się otwierają, jakiś mężczyzna patrzy na niego zdziwiony.

– Dobry wieczór panu. Widziałem ten duży budynek w lesie – Eberhard wskazuje głową w kierunku willi – i zastanawiam się, bo wygląda na niezamieszkaną, czy może wynajmują tam pokoje albo...

– Wykluczone!

Mężczyzna zamyka mu drzwi przed nosem, zanim jeszcze Eberhard zdąży dokończyć zdanie.

Niczego nie załatwiwszy, Eberhard wraca do Bergen, gdzie pozostali przy zgaszonym świetle czekają na jego powrót. Nie zadają pytań. Jego mina mówi wszystko. Jaap rozpala w piecyku i kiedy Eberhard się ogrzewa, zaczyna opowiadać o swoich przeżyciach, aż do nieprzyjemnego spotkania z mężczyzną, który odebrał mu ostatnią nadzieję. Lien i Jaap patrzą na siebie przez chwilę, a potem wybuchają śmiechem.

– Zwariowaliście? – Eberhard wpatruje się w swoją ukochaną. – Z czego tu się śmiać?

– Wiesz, co to było, ten duży budynek? – pyta Lien. Także ukrywający się u nich chłopak, Herbert, zaczyna teraz chichotać. Eberhard z trudem wzrusza ramionami.

– Pałac Soestdijk!^[14]

Minie jeszcze wiele lat, zanim także Eberhard dostrzeże komizm całej sytuacji.

Podczas Bożego Narodzenia atmosfera nie jest wcale radosna. Świąteczne dni zapowiadają zbliżający się nowy rok i ewakuację, a tu wciąż nie ma żadnych widoków na rozwiązanie. Wszyscy spotykają się u Janny i Boba. Nawet ich przyjaciel Frits Reuter i jego przyjaciółka Cor Snel podejmują ryzyko i zostają na noc. Będący jednym z przywódców amsterdamskiego oddziału nielegalnej partii komunistycznej Frits przekazuje im wiele wiadomości, ale z pewnością nie poprawia to ich nastroju.

13 grudnia NSB zorganizowało w filharmonii w Amsterdamie wielką uroczystość z okazji jedenastolecia swojego istnienia. W wypełnionej po brzegi sali ozdobionej flagami, sztandarami NSB i swastykami, komisarz Rzeszy Seyss-Inquart obwieścił, że Hitler uznaje holenderskiego założyciela NSB Antona Musserta za „wodza narodu holenderskiego”. Nad przyjmującym tę nominację Mussertem unosi się szpaler wyprostowanych prawych rąk.

Słuchają spokojnie i jedzą. Janny i Lien upiekły pączki i przygotowały posiłek składający się z ryżu, warzyw, mięsa i owoców. Późno wieczorem towarzystwo żegna Lien, Eberharda ze śpiącą mu na ramieniu Kathinką i Herberta, którzy wracają do swojego domku po drugiej stronie lasu. Całują się na dobranoc i kładą spać, w nadziei, że ta noc przyniesie cud, którego potrzebują.

I cud się zdarza. W momencie, kiedy Janny i Eberhard zamierzają zaprzestać swoich wycieczek na chybił trafił w zimowym mrozie, ponieważ trzeba podjąć przygotowania do przymusowego rozdzielenia rodziny – przychodzi z wiadomością Jan Hemelrijk.

– Mam coś. Tuż pod Amsterdamem, w lasach Naarden. Wolnostojący dom używany tylko latem przez dwie bogate panie. Powinien być wystarczająco duży dla was wszystkich, to jest adres tych pań.

Bob i Eberhard, po niespokojnej nocy, wyruszają o świcie do Amsterdamu, w swoich najlepszych garniturach, wyprężeni jak struny i z karteczką z adresem niczym różdżką przed sobą. Siostry Jansen mieszkają przy Minervalaan, eleganckiej ulicy pełnej okazałych budynków. Eberhard i Bob dzwonią do ich drzwi, trzymając w dłoniach los swoich ukochanych, dzieci i całej rodziny Brilleslijperów. Starają się ze wszystkich sił, żeby wyglądać jak najbardziej szarmancko i w sposób budzący zaufanie, dokładnie wyjaśniają swoją trudną sytuację – oczywiście w bezpiecznej wersji. W tych dniach nie można nikomu ufać, nawet osobom sprawiającym wrażenie przyzwoitych. Bob i Eberhard przedstawiają się zatem jako dwaj najnormalniejsi, nieżydowscy, młodzi Holendrzy mieszkający z rodzinami w Bergen, skąd muszą się wyprowadzić w bardzo krótkim czasie ze względu na budowę Wału Atlantyckiego. Swoją opowieść kończą wielce palącym pytaniem, czy mogliby wynająć do końca wojny dom letni w Naarden.

Panie wyraźnie ulegają urokowi tych grzecznych młodych mężczyzn, zgadzają się i zapraszają Boba i Eberharda, żeby przyjechali za dwa dni podpisać umowę najmu. Obydwaj szybko wracają do rodziny, czekającej u Janny na rezultat wizyty. Wygląda na to, że są uratowani, ale wcześniejsza myśl o konieczności rozdzielenia z dziećmi tak bardzo ich przytłoczyła, że nikt z nich nie potrafi z entuzjazmem przyjąć tej dobrej wiadomości.

Mają miejsce, ale nie mają oficjalnego pozwolenia na przeprowadzkę do het Gooi. Jediną osobą, która może spróbować je uzyskać, jest Bob. Cała reszta to Żydzi i – w przypadku Eberharda – dezerters. Zanim Bob zaczął się ukrywać, pracował dla Rijksbureau voor Voedselvoorziening [Krajowy Urząd Zaopatrzenia w Żywność] i właśnie tam Janny widzi ich jedyną szansę.

Dziewczyna natychmiast jedzie do Alkmaaru, a następnie do Hagi, żeby porozmawiać z właściwymi osobami. Pełna osobistego uroku, ale ze spojrzeniem nieuznającym sprzeciwu, załatwia, że Bob może wrócić do dawnej pracy, ale już w het Gooi. Zostanie zatrudniony w Weesp, wiosce pomiędzy Amsterdamem i Naarden. Podczas jej misji nikt nie wspomina o tym, że Bob jest poszukiwanym członkiem ruchu oporu, zatem podejrzenia Janny, że jako taki jest zarejestrowany tylko w Holandii Południowej, wydają się potwierdzać. Poza tym i tak muszą zaryzykować. Nie ma innej możliwości.

Z niezbędnymi dokumentami w torebce, którą kurczowo przyciska do siebie, wyrusza w drogę powrotną na północ. Jest piątkowe popołudnie i Janny miesza się z tłumem dojeżdżających do pracy, którzy właśnie spieszą do domów, żeby cieszyć się wolnym dniem. Jeśli pominąć jakąś zagubioną kobietę, wszyscy to mężczyźni. Kto nie musi podróżować, nie rusza się z domu, a na pewno nie o tak późnej porze. Kto nie ma spraw do załatwienia, nie szuka kontaktu. Janny kuli się i spogląda w okno. W zapadającym zmierzchu łąki stają się niewyraźne, a w szybie powoli pojawia się odbicie jej twarzy. Gładkie włosy założone za uszy, wystające kości policzkowe, na których skóra napina się jak płótno namiotowe, ciemne oczy. Odpowiedzialność za tych, którzy są od niej zależni, ciąży jej rzadko, ale teraz nagle czuje to brzemię. Bezsilność minionych tygodni, groźba rozdzielenia z dziećmi albo – jeszcze gorzej – schwywania... i co wtedy?

Ciążą jej napięte ramiona, a kiedy wypuszcza z płuc powietrze, ma wrażenie, jakby przez ławkę, na której siedzi, i podłogę wagonu spadała pod pociąg. Nagle czuje silne ukłucie w dole brzucha, pod torebką z ich liną ratunkową. Pochyla się i rozgląda, czy ktoś to zauważył. Ławki obok i naprzeciwko są puste, panowie siedzą blisko siebie nieco dalej – dzięki Bogu. Janny delikatnie wypuszcza powietrze z płuc. Jeszcze jedno ukłucie, teraz silniejsze. Dławi krzyk i udaje, że kaszle, zwija się wpół. Kiedy kaszle, wokół jej brzucha zaciska się jakby klamra i wyciska z niej życie na tyle, że nie może złapać oddechu. Jeden z mężczyzn na dalszym siedzeniu patrzy na nią przez chwilę i Janny próbuje jeszcze bardziej skulić się w rogu przy oknie.

Wtedy pomiędzy jej nogami rozchodzi się ciepło, całkiem przyjemne w tym zimnym wagonie. Ból zniknął, a ona czuje się słaba, stopy kołyszą się luźno nad podłogą w rytm stukotu kół na szynach. Ciepło znika, a na udach czuje lepkość. Janny unosi się nieco, przesuwając mokrą wełnianą spódnicę o pół obrotu do przodu i wpatruje się w ciemną plamę znajdującą się teraz na jej kolanach. Przykrywa plamę skórzaną torebką i opiera głowę o szybę, w której widać już tylko czarną ścianę. Od czasu do czasu punkciki światła tu i tam migają w oddali. Para jej oddechu pokrywa szybę, gdy ciepłe krople łez ściekają po policzkach i rozpryskują się na dłoniach.

Po przyjeździe do domu z trudem wyczarowuje uśmiech na twarzy, macha dokumentami, na które rzuca się Bob, i idzie do sypialni, żeby włożyć inne

ubranie. Wszyscy oddychają z ulgą, że dostali pozwolenie. O poronieniu nikomu nic nie mówi.

30 stycznia 1943 roku, dwa dni przed terminem ewakuowania pasa wybrzeża wokół Bergen, mężczyźni wracają do Amsterdamu i Eberhard, pod fałszywym nazwiskiem J.-J. Bos podpisuje umowę z panną C.M. Jansen na wynajem willi Wysokie Gniazdo przy Driftweg 2 w Naarden. Wysokość czynszu 112,50 guldenów miesięcznie za umeblowany dom, z zapewnieniem, że będą ostrożnie obchodzić się z meblami i nie będą używać eleganckiej zastawy stołowej.

– Nie zapomnijcie jako nowi mieszkańcy zameldować się u burmistrza Naarden, bo inaczej może się zdarzyć, że zarekwirują dom dla Niemców – mówi mimochodem jedna z właścicielek. Bob i Eberhard dziękują za radę i wymieniają szybkie spojrzenia: to byłaby po prostu katastrofa. Chcieliby już wyjść, jak najszybciej wrócić do rodzin i zacząć przygotowania do ewakuacji, ale siostrom miło rozmawia się z młodymi mężczyznami i zatrzymują ich w holu stylowego domu przy Minervalaan.

– Powiedz mi – prosi jedna z sióstr, kładąc rękę na przedramieniu Eberharda – nie mówisz tak, jakbyś był Hagi. Skąd pochodzisz?

To pytanie zadawano mu już nieraz.

– Wie pani – odpowiada konspiracyjnym tonem Eberhard – jako dziecko mieszkałem w Limburgii i obawiam się, że będzie to słychać do końca mojego życia.

Śmieją się we czworo i serdecznie rozstają.

Jeszcze ostatnia przeszkoda. Burmistrz Naarden Marinus van Leeuwen należy do NSB. Kiedy Bob spieszy już do Bergen, żeby pomóc w ostatnich przygotowaniach do przeprowadzki obydwu rodzin, Eberhard wsiada do pociągu do Naarden-Bussum. Stamtąd szybko rusza w kierunku Naarden, przechodzi przez most i zmierza prosto do urzędu gminy przy ulicy Marktstraat, naprzeciwko kościoła Grote Kerk.

Urząd gminy to piękny budynek składający się z dwóch połączonych domów, stojących ramię w ramię jak dwaj bracia. Jeden wyższy od drugiego, ale w identycznym stylu, z karbowanymi spiczastymi zakończeniami ściany

szczytowej, z otwartą wieżyczką z zegarem i wiatrowskazem od tyłu. W większym budynku, tym z lewej, znajdują się okazałe łukowate drzwi wejściowe, które Eberhard przekracza, czując suchość w ustach i mając całkowicie zeszywniałe kończyny. W środku przyjazna pani prowadzi go do pokoju burmistrza urzędującego za masywnym biurkiem z portretami Adolfa Hitlera i Antona Musserta z obu stron. Kiedy Eberhard wchodzi, burmistrz odsuwa krzesło do tyłu, wstaje i pozdrawia go wyciągniętym przed siebie ramieniem.

– *Heil Hitler!*

Eberhard myśli o Lien i Kathince, bierze się w garść i pierwszy raz w życiu odpowiada nazistowskim pozdrowieniem. Pokazuje dokumenty. Oficjalną umowę najmu, załatwione przez Janny pozwolenie na pracę dla Boba i zaświadczenie od lekarza z Bergen, w którym ten oświadcza, że „Kathinka Anita Bos, żeby wrócić do zdrowia po ciężkiej czerwonce, musi się przeprowadzić do wyżej położonej gminy Naarden”.

Van Leeuwen przerzuca obojętnie plik dokumentów, podczas gdy Eberhard próbuje zapanować nad rękami. Jego palce pocierają ciągle wewnętrzną stronę dłoni, jakby chciał przesunąć do przodu sekundy. Wtedy burmistrz zwraca się do niego:

– Dowód osobisty?

Eberhard kładzie przed nim dowód tożsamości na nazwisko Jean-Jacques Bos oraz dowody Lientje, czyli Antje Bos, z domu Sillevis, i Kathinki, czyli Anity Bos.

Za jego plecami zaczynają bić kościelne dzwony i Eberhard oddycha w rytm ich uderzeń. Wraca myślami do niepowodzenia na komisji po kuracji głodowej, do swojej ucieczki do Bergen, do Jana i Aleid, potem do Amsterdamu i znów do Bergen. To musi się udać. Jeśli coś teraz pójdzie nie tak, to oznacza koniec dla nich wszystkich.

– Zgoda.

Van Leeuwen przystawia na gminnych dokumentach potrzebną pieczęć, składa podpis na dole i dziesięć minut później Eberhard stoi przed urzędem. Patrzy w górę na kościół Grote Kerk w Naarden i pochyla głowę. Sam nie wie, przed kim czy przed czym.



WYSOKIE GNIAZDO

Dom nazywał się Wysokie Gniazdo i był położony przy Driftweg. Bardzo duży dom z dużym terenem wokół i kawałkiem lasu, który dochodził prawie do wody. Tam przeżyliśmy z naszymi ukrywającymi się wszelkie możliwe przygody, jakie człowiek może przeżyć.

Janny Brandes-Brilleslijper

1

WILLA W LESIE

Wszystko, czego pragnęli, to bezpieczne miejsce pozwalające przeżyć wojnę. Wojnę, której czasu trwania nikt już nie śmiał przewidywać. Najważniejsze: nie dać się oddzielić od reszty rodziny, zwłaszcza od dzieci, do czego zostało zmuszonych wielu ich przyjaciół i znajomych. Każde schronienie byłoby dobre, czy będzie to stodoła, czy hala fabryczna. Wszystkiego się spodziewali, tylko nie tego.

Kiedy docierają w pobliże podanego adresu, jest już ciemno. Wioskę Naarden minęli pewnie pięć, może dziesięć minut wcześniej; jakiś czas jechali przez wrzosowiska, potem przez las, tymczasem według opisu powinni już być na miejscu. Przez całą podróż siedzieli w całkowitym milczeniu, wykończeni napięciem i zmęczeniem, obawiając się zatrzymania. Kończy się utwardzona droga i przechodzi w piaszczysty dukt, wokół nich pojawia się coraz więcej drzew. Nie mają odwagi ruszyć dalej w obawie, że rozklekotany samochód do przeprowadzek ugrzęźnie w głębokich koleinach pozostawionych przez koła chłopskich wozów. Bob przekręca kluczyk w stacyjce i kiedy gaśnie światło reflektorów, a warkot silnika zamiera wśród drzew, spływa na nich dawno nieodczuwany spokój. Obłoczki oddechów w kabinie. Jako pierwszy do działania przystępuje Bob.

– Chodźcie. To musi być gdzieś tutaj.

Janny najpierw pomaga wysiąść z samochodu matce, a potem bierze na ręce Liselotte. Na dworze deszcz uderza w ich zmęczone twarze. Gałęzie drzew nad ich głowami skrzypią na wietrze, a odgłos kroków tonie w stertach liści wzdłuż duktu. Podążają nim jakiś czas, aż wydaje się kończyć ślepo na wysokiej czarnej ścianie. Las. Janny patrzy przez chwilę na Boba, który trzyma za rękę małego Robbiego, zbyt zmęczonego, żeby płakać. Bob wzrusza ramionami i idą dalej. Jaap bierze swoją matkę pod rękę i mocno trzyma. Fietje drży z zimna.

Reszta jest jeszcze w drodze: Eberhard z ojcem, Lientje z Kathinką. Nie mogli jechać wszyscy razem – to zbyt niebezpieczne.

Dopiero kiedy docierają do lasu, widzą ścieżkę biegnącą prostopadle do drogi, którą szli. Zaczyna się na małym wrzosowisku po ich prawej stronie i znika na lewo od nich w ciemnościach między drzewami. Bob daje znak głową i ruszają w las. Gdy tylko Janny wchodzi pomiędzy czarne pnie, opada z niej napięcie. Czuje się tu u siebie. Po prawej stronie ścieżki wyłania się ogromny cień. Wokół nich stękają gałęzie drzew kołyszących się w rytmie wiatru, jednak dom stoi krzepki i niewzruszony, jakby nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Przestało padać i nad otwartą przestrzenią, którą zostawili za sobą, słabe światło księżyca przeciska się przez zwały chmur.

Stoją bez ruchu na ścieżce i patrzą na dom. Oczy Janny przesuwają się w górę po mrocznej fasadzie, ku białej tablicy pomiędzy oknami parteru i pierwszego piętra, na której widnieją czarne litery układające się w słowa: WYSOKIE GNIAZDO.

Dom to solidny sześcian z trzcinowym dachem, stojący pośrodku rozległego rezerwatu przyrody pomiędzy wsiami Huizen i Naarden. Wszystko świadczy o tym, że nie chce mieć nic wspólnego z zamieszkanym światem: jest zwrócony w stronę natury i przeczy wszelkim zasadom architektury mieszczańskiej. Do drogi dojazdowej i ścieżki, które ich przywiodły, Wysokie Gniazdo stoi odwrócone plecami; wejście do głównego holu i drzwi do kuchni znajdują się z tyłu. Jeśli ktoś chce wejść do środka, musi najpierw podążyć dróżką w kierunku domu, a następnie wzdłuż jego boku na tył, a właściwie na przód, żeby zadzwonić do drzwi. Przez cały ten czas osoba przebywająca w domu doskonale widzi gościa dzięki oknom z każdej strony. Są one równomiernie rozmieszczone na parterze i pierwszym piętrze – mnóstwo szybek w białych obramowaniach, z krwistoczerwonymi okiennicami po obu stronach.

Po wejściu przez główne drzwi przybysze trafiają do królewskiego holu prowadzącego do trzech pokoi: na wprost salon i jadalnia z widokiem na front domu – czyli na ścieżkę – po lewej kuchnia, a po prawej dodatkowy pokój i toaleta. Na dole jest nawet telefon, i kiedy trochę dla żartu przykładają słuchawkę do ucha, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu słyszą, że nadal działa. Na pierwszym piętrze są cztery sypialnie i łazienka, a wyżej, pod trzcinowym dachem, strych rozciągający się nad całą powierzchnią budynku. Po obu

stronach dachu znajdują się wysokie na człowieka, półokrągłe okna, niczym u szczytu katedralnej wieży, ze spektakularnym widokiem na lasy i wrzosowiska wokół, i na miniaturową wersję Wysokiego Gniazda, która stoi przy domu: dużą szopę z trzciniowym dachem i identycznymi okienkami. Trzy kominy wznoszą się nad budynkiem niczym filary, nadając mu wygląd czegoś niezniszczalnego. To wprost idealne schronienie.

Tej nocy Janny po raz pierwszy od miesiący śpi jak niemowlę. Żadnych strzałów nad ich głowami, żadnych hałasów ze wsi, żadnego strachu przed żołnierzami, którzy zaczęli już ewakuację, żadnych zmartwień o to, gdzie będą musieli się udać, nic poza ciszą, która czyni jej ciało cięższym, przez co budzi się dopiero, gdy zimowe słońce ponownie odnajduje dom. Miejsce obok niej jest zimne; Bob zszedł już na dół i zabrał ze sobą dzieci, żeby jej nie obudziły.

Poprzedniego dnia wieczorem w ciszy i ciemności wnieśli do środka swoje rzeczy z auta. Po położeniu dzieci do łóżka czekali w napięciu w salonie na Lien i Kathinkę, a następnie na Eberharda i na ojca. Kiedy wszyscy bezpiecznie dotarli na miejsce, każde z nich poszukało sobie łóżka, zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać, zbyt ostrożni, aby zapalić lampę. Dopiero teraz Janny widzi dom od środka. Podpiera się łokciami i rozgląda dookoła.

Pomieszczenie skąpane jest w świetle, jedynie cienkie bawełniane zasłony przysłaniają wielkie okna po obu stronach strychu. Nad głową Janny widnieje kilkumetrowa kalenica wspierana przemyślną konstrukcją z belek. W rogu porcelanowa umywalka, lustro i szafka z ręcznikami. Szerokie deski pokrywają całą podłogę. Janny spuszcza nogi poza krawędź łóżka i rusza w kierunku okna. Delikatnie odsuwa zasłonę i wygląda na dwór. Pusto. Odślania ją całkowicie i staje bezwstydnie w oknie. Drzewa, wszędzie drzewa, jak okiem sięgnąć. Żadnego domu, żadnej ulicy, żadnego człowieka. Kąciki jej ust się unoszą. Od strony schodów docierają głosy z dołu, Janny odwraca się, schodzi szybko na dół, do dzieci.

Kiedy się tam pojawia, wszyscy się już krzątają. Jaap natychmiast zniknął w szopie, gdzie znalazł wystarczająco dużo materiałów i narzędzi, żeby urządzić sobie pracownię. Matka ściera kurz z parapetów, otwiera szeroko drzwi kuchenne; lodowaty prąd powietrza rozwiewa stęchły zapach drewna i wilgoci – dom stał pusty od końca lata.

Janny daje matce buziaka, wkłada płaszcz, wychodzi na zewnątrz i zastyga z wrażenia. Przed nią rozpościera się trawnik, duży jak w parku, z wysokimi krzewami, szpalerami brzoź, grupkami dostojnych drzew, okazałymi rododendronami i klombami. Zdumiona rozgląda się wokół. Tu i tam stoją ławeczki z kutego żelaza i drewna, niektóre zielone od mchu i w połowie zarośnięte, inne czyste i najwyraźniej nie tak dawno używane. Wysoko nad głową widzi na różnych drzewach domki dla ptaków, a nieco dalej opuszczony kurnik. Ogród, który rozciąga się przed nią, łagodnymi falami opada w dół. Dopiero teraz dostrzega, że dom wznosi się na wzgórzu, i aż sapie, że była tak niedomyślna – Wysokie Gniazdo. Budynek otaczają osobliwe wrzosowiska i lasy. Pośrodku trawnika znajduje się altanka, w której można posiedzieć przy herbacie, czworokątna z dwuspadowym dachem i dużymi oknami wokół. Stoi przy niej Lien z trójką dzieci, dobrze otulonych, w czapkach i szalach. Janny macha i rusza w ich kierunku. Robbie już ją zobaczył, na jego twarzy pojawia się uśmiech od ucha do ucha. Janny całuje go w czoło, gładzi Liselotte i Kathinkę po głowie i staje ramię w ramię ze starszą siostrą.

– O rany – mówi.

Odwrócone plecami do altany wpatrują się w Wysokie Gniazdo, jakby wznoszące się ponad otoczeniem.

– Dobrze, co? – stwierdza Lien.

Janny tylko kiwa głową. Ich sytuacja jest zbyt tragiczna, żeby się ekscytować, ale lepiej nie mogli trafić. Lien ruchem głowy wskazuje za dom.

– Następny znajduje się kilkaset metrów dalej.

Janny wpatruje się w otoczenie, ale nie może dojrzeć żadnego dachu ani śladów jakiegokolwiek ludzkiej obecności. Lien odwraca się i wskazuje ręką na najdalszą część ogrodu.

– A jak w tamtym kierunku pójdziesz prosto przed siebie, dojdiesz do morza.

Janny podnosi brwi i odrobinę przekrzywia głowę.

– Do morza?

– A może do jeziora, nie wiem, nazywa się IJsselmeer czy jakoś tak. Woda w każdym razie.

Chichoczą.

Janny wraca myślami do chwili, gdy tu przyjechali poprzedniego wieczoru, i próbuje się zorientować.

– Więc tam leży Huizen. – Wskazuje na widok na lewo od domu, ukazujący dzikie tereny wrzosowisk z kępami lasu. – A tam Naarden. – Na prawo jak okiem sięgnąć widać tylko drzewa.

W tym momencie z szopy wyłania się głowa Jaapa, który ma okulary na czubku nosa i lekki obłęd w oku. Siostry się śmieją.

– Hej!

Janny przerażona natychmiast zasłania usta ręką, ale Lien ją uspokaja.

– Nikt cię tu nie słyszy.

W Bergen byli sąsiedzi, przechodnie, żołnierze w pobliżu; zawsze znajdował się powód, żeby się nawzajem uciszać, zabierać dzieci do środka, gdy tylko któreś zaczynało płakać.

Jaap biegnie w ich kierunku, przyciskając do piersi górę drobiazgów.

– Zobaczcie, co znalazłem!

Pokazuje im swoje skarby, wyciągając przed siebie ręce. Młotek stolarski, pudełka z gwoździami, pudełko po cygarach, sznurek, plastikowy pokrowiec, kable z rozdzielonymi końcówkami, słuchawka telefoniczna ze spiralnym kablem bez aparatu. Dla Janny to rupiecie, ale wie, że nie może tego powiedzieć głośno. Oczy jej brata lśnią.

– Cała szopa jest pełna rzeczy, naprawdę musicie na chwilę zajrzeć. Zaczę składac radio, a potem zrobię coś dla dzieci, dobrze?

I już go nie ma, a kiedy się oddala, spodnie nieco mu opadają z chudych pośladków.

Janny i Lien rozmawiają o planach na następne kilka dni. Janny ma jakieś zadania od Mika i w ciągu dnia długo jej nie będzie, Bob zaczyna natychmiast pracę w Weesp, więc Lien i Eberhard muszą szybko poznać okolicę i zrobić zakupy dla licznej grupy. Rozmawiając, krążą wokół dzieci niczym pasterze w pobliżu stada i przyglądają się, jak z zaróżowionymi policzkami bawią się one w lesie. Dom znika z widoku, kiedy zapuszczają się coraz bardziej w głąb lasu, aż w końcu widzą już tylko krwistą czerwień okiennic błyskającą pomiędzy drzewami. Robbie wskakuje w stertę liści i rzuca dwie pełne garście

na głowę Liselotte, a ta głośno się śmieje. Kathinka wybiera szybszą drogę i nurkuje od razu w stercie, skąd Lien szybko ją wyciąga.

Tego popołudnia dzieci mają rumieńce na twarzy i są zmęczone zabawą na dworze, więc po raz pierwszy od miesiący cała trójka zasypia bez marudzenia. Po położeniu dzieci do łóżka Janny zagląda do ojca. Zastaje go w salonie, jak rozpala w piecu, żeby wypędzić zimno wpuszczone przez żonę wcześniej podczas sprzątanía. Uderza ją jego mizerny wygląd, zupełnie inny, niż zapamiętała z czasów, kiedy był jeszcze pulchnym hałaśliwym kupcem w Amsterdamie. Dziesięciodniowy pobyt w niemieckim więzieniu pozbawił go czegoś więcej niż tylko wolności. Do tego wszystkiego doszła forsowna podróż tutaj – właściwie zbyt ciężka dla niego; jego siły się wyczerpały. Janny bierze od niego polano i zmusza go, żeby usiadł na bujanym fotelu przy jednym z dużych bocznych okien z magicznym widokiem na las.

Zanim cała rodzina przeprowadza się do Wysokiego Gniazda, Eberhard kilkakrotnie sam przyjeżdża z częścią rzeczy do Naarden. Za pierwszym razem zabiera ze sobą Herberta, którego przekazuje osobie kontaktowej. Będzie ukrywał się gdzie indziej, bliżej rodziców.

Ilekoć Eberhard zbliża się ze sporym bagażem do Dworca Głównego w Amsterdamie, mocno oblewa go pot, ale fala ewakuowanych z okolic nadmorskich jest już tak duża, że zawsze udaje mu się zniknąć w masie. Trwa ogólnonarodowa przeprowadzka; mężczyźni i kobiety z dziećmi, dziadkami, zwierzętami i sprzętem domowym skołowani tłoczą się na peronach, niektórzy z konkretnym celem przed oczyma, inni jeszcze bez innego adresu w zapasie. Schody są przepełnione, a główna hala wypchana po brzegi, z żywymi rozgałęzieniami w kierunku placu przed dworcem: wprost idealnie dla Eberharda, który z torbami i walizkami ani przez chwilę nie zwraca na siebie uwagi. Przesiadka do stacji Naarden-Bussum, a stamtąd około pięciu kilometrów pieszo do Wysokiego Gniazda – głównie przez wrzosowiska.

Już za pierwszym razem, kiedy wszedł do willi, zobaczył pianino, ale za dużo się działo, żeby opowiedzieć o tym Lientje. Z pustymi rękoma powrót na stację Naarden-Bussum i do Amsterdamu, potem Alkmaar i tramwaj parowy Bello do Bergen. Po powrocie z ostatniego wyjazdu w charakterze jucznego osła zastaje ich letni domek ciemny i pusty, śmierdzi w nim wybielaczem, zasłony są

zaciągnięte. Zupełnie jakby nigdy tam nie mieszkali. Lien wyjechała z Kathinką, mając w głowie dokładne instrukcje od Eberharda.

Zamyka drzwi, wkłada klucz do skrzynki pocztowej przy głównym domu i idzie do bungalowu Janny po drugiej stronie rezerwatu jeleni, gdzie zastaje taki sam widok. Domek jest czyściutki, krzesła przysunięte do stołu, na dywanie nie leży ani okruszek, jakby nie bawiły się tam miesiącami małe dzieci. W ciemnym kącie salonu w fotelu czeka Joseph.

– Chodź – mówi Eberhard, oferując teściowi ramię.

Przez chwilę wydaje się, że Joseph nie ma najmniejszego zamiaru się podnieść. Odkąd uciekł z Amsterdamu i ukrył się w Bergen, nie opuszczał tego domku. Eberhard bierze go pod ramię i pomaga mu wstać; czas przestąpić próg ich następnej kryjówki.

W pociągu do Amsterdamu złe samopoczucie Josepha staje się coraz bardziej widoczne. Ciężko oddycha i bezustannie się rozgląda. Nie widząc zresztą zbyt wiele: po ostatniej, nieudanej operacji oka i mimo okularów ze szklami jak denka od słoików, nie potrafi odróżnić żołnierza od węglarza. Eberhard zaczyna się tym denerwować, ale nie może próbować uspokoić teścia, nie zwracając przy tym na siebie uwagi.

Kiedy pociąg wjeżdża na stację Amsterdam Główny, nad kanałami zapada już wieczór. Masa ludzi rozplywa się we wszystkich kierunkach i perony w większości pustoszeją. Eberhard myśli o tajniakach przy schodach i modli się, by ojciec się trzymał. Na peronie Joseph ociąga się trochę przed tablicą witającą przyjeżdżających do jego ukochanego miasta; Eberhard liczy się z tym, że Joseph może się wyrwać i ruszyć do domu, skręcić przy kanale w kierunku Weteringschans, potem za róg, przez drzwi wejściowe i na prawo do swojego bujanego fotela. Tę drogę zna na ślepo. Przytrzymuje go mocniej za ramię, ale zupełnie niepotrzebnie. Joseph odwraca się i w milczeniu idzie za nim do następnego pociągu.

Ostatnia część drogi okazuje się najtrudniejsza. Kiedy wychodzą ze stacji Naarden-Bussum, wita ich deszcz. Pada niezbyt intensywnie, ale za to nieprzerwanie; taki deszcz, którego się prawie nie zauważa, dopóki ciężki płaszcz nie zacznie nagle lepić się do ciała. Obydwaj są wykończeni i Joseph stawia małe, niepewne kroczki. Ale Eberhard się nie spieszy – to ich ostatnia wędrówka. Nieważne, czy zajmie im całą noc, ważne, żeby dotarli na miejsce.

Na początku mijają okna oświetlonych salonów^[15], ludzie siedzą na kanapach albo idą do kuchni, przekonani, że nikt ich nie obserwuje. Beztroscy ludzie. Kiedy zostawiają już za sobą zabudowany obszar Naarden, domy się przerzedzają i światła pojawiają się z coraz większymi przerwami. Na dworze jest śmiertelnie cicho, tylko delikatne bębnienie kropel deszczu po asfalcie podąża za nimi i zmywa ich kroki. Szkła w okularach Josepha są zaparowane, strużki wody spływają po jego czole, a następnie po szklach na policzki, ale jego spojrzenie skierowane jest w ziemię, a on pozwala się prowadzić Eberhardowi.

Po ponadpółgodzinnym marszu ramię w ramię w ciszy, słyszą za sobą zbliżające się rytmiczne popiskiwanie. Przystają i Eberhard czuje, jak dreszcz przebiega ciało teścia. Nie wie, czy z zimna, czy ze strachu. Wpatruje się w ciemność i zastanawia, czy powinien wciągnąć Josepha w krzaki. W tym momencie rozpoznaje dźwięk pedałów rytmicznie ocierających się o błotnik i delikatny szelest rowerowej opony na mokrej nawierzchni. Pochylona sylwetka mija ich w odległości jakichś dwóch metrów, rowerzysta nie zauważa ich w ciemności i spokojnie odjeżdża.

Eberhard nie wie, jak długo trwa ta podróż, ale kiedy w końcu pukają do drzwi Wysokiego Gniazda, po napiętych rysach twarzy domowników widzi, z jakim przejęciem czekają. Wszyscy siedzą w salonie przy zaciągniętych zasłonach. W migotliwym blasku świecy dostrzega głębokie bruzdy wokół ust Fietje. Teściowa z wdzięcznością przejmuje od niego męża i delikatnie osusza mu twarz ręcznikiem. Później Eberhard wyzna Lien, że był to jeden z najbardziej przerażających wieczorów w jego życiu. Ale się im udało. Całej dziesiątce.

Tak właśnie na początku lutego 1943 roku powstaje w Wysokim Gnieździe wyjątkowy dom rodziny Brilleslijperów – miejsce dla gości, kryjówka i ośrodek ruchu oporu. Od połowy 1942 roku pociągi jeżdżą nieprzerwanie do obozu przejściowego Westerbork i dalej, a w całej Holandii Żydzi, którzy zdecydowali się nie podporządkować wezwaniom, szukają miejsc, gdzie mogliby się ukryć. W trzecim roku okupacji agresja nie ma już żadnych granic, a nazistowska ideologia znajduje posłuch nawet bez gróźb ze strony Niemców. Pewien młody policjant z Groningen powiedział kiedyś: „Co by to była za niedziela,

gdybyśmy wcześniej nie skatowali paru Żydów”. Jednak wielu holenderskich nie-Żydów niesie pomoc. Tyle że proporcje zawsze są zaburzone. Ukrywający się zdają sobie sprawę, że korzystają z zapasów jedzenia pomagającej im rodziny i żyją w przestrzeni przeznaczanej nie dla nich. Dzieci dołączone do obcej rodziny czują, że nie mogą być uciążliwe; łaska udzielającej schronienia pani lub pana jest jak linia życia, która w każdej chwili może zostać przecięta.

Janny i Bob oficjalnie przeprowadzili się z dwójką swoich dzieci do Naarden, ale reszta znajduje się tu nielegalnie i jest poszukiwana. Joseph i Fietje jako Żydzi już dawno powinni zgłosić się w Amsterdamie. Jaap dlatego, że jest Żydem oraz z powodu współpracy w przechowalni rowerów z ruchem oporu. Eberhard dlatego, że jest niemieckim dezertorem i dopuścił się „pohańbienia rasy”, mając dziecko z żydowską kobietą. Lien dlatego, że jest Żydówką i że podejrzewa się ją o udział w zniknięciu Eberharda. Janny ma szczęście, że nie znalazła się – jeszcze – na celowniku ze względu na swoją działalność w podziemiu, nie zarejestrowała się jako Żydówka i wzięła ślub z Bobem wtedy, kiedy nie było to zabronione.

Chociaż deportacje z Holandii wskutek nienagannie działającej administracji i wzorowej logistyki przebiegają niesłychanie sprawnie, dla Niemców jest jasne, że brakuje wielu Żydów. Zniknęło około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi; nie zgłosili się, a miejsce ich zamieszkania czy pobytu jest nieznane. W marcu 1943 roku, miesiąc po tym, jak rodzina Brilleslijperów wprowadziła się do Wysokiego Gniazda, do znalezienia tych tysięcy zaangażowano ochotników Henneickego, którzy ze swojej siedziby przy Adam van Scheltemaplein w Amsterdamie jeździli po całym kraju, żeby przeprowadzać inwentaryzację dobytku wywiezionych Żydów. To nowe zadanie – polowanie na ukrywających się Żydów – jest przedłużeniem wcześniejszych obowiązków, tyle że o wiele bardziej lukratywnym, opłacanym po siedem i pół guldenu od głowy.

„WOLNY ARTYSTA”

W podziemiu szybko rozchodzi się wieść o tajnym, bezpiecznym miejscu, położonym na obszarze wydm pod Amsterdamem i prowadzonym przez dwie żydowskie siostry. Zaraz po wprowadzeniu się do Wysokiego Gniazda Janny zaczyna przyjmować tam więcej ludzi w potrzebie. Jej przyjaciółka Trees Lemaire, z którą nadal pracuje dla nielegalnej centrali dowodów osobistych, prosi ją o przyjęcie znajomej Jetty Druif i jej narzeczonego Simona van Krevelda, syna znanego pediatry. Z polecenia Haakona i Mieke Stotijnów przychodzi dziewczyna Pauline van den Berg-Walvisch; ze swoimi rudymi włosami, stalowoniebieskimi oczami i rotterdamkim akcentem wyjątkowo rzuca się w oczy. Ma pseudonim Aagje Honing i wprowadza się do nich jako ich służąca. Z Hagi przyjeżdżają do Naarden przyjaciele Boba i Janny: starsze małżeństwo Bram i Loes Teixeira de Mattosowie z córką Ritą i zięciem Willim Jaegerem.

W lutym 1943 roku gospodarstwo domowe składa się już ze stałego rdzenia złożonego z siedemnastu osób, uzupełnianego nieprzerwanym napływem odwiedzających, którzy szukają na krótszy lub dłuższy czas kryjówki: na kilka dni, kilka tygodni albo miesięcy. Joseph upomina córkę, żeby była ostrożna, ale Janny nie chce ustąpić, a on nie chce jej tak naprawdę powstrzymywać. Potrzeby są zbyt duże. Coraz trudniej znaleźć gdzieś miejsce; ludzie się boją. Janny też się boi, ale nigdy nikomu nie odmawia pobytu w Wysokim Gnieździe, nawet wtedy, gdy chwilami mają w domu ponad dwudziestu, a nawet dwudziestu pięciu ukrywających się.

Większość pochodzi z kręgu artystów, znajomych Lien i Eberharda, oraz z kręgu ruchu oporu, skupionego wokół Janny i Boba. Dom znajduje się w centralnym punkcie kraju i dzięki temu jest idealnym chwilowym przystankiem dla ukrywających się, którzy jadą dalej, i dla członków ruchu oporu. Jan i Aleid Hemelrijkowie przyprowadzają od czasu do czasu gości. Również amsterdamscy sąsiedzi państwa Brilleslijperów, mieszkający nad nimi

Leo Fuks i jego żona Loes, znajdują w Wysokim Gnieździe schronienie na jakiś czas.

Leo jest specjalistą od języka jidysz i zaczyna dawać lekcje Lien. Znają się jeszcze ze stowarzyszenia kulturalnego robotników żydowskich ze Wschodu Sch.-Anski^[16], które przed wojną koncentrowało się na rozwoju literatury, sztuki i teatru w jidysz. Leo był jego sekretarzem, a Lien poznawała pieśni w tym języku, w których później będzie się specjalizowała. Przed wojną pod pseudonimem artystycznym Lin Jaldati występowała w całej Holandii jako solistka, przeważnie akompaniował jej Eberhard. Swój sceniczny pseudonim zapożyczyła z hebrajskiego tekstu piosenki: *Jalda jaldati, jafa jafati* [Dziewczyno, moja dziewczyno, piękna, moja piękna]. Od początku okupacji możliwości występów stawały się jednak coraz bardziej ograniczone, a w ostatnich miesiącach w Bergen w ogóle nie muzykowano. Eberhard nie miał do dyspozycji pianina, a Lien nie była w nastroju do śpiewania i tańczenia. Byłoby to zresztą zbyt niebezpieczne. W zasadzie Wysokie Gniazdo można nazwać fortecą: z zewnątrz dom wygląda ciężko i solidnie, ale wewnątrz jest jasny i przestronny i po raz pierwszy od długiego czasu mieszkańcy czują się w nim na tyle wolni, by móc żyć i się ruszać. Ostrożnie zaczynają znów głośniej mówić i się śmiać, Eberhard zawłaszcza pianino w salonie i przygarbiony siedzi godzinami nad skomplikowanymi partyturami, a Lien powraca do swojego repertuaru. Także inni mieszkańcy mają śmiałość muzykować: na pierwszym piętrze Simon gra na perkusji, którą znaleźli w szopie, a Pauline, czyli Ruda Puck – jak ją nazywają – ćwiczy na skrzypcach w ogrodowej altance. W szczytowym momencie wojny w Wysokim Gnieździe słyhać więcej dźwięków niż podczas wszystkich letnich pobytów sióstr Jansen łącznie. Czasem, kiedy Janny po długim dniu spędzonym na wypełnianiu zadań dla ruchu oporu, wraca po południu do domu i przez las zbliża się do Wysokiego Gniazda, zanim ujrzy dom, witana jest strzępami kakofonii, jakby las i zwierzęta śpiewały dla niej z rytmicznie dochodzącym bębnieniem z wnętrza ziemi.

Ponieważ w Wysokim Gnieździe przebywa zwykle ponad dwadzieścia osób, niełatwo wykarmić tyle gąb. Decydująca w tym wszystkim jest rola Boba: to on zarabia pieniądze. Każdego ranka o świcie wyrusza na rowerze do biura

dystrybucji artykułów żywnościowych w Weesp. Rower to luksus, którym cieszyć się mogą już tylko nieliczni Holendrzy. Wszystkie rowery należące do Żydów zostały rok wcześniej skonfiskowane, ale również nie-Żydzi muszą coraz częściej oddawać swoje rowery niemieckim żołnierzom. Wszystko, co ma koła, jest cenne: wózki dziecięce, taczki, własnoręcznie zrobione rowery z wózkiem bagażowym i pojazdy jednokołowe. Ludzie próbują zapobiec skonfiskowaniu rowerów, przerabiając je na dziwne konstrukcje, na przykład modele z drewnianymi oponami albo z kołem od hulajnogi z przodu – Niemcy kręcą na nie nosem. Ale Bob dostał od burmistrza Naarden specjalne pozwolenie na rower, w którym jest napisane, że potrzebuje go „jako urzędnik Organizacji ds. Zapobiegania Kryzysowi w Rolnictwie do wykonywania swojej funkcji”. Rower jest na wagę złota i oszczędza im mnóstwo czasu, gdy tylko Bob wraca po południu z pracy do Wysokiego Gniazda, od razu mu go zabierają i jeżdżą na nim do okolicznych wsi po ciężkie torby ryżu, mąki albo butelki mleka dla całego towarzystwa.

Szef Boba jest kierownikiem miejscowego biura komisarza do spraw żywności dla Holandii Północnej, ale także członkiem NSB, i nie można go wtajemniczyć. Bob przywłaszcza sobie codziennie oficjalne bloczki i pozwolenia z niezbędnymi pieczęciami, dzięki którym mogą dostać artykuły spożywcze i je przewozić. Kontrole są surowe, bez dokumentów w tych dniach nigdzie już się nie można dostać. Janny i Bob przekazują te dokumenty Mikowi van Gilsemu albo Fritsowi Reuterowi, którzy rozprawdzają je po kraju.

Bob dostaje sto pięćdziesiąt guldenów wypłaty miesięcznie – o wiele za mało, żeby opłacić wynajem i pożywienie dla wszystkich. Niektórzy ukrywający się przynoszą ze sobą trochę pieniędzy, ale potrzeba znacznie więcej, żeby utrzymać tyle osób. Kiedy Mik następnym razem odwiedza Wysokie Gniazdo, przedstawia niespodziewane rozwiązanie w postaci bezpośrednich kontaktów Wysokiego Gniazda z największym w Holandii producentem piwa.

Mik zawsze cieszy się, kiedy przyjeżdża do Naarden. Las, dom wypełniony przyjaciółmi, którym może zaufać, niczym wspólnota ruchu oporu w czasie wojny. Ale także panujący tu spokój dobrze mu robi. Przede wszystkim spokój. Ma dopiero dwadzieścia sześć lat, ale nie zna nic innego poza stresem

i niebezpieczeństwem. Kiedy, po przejściu kontroli, wsiada do pociągu na Dworcu Głównym w Amsterdamie i zajmuje wygodne miejsce w jednym z przedziałów, które z każdym miesiącem wydają się coraz bardziej puste, czuje, jak napięcie opada z jego wąskich ramion. Wcześniej dojrzały dwudziestolatek dźwigający na barkach zbyt wielką odpowiedzialność – to właśnie on. Bardzo przypomina w tym Janny.

Już we wczesnej młodości Mik wyjeżdżał do Hiszpanii, żeby jako dziennikarz relacjonować przebieg hiszpańskiej wojny domowej, a jego brat Janrik wstąpił do partii CPN. Ich credo brzmiało: „Nigdy nie lekceważ przeciwnika i zawsze miej się na baczności”. Działania Mika w ruchu oporu znajdują posłuch, wygląda na to, że dołącza do niego coraz więcej ludzi, a założone przez niego nielegalne stowarzyszenie artystów, które wydaje czasopismo „Wolny Artysta”, również dobrze sobie radzi.

„Wolnego Artystę” stworzył Mik z ojcem, kompozytorem Janem van Gilsem, i jego przyjacielem, rzeźbiarzem Gerritem van der Veenem, w celu zmobilizowania oporu przeciwko Holenderskiej Izbie Kultury^[17]. Wielu do nich dołączyło – liczący się pisarze, malarze, muzycy, dziennikarze – i kilka mających osób, przyjaźnie do nich nastawionych, które ofiarowały pieniądze, żeby wesprzeć inicjatywę. Artyści, którzy nie zapisali się do Izby Kultury, nie mieli przecież żadnych dochodów.

Jednak wkrótce jego działalność zaczyna za bardzo rzucać się w oczy. Mik działa bowiem zarówno w „Wolnym Artyście”, jak i w PBC oraz grupie ruchu oporu CS-6, gdzie razem z przyjacielem Gerritem Kasteinem wymyślają akcje sabotażowe. Niemiecka Sicherheitspolizei depcze im już od jakiegoś czasu po piętach, ale jak dotąd zawsze udawało im się ją przechytryć. W Wysokim Gnieździe Mik może trochę odetchnąć.

Dziś zabrał ze sobą dla rodziny Brilleslijperów najnowszy egzemplarz „Wolnego Artysty”. Papier szeleści przy każdym ruchu pod paskiem spodni. Wydrukowali kilka tysięcy, fantastyczny nakład, który przechodzi z rąk do rąk. Nikomu nie wolno zatrzymać egzemplarza dla siebie, musi dotrzeć do jak największej liczby ludzi. TO CZASOPISMO JEST NIE TYLKO DLA CIEBIE – PODAJ DALEJ – głosi nadruk. „Wolny Artysta” tymczasem stał się pełnowartościową gazetą ruchu oporu, wspieraną, tworzoną i czytaną przez wpływowych artystów i dobrze sytuowanych sponsorów. Myśl o tym wypełnia Mika na chwilę dumą

i optymizmem, ale chłopak zaraz blednie, kiedy przypomni sobie o niebezpiecznym planie, który opracowują razem z Gerritem van der Veenem i kilkoma innymi przyjaciółmi z podziemia.

Przy Plantage Kerklaan 36, obok wejścia do ogrodu zoologicznego Artis, znajduje się amsterdamski rejestr meldunkowy. To też miejsce, gdzie są złożone dane około siedemdziesięciu tysięcy Żydów: administracyjna siła napędowa nazistowskich pociągów. Organizacja PBC dokłada starań, aby wyposażyć w fałszywe dowody osobiste jak najwięcej Żydów, jednak to nie wystarczy. Odkąd w 1940 roku wprowadzono obowiązek identyfikacji, a w 1941 roku dowód osobisty, Żydzi są zakładnikami administracyjnych zasobów holenderskich urzędników. Gerrit wpadł na pomysł, że jedna akcja może rozwiązać ich problemy: wysadzenie rejestru meldunkowego. Bez ofiar w ludziach – to najważniejsze. Ale to skomplikowane zadanie. Nocami analizuje wszelkie możliwe sposoby wykonania takiej akcji, ale jeszcze nie znalazł idealnego rozwiązania.

Mik wysiada na stacji Naarden-Bussum, zostawia za sobą po lewej przystanek tramwajowy i rusza w długą drogę do Wysokiego Gniazda. Jest zimno, ale on płonie z napięcia i rozkoszuje się urokami otaczającej go przyrody. Wiosna zapowiada swoje nadejście ciężkimi pąkami, które pojawiły się wszędzie na drzewach.

Po serdecznym przywitaniu z Lien, Jaapem, Josephem i Fietje – Janny i Bob są gdzieś w drodze – Mik i Eberhard pozostawiają za sobą kipiący życiem dom i idą leśną ścieżką w kierunku wody. Eberhard widzi, że Mik nie posiada się z radości z jakiegoś powodu, więc gdy tylko znajdują się pod osłoną drzew, przerywa bląhą pogawędkę i obejmuje go ramieniem.

– Wyrzuć z siebie to, co chcesz mi powiedzieć.

– Czy to aż tak bardzo widać?

Mik śmieje się i rozgląda, jakby wiewiórki mogły ich podsłuchać, a następnie zniża głos.

– Słuchaj. „Wolny Artysta” radzi sobie doskonale. Właściwie stał się rozgałęzioną nielegalną organizacją, z licznym gronem sympatyków wśród artystów i ludzi z pieniędzmi, którzy chcą coś zrobić, ale nie wiedzą jak.

Eberhard przytakuje.

– Mamy wspaniałego nowego sponsora. Nigdy nie zgadniesz, kto to jest.

Idą dalej, a Eberhard unosi brwi, ciekawy, co to za nazwisko.

– Wielki król piwa, Heineken.

Mik spogląda wyczekująco, żeby sprawdzić, jak Eberhard przyjął jego wiadomość. Ten staje i odwraca się do niego.

– Poważnie?

– Tak – mówi Mik. – Dyrektor Dirk Stikker obiecał nam milion guldenów. Milion!

Obaj aż zaniemówili pod wrażeniem tej niewyobrażalnej kwoty i idą dalej, wspinając się na pagórek tworzący ostatnią przeszkodę między lasem i wodą. Z trudem łapią powietrze, kiedy ich buty szukają odparcia w miłkim piasku.

– No – mruczy Mik pod nosem, podążając na górę dużymi krokami śladem Eberharda – w końcu zarabia wystarczająco dużo na tych złopiących piwo Niemcach.

Na szczycie pagórka stoją obok siebie w ciszy, próbując uspokoić oddech. W dole, za pasem piasku i trzciny znajduje się jezioro IJsselmeer. Zimno, ale bezwietrznie. Tafla wody jest nieruchoma i szara, a niebo wyjątkowo czyste, bez jakiegokolwiek chmury.

Mik przerywa ciszę.

– Od tej chwili ty i Lien, jako nielegalni artyści, będziecie dostawać stały miesięczny zasiłek od „Wolnego Artysty”, żebyście mogli wyżyć.

Na chudej twarzy Eberharda pojawia się szeroki uśmiech. Wcześniej opowiedział Mikowi, jak mu źle z tym, że każdy musi coś dołożyć, żeby rozrośnięte gospodarstwo domowe w Wysokim Gnieździe mogło istnieć. Bob zarabia pieniądze dla swojej rodziny, większość ukrywających się coś dorzuca, jedynie on, Lien, Jaap, Joseph i Fietje są odcięci od dopływu pieniędzy. Cała kwota jest przeznaczona nie tylko dla Eberharda i Lien, ale dla całej rodziny Brilleslijperów – tego Mik nie musi mu mówić.

– A zatem załatwione.

Z ramionami rozpostartymi jak skrzydła ptaka Mik zbiega ze wzgórza. Eberhard idzie jego śladem. Skręcają w prawo na ścieżkę, która prowadzi ich wzdłuż wody w kierunku Huizen.

Przed wyjazdem Mik daje mu adres osoby kontaktowej w Laren, gdzie Eberhard może co miesiąc odbierać pieniądze.

– Będzie ci dawał też kradzione karty na artykuły spożywcze, które możesz przeznaczyć dla rodziny – mówi szeptem Mik, kiedy obejmują się na pożegnanie – ale nie mów o tym nikomu, dobrze?

3

SĄSIEDZI

Pewnego dnia Janny dostaje przesyłkę z urzędu gminy. Burmistrz Naarden chce z nią rozmawiać na temat nieprawidłowości w jej dowodzie osobistym i Janny musi się zgłosić w siedzibie gminy, w pięknym budynku naprzeciwko kościoła Grote Kerk. Idąc tam od strony wrzosowiska pomiędzy nagimi, ale obiecująco rozkwitającymi drzewami, znów zdaje sobie sprawę, jak to właściwie blisko. Gdyby ten człowiek wiedział, co się wyprawia w jego własnych lasach.

Tak jak uprzedził ją Eberhard, w gabinecie gapią się na nią zgodnie Mussert, Hitler i burmistrz. Kolana Janny są jak z wosku. Van Leeuwen nie traci czasu.

– Pani Brandes, coś jest nie tak z pani dokumentami.

Skronie pulsują, a plamki tańczą przed jej oczami, ale Janny to lekceważy, udaje Greka i gapi się głupio na mężczyznę.

– Istnieją dwa dowody tożsamości na pani nazwisko. Wydaje mi się to niemożliwe, a pani?

Janny zdecydowanie kręci głową i zastanawia się, jak to się mogło stać. Przychodzi jej do głowy jedynie, że osoba, z którą kontaktuje się w urzędzie stanu cywilnego w Amsterdamie, nie zniszczyła jej oryginalnego dowodu osobistego. To by wyjaśniało, dlaczego teraz są dwa: oryginalny i egzemplarz, który został wystawiony później z nowymi, sfałszowanymi danymi. Już po niej. To już koniec. Próbuje przełknąć ślinę, ale jej gardło jest zbyt suche.

– Pani Brandes – mówi burmistrz – ma pani szczęście, że wiem, kim jest pani mąż, i bardzo go cenię jako urzędnika, inaczej musiałbym to zgłosić. Rozumie pani?

Przez chwilę Janny myśli, że źle go zrozumiała, i patrzy pytająco na burmistrza, ale potem się otrząsa. Plamki przed oczami znikają, a pulsowanie schodzi do nadgarstków.

– Oczywiście. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale zajmę się tym.

– Proszę to zrobić.

Krótkie skinienie głową i burmistrz odwraca się na znak, że rozmowa jest skończona.

Już na zewnątrz Janny opiera się plecami o ścianę kościoła i próbuje złapać oddech. Kręci się jej w głowie i jeśli straci kontrolę nad sobą, zacznie chichotać. Zatyka ręką usta, świadoma, o co się właśnie otarła, i zastanawia się – jak to się mogło stać?

Wraca myślami do tamtego dnia zimą ubiegłego roku. Pojechała z Liselotte w wózku i Robbiem trzymanym za rękę z Hagi do Amsterdamu, żeby odebrać paczkę dla partii. Nie wiedziała, co w niej było, ale stwierdziła, że jest dość ciężka. Owinęła paczkę w płótno żaglowe i schowała pod materacykiem w wózku. Wózek oddała do przedziału bagażowego w pociągu, a sama z dziećmi – mając pokwitowanie, zajęła miejsce w normalnym przedziale. Kiedy wysiadała w Hadze i chciała odebrać wózek, okazało się, że zgubiła pokwitowanie. Pamięta, jakby to było wczoraj: stała na zimnym peronie w strugach deszczu, trzymając jedno dziecko na rękę, a drugie za rękę, i widziała, jak pracownik kolei gapi się na nią, gdy w panice przeszukiwała kieszenie swoje i dzieci. W tym celu zdjęła pospiesznie rękawiczki – i wtedy wyleciał z nich kwitek. Miała ochotę napluć sobie w brodę. Zamiast tego wyczarowała na twarzy uśmiech, podała pracownikowi pokwitowanie i odebrała wózek z przemycaną paczką. Położyła córkę w wózku i ruszyła jak najspokojniej do domu. Kiedy mijała dom towarowy Bijenkorf, w odbiciu szyby zobaczyła idących za nią dwóch mężczyzn w długich płaszczach przeciwdeszczowych. Trącenie w ramię.

– Proszę dowód osobisty.

Podczas gdy jeden przeglądał jej dokumenty, drugi lustrował ją od stóp do głów. Janny próbowała utrzymywać sama przed sobą, że jest zwykłą matką, która chciałaby już iść z dziećmi do domu, ale miała wrażenie, że umrze na miejscu.

– Brilleslijper. Nie jest pani Żydówką?

– Ależ skąd. Moja matka nazywa się Gerritse i nie jest Żydówką. Mój ojciec nazywa się Brilleslijper. Jest pół-Żydem i mieszka w innym mieście.

Cisza trwała długo, a deszcz nie przestawał padać. Nie przeszkadzało jej to, byle tylko mogła już zabrać stąd dzieci. Liselotte zaczęła płakać, ale Janny nie

miała odwagi podnieść jej z wózka; dziewczynka stanowiła warstwę ochronną dla jej nielegalnej misji.

Skinienie głową – może iść dalej. Frits Reuter powiedział jej później, co znajdowało się w tej ciężkiej paczce: rozebrany na części karabin maszynowy dla ruchu oporu.

Po tym incydencie kontakt zmienił jej dowód osobisty. Jedyne, co jej teraz przychodzi do głowy, to podejrzenie, że zapomniał wtedy zniszczyć oryginalny dokument.

W Wysokim Gnieździe ojciec czerwienieje ze złości, kiedy Janny opowiada, co się stało. Wymachuje palcem tuż przed jej twarzą.

– To, co robisz, jest śmiertelnie niebezpieczne! A co, jeśli ten burmistrz w jakąś niedzielę postanowi przyjść tu na spacer przez las, żeby sprawdzić co i jak? Albo zażąda twoich dokumentów od Judenratu?

Chodzi tam i z powrotem po salonie, otwiera i zamyka usta, nie może znaleźć słów, żeby wyrazić troskę o córkę. Janny zdaje sobie sprawę z tego, że nawet się nad tym nie zastanawiała: skoro jej kontakt nie zniszczył oryginalnego dowodu osobistego, dokumenty znajdują się oczywiście także w kartotece Judenratu. Myśli głośno. Słyszac słowo „Judenrat”, Joseph przygląda się córce spod przymkniętych powiek.

– Co za dranie.

– Spokojnie – mówi Janny i kładzie rękę na jego ramieniu. – Załatwię to.

Następnego dnia Janny wsiada do pociągu do Amsterdamu i odwiedza Nathana Notowicza, bezpieczeństwa komunistę, uciekiniera z Niemiec, urodzonego w Polsce, członka grupy ruchu oporu pomagającej ukrywać się Żydom. Ma on łagodne serce, ale pięści z betonu i nienawidzi kolaborantów. Janny może dużo zrobić sama, ale wie, że jako kobieta niewiele wskóra w Judenracie, a ta misja nie może się nie udać.

Razem wyruszają do siedziby Judenratu przy Nieuwe Keizersgracht, gdzie grzecznie pytają, czy żydowski administrator zechciałby usunąć dane Janny. Ten odmawia. Subtelny gestem Nathan daje Janny do zrozumienia, żeby wyszła. Czeka na niego cierpliwie na ulicy nad kanałem. Niecałe pięć minut

później Nathan opanowanym ruchem zamyka za sobą drzwi i z szelmowskim uśmiechem pokazuje jej wystawiony w górę kciuk. Janny nie wie, czym im zagroził, jego sposób działania z pewnością nie należy do najbardziej etycznych, ale w konsekwencji wszystkie jej dokumenty zostają natychmiast zniszczone.

Drugi incydent sprawia, że omal nie zostają zdemaskowani przez najwyższą instancję NSB w kraju. Prowadzona przez Żydów willa za miastem, pełna ukrywających się akurat w tym miejscu, w lasach Naarden, ma w sobie i tak coś z konia trojańskiego: w het Gooi roi się od faszystów. Zwłaszcza w dzielnicach willowych Naarden i Bussum jest ich więcej niż gdziekolwiek indziej: to podwójna średnia krajowa. W Bussum wielu członków NSB mieszka w dzielnicy het Spiegel, a piękne domy w Naarden także mieszczą fanatycznych faszystów. Znaczna część elektoratu NSB to klasa średnia – urzędnicy państwowi i samodzielni przedsiębiorcy – oraz najwyższe warstwy społeczne. Chociaż NSB pod względem ideologicznym skłania się ku robotnikom, jednak wśród nich jest nielicznie reprezentowana.

Już przed okupacją organizacja może liczyć na wsparcie w lepszych dzielnicach Amsterdamu i takich okolicach jak het Gooi, czyli wśród osób zamożnych, obawiających się utraty majątku i nieczujących potrzeby dzielenia się swym dobrobytem. Dochodzą do tego jeszcze antysemityzm i niechęć do „obcych elementów” – chociaż większość Żydów to po prostu obywatele Holandii. Faktem jest, że im więcej Żydów liczy gmina, tym więcej razy zakreśla się w niej okienko przy nazwie NSB. Het Gooi dzięki połączeniu między Hilversum i Amsterdamem, gdzie mieszka wielu Żydów, ma relatywnie dużą społeczność żydowską, która pod koniec lat trzydziestych w krótkim czasie powiększa się o kilkuset uchodźców z Niemiec.

Kiedy w 1942 roku została założona przez holenderskich nazistów VHP, czyli Ochotnicza Policja Pomocnicza, ta oficjalnie już teraz działająca faszystowska straż sąsiedzka była aktywna w dwunastu wsiach i miastach Holandii Północnej. To nie przypadek, że het Gooi pod względem liczby członków VHP zarówno w Hilversum, Bussum, jak i w Naarden, sytuowała się znacznie powyżej średniej.

Ojciec powtarzał to wystarczająco często. „Z ludźmi tutaj musisz być ostrożna, wspomnisz moje słowa. Bogaci zawsze odwracają głowę do słońca; mają zbyt dużo do stracenia, żeby się sprzeciwiać”.

Wysokie Gniazdo jest dosłownie okrążone przez NSB. W rezerwacie przyrody het Gooi, gdzie usytuowany jest dom, znajduje się na przykład także posiadłość ziemską Oud Bussem, należąca do bardzo bogatego członka NSB Pietera van Leeuwena Boomkampa – dzieli ją od nich zaledwie krótki spacer przez wrzosowisko. W 1940 roku mieszkał tam przez jakiś czas hitlerowski marszałek Hermann Göring, nazywany „Grubym”. Oprócz tego w odległości zaledwie czterech kilometrów od Wysokiego Gniazda, w koszarach Weeshuiskazerne w Naarden i w koszarach Kolonel Palmkazerne w Bussum, stacjonuje wielu niemieckich żołnierzy. Sam Anton Mussert wygłosił na początku wojny mowę w Żółtym Składzie (Gele Loods) znajdującym się obok wejścia do twierdzy Naarden, które prowadzi do miasta pod okazałym łukiem Bramy Utrechckiej.

Ale zagrożenie ze strony NSB jest o wiele większe. Dzikie obszary rezerwatu przyrody tuż pod Amsterdamem to nie tylko idealne miejsce dla ukrywających się Żydów, zostały one też wybrane przez NSB na kryjówkę dla jej najwyższego przywódcy.

Anton Mussert wiedział, że do tego dojdzie: wojna. Wiedział też, że jakikolwiek opór Holandii będzie trwał krótko. W przededniu okupacji, w maju 1940 roku, obawiał się, że w tych pierwszych, chaotycznych dniach po ataku Niemców może wybuchnąć walka między Holendrami i członkami NSB. W czasie zebrania z przywódcami partii w Utrechcie oznajmił, że wydaje mu się rozsądne, aby ukrywał się przynajmniej cztery dni – holenderski opór, jak oceniał, dłużej trwać nie będzie. Wszyscy się zgadzają, że bezpieczeństwo przywódcy partii jest najważniejsze; po kapitulacji naród będzie go bardzo potrzebował jako architekta nowej przyszłości Holandii.

Przez wiele tygodni Mussert pomieszkuje u różnych członków NSB w całym kraju, szukając najlepszego miejsca ukrycia na pierwsze dni ewentualnej okupacji niemieckiej. Daje też swojemu adiutantowi Kesslerowi polecenie podjęcia poszukiwań, i to ten człowiek znajduje wreszcie idealne miejsce. Tonny Kessler pochodzi z wytwornej haskiej rodziny i w młodych latach był

znanym graczem w krykieta i piłkarzem HVV^[18], grał nawet w holenderskiej drużynie narodowej. Jest bystry – zdobył tytuł magistra prawa, a potem obronił doktorat – i finansowo niezależny, jego rodzina należy do bardzo bogatych: idealna prawa ręka dla wielkiego przywódcy. Sam Kessler był już kilka razy w tym miejscu, przeprowadzał rozmowy z właścicielami wspomnianego domu, przekonał swojego towarzysza z NSB Gooijera i jego żonę, i zadał im najistotniejsze pytanie: czy jesteście gotowi ukrywać osiemdziesiąt kilo nielegalnych dokumentów? Ich odpowiedź była tak zdecydowanie pozytywna, że był teraz gotów włożyć rękę w ogień, że ci ludzie rozumieją, że na ich barkach spoczywa przyszłość NSB. Nie wiedzieli jeszcze tylko, że chodzi o osiemdziesiąt kilo Musserta.

Kiedy pięknego letniego wieczoru 9 maja 1940 roku po zebraniu partii w Utrechcie Anton Mussert opuszcza kwatery główną NSB, wsiada do przygotowanego kabrioletu pontiac. Szofer zapala silnik i wiezie go do Bilthoven, gdzie Mussert nocuje.

We wczesnych godzinach porannych 10 maja, tak jak wielu Holendrów, zostaje obudzony przez grzmiący tumult wojny nad jego głową. Słucha radia i czeka do wpół do ósmej, i kiedy przedsiębiorcy z Bilthoven, u których nocuje, mają ruszać w drogę, dzwoni do swojego kierowcy i jedzie prosto do domu adiutanta Kesslera w Naarden, żeby stamtąd na własnych nogach udać się do miejsca, gdzie ma się ukrywać: leżącego na uboczu domu towarzysza partyjnego Gooijera. Nawet żona Musserta nie wie, dokąd ten się udaje na dobrowolne wygnanie.

Po drodze samochód zostaje trzy razy zatrzymany przez żołnierzy na punktach kontroli, ale za każdym razem mogą jechać dalej. Pontiac zatrzymuje się w Naarden, tam rozstają się z szoferem i dalej Mussert i Kessler udają się już pieszo.

Idą przez jakiś czas w milczeniu przez rozległe wrzosowiska. Za nimi leży Naarden, daleko przed nimi wieś Huizen, poruszają się Naarderstraat, dawną drogą łączącą dwie wsie. Odkąd tor tramwajowy i ruch drogowy przeniesiono nieco dalej, na równoległą do tej trasy ulicę Nieuwe Bussummerweg, nie ma tu żywej duszy. Droga staje się gorsza i węższa, na poboczach rosną wysokie drzewa o gęstym listowiu. Po prawej stronie mijają starą rogatkę Gooische

Stoomtram – tramwaju parowego, którego nie używa się od 1930 roku. Nieco dalej, po lewej stronie, znajduje się ich cel.

Adiutant i jego ważny gość zatrzymują się przy prostym chłopskim domu, z jednym piętrem i strychem, stojącym samotnie w ukryciu z zieleni przy opuszczonej drodze. Jest piątek 10 maja 1940 roku, zaczęła się niemiecka inwazja i Anton Mussert zapewnił sobie bezpieczeństwo.

Przed domem znajduje się ogródek otoczony żywopłotem, w okresie kwitnienia ukrywającym dom przed ciekawskimi spojrzeniami, a z tyłu na jakieś sto metrów rozciąga się dziki ogród; dwieście metrów dalej zaczyna się las Rezerwatu Przyrody het Gooi. Zaraz obok, w lesie, stoi kolejna willa, ale poza tym jest tu pusto. Po jednej stronie domu biegnie ścieżka rowerowa prowadząca do lasu, a następnie do IJsselmeer, po drugiej stronie nie ma nic oprócz gruntu rolnego. Poza tym z tyłu ogród graniczy z wysokim ziemnym wałem, za którym biegły okopy z czasów I wojny światowej, zarośnięte teraz przez krzaki. Mussert jest tym miejscem zachwycony.

Gooijer i jego żona z wielkim zapałem przygotowali dla ważnego gościa pokój na strychu. Mimo to Musserta ogarnia niepokój: w radiu słyszy wiadomości, że w całym kraju trwają przeszukania w domach członków NSB i że dokonano już setek aresztowań. Zamiast schronić się w pokoju na strychu, ukrywa się w ogrodzie, w okopach, zgodnie ze wskazówką towarzyszkii Gooijer – Niemki z pochodzenia, z dumą wypełniającej zadanie anioła stróża przywódcy. Podczas gdy Holandia stoi na głowie, a policja w pierwszych dniach inwazji gorączkowo poluje na członków NSB, Mussert mocno się przeziębiał, leżąc na brzuchu na zimnej ziemi w krzakach i czekając, czy ten okres będzie oznaczał koniec jego kariery, czy też zapewni mu miejsce w podręcznikach historii.

Dom dwukrotnie przeszukują miejscowi policjanci. Szukają towarzysza Gooijera i brata pani Gooijer, który u nich mieszka, dwóch wiernych członków NSB, i przy okazji drugiej wizyty zabierają ze sobą Gooijera. Przewracają do góry nogami cały dom i przyległą szopę, ale zapominają o ogrodzie z tyłu, gdzie wielki przywódca NSB liczy w rowie dżdżownice. Kiedy wypuszczony jeszcze tego wieczoru Gooijer rozgląda się za Mussertem w domu, ku swemu przerażeniu nie może go znaleźć. W ciemności skrada się we własnym ogrodzie

i cmoka na przywódcę, jakby ten był zaginionym kotem. Cichutko zaczyna pogwizdywać piosenkę NSB *Czarni żołnierze*, której słowa rozbrzmiewają mu w głowie:

Już rozgorzał bój,
Muszą zniknąć waśnie
Holandio, ty przy nas stój,
Wtedy ucisk zgaśnie.
Nowy rodzi się duch,
Wszystko czas z siebie dać,
Rozbijemy front jedności w puch,
Na ulicach będziemy trwać.
Towarzyszu, czas
Do boju ruszyć wraz
Za Naród i Ojczyznę, gdyż to obchodzi nas!
Bo my jesteśmy czarnymi żołnierzami,
Razem z Antonem Mussertem walkę zaczniemy krwawą.
[...]^[19]

Po jakimś czasie pojawia się nad ziemią utyłana w piasku twarz Musserta i towarzysz Gooijer oddycha z ulgą. Kiedy Holandia znajduje się w przededniu pięciu lat śmierci i upadku, Mussert zasiada w domu za stołem i dostaje posiłek złożony z pieczonych ziemniaków z sałatą i jajkiem sadzonym.

Następnego dnia Mussert ma urodziny, kończy czterdzieści sześć lat. Ocenia, że jest wystarczająco bezpiecznie, żeby zostać w pokoju na strychu, do którego pani Gooijer z wielką atencją przynosi mu bukiet kwiatów i posiłek. Holendrzy wytrzymują dzień dłużej, niż przewidywał, ale we wtorek po południu 14 maja rzeczywiście słyszy w radiu o kapitulacji. Wkłada najlepszy garnitur, opuszcza dom rodziny Gooijer i w kwaterze głównej NSB w Utrechcie wciąga na maszt flagę. Ciemne czerwono-czarne barwy z trójkątem pośrodku, w którym widnieje złoty lew, powiewają triumfalnie przy Maliebaan.

Historia Musserta, ukrywającego się w kluczowym momencie, została szybko przechwycona i wyszydzona w kręgach antyfaszystowskich. W opowieściach pojawiają się wszystkie możliwe kryjówki, od wozów

z płóciennym dachem po stogi siana, a w kolejnych latach jest to ulubiony temat rysowników politycznych komiksów. Wiejski domek towarzysza Gooijera urasta do rangi miejsca pielgrzymek dla członków NSB, którzy w liczących setki osób grupach przychodzą patrzeć, gdzie ich przywódca był przechowywany dla dobra narodu, i z dumą wpisują swoje nazwiska w księdze gości towarzyski Gooijer, gdzie na okładce ozdobnymi literami jest napisane: WIERNOŚĆ PRZYWÓDCY. Na strychu wystawia ona noszone wówczas przez niego ubranie: ołtarz w miejscu, w którym doszło do ocalenia wodza narodu holenderskiego.

Kiedy rodzina Brilleslijperów ukrywa się w Naarden, Mussert także rezyduje w ich okolicy – tyle że już nie w charakterze ukrywającego się. Chociaż jego oficjalne miejsce urzędowania to Utrecht, przez dużą część wojny mieszka blisko Wysokiego Gniazda, w domu swojej kochanki.

Mussert ma zamiłowanie do kobiet z własnej rodziny. Ożenił się z ciotką – siostrą matki – Rie Mussert, o wiele od niego starszą, wtedy już po sześćdziesiątce. Przed ślubem w 1917 roku musieli, z powodu trzeciego stopnia pokrewieństwa, wystąpić do królowej o dyspensę. W ruchu oporu nie tylko jego domniemane miejsce ukrycia, ale także małżeństwo stało się przedmiotem drwin. „Kto chce zachować dobrą rasę, musi ożenić się z ciotką” – to często powtarzany dowcip.

Przez Helenę Mijnlief-Verburg, kuzynkę żony, Anton poznaje na początku okupacji jej córkę Marietje, i zakochuje się szaleńczo w tej młodej dziewczynie. W listopadzie 1942 roku w zamian za diamentowy naszyjnik, chociaż pewnie wolałby twierdzić, że z sympatii, pożycza matce Marietje kwotę niezbędną do nabycia pięknej willi w Naarden, w której zamieszka ona z córką. Dom Eik en Linde [Dąb i Lipa], niedaleko znanego pensjonatu Jan Tabak, jest miłym gniazdkiem Musserta na czas wojny. Przebywa tu często, a gdy w 1943 roku jego własny dom w Utrechcie z powodu wymogów obronnych zostaje wysiedlony, Dąb i Lipa – ku rozpaczy jego żony – staje się jego stałym miejscem pobytu.

Pewnego dnia Japie kontroluje pułapki, które pozakładał w lasach wokół Wysokiego Gniazda. Nie wraca jednak z bażantami, które normalnie lądują

w garnkach matki, tylko z bezwładnym ciałem dobrze odżywionego kota. Fietje każe mu szybko zakopać biedne zwierzę z tyłu w ogrodzie, z nadzieją, że nikt nie przyjdzie go szukać.

Wieczorem, dzień po tragicznej śmierci kota, Janny wraca po długim dniu załatwiania spraw ruchu oporu. Na stacji wsiada do „mordercy z Gooi” – jak nazywany jest miejscowy tramwaj ze względu na długą listę wypadków śmiertelnych – i wysiada przy Nieuwe Bussummerweg. Stamtąd idzie znaną drogą po Ericaweg, która wychodzi na ścieżkę przed Wysokim Gniazdem. Po kilku minutach gdzieś przed sobą słyszy nagle kobiecy głos. Szybko opuszcza ścieżkę i zanurza się w gęste zarośla z boku. Pochylona do przodu idzie ostrożnie dalej, słysząc coraz wyraźniejszy głos.

– Kici, kici, kici, kici!

W odległości niespełna dwudziestu metrów od Janny stoi kobieta zwrócona twarzą w stronę lasu i woła kota, potrząsając jednocześnie miseczką z jedzeniem.

– Kici, kici, kici, kici!

W jej głosie słychać rozpacz, jakby zgubiła dziecko. Rozgląda się bezradnie wokół.

Janny wciska się plecami w pokrzywy i wstrzymuje oddech. Przeklina w myślach swojego młodszego brata. Zamordowali kota tej kobiety i teraz ona oczywiście go szuka. Szybko ukrywa się głębiej w lesie i przedziera się przez cierniste krzewy do domu, gdzie o tym opowiada.

Jaap wybucha śmiechem, ale ojciec natychmiast go ucisza i zabrania synowi używać pułapek. Jaap musi stać na warcie w ogrodzie przy grobie – zwłoki kota już kilka razy wykopywał pies – a ktoś inny stoi na czatach na pierwszym piętrze. Wszyscy mieszkańcy przez kilka dni nie wychodzą z domu, nie grają i nie hałasują, aż będą pewni, że niebezpieczeństwo minęło.

Jakiś czas później Janny dowiaduje się przez swój kontakt w Huizen, że kobieta, która straciła kota, jest znana w okolicy jako jedna z najbardziej fanatycznych członkiń NSB – ktoś w rodzaju ciotki Musserta. Dopiero kiedy wygląda na to, że już nie przyjdzie do ich drzwi pytać o kota, mogą się z tego trochę pośmiać. Ale nawet wtedy niezbyt głośno.

4

MASKI

Eberhard ma więcej czasu na muzykowanie niż kiedykolwiek wcześniej. Przed wojną w normalnym życiu trzeba było zarabiać pieniądze, a teraz w kryjówce, która zaczyna coraz bardziej przypominać azyl na ziemi niczyjej, Lien i on mają nieograniczoną możliwość całe dni ćwiczyć i grać. Eberhard zapisuje się pod fałszywym nazwiskiem do Amsterdamskiej Biblioteki Muzycznej i wypożycza wszelkie dostępne opracowania oper na fortepian. Godzinami ćwiczy je na instrumencie, aż trzeszcza mu knykcie, a inni ukrywający się zaczynają tracić od tego rozum. Nie dlatego, że nie potrafią docenić jego maestrii, ale ponieważ większość z nich, przybywając do Wysokiego Gniazda, ma kompletnie zszargane nerwy – z powodu ucieczki, nieufności wobec drugiego człowieka w minionych latach i lęku przed odkryciem. Dopiero kiedy dociera do nich, że świadkami ich obecności są tutaj głównie jelenie, lisy i borsuki, mogą oddać się muzyce.

Chociaż na początku swojego pobytu Eberhard i Lien też doceniają warowne mury Wysokiego Gniazda jako osłonę przed hałasem, to jednak w pewnym momencie ich ambicje rosną. Władza okupanta skazała cały kraj na spartańskie warunki, ale Wysokie Gniazdo stanie się mekką podziemnej sieci artystów, którzy znów wniosą życie do het Gooi i w pewnym stopniu przywrócą dawny blask barwnemu życiu przedwojennych Hagi i Amsterdamu.

Kiedy pewnego ranka Eberhard spaceruje po lesie z Kathinką, w oddali pomiędzy drzewami dostrzega postać, smukłą i prostą jak sosna, ale z bielušką koroną. Chowa za siebie dziewczynkę i cofa się w zarośla, kiedy ten ktoś się zbliża.

– Karel?

Eberhard wychodzi z ukrycia i woła w las. Jakiś wystraszony ptak trzepocze skrzydłami i odlatuje.

– Karel Poons?

Mężczyzna zatrzymuje się, jego skóra wydaje się przezroczysta, włosy ma rozjaśnione. Bystre oczy patrzą w ich kierunku.

– Tak?

Eberhard podchodzi do niego dużymi krokami, zadowolony i zaskoczony, że go spotkał – gwiazdora baletu Yvonne Georgi, którego Lien i on tak często widywali na scenie Teatru Miejskiego w Amsterdamie. Lien już wcześniej twierdziła, że widziała – może przysiąc – Karela w Huizen, kiedy robiła zakupy, ale Eberhard nie zwrócił na to uwagi. Podekscytowani spotkaniem w tym nieoczywistym miejscu obaj panowie opowiadają sobie o swoich tułacznych losach.

Żydowski tancerz baletowy Karel Poons w 1941 roku został zmuszony przez okupanta do opuszczenia zespołu baletowego i przeprowadzenia się do amsterdamskiej dzielnicy żydowskiej. Nie czuł się tam jednak bezpiecznie i postanowił zniknąć z powierzchni ziemi. Za pomocą butelki wody utlenionej rozjaśnił sobie włosy, co w połączeniu ze stalowoniebieskimi oczami sprawiało wrażenie, jakby był ulepiony z fryzyskiej gliny. Przynajmniej w jego własnej opinii, bo kiedy Janny go widzi, wybucha śmiechem, a potem mówi Lien, że według niej nadal wygląda bardzo żydowsko. W chwili kiedy Karel i Eberhard wpadają na siebie, Karel ukrywa się już jakiś czas u Cecile Hanedoes w jej nowoczesnej willi w Huizen, gdzie jest wystarczająco dużo miejsca do urządzenia sali tanecznej. Karel trenuje codziennie, dba o utrzymanie techniki i układa choreografie, które prezentuje potem pani domu.

Eberhard zabiera Karela do Lien i na tym spotkaniu rodzi się plan. Nieco dalej, w wiosce Laren, mogą wynająć prawdziwe studio tańca, ze ścianą luster i drążkiem przy ścianie. Dwa dni w tygodniu Lien i Karel przychodzą do studia trenować i przygotowywać spektakle do wystawienia po wojnie. Eberhard i Karel również zostają przyjaciółmi. Pierwsze, co robią, to załatwiają Karelowi lepsze fałszywe dokumenty – na widok jego dotychczasowego dowodu osobistego Eberhard wybucha śmiechem – i karty żywnościowe, żeby mógł przetrwać wojnę.

Dzięki Karelowi ich artystyczny krąg znajomych jeszcze bardziej się rozszerza. W czasie jednej z sesji tańca w studiu Lien opowiada mu o przedstawieniach, nad którymi pracowała przed okupacją. To tradycyjne

żydowskie spektakle taneczne z akompaniamentem Eberharda – chce rozszerzyć o nie swój repertuar. Myśli o użyciu masek i zastanawia się, jak sprawić, żeby nie wyszła z tego budząca śmiech, dyletancka całość z twarzami z papier mâché wyglądającymi tak, jakby powstały na szkolnych zajęciach praktyczno-technicznych. Karel ma pomysł: jego gospodyni Cecile przedstawiła go kiedyś artystce w Blaricum – jest trochę dziwna, ale bardzo utalentowana. Robi wszystko: maluje, rzeźbi, tworzy lalki i marionetki, a podczas ich spotkania zdradziła, że chce też eksperymentować z maskami. Nazywa się Grietje Kots i – co najważniejsze – można jej zaufać.

Lien odwiedza tę kobietę w jej leśnym atelier w Blaricum, gdzie tamta pracuje i mieszka. Grietje woli nie opuszczać granic swego ogrodu, który pielęgnuje z drobiazgową skrupulatnością. Zwykle Lien ją tam zastaje, pogrążoną w rozmowie o życiu z niewidzialnymi przyjaciółmi z lasu, na jednej ręce siedzi jej jakiś ptak, a w drugiej trzyma starą kanapkę. Przepiękny, niegdyś należący do kolonii domek z trzciniowym dachem^[20], który Grietje uparcie nazywa „chata”, nie ma kuchni ani żadnych innych mieszczańskich udogodnień, ale Grietje żyje tu zadowolona wśród swoich drzew, zwierząt i sztuki. Gdy Lien opowiada jej o tradycyjnych żydowskich przedstawieniach tanecznych, które ma w głowie, i o tym, jak wyobraża sobie maski do nich, Grietje natychmiast się do tego zapala. Kiedy obejmuje wzrokiem Lien, poczynając od jej zgrabnych baletowych stóp aż po charakterystyczną, okoloną czarnymi lokami twarz, pomysły w jej głowie przyjmują formę. Następnym razem zaprasza Lien z Eberhardem, żeby dla niej wystąpili, a ona mogła rozpocząć pracę.

I tak rozkwitającą wiosną 1943 roku w „chacie” Grietje w Blaricum Eberhard i Lien po raz pierwszy od dawna znów występują razem. Grietje od razu zaczyna rysować: delikatnymi, czarnymi pociągnięciami na sztywnym papierze szkicuje portret Lien przypominający Pierrota. Duże oczy o smutnym spojrzeniu, prosty jak świeca nos pomiędzy wysokimi kośćmi policzkowymi i czarne włosy gładko zaczesane do tyłu. Na tym samym arkuszu, obok twarzy Lien, rysuje maskę, którą dla niej wymyśliła. Za każdym razem inną, w zależności od tematu pieśni. Maluje maskę Golema do pieśni o żydowskiej legendzie o rabinie, który z bezkształtnego kawału gliny budzi do życia postać ludzką. Maską jest mroczna i toporna, z oczami osadzonymi blisko siebie

i głęboko zatopionymi w czaszce, z wystającą do przodu dolną szczęką i grubymi, wywiniętymi wargami, ale jednocześnie subtelna w formie, zarazem abstrakcyjna i realistyczna. Rysuje też Lien z profilu, z wyrazistym nosem i udręczonym spojrzeniem, i umieszczoną na pierwszym planie przepiękną maską pośmiertną. Ma ona charakterystyczny kształt trupiej czaszki, ale zamiast pustych oczodołów wypukłe powieki zamkniętych oczu, jakby śmierć mogła jeszcze w każdej chwili zmienić zdanie.

Lien jest szalenie zadowolona z masek. Najpierw Grietje wykonuje projekty z masy z gazet i papieru do pieczenia, proste i lekkie, z delikatną jak skórka brzoskwini teksturą, i przykleja do nich brzoszowy patyczek, dzięki któremu Lien może trzymać maski przed twarzą – a później także z gipsu. Lien pracuje z Eberhardem nad repertuarem pieśni żydowskich i wkrótce rozpoczynają podziemne koncerty. Grietje zna wystarczająco dużo artystów i wielbicieli sztuki w het Gooi, a oni dzięki sieci znajomych w ruchu oporu mają do dyspozycji duży krąg zainteresowanych.

I tak w 1943 roku, w czasie, gdy naziści zdejmują swoje maski, a pełne Żydów pociągi nieprzerwanie wyjeżdżają z Westerbork na wschód, do obozów koncentracyjnych, w Wysokim Gnieździe rozkwitają tradycyjna żydowska kultura i sztuka. Tańczy się tutaj, muzykuje, śpiewa, recytuje. Simon gra na perkusji, Puck na skrzypcach, a Jaap specjalnie dla Kathinki zrobił małe pianinko. Wykonanej przez Grietje pośmiertnej maski Lien używa podczas recytacji w jidysz *Der tojt un dos mejdl* [Śmierć i dziewczyna], topornej maski w przedstawieniu o Golemie. Także w domu Grietje, chacie, która kiedyś należała do kolonii w Blaricum, Eberhard i Lien dają wiele domowych koncertów. Dochód z tych wieczorów trafia do „Wolnego Artysty”. Od Mika dowiadują się, że podobne nielegalne koncerty odbywają się w wielu domach w kraju, a zyski przekazywane są gazecie w celu szerzenia ducha oporu i zwiększenia nakładu.

Lien i Eberhard są ostrożni, nie pozwalają publiczności przychodzić wspólnie do Wysokiego Gniazda albo wychodzić w grupach, i zawsze ktoś stoi na czatach. Kiedy oni w środku swobodnie muzykują, a słuchacze mogą się nieco odprężyć, kordon zwiadowców tworzy szpaler wokół domu, czujny na każdy dźwięk czy nagłe błysnięcie światła w ciemności. Po zakończeniu goście znów

bezszelestnie znikają w mroku nocy – niezauważeni przez żadnego członka NSB, niemieckiego żołnierza czy nadgorliwego sąsiada.

WSPÓLNICY

Dni stają się coraz dłuższe i ziemia rozmarza. Wokół domu rozkwitają las i wrzosowiska, a Janny cieszy się zmianą pór roku, która nigdy wcześniej nie dokonywała się dosłownie pod samym jej nosem. Widziała Wysokie Gniazdo tylko w surowych miesiącach zimowych, dom zbyt duży, by go ogrzać, ciągły zapach ognia w kominku i wilgoć gnieźdząca się w ich ubraniach. Jednak teraz okolica przechodzi metamorfozę i Janny przygląda się z podziwem, jak Wysokie Gniazdo także się zmienia. Lód na IJsselmeer zaczyna się roztopiać i monotonna ciemna szarość ustępuje miejsca stalowemu błękitowi. Gałęzie wokół domu, które zeszywniałe niczym szpony chwytają niebo, wiotczeją i sięgają ku sobie nawzajem wypuszczanymi pączkami. Trzcina na dachu zaczyna się rozjaśniać, zrzuca z siebie ciemny cień od strony lasu i powoli przechodzi od zieloności mchu do żółtej barwy ochry, a okiennice, w ciemnych miesiącach matowe i ciężkie, wyglądają jak pomalowane nową błyszczącą warstwą – krwistą czerwienią, dramatycznie połyskującą w promieniach wschodzącego słońca.

Ptasi koncert, który wybucha wokół domu bardzo wcześnie, tuż przed tym, zanim pierwsze promienie słońca docierają do wielkich okien strychu i oświetlają najwyższe piętro, budzi zwykle Janny. Ze wszystkich stron rozlegają się odgłosy ptaków; rozgłośnie śpiewy i ćwierkania samców w zalotach sprawiają jej radość i często rano leży cicho w łóżku, słuchając, podczas gdy obok niej rozbrzmiewa uspokajający głęboki oddech Boba i dzieci.

Przy śniadaniu rozmawiają o dziwnych dźwiękach, które słyszeli także tej nocy. Chorobliwie pobudzona wyobraźnia każe im myśleć, że to Niemcy w nocy ich otaczają, porozumiewając się ze sobą zwierzęcymi głosami. Na szczęście zawsze jest ktoś, kto wie, że ten jazgot, który nie pozwalał im spać, wydawał lis, niski gruchający dźwięk to godowe odgłosy samca sowy, a ostra, przeszywająca odpowiedź pochodzi od samicy, która jeszcze nie ma ochoty.

Rodzina Brilleslijperów odnalazła pewien rodzaj rutyny w swoim nielegalnym gospodarstwie domowym, z wewnętrznym regulaminem, miejscami do spania, kolejnością zmywania naczyń i schematem gotowania. Jaap złożył radio, wokół którego zbierają się wieczorami, żeby słuchać wiadomości z Londynu. Ile to jeszcze będzie trwało? Kiedy przyjdą alianci, żeby rzucić Hitlera na kolana? Jaap i jego ojciec Joseph zawsze jako pierwsi gotowi są słuchać, gdy radio jest włączone. Wszyscy uwielbiają tego nieśmiałego chłopaka, jego wynalazki i zręczne palce. Dla Kathinki i Liselotte zbudował przepiękny domek dla lalek, z piętrami, pokojami, łózkami i zasłonkami, i nawet prawdziwym oświetleniem z lampek rowerowych. Kiedy coś się popsuje, mogą go zawsze znaleźć w szopie pochylonego nad warsztatem, z okularami na czubku nosa. Z powodu groźnych wiadomości, które Janny przynosi ze swoich wypraw do Amsterdamu – na temat fanatycznego tropienia ukrywających się oraz utrzymującej się gotowości mieszkańców do wydawania Żydów – Jaap zaczyna przygotowywać wszędzie w domu specjalne kryjówki. Pod i nad wbudowanymi na stałe szafami, które znajdują się w większości pokoi, robi skrytki na tyle duże, żeby zmieściła się tam jedna albo dwie osoby. W kilku miejscach domu są puste przestrzenie pod podłogą, które przekształca w kryjówki, a na strychu wygospodarowuje osłonięte schowki pomiędzy ścianami pokoju i dachem. W każdym pokoju urządza takie miejsce pod podłogą albo schowek z wejściem, które ukrywa pod dywanem lub za jakimś meblem.

Następnie zakłada pomysłowy system alarmowy. We wszystkich pokojach montuje lampki połączone za pomocą kabla z małym przyciskiem znajdującym się na wysokości oczu, obok drzwi wejściowych. Gdy ktoś naciśnie przycisk, żaróweczki we wszystkich pokojach zaczynają się świecić, dzięki czemu mieszkańcy wiedzą, że grozi im niebezpieczeństwo i muszą się szybko schować w ustalonych wcześniej kryjówkach. Jaap poinstruował ich, w jaki sposób mają się ukryć, którą nogą wejść najpierw do ciasnej przestrzeni, jak zamknąć właz. Powtarzali to wiele razy, jak alarm przeciwpożarowy; w ciągu trzydziestu sekund może zniknąć wszelki ślad ich istnienia.

Na parapecie prawego okna na pierwszym piętrze, tuż nad tablicą z nazwą domu, stawiają chiński wazon. Jeśli jest on w oknie, nic im nie grozi. Jeśli wazonu nie ma, to sygnał o niebezpieczeństwie zagrażającym kurierom ruchu oporu i mieszkańcom Wysokiego Gniazda zbliżającym się do domu.

Ciągłe zagrożenie ma na każdego inny wpływ i czasem wewnętrzne napięcia prowadzą do konfliktów. Młode dziewczyny Jetty i Puck zajmują razem służbówkę na pierwszym piętrze i często się zdarza, że któryś z ukrywających się chłopaków zwróci na jedną z nich uwagę, chociaż Jetty jest zaręczona z Simonem. Pewnego ranka przychodzi mleczarz od drzwi frontowych – mają dwóch, którzy nie wiedzą o swoim istnieniu: mleczarza od drzwi frontowych i mleczarza od drzwi kuchennych. Wszystko po to, by mieszkańcy – nie zwracając na siebie uwagi – mogli brać więcej mleka. Dokładnie w chwili, gdy mleczarz chce postawić butelki pod drzwiami frontowymi, wybucha wrzawa z tyłu domu na tarasie. Dwóch chłopaków zakochanych w tej samej dziewczynie bije się, a trzeci próbuje ich rozdzielić; wszyscy trzej ukrywają się w Wysokim Gnieździe. Mleczarz patrzy z otwartymi ustami na to widowisko i na trzeciego chłopaka, który stojąc w rozkroku, próbuje ratować sytuację, trzymając zawadiaków z dala od siebie.

– Nie zwracaj na nich uwagi. Uprawiają poranną gimnastykę – mówi i odpycha jednego z nich.

Wystraszonego mleczarza już nigdy potem nie zobaczyli.

Kiedy wieczorem, w czasie kolacji, rozmawiają o tym zajściu, większość głośno się śmieje. Jednak na twarzy Janny nie drga ani jeden mięsień. A potem przeprowadza z nimi poważną rozmowę. Wysokie Gniazdo może dawać pozory wolności, ale gdyby ktoś ich tu odkrył, to konsekwencje byłyby trudne do przewidzenia.

Kiedy tej wiosny w het Gooi zaczynają się porządki, prawie wszystkie wioski w okolicy uznane są za wolne od Żydów, *judenrein*. Żydowski mieszkańcy zostali zmuszeni do przeprowadzenia się do Amsterdamu i stamtąd wysłani do Westerbork, a żydowskie dzieci podlegające takim instytucjom jak S.A. Rudelsheimstichting^[21] dla upośledzonych dzieci, sanatorium Zonnestraal w Hilversum czy dom dziecka De Bergstichting w Laren dla dzieci odebranych rodzicom zostały deportowane. Gdy sieć wokół Wysokiego Gniazda zaczyna się zaciskać, jego mieszkańcy nieoczekiwanie odkrywają w okolicy sprzymierzeńca.

W miarę upływu kolejnych miesięcy i zwiększania się liczby gości Janny i Lien muszą dwoić się i troić, żeby wykarmić wszystkich bez zwracania na

siebie uwagi. Prawie codziennie wyruszają osobno na rowerze pod różne adresy w okolicznych miastach: Laren, Blaricum, Huizen, Naarden, Bussum. Niektóre sklepy i gospodarstwa znajdują się w odległości zaledwie jednego kilometra, inne ponad dziesięć kilometrów od nich. Obydwie jeżdżą na rowerach niczym juczne osły i w każdym sklepie robią zakupy dla mniej więcej jednej rodziny – inaczej byłoby to zbyt podejrzane. Ścieżki biegnące przez krajobrazy het Gooi śnią im się już po nocach. Pochylone nad kierownicami siostry bez względu na pogodę przemierzają wrzosowiska, z trudem dosięgając palcami pedałów. W hurtowni w Blaricum kupują jogurt, w dwóch lub trzech oddzielnych sklepach warzywa i ziemniaki, mięsa praktycznie nie można już dostać, a mleko jest przywożone do domu. Mydło i środki do prania dostają w drogerii Bochove w Huizen, kilka minut rowerem od Wysokiego Gniazda. Lien jedzie tam któregoś dnia, żeby kupić przybory toaletowe, i w pustym sklepie sprawdza rzeczy na swojej liście zakupów.

– Ktoś się u was ukrywa, co?

To delikatny głos, ale Lien podskakuje, jakby gong zabrzmiał tuż przy jej uchu. Ręce, którymi właśnie sięgała na półkę, zastygają w powietrzu, a ona próbuje przełknąć ślinę. Odwraca się ostrożnie i patrzy w przyjazną twarz Berta Bochovego. Jego głowa ma kształt odwróconego jajka; szerokie, wysokie czoło, a u dołu owalu twarzy wąski podbródek. Uśmiecha się do niej bez śladu ironii.

– Kupuje pani zawsze tyle papieru toaletowego.

Wskazuje na koszyk, a Lien czuje, jak policzki jej płoną. Ma ochotę rzucić wszystko na podłogę i wybiec ze sklepu. Mężczyzna widzi strach w oczach kobiety i poważnieje. Kładzie rękę na jej ramieniu, rozgląda się przez chwilę po sklepie i pochyla się ku niej.

– Proszę się nie martwić. My też ich tu mamy na górze.

Od tego dnia są przyjaciółmi i towarzyszami w ruchu oporu, w momencie, gdy potrzeba jest najwyższa.

Tuż przed okupacją Bert Bochove mieszka jeszcze daleko od Huizen. Zarządza młynem w Finlandii, ale w 1939 roku rodzina prosi go, by wrócił i poprowadził razem z braćmi rodzinną firmę we wsi, z której pochodzą: Woubrugge. Robi to przez jakiś czas. Bardzo szybko decyduje jednak, że chce stworzyć własną firmę, pragnie być samodzielny i wolny. Jego narzeczona Annie pracuje jako

aptekarka w Amsterdamie. Rok po ataku nazistów, w maju 1941 roku, biorą ślub i wprowadzają się do domu o nazwie De Zonnehoek – Słoneczny Kąt w Huizen. Na dole otwierają drogerię, na górze mają przestronne mieszkanie.

Drogeria Bochove bardzo szybko staje się znana w het Gooi. W tych czasach niedostatku produkty luksusowe, takie jak mydło i środki do prania, są racjonowane. Każda rodzina ma prawo nabyć mniej więcej dwadzieścia pięć dekagramów mydła miesięcznie. To o wiele za mało jak na dawną wioskę rybacką taką jak Huizen, która z powodu wybudowania w 1932 roku tamy Afsluitdijk może i została pozbawiona morza Zuiderzee i floty kutrów rybackich, ale nie trzeźwego rozsądku ciężko pracujących ludzi. Zrogowacenia skóry na rękach kobiet z Huizen zdradzają wielkie zamiłowanie do szorowania. Bert Bochove szybko to zrozumiał: „We wsi takiej jak Huizen kobiety nie mają tak po prostu czystych kuchni; one szorują i woskują blaty kuchenne, pucują wszystko na błysk i pozbawiają plam, a następnie trzymają wszystkich z daleka, żeby było czysto”.

Kiedy w 1941 roku Bert osiada w Huizen, rozkręca firmę, która natychmiast sprawia, że w zamkniętej społeczności wiejskiej staje się lubiany. Jego przyjaciel z młodości z Woubrugge, Jaap van Rijn, prowadzi fabrykę farby, z której zapasy zostają skonfiskowane przez Niemców. Jednak na krótko przed ich przybyciem udało mu się zakopać w ogrodzie kilka beczek z tysiącami litrów oleju lnianego, i w związku z nimi ma plany dla sklepu Berta i Annie. Jaap robi dziesięciokilogramowe kawałki wysokoskoncentrowanego twardego jak kamień mydła i dostarcza je Bertowi. Bert wytwarza z tego sześćdziesiąt kilogramów miękkiego mydła, które dzieli następnie na małe kawałki i sprzedaje. Wieść o królu mydła Bochove roznosi się błyskawicznie i z całego Gooi przychodzą klienci, żeby u niego kupować. O charakterze małżeństwa Bochove świadczy fakt, że nigdy nie wzięli ani centa więcej, niż wynosiła przedwojenna cena mydła, co w tym czasie jest niespotykane. To wystarcza, by klasa robotnicza Huizen ich pokochała.

Interes dobrze idzie do dnia, gdy Bert zjawia się w domu Jaapa po nowy ładunek i zastaje tam tylko jego żonę. Zdradził go księgowy z fabryki farb, donosząc Niemcom o ukrytych zapasach. Tego ranka Jaap otrzymał telefon, że musi się zgłosić na przesłuchanie na policji. Włożył płaszcz, wsiadł na rower

i powiedział żonie, żeby się nie martwiła – nie da się tak łatwo przestraszyć Niemcom.

Bert, słysząc tę wiadomość, czuje strach – ale taki obrót spraw go nie zaskakuje. Jaap był zawsze dumnym człowiekiem, który od pierwszego dnia okupacji nie obawiał się ostrzegać każdego mijanego członka partii NSB głośno i z podniesionym palcem przed konsekwencjami niegodnego zachowania. Jednak żona Jaapa boi się i panikuje. Ukrywa się u nich małżeństwo; działają oni w ruchu oporu i są poszukiwani. Kobieta obawia się, że Niemcy po przesłuchaniu jej męża przyjdą przeszukać dom, i pyta Berta, czy może wziąć ze sobą tę parę.

Bert natychmiast się zgadza i zabiera mężczyznę i kobietę ze sobą do Huizen. To pierwsi ukrywający się u Berta i Annie w Słonecznym Kącie w mieszkaniu na gorze – będzie ich jeszcze wielu.

Jaap van Rijn już nigdy nie wróci do domu.

Bert i Annie Bochove stają się wiernymi przyjaciółmi i współnikami rodziny Brilleslijperów. Janny przekazuje im wiadomości dotyczące ruchu oporu, głównie z Amsterdamu, a Bert zapoznaje mieszkańców Wysokiego Gniazda z informacjami ze wsi. Wymieniają ze sobą nawet ukrywających się, na przykład małżeństwo Pam i Henniego Juliardów – w 1944 roku jest ona w zaawansowanej ciąży. To, że państwo Bochove zostali zaakceptowani przez dawną społeczność rybacką, jest nie tylko wyjątkowe, ale i niezwykle cenne. O ile Naarden i Bussum są naszpikowane Niemcami i dobrze sytuowanymi Holendrami przyjaźnie nastawionymi do NSB – duża liczba wysokich urzędników ze strachu lub ambicji daje się zaprząć do nazistowskiego wozu, o tyle mieszkańcy Huizen patrzą na przybycie faszystów z nieufnością, jak zresztą na każdą nową osobę. Ta osobliwa rozbieżność charakterystyczna dla het Gooi nie dziwi Berta. Wy tłumaczenia faktu, że w Huizen jest wielu ludzi pomagających Żydom, dopatruje się w upartym usposobieniu mieszkańców tej dawnej wioski rybackiej – drobni przedsiębiorcy przywykli do tego, że sami o wszystkim decydują.

W Amsterdamie tymczasem polowania na Żydów trwają w najlepsze. Ulice zamyka się o świcie, po czym znaczna liczba policjantów przeczesuje domy w poszukiwaniu ukrywających się. Łapanki szybko rozszerzają się

z Amsterdamu na mniejsze miasta i wsie, także w het Gooi. Informacja, którą otrzymują od Berta Bochovego, staje się nagle kwestią życia i śmierci.

Na początku ich pobytu w Wysokim Gnieździe w nocy było tak cicho, że Janny czasami budziła się przerażona z tego powodu. Przez ułamek sekundy myślała, że jej nie ma: zniknęła z powierzchni ziemi, zapadła się w bezdenną dziurę, gdzie nikt już jej nie słyszy, nawet Bob i dzieci. Ostrożnie szukała wtedy obok po omacku ręką ciepła Boba i czekała. Po kilku minutach zawsze jakaś sowa zahuczała z tyłu w ogrodzie albo zabrzmiał przeraźliwy pisk jednego z lisów, które czasem zaciekawione przychodziły z lasu pod drzwi frontowe, co zobaczyli kiedyś Eberhard i Lien, gdy w nocy wracali do domu z koncertu domowego u Grietje. Przenosiła się wówczas we wspomnieniach do Amsterdamu, do swojej sypialni, którą dzieliła wtedy z Lientje, do hałasów miasta, które kołysały je do snu, tak jakby była przy nich mama, podczas gdy naprawdę stała ona wieczorem za ladą w sklepie i sprzedawała. Kanały, targ, teatr Carré, przyspieszający tramwaj. Czy będzie tam jeszcze kiedyś spacerowała? A ojciec, matka, Japie? Czy kiedykolwiek będą jeszcze mile widziani we własnym mieście? Czy w ogóle jest miejsce dla nich na tym świecie? Dziwne, jak to wszystko działa: wystarczy, żeby człowiek odpowiednio często coś słyszał – nawet coś tak absurdalnego, jak to, że jego istnienie jest niepożądane – a już zagnieźdża się to samo z siebie w jego głowie. Kiedy leżała tak sama, nie mogąc spać, mając wokół siebie wszystkie ciepłe ciała śpiących w tym dużym domu, a zapach palącego się drewna z wolna mieszał się ze świeżym powietrzem, zastanawiała się czasem, czy sobie tego wszystkiego nie wymyśliła: wojny, niewoli i przemocy. Jednak teraz, gdy łapanki zaczynają się też w het Gooi, nie można już mieć co do tego żadnych wątpliwości – nawet w nocy.

Informacje docierają do nich dzięki małżeństwu Bochove. Bert ma dobre kontakty w policji w Huizen, a kiedy planuje się łapankę, miejscowi funkcjonariusze są o niej informowani dzień wcześniej, ponieważ muszą brać w niej udział. Gdy tylko Bert dowiaduje się o łapance, dzwoni do Wysokiego Gniazda i mówi tylko: „Trzymajcie dziś w nocy pranie w domu!”. Wtedy wiedzą już, o co chodzi, i dbają, żeby wszyscy byli w gotowości, wszelkie

podejrzane przedmioty pochowane, a kryjówki gotowe, by w nich zanurkować, jak gdyby nigdy nie istnieli.

Zwykle rozpoczyna się to koło czwartej nad ranem. Choćby nie wiem jak się starali nie zasnąć, żeby być przygotowanym, kiedy się zacznie, to jednak zawsze budzą się przestraszeni, słysząc zbliżanie się konwoju – są zaspani i nieprzygotowani. Poza dziećmi, bo te śpią po prostu dalej. W całym domu ludzie leżą w przepelnionych pokojach, cichutko w łózkach albo na materacach i wstrzymują oddech, w najwyższym skupieniu nasłuchując pisku opon policyjnych wozów. Czasem syrena zapowiada je już z daleka. Przymykają oczy, zaciskają pięści i nadstawiają uszu. W którą stronę jada? Zbliżają się czy skręcają? Czy już wszczynać alarm, żeby wszyscy spieszyli do swoich kryjówek, czy poczekać jeszcze kilka sekund? Jednak kolumna nie wjeżdża na wzgórze. Wysokie Gniazdo leży za bardzo na uboczu.

Czasem, kiedy konwój zatrzymuje się w pobliżu, a oni czekają w napięciu, słyszą po jakimś czasie wystrzały z karabinu i szczenie rozdzierające ciszę. Staccato i przeraźliwie echa rozchodzą się po wrzosowisku. Dopiero gdy silniki znów zaczynają pracować i hałas powoli cichnie, cały dom oddycha z ulgą i wszyscy przygotowują się do wstania. Słońce zapowiada kolejny odzyskany dzień.

Ten schemat powtarza się co kilka tygodni, a potem dowiadują się od Berta, który wie to od policji, czy znaleziono jakichś ukrywających się. We wsi Huizen wydaje się istnieć niewidzialna siatka ludzi, którzy w odpowiednim momencie odwracają wzrok w drugą stronę. Kiedy Lien pewnego wieczoru przychodzi śpiewać na urodzinach Annie Bochove, a Bert następnego ranka spotyka na ulicy sąsiada, ten mruczy, że naprawdę powinni zachowywać się trochę ciszej, mając u siebie tych wszystkich ukrywających się. To bardzo szarpie im nerwy, ale zawsze, kiedy Janny i Lien znów wychodzą z czegoś obronną ręką i pojawiają się w sklepie w Słonecznym Kącie, śmieją się z tego razem z Bertem i Annie. „W każdym razie znów potrzebujemy dużo rolek papieru toaletowego!” I z pełnymi torbami rowerowymi i najnowszymi wiadomościami wyruszają z powrotem do Wysokiego Gniazda.

Kiedy Mik znowu siedzi w pociągu do Naarden, a widziane w oknie miasto powoli staje się coraz mniejsze, nie czuje się już tak podekscytowany jak

poprzednim razem, gdy odwiedzał Wysokie Gniazdo. W krótkim czasie wiele się zmieniło. Strony zostały wybrane, płynne wcześniej wybory – z powodu aktywnej albo właśnie wyczekującej postawy – zastygły i stały się nieodwracalne. Także do ruchu oporu dotarła straszna rzeczywistość. Prymitywne działania ad hoc z początku funkcjonowania ustąpiły miejsca konkretnej strukturze organizacyjnej i ambitnym planom. Nie tylko okupant jest coraz bardziej brutalny, także w podziemiu głosy domagające się brutalnej reakcji stały się głośniejsze. Do tej pory praca koncentrowała się przede wszystkim na fałszowaniu dokumentów, znajdowaniu adresów dla ukrywających się, rozprowadzaniu nielegalnej prasy i akcjach sabotażowych, ale teraz stopniowo liczba likwidacji Niemców i kolaborantów wzrasta. Podobnie jak natężenie represji.

Coraz częściej tracą ludzi ze swoich szeregów, a wybory, przed którymi stoi Mik, bardzo źle wpływają na jego samopoczucie. Jak daleko chce się posunąć? Ze swoim kompanem Gerritem van der Veenem wciąż prowadzi rozmowy na temat ewentualnego zamachu na rejestr meldunkowy – akcja, która na pewno miałaby poważne konsekwencje. Także inna grupa ruchu oporu, CS-6, z którą cały czas utrzymuje kontakt, z chwilą rozpoczęcia się deportacji coraz bardziej koncentruje się na zamachach, mając listę śmierci przygotowaną przez jego przyjaciela Gerrita Kasteina. Wiadomość, jaką Mik ma dla sióstr, będzie dla nich bardzo bolesna.

Od stacji Naarden-Bussum idzie przez pola koloru ochry do Wysokiego Gniazda, nie spotykając nikogo po drodze. Żadnego hałasu, żadnego ruchu, żadnego niebezpieczeństwa zapowiadającego się z daleka, a jednak nie udaje mu się pozbyć czarnych myśli. Skręca w lewo, ostatni kawałek przez las. Nawet nie rozgląda się wokół, jego spojrzenie jest skierowane na stwardniałe noski oficerek, którymi stawia duże kroki, nie zważając na zakręty ścieżki. Staje niedbale, a może świadomie, na grzybach i źdźbłach trawy, pozostawia ślad swojej obecności, aż w końcu zwalnia krok i podnosi wzrok. Pomiędzy drzewami przeblaskują okiennice Wysokiego Gniazda.

Janny właśnie sortuje dowody osobiste, a Eberhard gra na fortepianie w pokoju frontowym, kiedy Mik wchodzi od tyłu przez drzwi kuchenne, wita się powściągliwie i prosi, żeby wyszli z nim na dwór. Wychodzą do ogrodu i Mik

mówi bez ogródek: „Gerrit Kastein wyskoczył z okna budynku parlamentu Binnenhof. Głową uderzył w klinkierową kostkę bruku. Nie żyje”.

Nadchodzi lato. To pierwsze lato dla nowych mieszkańców Wysokiego Gniazda i widok do tego stopnia zapiera im dech w piersiach, że każdego dnia siadają w innym miejscu i podziwiają wszystko, jakby chodziło o pokaz fajerwerków. Trawa robi się zielona i gruba, czuje się ją niczym dywan pod stopami; prawie codziennie biorą lunch w dużym koszu i usadawiają się gdzieś na rozległym trawniku. Różaneczniki, figa z przodu domu, jeżyny z boku, grusze i jabłonie w sadzie za domem, krzaki róż przytykające do szopy, grab, szpaler buków chroniący ogród – bez większego powodzenia – przed dzikimi zwierzętami, zielsko, które po jednej nocy zdaje się sięgać ramion, winogrono z rozchodzącymi się na wszystkie strony pędami, drzewa wokół rozkładające się jak parasole, głęboki fiolet wrzosowisk w oddali i woda jeziora IJsselmeer, błyszcząca, jakby posklejano ze sobą tysiące kawałeczków luster. Prawdziwe widowisko, zmieniające się nieustannie, darmowe i przeznaczone tylko dla nich.

Rankiem Joseph i Fietje siedzą obok domu na ławce, każde z kubkiem herbaty w ręku, blisko siebie. Nie mówią już za wiele i próbują przede wszystkim jakoś przydać się w ogromnym gospodarstwie domowym. Przypomina to trochę pracę w sklepie: inwentaryzacja zapasów, liczenie bonów, segregacja zakupów, dyżury w kuchni i przy zmywaniu. Odkąd temperatura przekroczyła osiemnaście stopni, siadają tutaj we dwoje rano na chwilę, by złapać pierwsze promienie słońca i posłuchać ptasiego koncertu. Za ich plecami bezpieczna ściana z cegieł, trzcinowy daszek po ojcowsku pochylający się nad ich głowami, a przed nimi ścieżka wysypana muszelkami jako trzeszczący alarm, w razie gdyby ktoś się zbliżał.

Wiadomości z kraju nie są dobre. „Ewakuacja” Żydów przebiega pomyślnie: prowincje Fryzja, Groningen, Drenthe, Overijssel, Geldria, Limburgia, Zelandia i Brabancja Północna zostały ogłoszone wolnymi od Żydów. Natomiast walka na froncie wschodnim trwa dłużej i jest bardziej zacięta, niż Hitler się spodziewał. Niemieckie rezerwy są bardzo nadwyreżone i od lata 1943 roku Armia Czerwona coraz bardziej spycha Niemców.

Efekt tego jest odczuwalny niestety także w Holandii: brak rąk do pracy w Niemczech musi zostać uzupełniony, żeby dalej produkować materiały wojenne i inne środki niezbędne do walki. Od maja 1943 roku wszyscy mężczyźni między osiemnastym a trzydziestym piątym rokiem życia muszą zgłosić się do pracy przymusowej w Niemczech, *Arbeitseinsatz*. Kto się nie zgłosi, podlega karze. Później organizowane są łapanki na szeroką skalę – wszystko po to, by wysłać więcej młodych mężczyzn do Trzeciej Rzeszy. Oprócz Żydów ukrywają się teraz także mężczyźni, którzy unikają pracy przymusowej, i przez to strach i chaos w Holandii są już absolutne.

W Amsterdamie ulice w porównaniu z tym, jak wyglądały kilka lat wcześniej, są nie do poznania. W odróżnieniu od Rotterdamu^[22] historyczne centrum jeszcze stoi, a woda w kanałach wciąż płynie niewzruszenie od Dworca Głównego do Teatru Królewskiego Carré, jednak ludzie, którzy ubarwiali miasto, w większości zniknęli. Kupcy, robotnicy i urzędnicy, aktorzy i muzycy, intelektualiści i zwolennicy nocnych rozrywek, bibliotekarz, bełkoczący knajpiany gość i spokojny opiekun zwierząt w ogrodzie zoologicznym Artis – wszyscy oni wraz z dziesiątkami tysięcy innych zostali jednocześnie zabrani z miasta, wsadzeni do pociągu i wywiezieni do Westerbork, ot, tak, zwyczajnie, zupełnie tak, jak zwyczajnie brzmi mówiące o tym powyższe zdanie. Pudła z kartami zarejestrowanych Żydów w Zentralstelle für Judische Auswanderung przeszły ogromną metamorfozę. W trakcie 1943 roku pudło z napisem „Amsterdam” prawie opustoszało.

W maju i czerwcu przeprowadzone zostaje kilka ostatnich dużych łapanek, 26 maja Żydzi z centrum zostają zgromadzeni przy stacji Muiderpoortstation. Dzieci przyciskające do siebie ulubione zabawki, kobiety w pięknych kapeluszach, mężczyźni w najlepszych garniturach i babcie ze świeżo ułożonymi włosami. Po wielu godzinach czekania przyjeżdża pociąg, który wywozi ich do Westerbork. „Storm”, tygodnik holenderskiego SS, informuje o tym obszernie w wydaniu z 4 czerwca:

Musieliśmy się pożegnać, pożegnać z ludźmi, którzy od wieków niby dzielili z nami chleb, ale najlepsze kawałki kradli dla siebie. Odprowadziliśmy ich i zawołaliśmy do nich ostatnie żegnaj, tam na terenie przy Polderweg w Amsterdamie Wschodnim. Nosili insygnia, sześcioramienne gwiazdy, które jednak były raczej dowodem na to, że należeli oni do członków towarzystwa

podróżującego do Polski. [...] Ile krwi już zostało zanieczyszczone przez krew żydowską, ilu bękartów chodzi tu po ulicach, to wszystko można było tak naprawdę zrozumieć, dopiero widząc te sceny. Martwe liczby stały się tu żywe. Praktyka potwierdziła naukę. Było jednak jeszcze gorzej. Byliśmy już bliscy wyhodowania rodzaju żydowskiego o blond włosach i prawie aryjskiej twarzy. Kręcili się tam ci Żydzi i Żydówki. Była tam znana kobieta lekkich obyczajów, platynowa, żeby żaden człowiek nie dostrzegł jej żydowskiej krwi. Chodziły tam dziesiątki dziewcząt, które z powodzeniem mogłyby zostać narzeczonymi dobrego aryjskiego chłopca, człowiek nawet przez chwilę by nie pomyślał, że wybiera Żydówkę za żonę. To było zagrożenie i to zagrożenie bardzo duże. Dobrze, że interweniowano. Tak więc Żydzi zniknęli. Widzieliśmy, jak znikali w pociągach. To rozstanie nie było dla nas specjalnie trudne.

W niedzielę 20 czerwca 1943 roku odbywa się duża łapanka w Amsterdamie Południowym i Amsterdamie Wschodnim. Ostatni nieukrywający się Żydzi zostają tego dnia deportowani do Westerbork, w sumie jakieś pięć i pół tysiąca osób. We wrześniu przychodzi kolej na członków Judenratu, co oznacza koniec jego istnienia. 29 września zamyka się żłobek naprzeciwko Teatru Holenderskiego, 1 października rozwiązana zostaje kolumna Henneickego polująca na Żydów, a 19 listopada, kiedy wyrusza ostatni transport Żydów z Amsterdamu, *Umschlagplatz* Plantage Middenlaan w Teatrze Holenderskim stoi pusty i osamotniony. Amsterdam jest wolny od Żydów, zaledwie trzy i pół roku po tym, jak Heeresgruppe B pod dowództwem generała Fedora von Bocka wtargnęła do Holandii.

NIECHCIANE SPOTKANIA

Panika w Wysokim Gnieździe. Siostry Jansen zapowiedziały, że chcą wpaść z wizytą. Jest pełnia lata i obie panie są przyzwyczajone zamieniać duszne miasto na swoją willę wśród przyrody. Potrzebują wycieczki i chociaż o tym nie informują, chcą oczywiście skontrolować, czy wynajmujący przyzwoicie obchodzą się z domem i ogrodem.

Po alarmującym telefonie mieszkańcy mają zaledwie kilka dni, żeby wszystko przygotować. Matka i Lien wyznaczają zajęcia przy porządkowaniu, mężczyźni usuwają materace i przesuwają łóżka, szafy, krzesła i stoły – tak, aby wyglądało, jakby mieszkały tu tylko dwie rodziny z dziećmi, a więc oficjalni wynajmujący: Janny i Bob z Liselotte i Robbiem oraz Lien i Eberhard z małą Kathinką.

W dniu spodziewanej wizyty wszyscy nielegalni mieszkańcy są poukrywani w lesie niczym jajka wielkanocne, umawiają znaki, żeby wszyscy wiedzieli, kiedy znów mogą się pokazać. Na szczęście to ciepły dzień.

„Morderca z het Gooi” punktualnie wysadza siostry Jansen na przystanku przy Ericaweg i kiedy przybywają do domu, następuje bardzo serdeczne powitanie. Słońce świeci mocno i Wysokie Gniazdo stoi, lśniąc na wzgórzu, otoczone morzem kwiatów. Lien i Janny zapraszają siostry do środka, do salonu, gdzie odbywa się dalsza część przedstawienia. Zgadzą się, że mieszka się tu wspaniale, jak piękne są zmiany pór roku, opłaty za wynajem docierają, mają nadzieję, na czas, a może chcą się panie czegoś napić? Panie oczywiście chcą, następuje więc brawurowy występ Rudej Puck. Lien dzwoni dzwoneczkiem i przychodzi służąca w usztywnionym białym fartuszkach i w czepku na głowie, w rękach srebrna taca z dzbankiem z herbatą, filiżanki, talerzyk z ciastkami. Puck, z włosami splecionymi w dwa warkocze, usłużnie dyga, a Janny i Lien muszą aż przygryźć dolną wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Dzień dobry pani – pozdrawia każdą z osobna. – Życzy sobie pani może cukier albo mleko do herbaty?

Podczas gdy Puck z gracją nalewa herbatę, siostry Jansen są wyraźnie pod wrażeniem i przyglądają się jej z zainteresowaniem.

– Pochodzisz tu z okolicy, dziewczyno?

– Tak, proszę pani.

– Jak się nazywasz?

– Aagje Honing, proszę pani.

Jedna z sióstr odstawia filiżankę na stolik i klaszcze zachwycona w dłonie.

– Ależ to świetnie. Znamy rodzinę Honing z Huizen! Jesteś spokrewniona z Ciotką Betsie Honing?

Na twarzy Puck nie drga żaden mięsień.

– Nie, przykro mi, proszę pani. Mieszkają tu dwie rodziny Honing.

Lien szybko zmienia temat rozmowy, podczas gdy Janny wyprasza Puck z pokoju.

– No, cóż – mówi Lien, charakterystycznym gestem dotykając palcem skroni.

– To dziecko jest odrobinę niedorozwinięte, ale naprawdę bardzo miłe i pracowite.

Po herbatce panie Jansen chcą się trochę rozejrzeć po domu. Wyraźnie zadowolone idą przez lśniącą czystością kuchnię, pachnący świeżością główny korytarz i na górę, gdzie pokoje wyglądają, jakby nigdy nie bawiły się w nich małe dzieci, nie mówiąc o dziesiątkach śpiących tam ludzi. Będąc już z powrotem na dole, patrzą jeszcze na antyczną szafę, w której stoi droga zastawa. Janny i Lien wstrzymują oddech, jeden z ukrywających się minionej zimy w czasie sprzątanía wepchnął zbyt mocno całą stertę naczyń przez okienko między kuchnią a salonem; wszystko spadło z ogromnym hukiem z drugiej strony na drewnianą podłogę, gdzie roztrzaskało się na tysiąc kawałeczków. Można było odnieść wrażenie, że ciśnienie atmosferyczne w domu spadło w jednej chwili, tak się wtedy wystraszyli. Wydawało się, że hałas przedarł się przez ściany i odbija się echem pomiędzy drzewami. Kiedy, po chwili, która wydawała się trwać wieki, ani Niemcy, ani członkowie NSB nie pojawili się pod drzwiami, wszyscy zaczęli się nerwowo śmiać, a następnie sprzątać na kolanach skorupy. Odtąd Janny i Lien starały się wszędzie, gdzie tylko były,

wybłągać albo ukraść coś z zastawy. Za każdym razem, kiedy triumfalnie wyławiały z torebki jakiś talerz i ustawiały w szafie, dokładając go do mieszanej kolekcji, było to przyjmowane okrzykami radości.

Jednak teraz panie Jansen stoją i przymrużonymi oczami wpatrują się w szafę. Ocalałe talerze i filiżanki z oryginalnej zastawy zostały ustawione z przodu, ale większość potłukła się i została zastąpiona mieszaniną pozbieranej porcelany, która stoi ukryta z tyłu. Gdy przeżyją wojnę, zwrócą wszystko z nadwyżką – na teraz musi wystarczyć ta piękna ekspozycja. Siostry Jansen odwracają się i uśmiechają szeroko do Janny i Lien, które ze ściśniętymi pośladkami odwzajemniają uśmiech.

Po kilku męczących godzinach, które spędzają, siedząc razem w słońcu na ławce przed domem, podczas gdy linia cienia przesuwana się z wolna po źdźbłach trawy, panie w końcu wstają, wygładzają fałdy na spódnicach i serdecznie się żegnają. Janny i Lien machają do nich ze wzgórza przed Wysokim Gniazdem, potem śmieją się, odreagowując stres, i pędzą do lasu, żeby uwolnić swoich podopiecznych z tymczasowych kryjówek.

Lato wydaje się nie mieć końca. Lien i Eberhard skupiają się na koncertach domowych, wymyślaniu nowych przedstawień i pisaniu tekstów do „Wolnego Artysty”, natomiast Janny i Bob na pracy dla podziemia. Do tego dochodzą zwykle zakupy – czysta codzienność. Nieustanne zagrożenie staje się nową rzeczywistością. Mniej żarliwie słuchają radia i rzadko rozmawiają na temat tak zwanych postępów aliantów. Każdy próbuje odnaleźć w sobie coś w rodzaju stanu zawieszenia pozwalającego przeżyć w tej niepewności. Jeszcze rok temu większość z nich święcie wierzyła, że wojna zaraz się skończy. Że za chwilę znowu będą we własnych domach, sklepach i zakładach pracy. Że oni, jeśli tylko nikogo nie utracą, będą po prostu mogli wrócić do dawnego życia. Jednak tylu członków rodzin i przyjaciół zostało wywiezionych i nie wiadomo nic na temat ich dalszych losów. Żeby to wytrzymać, muszą zapomnieć o nadziei i zwrócić wzrok w stronę odległego horyzontu; myśleć nie w kategorii dni, ale miesięcy.

Nigdy wcześniej Janny nie tęskniła za zimą, za ciemnością, zimnem i krótkimi dniami, ale teraz tęskni za tym, jakby to była dziura, w której mogłaby zniknąć. Chce, żeby lato skończyło się jak najszybciej; wydaje się jej,

że słońce wygania ludzi z domów, jest ich więcej na ulicach, we wsiach, w pociągu. Kolory i ciepło wokół nich sprawiają, że mieszkańcy Wysokiego Gniazda stają się zdradliwie beztroscy, wręcz nieostrożni, podczas gdy wróg nadal jest tak samo bezlitosny. Wbijają sobie nawzajem do głowy: nie ufaj nikomu.

Pewnego dnia Eberhard i Kathinka wybierają się na spacer w kierunku Huizen. Ojciec o jasnych blond włosach i jego córka mogą się dość swobodnie poruszać. Idą, trzymając się za ręce po Naarderstraat, gdy Eberhard dostrzega oddział niemieckich żołnierzy wychodzących zza rogu prosto na nich. W marszu unoszą kolana w jednym rytmie, a kiedy ich podkute buty uderzają o podłoże, ulica zdaje się drżeć. Eberhard sztywnieje i ściska rączkę Kathinki. Nie mają gdzie się schować. Następna boczna uliczka znajduje się za żołnierzami, a jeśli się odwrócą, będą mieli grupę za plecami. Nie pozostaje im nic innego, jak iść dalej przed siebie. Eberhard bezgłośnie wypuszcza z płuc powietrze, rozluźnia ramiona i stara się, by córka nic nie zauważyła. Dziewczynka podskakuje wciąż wesoło obok niego.

Oddział dzieli od nich zaledwie kilkadziesiąt metrów, kroczy przed nim oficer. Kiedy ich wzrok się krzyżuje, Eberhard zatrzymuje się, jakby jego stopy wypuściły w tym miejscu korzenie, i ciągnie Kathinkę do tyłu. Oficer to jego stary przyjaciel Kurt Kahle. Mężczyzna odwraca wzrok i prowadzi swoich podwładnych obok ojca i córki, jak gdyby nie istnieli, ale Eberhard zdaje sobie sprawę, że to koniec, dla niego i wszystkich w Wysokim Gnieździe. Nie ma możliwości, żeby Kurt go nie rozpoznał, więc Eberhard odlicza sekundy, czekając, aż wyda rozkaz, żeby aresztować jego i Kathinkę. Dziewczynka mówi coś do taty, ciągnie go za rękę, ale on zatyka jej dłonią usta i gapi się na odchodzących żołnierzy. Ci maszerują nadal, a Eberhard patrzy na nich do chwili, aż ziemia przestaje drżeć pod jego stopami, a oni stają się czarnymi kropkami znikającymi na fioletowym wrzosowisku.

Kiedy znów udaje mu się zgiąć nogi w kolanach, biegnie z Kathinką do domu, żeby wszystkich ostrzec.

Kurt Kahle należał do grupy ich artystycznych przyjaciół. Fotograf z Berlina, który jak wielu innych Niemców na początku lat trzydziestych uciekł przed

rodzącym się narodowym socjalizmem i przyjechał do Holandii. Był częścią grupy ludzi często obecnych u Mika przy Keizersgracht 522. Eberhard i Kurt znaleźli wspólny język, oburzając się rozwojem wypadków w ich ojczyźnie – przynajmniej wtedy tak było.

Eberhard wraca myślami do swojego powołania do niemieckiego wojska. Rozmowy z Lien, strach, wątpliwości, nieudana kuracja głodowa zaordynowana przez Rhijsa, a potem najważniejsze pytanie jego życia: zdezerterować czy nie. Dezercja. Kurt dostał takie samo powołanie i stanął przed tym samym wyborem. Czy Eberhard może mieć mu za złe, że wybrał inną drogę?

Kurt nie dał poznać po sobie, że go zna, ale nie mogą podejmować ryzyka. Eberhard rozmawia o tym z innymi w domu i oni się z nim zgadzają: istnieje ryzyko, że Kurt przeszedł na stronę wroga, i grozi im niebezpieczeństwo, że wróci i zacznie szukać w okolicach Naarderstraat. Jedynym, kto może dać ostateczną odpowiedź, jest Mik.

Lien jedzie na rowerze najszybciej, jak potrafi, do Laren, gdzie mieszka jeden z ich kontaktów, który wkrótce ma się udać do Amsterdamu, i opisuje mu sytuację. Ten obiecuje omówić wszystko z Mikiem i dać im znać jak najszybciej, jaki będzie rezultat tej rozmowy.

Tego wieczoru odbywa się w Wysokim Gnieździe pilna narada. Powinni wziąć pod uwagę, że być może wszyscy zmuszeni zostaną, aby stąd odejść w ciągu jednego lub dwóch dni. Dokąd? Jedną lub dwie osoby mogą jeszcze wysłać do małżeństwa Bochove w Huizen albo do innych kontaktów, ale na pewno nie całą grupę.

Po nieprzespanej nocy przychodzi wybawienie w postaci odpowiedzi od Mika: Kurt Kahle jest jednym z nich. Najpierw stacjonował w komendanturze Wehrmachtu na Dworcu Głównym w Amsterdamie, gdzie teoretycznie miał za zadanie udzielać informacji Niemcom będącym w podróży, ale tak naprawdę całymi miesiącami przede wszystkim pomagał ruchowi oporu, rozprawdzając podziemne ulotki antyfaszystowskie. Na początku 1943 roku musiał jednak rozpocząć służbę i został przydzielony do Sicherungsregiment 26 w obozie Crailo w Laren, skąd teraz szmugluje dla podziemia amunicję i broń. Wiadomość Mika brzmi zatem: mają się absolutnie niczym nie przejmować.

2 października Lien wpatruje się w pierwszą stronę leżącą przed nią na stole gazety i litery powoli rozmazują się jej przed oczami. Mruga kilka razy powiekami, ale wszystkie artykuły zlewają się tak, że potrafi przeczytać tylko główne tytuły. SYTUACJA NA FRONCIE WSCHODNIM widnieje po lewej stronie. Wzrok Lien przesuwają się ostrożnie w prawo. OBWIESZCZENIE jest bliżej środka, coś o zarządzeniu dotyczącym obowiązku oddania odbiorników radiowych. Jednak to kolumna obok, w prawym rogu na dole, przyciąga jej uwagę. Pociąga głóśno nosem i zmusza się do ponownego przeczytania: „KARA ZA ZAMORDOWANIE GENERAŁA SEYFFARDTA, MINISTRA POSTHUMY I INNYCH. Jak podaje Höhere SS-und Polizeiführer Nordwest, wyrokiem Polizeistandgericht Amsterdam z 30 września 1943 roku skazano na karę śmierci następujących Holendrów”, i tu następuje wyliczenie dziewiętnastu nazwisk, z których większość Lien rozpoznaje. Student medycyny Leo Frijda z Amsterdamu. Student biologii Hans Katan z Amsterdamu. Trzykrotnie nazwisko Boissevain. Anton Koreman, gitarzysta i ich przyjaciel. Ale pomiędzy nimi, pod numerem dwunastym: „Dziennikarz Maarten van Gilse z Amsterdamu, ur. 12 czerwca 1916 w Monachium. [...] Wyroki śmierci, po zbadaniu kwestii ułaskawienia, zostały wykonane w godzinach porannych 1 października 1943 roku”.

Kiedy wszyscy wracają wieczorem do domu, Lien prosi rodzinę, żeby spotkali się sami przy altance, i opowiada im, co się stało. Stoją w milczeniu w wysokiej trawie. Ojciec wpatruje się w swoje buty, matka zasłania dłonią zaciśnięte usta. Bob wyciąga rękę w kierunku Janny, ale zmienia zdanie i opuszcza ją luźno wzdłuż ciała. Słońce znika powoli za drzewami, a nad ochrowym dachem Wysokiego Gniazda pojawia się cień. Fietje dygocze i Joseph bierze ją za rękę.

– Chodź – mówi i idzie w kierunku domu, reszta rodziny podąża za nim.

Później Janny dowiaduje się od swoich kontaktów, co się wydarzyło. Mik i jego dziewczyna ukrywali się w atelier na strychu u jednego z zaprzyjaźnionych rzeźbiarzy przy Prinsengracht, niedaleko Westertoren. Stamtąd Mik koordynował działania dla „Wolnego Artysty”, dla ugrupowania CS-6 i dla PBC; pracowali dniem i nocą. Kiedy policja otoczyła dom, pospiesznie zabarykadowali drzwi i rozpalili w piecyku, żeby wrzucić do ognia jak najwięcej papierów: fałszywe dokumenty, kontakty i adresy członków ruchu oporu, notatnik Mika – wszystko. W tym czasie słychać już było walenie do

drzwi i Mik wyskoczył przez okno na dach, a policjanci wpadli do środka i aresztowali jego dziewczynę. Mik został ostrzelany, raniony niegroźnie, a następnie złapany. Później było więzienie i wielogodzinne przesłuchania, ale ponoć przez wiele tygodni nic nie powiedział. Potem kara śmierci: kula prosto w serce, 1 października, na wydmach przy Bloemendaal.

W listopadowym numerze „Wolnego Artysty” Mikowi poświęcono wiele miejsca, a Eberhard czyta tekst wieczorem na głos, kiedy wszyscy są zgromadzeni przy stole jadalnym:

NIE ŻYJE MAARTEN VAN GILSE

Mik był młody, młody wiekiem, młody w swych ideałach, w swej wierze w ludzi, w swych oczekiwaniach, w swej uczciwości i w pędzie do czynów. [...] Kosmopolita z urodzenia i wychowania, niespokojny z natury, przemierzył wiele krajów, piórem zarabiał na chleb, wszędzie zawierał przyjaźnie i pełną piersią korzystał z życia. [...] Na temat działań Mika w czasie wojny musimy jeszcze milczeć; możemy powiedzieć, że walczył jak mężczyzna, że jego niezłomna odwaga, jego niezniszczalny optymizm pomagały wielu, że jego siła przebicia doprowadzała do zrealizowania tego, z czego inni rezygnowali wskutek niewiary i zwątpienia.

Wielu z pokolenia Mika podzielało jego poglądy, wielu miało takie same ideały, i do 10 maja 1940 roku bardzo głośno chwaliło się swoimi szerokimi spojrzeniem i głębokim zrozumieniem sytuacji. Jednak bardzo, bardzo niewielu z nich, kiedy nadeszła godzina próby, tak jak on pogodziło się z konsekwencjami – także tymi ostatecznymi – i trwało niewzruszenie, kiedy rozpętała się burza, tak jak on codziennie ryzykowało życie, nie cofało się przed żadnym niebezpieczeństwem czy ryzykiem, żeby tylko przenieść swoje najwyższe ideały przez ogień i śmierć ku lepszej przyszłości.

SOKÓŁ

Listopadowa sobota. Jetty świętuje urodziny i wszyscy są cały dzień w wyśmienitych nastrojach. Lien śpiewa kilka pieśni, Eberhard gra dla wszystkich na fortepianie i ze skąpych środków, jakie mają do dyspozycji – trochę ciasta, zawekowane jabłka z sadu i odrobinę cynamonu – udaje się stworzyć coś, co może uchodzić za tort.

Okolo wpół do dziesiątej wieczorem dzieci i kilkoro dorosłych leżą już w łózkach, w piecyku się pali, niektórzy czytają książki, a niewielka grupka siedzi nadal w salonie wokół stołu jadalnego i rozmawia, gdy nagle słyszą rytmiczne kroki. Delikatne i oddalone, jakby gdzieś głęboko w ziemi pracowała wiertarka, wprawiając w drżenie grunt pod domem. Zebrani cichną, ich twarze zastygają. Wstrzymują oddechy i nasłuchują. Dźwięk pochodzi z zewnątrz, nabrzmiewa, rozpoznają go i z pewnym opóźnieniem zaczynają działać. Najpierw wybucha panika, jednak często powtarzany plan alarmowy zaczyna działać.

Maszerujące wojskowe buty zbliżają się teraz szybko, zatrzymują się na chwilę na wysypanej muszelkami ścieżce, stawiają na niej kilka trzeszczących kroków i skręcają w kierunku domu. Ktoś naciska przycisk alarmowy obok drzwi wejściowych i wtedy wszyscy niczym chmara ptaków rozpierzchają się do wskazanych kryjówek. Fietje, Joseph i Japie zabiorą dzieci z łóżek i ukryją razem ze sobą. Lien, Janny, Bob i Eberhard wygładzają ubrania, prostują plecy i przygotowują się do konfrontacji.

– Bram jest jeszcze w toalecie! – Loes Teixeira de Mattos zwraca się do Janny. Ta syczy w jej stronę, żeby szła na górę, ale nie ma już na to czasu. Zdecydowanym ruchem głowy Janny wysyła ją do kryjówki na dole, pod wbudowaną drewnianą ławką obok kominka.

Dzwignia dzwonka obok drzwi wejściowych porusza się tam i z powrotem, a jego dźwięk przecina śmiertelną ciszę.

– *Aufmachen!*

Janny i Bob sprzątają jeszcze szybko rzeczy, które mogłyby wydawać się podejrzane. Zbyt dużo szklanek, karafka wody, za wiele petów w popielnicze, nielegalna gazetka rozłożona na stole. Lien idzie długim korytarzem do drzwi wejściowych, staje na palcach, otwiera czworokątne okienko w drzwiach i mówi do mężczyzn na zewnątrz:

– Proszę iść łaskawie do drzwi kuchennych, zaraz tam otworzę.

Znowu kilka zyskanych sekund.

Z wielkim hałasem mocuje się niezdarnie z zamkami w drzwiach kuchennych. Kiedy patrzy przez ramię, widzi Janny unoszącą kciuk do góry. Otwiera drzwi i ma przed sobą niemieckiego żołnierza w mundurze. Jego skórzany pasek lśni w ciemności, chmurka oddechu wyprzedza słowa.

– Przepraszam, że przeszkadzam, proszę pani. Ale może nam pani powiedzieć, gdzie jest ścieżka prowadząca nad jezioro?

Za mężczyzną stoją inni żołnierze. Kiwają przyjaźnie głowami. Lien zmusza się do uśmiechu.

– Oczywiście – odpowiada.

– Zabłądziliśmy całą grupą. Moglibyśmy napić się trochę wody?

Lien szuka słów, usuwa się w bok i otwiera szeroko drzwi.

– Oczywiście. Proszę wejść do środka.

I tak stoją tam stłoczeni w kuchni: ponad tuzin niemieckich żołnierzy i ich dowódca, plus Janny, Lien i Eberhard. Podają rękę dowódcy i się przedstawiają. Piet Bos, Antje Bos. Janny Brandes. Bob robi coś jeszcze w salonie.

Oprócz wody proponują żołnierzom świeży jogurt, który został ze śniadania.

– Proszę nie robić sobie kłopotu – mówi z początku dowódca, ale następnie jedzą wszystko łapczywie.

Mężczyźni wyglądają na zmarzniętych i zmęczonych.

– Mamy dziś ćwiczenia i musimy dostać się nad wodę – mówi dowódca między jednym a drugim kęsem.

– To już prawie tam, panowie, jesteście. – Lien stara się, żeby jej głos brzmiał jak najbardziej przyjaźnie, i wskazuje przez drzwi kuchenne na ogród z tyłu, w stronę czarnego lasu i wody za nim.

– Trzeba po prostu iść tą drogą przez las i przez wrzosowisko, a potem cały czas przed siebie wąską ścieżką, która wychodzi prosto nad wodę.

– Czy możecie państwo pójść z nami na chwilę i wskazać nam drogę w ciemności? – Dowódca, mówiąc to, patrzy na Eberharda. Ten odpowiada bezbłędnym niderlandzkim.

– Nie, niestety, nie wolno nam. Minęła godzina policyjna. – Unosi ręce w przepaszającym geście, a dowódca natychmiast zaczyna grzebać w torbie.

Janny i Lien patrzą na siebie wystraszone.

– To dam wam przecież pozwolenie – mówi dowódca wesoło, kładąc kartkę papieru na kuchennym blacie.

– „Pan i pani Bos mają prawo opuścić dom w czasie godziny policyjnej” – mówi, pisząc jednocześnie, skrzywienie pióra na papierze zlewa się ze stukaniem łyżek w rękach żołnierzy.

– Podpis, pieczęć, gotowe.

Z szerokim uśmiechem podaje papier Eberhardowi, który składa go i wsuwa do kieszeni. Biorą płaszcze i już ruszają ścieżką, a potem skręcają w las.

Kiedy wracają po półgodzinie, Janny i Bob powyciągali już wszystkich z kryjówek i uspokoili. Ukrywający się przeżywali śmiertelny strach, nie wiedząc, co się dzieje na dole, skąd słyszeli tyle męskich głosów. Lien i Eberhard muszą opowiedzieć wszystko o swoim spacerze.

– No to poszliśmy – opowiada Lien, wciąż jeszcze trochę oszołomiona. – Niemiecki dezertor i holenderska Żydówka na czele niemieckiego oddziału złożonego z dwudziestu żołnierzy, w nocy po ciemnym wrzosowisku w kierunku IJsselmeer, które dawniej było Zuiderzee.

W tym momencie otwierają się drzwi toalety i pojawia się głowa Brama – stary mężczyzna ma problemy z hemoroidami.

– Co się dzieje? – bąka, a oni wszyscy wybuchają śmiechem. Pozwolenia używają potem jeszcze często, z fałszywą datą.

Zaczyna się ich druga wiosna w tym domu i Janny uświadamia sobie, jak długo wszyscy tu już mieszkają – dłużej niż gdziekolwiek indziej od początku wojny. Mimo wyjątkowych okoliczności w Wysokim Gnieździe czuje się jak w domu. Oczywiście istnieje ciągle zagrożenie, strach przed odkryciem, przez co żyją

ostrożnie, ustawicznie czując ucisk w klatce piersiowej. Ale z drugiej strony jest tu wolność lasu, wrzosowiska, wody; są dni, czasami tygodnie, że w okolicach domu nikt obcy się nie pojawia; nie ma żadnych głośnych dźwięków oprócz muzyki unoszącej się w najróżniejszych chwilach dnia z jakiegoś kąta domu; jest tu Jaap, który ciągle wystawia przykrytą kurzem głowę z szopy, z nową drewnianą konstrukcją w rękach – wymyśloną przez niego na zamówienie któregoś z mieszkańców. Mają jedzenie, wodę i tytoń; niewiele więcej im potrzeba.

Kiedy patrzy na dzieci, czuje czasem ukłucie w żołądku. Liselotte, Kathinka, Robbie. Dziewczynki mają dwa i pół roku, a Rob jest już dużym chłopcem: ma cztery i pół roku, ale w jego wyobrażeniu to już prawie pięć. Dzieci czują oczywiście napięcie, muszą dorastać w świecie, w którym nie ma dla nich miejsca. Jednak kiedy Janny myśli o tych wszystkich innych maluchach, które spotyka – ukrywających się u jej nieżydowskich koleżanek z ruchu oporu albo przez dzień u nich w domu, w drodze dokądś, tych, których rodziców wywieziono albo zamordowano, rozdzielonych z braćmi i siostrami, zostawionych u zupełnie obcych ludzi, pociesza się, że ich trójka jest przynajmniej razem, ze swoimi rodzicami, swoimi dziadkami i wujkiem Jaapem. Dzieci z powodu obecności tylu dorosłych stały się nad wiek bystre. Jakiś czas temu Lien zabrała ze sobą córkę na zakupy i stała w kolejce w sklepie spożywczym, kiedy Kathinka zaczęła śpiewać piosenkę. Inni klienci stali i spoglądali rozczeni na dziecko, podczas gdy ona podskakiwała tam i z powrotem i śpiewała czysto swoją pioseneczkę: „Hop, Marianko, syrop lej do kanki, niech laleczki tańczą. Wczoraj w kraju mieszkał książę, dziś szkopów szarańcza”. Lien ze strachu zatkała jej usta ręką. Kobiety w sklepie popatrzyły na siebie zaskoczone, a potem wybuchnęły śmiechem. Janny też uważała, że to śmieszne, kiedy siostra jej opowiedziała, co się stało, Lien jednak poprosiła Eberharda, żeby już nie uczył dziecka tego rodzaju piosenek.

Zrobiły się z nich dzieci lasu. Wspinają się po drzewach, skaczą przez pniaki, z rozpostartymi ramionami biegają po wrzosowiskach i budują szałas za domem w ogrodzie. W gorące dni biegną nad jezioro IJsselmeer po drugiej stronie lasu; z ręcznikami, owocami i wodą. Mogą wchodzić tylko do łydek, ale pod koniec dnia i tak mają poczucie, jakby pokonały jezioro. Zaróżowione leżą

wieczorem w łózkach, a potem zasypiają jak kłody pod chłodnymi prześcieradłami.

Kiedy Janny schodzi rano na dół, gdzie jej matka jest zajęta przygotowaniem śniadania, które mieszkańcy jedzą w turach, i widzi tych wszystkich ludzi, którym dają dach nad głową – młodych i starych, zupełnie samych albo z całymi rodzinami, różne charaktery, głosy i akcenty – wydaje się, jakby tu, w środku lasu, znów była po prostu w Amsterdamie. Zjada coś, rozmawia chwilę z ojcem i matką, wkłada zwykle Robbiemu i czasem także Liselotte płaszczyk i zaczyna swoje codzienne zadanie. Czasami jedzie tramwajem, innym razem idzie pieszo do stacji kolejowej. Tam wsiada w pociąg do Utrechtu, Hagi albo Amsterdamu, według szczegółowych instrukcji jej kontaktu w podziemiu. Odbiera paczuszkę albo dostarcza dowody osobiste, rozprowadza nielegalne ulotki albo przynosi komuś bilety na przejazd, które Bob przywłaszczył sobie w pracy. Zawsze pojawia się obawa, czy jej kontakt będzie na umówionym miejscu, czy może został zdradzony, złapany i wywieziony. Kiedy nie widzi nikogo albo widzi kogoś innego tam, gdzie mieli się spotkać, przykuca, jakby poprawiała dziecku płaszczyk, rozgląda się wokół, żeby ocenić sytuację, wycofuje się z powrotem na stację kolejową i wraca do domu. Gdy gdzieś idzie, ma zawsze wrażenie, że ktoś depcze jej po piętach, ale musi zachować spokój. Nie wolno jej poddać się nieustannemu pragnieniu, żeby zacząć biec, pociągnąć za sobą dziecko i pędzić, pędzić, aż... No właśnie, aż co? Nie ma przecież ucieczki. Jeśli zostanie złapana, to wszystko będzie skończone, dopóki więc się to nie dzieje, musi po prostu trzymać nerwy na wodzy i zachowywać się normalnie.

Każdego dnia wraca do domu, do Wysokiego Gniazda. Tak jak sokół pustułka mieszkający za domem w ogrodzie, gdzie las połyka nieogrodzony niczym trawnik, ptak, który co wieczór po zachodzie słońca daje jej swoimi przeraźliwymi krzykami znać, że on też tu jest. Janny obserwuje go jak pokrewną duszę. W ciągu dnia sokół poluje, uważnie chłonie otoczenie, nabiera szybkości, machając swoimi krótkimi, spiczastymi skrzydłami i sterując długim ogonem, a potem szybuje, czekając na moment, kiedy będzie mógł uderzyć. Czasem Janny ma szczęście i widzi go unoszącego się w powietrzu; według niej to jedno z najpiękniejszych zjawisk, jakie kiedykolwiek widziała. Spokojnie czeka na idealny moment, o którym instynktownie decyduje. Jego ogon

i skrzydła są szeroko rozpostarte, w jednej linii z grzbietem i karkiem, jakby czas i niebo zastygły w bezruchu. Ma przepiękny czerwono-brązowy grzbiet, siwy łepok i szary ogon z groźnym czarnym paskiem na końcu. I nagle nurkuje ku ziemi, jakby miał się rozbić, żeby kilka sekund później nonszalancko znów pojawić się w powietrzu z pełną myszą albo pisklęciem w dziobie.

Pewnej nocy Janny leży, wpatrując się w belki pod dachem. Zamieszanie w domu czasem ściska ją za gardło, ale teraz jest cicho. Zbyt cicho. Zaciska oczy, próbuje zapomnieć o delikatnym pochrapywaniu Boba obok niej i nasłuchuje. Nagle uświadamia sobie, że już jakiś czas nie słyszała ani nie widziała pustułki. Wczoraj? Przedwczoraj? Była tak zajęta, że nie wie. Ale dziś wieczorem na pewno nie słyszała jej wrzasków. Robi się niespokojna, jakby to był zły znak.

Zasypia, z jednym uchem czujnie nasłuchującym dźwięków z zewnątrz i tuż przed wschodem słońca wymyka się boso na dwór. Wszyscy w domu śpią jeszcze głęboko, w pomieszczeniach unosi się słodkawe powietrze. W szarości świtu Janny przemierza ogród, czuje chłód rosy na trawie pod stopami. W połowie drogi mija altankę, gdzie widzi domek dla lalek należący do dzieci i ich minizastawę stołową, przez sad idzie dalej na tyły, gdzie czyha ciemny skraj lasu. W końcu znika pomiędzy drzewami. Grube sznury bluszczu owijają się wokół starej kory, tu i ówdzie leżą sterty jesiennych liści, żółtych i szeleszczących od gorąca letnich miesięcy. Gałęzie drapią jej skórę, jakiś kolec ciągnie za materiał szlafroka, ale ona idzie ostrożnie dalej, z twarzą zwróconą ku górze i wzrokiem wpatrzonym ponad siebie w gęste korony drzew.

Po kilku metrach przystaje i wstrzymuje oddech. Wysoko, na skraju dużego starego wroniego gniazda siedzi ptak z zaciśniętymi na gałęziach pazurami i oczami jak paciorki skierowanymi prosto na nią, jakby w każdej chwili miał ją zaatakować. Za nim w gnieździe samica wysiaduje jajka, ma szeroki, pięknie nakrapiany grzbiet.

Janny wycofuje się tyłem z lasu, odwraca się, dużymi krokami zmierza przez trawę do domu i z uśmiechem na ustach wślizguje się do łóżka obok Boba. Wszyscy są tam, gdzie być powinni.

PIOSENKA JESIENNA

Za każdym razem, kiedy Janny odwiedza Amsterdam, miasto jest coraz bardziej opustoszałe. Gdy na Dworcu Głównym wsiada w tramwaj i przemierza dzielnicę, na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się niezmienną. Okazałe rezydencje przy kanale, mosty i daszki z nazwami tak dobrze znanych jej sklepów – wszystko tu jest, tylko ludzie zniknęli. Wygląda to tak, jakby jechała przez wymarłe miasto i widziała wszędzie mgliste wspomnienia. Ta rodzina z trzema córkami, które chodziły z nią do szkoły: zniknęła. Handlarz sera i masarz: zniknęli. Bogaty handlowiec i jego rodzina z domu z ciężkimi burgundowymi zasłonami: zniknęli. Wielu straganiarzy, których znała dzięki ojcu: zniknęło. W niektórych przypadkach ich miejsce zostało zaanektowane przez zupełnie obce osoby widoczne za tymi samymi zasłonami. Można zobaczyć na przykład matkę karmiącą zupą dziecko siedzące na krześle, które nie jest ich własnością, i Janny czuje, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Tam mieszkał wcześniej kolega z jej klasy, a tam dziewczyna, która była z Lien w rewii. A „wcześniej” to zaledwie rok temu.

Kiedy musi odebrać coś dla ruchu oporu w dawnej dzielnicy Jodenhoek, idzie wzdłuż rzeki Amstel i placu Waterlooplein i widzi wymarłe ulice, jakby spacerowała po projekcie architektonicznym miasta, po bruku czystym i nieuczęszczanym, jak okiem sięgnąć. Nic nie przypomina już tętniącego, intensywnego życia, które nadawało tej okolicy takie piękno, a Jaap, Lien i ich rodzice czerpali z niego pełnymi garściami. W tej wersji domy wyglądają na opuszczone, zasłony są zaciągnięte, a jedynymi ludźmi, jakich Janny widzi, są policjanci. Życie zostało wyssane z Jodenhoek; zniszczono dziedzictwo setek lat.

Kiedy pewnego wiosennego dnia 1944 roku Janny znów zostawia za sobą pozbawiony duszy Amsterdam i wraca do Wysokiego Gniazda, już na ścieżce biegnącej wzdłuż domu wita ją paplanina kilku kobiet dobiegająca przez otwarte drzwi kuchenne. Uspokaja się natychmiast. Dalej, w ogrodzie przy

altance siedzą dzieci, bawiąc się zamkiem dla lalek, a z czeluści domu dochodzą dźwięki fortepianu. Na tarasie młodzi grają w kulki, celując do dołka znalezionego między kamieniami. Kiedy Janny się zbliża, matka macha do niej przez kuchenne okno. Janny wyciera buty i gdy wchodzi do kuchni, uświadamia sobie, że ich okolica żyje. Przynieśli mały Amsterdam do Wysokiego Gniazda.

W nocy nad ich głowami latają angielskie samoloty, coraz częściej i coraz ich więcej. Następnego dnia słuchają radia i mówią do matki: sama widzisz. Na froncie wschodnim idzie coraz lepiej, Armia Czerwona odzyskuje teren i alianci też pewnie szybko wylądują. To już nie potrwa długo.

W pokoju Josepha wisi duża mapa, na której po każdym komunikatach zaznacza on szpilkami postępy na froncie wschodnim. Kiedy przy stole padają jakieś stwierdzenia na temat działań wojennych, które są niezgodne z prawdą, prostuje je i wymienia nazwy miejscowości, o których przed wojną nigdy nie słyszeli: Kursk, Wiaźma, Briańsk. Ubiegłego lata Joseph śledził uważnie bitwę o Kursk i każde zwycięstwo nad wojskami faszystowskimi, o którym informował, jakkolwiek było małe i niewiele znaczące, mieszkańcy świętowali jako krok w drodze do wyzwolenia. Oczywiście na mapie zaznaczone są też pozycje wojsk alianckich na Sycylii i kapitulacja armii niemieckich i włoskich w maju 1943 roku w Tunezji. Ale to są – dosłownie – ukłucia szpilką w porównaniu z krwawymi bitwami na wschodzie. I na dodatek od tamtych wydarzeń upłynęło już tyle czasu – i nadal nie ma mowy o drugim froncie.

Co tydzień rodzina Brilleslijperów próbuje wymyślić coś, by dodać odwagi ukrywającym się u nich ludziom, jak na przykład wieczór muzyczny albo gry w ogrodzie. Wszystko, żeby tylko nie pogrążyć się w strachu, nudzie albo w najgorszym przypadku nie wpaść w panikę. Dzięki zapisom nutowym oper, które Eberhard wypożyczył pod fałszywym nazwiskiem w Amsterdamskiej Bibliotece Muzycznej, przygotowują przedstawienia i wystawiają je w Wysokim Gnieździe. Eberhard ćwiczy partytury, Lien śpiewa, a jeśli trzeba, Eberhard bierze jeszcze na swoje konto partię tenora lub basa. Wykonują swoje ulubione utwory Mozarta, opery *Wesele Figara* i *Czarodziejski flet*. Przed wszystkim jednak, gdy wykonują *Fidelia* – jedyną operę Beethovena – opowiadającą o Lenorze, która w przebraniu strażnika więziennego o imieniu

Fidelio uwalnia z więzienia politycznego swojego męża Florestana – wszyscy w Wysokim Gnieździe są wielce przejęci. Mieszkańcy siedzą w salonie obok siebie na krzesłach przy stole jadalnym, na którymś z foteli albo na podłodze po turecku, na dworze jest ciemno, a na fortepianie pali się kilka świec. Lien śpiewa o walce o sprawiedliwość i lękach Florestana w więzieniu. Rozładowanie napięcia następuje przy chórze więźniów politycznych śpiewających odę do wolności. „O, co za radość, na wolnym powietrzu zaczerpnąć swobodnie oddechu! [...] / Nadzieja szepce mi cichutko: Będziecie wolni. Koniec trosk!^[23]”

Na pierwszego maja przygotowują specjalny jadłospis składający się z siedmiu potraw. Ruda Puck zrobiła karty dań ozdobione kwiatami. Jedzenie nie różni się zbyt od normalnego, przede wszystkim ziemniaki, trochę warzyw, ryba i małe kawałki mięsa dla każdego, ale ich pomysłowość objawia się w czym innym. I tak jest tu „sałatka proletariacka”, „czerwone mięso”, „pudding rewolucyjny”, a na deser „tort ukrywających się”. Dzięki dużemu stołowi jadalnemu zastawionemu zbieraniną talerzy najróżniejszego pochodzenia, szklanek, świec, kart dań i papieru toaletowego zwiniętego w kwiaty jako serwetki piękny pokój frontowy pod drewnianymi belkami wygląda niczym prawdziwa restauracja. Po kolacji Eberhard gra na fortepianie, śpiewa albo nuci i na chwilę zapominają o chaosie za ceglanyścianami domu.

Nie okłamują się, kiedy mówią, że to naprawdę prawie koniec; rozwój wypadków na froncie wschodnim jest pomyślny. Mussolini się poddał, a alianci dotarli na południe Włoch. Stalin już od 1941 roku domaga się utworzenia drugiego frontu, żeby zmniejszyć obciążenie na wschodzie, i teraz to już naprawdę nie potrwa długo, są tego pewni. Wiadomości z obozów koncentracyjnych rozchodzą się tymczasem po całej Europie, a skoro nawet oni w ukryciu już od tak dawna wiedzą, co się dzieje, to przecież świat nie będzie się temu beczynnie przyglądał? Janny i Lien słyszały już w 1942 roku po raz pierwszy o istnieniu Auschwitz; że mnóstwo Żydów zostało zagazowanych – były wiadomości w radiu o truciu spalinami z rur wydechowych aut, a potem o komorach gazowych. Dziesiątki tysięcy Żydów wywiezionych z Amsterdamu do Westerbork, pociąg za pociągiem. Z Westerbork wyruszało potem co tydzień

w pociągach towarowych około tysiąca pięciuset więźniów do Auschwitz. W Radio Londyn słyszą też o obozach na Majdanku, w Treblince i innych miastach na terenie okupowanej Polski. Minionej jesieni policzyli, że w ciągu roku deportowano łącznie około siedemdziesięciu tysięcy holenderskich Żydów. Przekraczało to ich wyobraźnię, te wszystkie pozostawione domy, puste szkoły i sklepy. Wszyscy ci ludzie w pociągach; podróż, która – jak szacowali – z pewnością musiała trwać jeden albo dwa dni. W wagonach towarowych! Zapewniali się wzajemnie, że większość wywiezionych trafiła na pewno do fabryk broni. Wymordować tak wielu ludzi w tak krótkim czasie? To niemożliwe, i tej myśli się trzymali.

Chociaż o tym nie rozmawiają, wszyscy mieszkańcy Wysokiego Gniazda wiedzą, że z każdym dniem, podczas którego nie zostali uratowani, wzrasta zagrożenie. Od Berta Bochove dostają wiadomości o adresach kryjówek w okolicy, które zostały zdradzone. Najwyraźniej het Gooi nie jest tak wolna od Żydów jak wcześniej twierdzono; w Naarden, Bussum, Laren, Blaricum, Huizen i Hilversum coraz więcej domów jest zdekonspirowanych. Żydzi wywożeni są do Westerbork, a nie-Żydzi do Hertogenbosch albo Amersfoort.

I tak wiosną 1944 roku Wysokie Gniazdo przypomina szybkożar ze zbyt dużą liczbą ludzi pod zbyt dużym ciśnieniem, szukających różnych sposobów, żeby pozbyć się nieco napięcia. Jaap znalazł na to swój własny sposób: powziął plan zbudowania pod domem tunelu prowadzącego do ogrodu. W pokoju na parterze znajdującym się z tyłu domu, gdzie ogród przechodzi w las, wycina w grubej drewnianej podłodze właz, który daje się zamknąć idealnie przylegającą klapą i przykryć dywanem. To pokój, w którym mieszkają Lien, Eberhard i Kathinka; śpią i jedzą tam codziennie śniadania we trójkę jako rodzina, żeby cały czas nie przebywać w większym towarzystwie.

Gdy dzieci wychodzą, Jaap przystępuje do pracy, i tak każdego dnia. Żeby było szybciej, prosi o pomoc dwóch ukrywających się u nich chłopaków. Dzień w dzień wykopują piasek spod domu i wynoszą w wiadrach na wrzosowisko. Tam muszą go rozrzucić tak, żeby nie zwracał niczyjej uwagi. To ciężka, męcząca praca, wolno posuwająca się do przodu, ale Janny wie, że Jaap przestanie dopiero wtedy, gdy trzymając się rękoma pod boki, będzie jej mógł pokazać skończoną robotę.

– Janny, tak dłużej być nie może.

Janny spaceruje z Fritsem Reuterem po wydmach, lekka bryza porusza wrzosowiskiem, wywołując fioletową falę aż po horyzont. Wchodzą kawałek pod górkę, podczas gdy upał i mialki piasek ściągają ich w dół. Na wzgórzu zatrzymują się i Janny czuje, że Frits na nią patrzy. Oczekuje odpowiedzi. Zmęczona odgarnia kosmyk włosów z twarzy.

– Wiem o tym.

Schodzą na dół, zapierając się nogami o piasek, a Janny wie, że Frits chce teraz usłyszeć jej plan. Jednak planu nie ma. Tylu ludzi w domu, te wszystkie twarze, każda z własną historią, pełne oczekiwania oczy patrzące na nią, kiedy wraca do domu: niedługo będzie po wszystkim, prawda?

Kogo z nich ma prosić, żeby odszedł? Wszyscy przesuwają się przed oczyma jej duszy: mała Ruda Puck w stroju służącej ze swoimi dowcipami. Jetty o szelmowskim spojrzeniu, dla której tracą głowy wszyscy chłopcy. Kochani starzy Bram i Loes, zawsze razem – wciąż jeszcze ma przed oczami zdziwioną twarz Brama po wizycie żołnierzy w kuchni. Myśli o swoich poległych przyjaciółach, o Gerricie, o Miku i o wszystkich innych, których losu nie zna. Frits powiedział im zaraz po przyjściu, że Janrika van Gilse też już nie ma. 28 marca, pół roku po tym, jak rozstrzelano jego młodszego brata Mika, także on został zastrzelony przez Sicherheitspolizei. Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie. Czasem Janny myśli, że wszyscy po prostu znów się zobaczą po wojnie, będą pili kawę przy jakimś kanale i rozmawiali o przyszłości. Najchętniej przyjmowałyaby wszystkich Żydów, którzy nie zostali jeszcze złapani, wszystkich członków ruchu oporu, którzy nie zostali jeszcze straceni, żeby żyć razem dalej w tym miejscu w lesie.

Idą w kierunku jeziora IJsselmeer i Frits się niecierpliwi.

– Jak zamierzasz to rozwiązać?

Janny wzdycha.

– Pracuję nad tym, Frits. Dwóch ludzi udało nam się ukryć gdzie indziej. Dla innych szukam, pytam wokół. U Berta i Annie w Huizen, u Grietje w Blaricum, u mojego kontaktu w Laren. Amsterdam nie wchodzi w grę, ale jest kilka pustych domków tu nieco dalej w lesie. Może jeszcze ta pani od Karela Poonsa będzie miała gdzieś miejsce dla jednej osoby, może dwóch.

Janny patrzy w bok, Frits nie wygląda na przekonanego.

– Będzie dobrze – mówi Janny. – Wiem, że nie ma wyjścia, robię, co mogę.

Zza ostatniej górkki oddzielającej ich od wody słychać głośny śmiech. Lien, Eberhard i Bob są już z dziećmi nad jeziorem, podczas gdy oni skręcili w kierunku lasu, żeby porozmawiać. Jest też z nimi Cor Snel, przyjaciółka Fritsa. Kiedy stoją na wzgórzu, widzą ją, słońce odbija się w jej blond włosach. Macha do nich z zapalem. „Chodźcie!” – woła bezgłośnie, wykonując ruchy ustami, jak ryba łapiąca powietrze. Janny śmieje się i zbiega z górkki.

Kiedy już prawie stracili nadzieję, nadchodzi ten dzień: 6 czerwca 1944 roku. D-Day. Drugi front, którego tak bardzo wyczekiwali. Radio Londyn nadaje dwa pierwsze wersy wiersza *Piosenka jesienna* Paula Verlaine’a, zakodowaną wiadomość zapowiadającą, że inwazja rozpocznie się za dwadzieścia cztery godziny:

Łkanie bezsennej
Skrzypki jesiennej,
Sieroczej,
Serce mi rani,
Grąży w otchłani
Niemocy.^[24]

I staje się: Anglicy i Amerykanie lądują na plażach Normandii. Przy okropnej pogodzie, przy falach rozbijających się o strome klify, stalowe barki desantowe opuszczają ruchome klapy dziobów i wychodzą z nich tysiące osłanianych przez ogień z okrętów wojennych żołnierzy, którzy skaczą w fale przyboju. Żołnierzom z pierwszej linii desantu powiedziano, że na plaży będą kraterzy po bombach, gdzie będą mogli znaleźć osłonę, jednak tysiące bomb z powodu złej widoczności nie trafiło do celu i wylądowało w wodzie. Żołnierze muszą bez osłony przebyć pięćset metrów plaży. Trapieni chorobą morską, mokrzy po lądowaniu w wodzie, ciągnąc całe pół kilometra ciężkie skrzynie po sypkim piasku i taszcząc na plecach kilogramy wyposażenia, stają się żywymi tarczami dla niemieckich oddziałów. Z niemieckiej perspektywy woda jest czarna od alianckich statków marynarki wojennej, ale z perspektywy nieba plaża szybko

staje się czerwona od krwi. Dopiero gdy wiele godzin później nadchodzi przyływ i fale po kawałku zdobywają plażę, a morze zabiera ze sobą ciała martwych i ciężko rannych żołnierzy, piasek zabarwia się znów na żółto.

Poniesiono ogromne straty, ale alianci zmuszają Niemców do wycofania się i maszerują w kierunku Paryża. Wszędzie w Europie ukrywający się myślą to samo: teraz to już tylko kwestia czasu, zanim wyzwolenie stanie się faktem.

Kiedy wiadomość o inwazji dociera przez radio do Wysokiego Gniazda, każdy ma poczucie, jakby właśnie pękł mocno zaciśnięty wokół jego brzucha pasek. Po raz pierwszy od miesiący mogą znów oddychać swobodnie. Obejmują się, wiwatując, stoją w miejscu jak sparaliżowani albo wybuchają płaczem. Lien łapie siostrę za rękę i wykonuje taniec radości, ale po kilku krokach Janny uwalnia się od niej, podchodzi do eleganckiej szafki z winami w rogu pokoju frontowego, bierze nóż ze stołu jadalnego, wkłada go w szparę drzwiczek i otwiera szafkę. Szafka jest pełna butelek drogiego czerwonego wina o pożółkłych etykietach z ozdobnymi literami; Janny bierze cztery, stawia na stole i prosi Jaapa, żeby przyniósł z kuchni szklanki. Joseph i Fietje wymieniają przelotnie spojrzenia, ale wzruszają tylko ramionami i zaczynają nalewać. Wznoszą głośno toast – *mazeł tow!* – wdychają bukiet, aż im się kręci w głowie, piją małymi łyčzkami i pozwalają, by aromat wina wypełnił ich usta. Alkohol uderza natychmiast do głów i zabarwia czerwienią policzki, kiedy siedzą jak przyklejeni przy radiu.

Gdy wszyscy piją i słuchają w napięciu, Janny podchodzi do szafki i wkłada do niej liścik dla sióstr Jansen: po wojnie uzupełnią alkohol. Potem będzie żałowała, że nie wypili wtedy wszystkiego.

CHIŃSKI WAZON

Bob i Janny wstają wcześnie; dom jest jeszcze pogrążony w głębokiej ciszy, tylko z niektórych pokoi dobiega przytłumiony hałas. W milczeniu piją w kuchni kawę i jedzą skórkę chleba. Grube mury utrzymują jeszcze chłód nocy, ale kiedy Janny otwiera drzwi kuchenne do ogrodu, czuje na skórze przyjemne powietrze. To będzie kolejny ciepły dzień. Dają sobie buziaka; Bob wychodzi do biura, a ona ma specjalne zadanie w Amsterdamie.

Robbie idzie razem z nią, podskakując radośnie i trzymając ją za rękę; w razie kontroli dziecko daje zawsze jakąś ochronę. Wsiadają do pociągu z Naarden-Bussum do Amsterdamu i najpierw udają się do biura meldunkowego, gdzie czeka na nią kilka dowodów osobistych. Tam jej kontakty proszą o nowe, prawdziwe dowody osobiste na nazwiska ludzi, którzy zmarli – osoby te nie pojawią się na razie w rejestrach zmarłych. Nastąpi to dopiero po wojnie. Dowody osobiste tak trudno sfałszować, że jest to najbezpieczniejszy sposób. Z dowodami ukrytymi w staniku Janny kontynuuje podróż na plac Roelof Hartplein, gdzie ma spotkanie z przyjaciółką Trees Lemaire, która także wciąż pracuje dla PBC. Przejmie ona od niej dokumenty i rozprowadzi je dalej w podziemiu.

Janny, ściskając w dłoni rękę Robbiego, zatrzymuje się na placu, gdzie zbiegają się trzy ulice: Van Baerlestraat, J.M. Coenenstraat i Roelof Hartstraat, i czeka. Ma dobry widok na te ulice, ale nawet w najodleglejszej dali nie widzi żadnej nadchodzącej kobiety. Robbie staje się niecierpliwy, zaczyna marudzić i ciągnąć ją za spódnicę, i Janny robi się nerwowa. Trees nigdy się nie spóźnia. Nikt z nich nigdy się nie spóźnia, nie mogą sobie na to pozwolić. Sekundy mijają, ale nic się nie dzieje. Nikogo innego nie ma na placu, Janny czuje się zagrożona. Słońce zbliża się stopniowo do najwyższego punktu nad miastem, a w głowie zaczyna jej łomotać z gorąca. Dowody osobiste palą ją na piersi. Wpatruje się w przeciwną stronę placu, w imponujący narożny budynek, z licznymi oknami patrzącymi w jej kierunku, przechadza się kilka razy tam

i z powrotem. Przypomina sobie rewizję w mieszkaniu w Hadze, kiedy ktoś chciał klucze od drukarni i musiała się zgłosić na Noordeinde pod pomnikiem Wilhelma I Orańskiego, gdzie za każdym filarem czaiły się szkopy.

Robbie zaczyna teraz naprawdę płakać, jego wrzaski rozchodzą się z placu w trzy zbiegające się na nim ulice. Najchętniej zatkałaby mu ręką usta, ale zamiast tego próbuje go uciszyć.

– Zaraz znowu pojedziemy pociągiem, fajnie, prawda?

Spoglądając nad jego głową, lustruje otoczenie. Na pewno minęło już z dziesięć minut, ma złe przeczucie. Ciągnie Robbiego za rękę i rusza, jak najdalej od Roelof Hartplein, w kierunku filharmonii.

Idzie pospiesznie, aż Robbie przestaje marudzić, stara się jak najrówniej stawiać kroki, żeby się nie przewrócić; jej bolesny uścisk trzyma go jak uchwyt. Janny już czuje na karku oddech Sicherheitspolizei, rękę wyciągającą się w kierunku jej ramienia, żeby ją złapać. Oczekuje wyjeżdżających z każdej bocznej uliczki aut z wyjącymi syrenami, które ją otoczą, i idzie szybko, nie oglądając się za siebie, jej pierś podnosi się i opada w takim samym rytmie, w jakim stawia kroki.

Jest tramwaj, wsiadają, na Dworzec Główny. Potem przez halę dworcową z Robbiem szurającym stopami i nic już niemówiącym. Wszędzie są tajniacy, to Janny wie, zachowywać się normalnie, spokojnie, bo jeszcze chwila i zostanie zatrzymana przez jakiegoś wrażliwego szkopa za znęcanie się nad dzieckiem. Zatrzymuje się na chwilę, kuca przed Robbiem i obejmuje rękoma jego twarz.

– Już dobrze, tak?

Daje mu buziaka, podnosi się, przesuwając wzrokiem dookoła i idzie jak najbardziej opanowana na peron, gdzie już czeka pociąg do Naarden.

Mijają zielone pastwiska, Robbie przesuwając w powietrzu wyimaginowanym samochodzikiem, jego nóżki dyndają wysoko nad laminowaną podłogą wagonu. Serce Janny wali nadal, dowody osobiste lepiące się do jej piersi poruszają się razem z nią. Słucha powolnego rytmu pociągu i stara się oddychać w tym samym tempie. Czyżby Trees została złapana? A jeśli ją będą przesłuchiwać i torturować, wygada się? Powie o wszystkim, także o Wysokim Gnieździe? Nie, w to Janny nie wierzy. Trees prędzej odgryzłaby sobie język. Ale jednak są przecież też inni, którzy... Jakaś przeszkoda w jej brzuchu blokuje oddychanie,

zupełnie jak pięść zaciśnięta tuż pod przeponą. Stacja Weesp, wysiadają, musi jeszcze zrobić zakupy.

Robbie podskakuje, trzymając ją za rękę, wydaje się, że już o wszystkim zapomniał. Do chłopca po dużą torbę ziarna. Mielą je na mąkę na chleb w młynku do kawy. Jest jeszcze wcześniej, ale Janny czuje, że palą ją podeszwy stóp, kiedy wraca na stację Weesp z dwiema ciężkimi torbami. Jeszcze kilka minut w pociągu do Naarden, wagony prawie wymarłe, pociąg pędzi, a oddech Janny znów się uspokaja. Nikt ich nie śledził i alternatywne scenariusze wygrywają z wcześniejszym czarnowidztwem. Trees po prostu zasnęła. Albo pomyliła godziny. Albo miejsce. Janny też się to już raz przydarzyło. Dowody osobiste rozproszdzi w inny sposób, może przez swój kontakt w Laren. Odchyła głowę na oparcie siedzenia i wzdycha.

Na stacji Naarden-Bussum tramwaj właśnie przygotowuje się do odjazdu, Robbie biegnie przodem, a Janny z trudem nadąża za nim, dźwigając torby. Ale przynajmniej wsiadają do tramwaju – zawsze to jakieś pocieszenie. Czasem idą do domu pieszo, przez wrzosowiska, ale nie dzisiaj, z tymi wszystkimi zakupami.

Wysiadają na Ericaweg, jeszcze dziesięć minut pieszo po nieutwardzonej ścieżce, która coraz bardziej zwęża się pod naporem roślinności i wyłania przy Wysokim Gnieździe, tuż na skraju lasu. Torby stają się tak ciężkie, że ciągnie je prawie po ziemi. Zatrzymuje się co kilka kroków. Słońce stoi wysoko na niebie, wrzosowiska wysysają resztki wody z ziemi, ale końcówki krzaczków trzeszczą już jak wysychające siano. Prawie w domu. Janny czuje, że napięcie tego poranka odpływa, ponownie stawia zakupy na ziemi i ociera pot z czoła. Robbie biegnie kawałek, zatrzymuje się, odwraca i czeka na matkę.

– Możesz iść pierwszy! – woła Janny. – I poproś, żeby ktoś przyszedł mi pomóc. Ja tu poczekam!

Robbie rusza przed siebie. Janny uśmiecha się, kiedy widzi go, jak biegnie, zupełnie jakby nie mieli za sobą tych męczących wydarzeń całego ranka. Chłopiec pędzi przez ostatni kawałek ścieżki i znika jej z oczu w lesie.

Janny siada na torbie ziarna i czeka w upale. Trwa to długo. Zbyt długo. Jeszcze pięć minut. Ustawia torby za kilkoma młodymi dębami z płotem z krzaków pomiędzy ich szczupłymi pniami, wyławia dowody osobiste ze stanika i chowa je pod zakupami. Widzi, że mocno drżą jej ręce.

Szybkim krokiem idzie ścieżką, potem zaczyna biec, suche bryły piasku spowalniają jej krok. Skręca kostkę, ale spieszy dalej. Zmęczenie znikło. Janny zbliża się do skraju lasu. Ani śladu Robbiego. Warstwa muszelek na ścieżce trzeszczy pod jej stopami, dom pojawia się pomiędzy drzewami, a jej spojrzenie natychmiast biegnie w górę, w stronę okiennic po obu stronach prawego okna na pierwszym piętrze, tuż nad tabliczką z nazwą domu. Duży chiński wazon zniknął. Oznaka niebezpieczeństwa dla kurierów z ruchu oporu i dla mieszkańców Wysokiego Gniazda. Uginają się pod nią kolana i szuka ręką oparcia, którego nie ma. Jeśli się teraz odwróci i ucieknie, do lasu, ma jeszcze szansę, przebiega jej przez głowę.

Liselotte. Robbie.

Jak w transie otwiera bramkę i rusza ścieżką na tyły domu, gdzie znajdują się drzwi wejściowe. Ziemia pod jej stopami fałduje się, jakby stąpała po grubej gumie piankowej, musi stawiać kroki olbrzyma, żeby posuwać się naprzód. Dopiero teraz zauważa, jak tu cicho. Wszystkie drzwi i okna są zamknięte. Nikogo w ogrodzie, żadnej muzyki, żadnego piłowania w szopie. Ucichł nawet ogłuszający świergot ptaków. Dom stoi niewzruszony na wzgórzu, ale Janny odnosi wrażenie, jakby uciekło z niego życie.

Stoi przed ciemnoczerwonymi drzwiami z kwadratowym okienkiem z białą metalową kratką. Jeszcze raz ogląda się za siebie, szuka czegoś oczyma na jasnoblękitnym niebie. Nie ma na nim pustułki. Potem dzwoni do drzwi.

Drzwi gwałtownie się otwierają, stoi w nich mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach i przenikliwym spojrzeniu. To Eddy Moesbergen z kolumny Henneickego, jeden z najskuteczniejszych w polowaniu na Żydów. Kolumnę rozwiązano w październiku 1943 roku, kiedy Amsterdam ogłoszono miastem „wolnym od Żydów”, a teraz Moesbergen działa w amsterdamskiej policji, która pracuje dla niemieckiej Sicherheitsdienst. Tam z własnej inicjatywy kontynuuje polowania, tyle że za podwójną stawkę, w wysokości piętnastu guldenów od Żyda. Jednym z jego informatorów jest właścicielka pensjonatu z Amsterdamu, którą w przeszłości aresztował, bo oferowała dach nad głową nawet Żydom; od czasu jej wypuszczenia Moesbergen grozi jej biletem w jedną stronę do obozu koncentracyjnego, jeśli nie dostarczy mu żadnych informacji. Dzień wcześniej, 9 lipca, dała mu w końcu wskazówkę razem z pomiętą

karteczką, na której było napisane: „Las, dom Wysokie Gniazdo, Driftweg 2, Naarden”. Jeszcze we wrześniu 1943 roku w ogródku jednej z kawiarni w Amsterdamie anonimowy żydowski działacz ruchu oporu przekazał jej ten adres jako ewentualne miejsce schronienia dla ludzi w potrzebie, ale nigdy tego nie wykorzystwała. Moesbergen wziął karteczkę i tego ranka razem z dwoma kolegami z SD, Harmem Krikke i Willemem Puntem, przyjechał na komendę policji w Huizen, tam poprosił o dwóch funkcjonariuszy w cywilu i udał się pod wskazany adres, żeby sprawdzić sytuację. Ku swojemu zdziwieniu w leżącej na uboczu willi odkrył całą grupę ukrywających się Żydów, a teraz na dodatek jakiś kolejny dzwoni do drzwi.

Janny wpatruje się w Moesbergena i przez ułamek sekundy widzi za nim stojącego w holu Robbiego z buzią wykrzywioną ze strachu. Zanim zdąży zawołać do swojego synka, mężczyzna łapie ją za ramię, wciąga brutalnie do środka i krzyczy jej w twarz:

– A ty to kto!

Janny jest tak osłupiała, że odpowiada:

– Czy mogę najpierw wiedzieć, kim pan jest?

Mężczyzna zamierza się i uderza ją kilka razy otwartą dłonią w twarz. Robbie zaczyna krzyczeć:

– Mama, mama!

Janny chwieje się, ściany wirują, ale ona nadal stoi. Moesbergen wlecze ją ze sobą do salonu, po drodze Robbie łapie ją za nogę. Drzwi się otwierają, a tam na podłodze siedzą oni. Kiedy widzą Janny i Robbiego, nie mogą aż złapać oddechu. Oni też! Mieli nadzieję, że usunięcie wazonu zadziała. Wszyscy tu są. Lien i Eberhard z Kathinką. Jaap. Ruda Puck z Liselotte na kolanach – Bogu niech będą dzięki. Jetty. Simon. Loes i Bram, z pręgą na karku. Nie, nie ma wszystkich. Janny liczy błyskawicznie. Brakuje czwórki: ojca, matki, Rity i Willego.

Widząc zaczerwienioną po jednej stronie od uderzeń twarz swojej młodszej siostry, Lien z gwałtownym szlochem zakrywa usta. Eberhard przytula ją do siebie. Bram Teixeira de Mattos patrzy przenikliwie na Janny i delikatnie potrząsa głową.

– To nie twoja wina – udaje jej się odczytać z jego ust, zanim któryś z mężczyzn nie powala go uderzeniem na podłogę.

– Nie gadać!

Również Janny zostaje pchnięta na podłogę i Robbie błyskawicznie się w nią wtula. Janny siada po turecku i uspokajająco kiwa głową w kierunku Liselotte i Puck, która wpatruje się w nią z drżącą dolną wargą i szeroko otwartymi z przerażenia oczami, obejmując sztywno ramionami malutką dziewczynkę. W całym domu słychać ciężkie kroki na schodach i w pokojach, gdy ludzie z SD i miejscowi policjanci w cywilu wywracają wszystko do góry nogami. Nad stołem w jadalni drżą lampy. Mieszkańcy patrzą na to w milczeniu, a potem szybko spuszczaają wzrok. Pilnuje ich jeden z ludzi z SD, amsterdamski śledczy Punt, ale po tym, jak bezlitośnie grzmotnął Brama w głowę, woła go nie prowokować. Przez okienko do kuchni słyszą, jak Moesbergen z innym kolegą wyzerają ich zapasy. Wołają tych z góry, rzucają jednemu z nich coś do jedzenia, hałaśliwie mlaskają, śmieją się i kontynuują przeszukiwanie domu. Wykrzykują obsceniczne teksty i groźby, żeby wykurzyć z kryjówek ewentualnych innych ukrywających się. Janny zamyka oczy i myśli o ojcu i matce schowanych w swoich skrytkach, niewiedzących, co się dzieje i kto już został złapany. Opuszkami palców przesuwają po policzku, który wolno puchnie.

Siedząc na podłodze i próbując zachować spokój, nasłuchuje hałasów robionych przez mężczyzn i powtarza w głowie jak mantrę ich nazwiska:

Moesbergen

Krikke

Punt

Hiemstra

Boellaard

Czy w jakimś momencie pomyśleli, że są nietykalni? Że wzgórze, na którym stoi Wysokie Gniazdo, otoczone jest jakąś powłoką, dzięki której łapani je ciągle omijają, a władza go nie dostrzega? Nie, nie żyli w świecie fantazji. Ich czujność nie zmniejszyła się ani przez chwilę i mieli świadomość ryzyka, jakie niosą za sobą ich czyny; jeszcze kilka dni wcześniej przeprowadzili ćwiczenie z użyciem przycisku alarmowego i kryjówek. Wszyscy ich ostrzegali, że to

szaleństwo: Żydzi prowadzący kryjówkę dla Żydów. Bert i Annie Bochove ze wsi. Mik, za każdym razem, kiedy go widzieli. Frits i Cor, Jan i Aleid, Karel Poons, Leo Fuks i niezliczeni inni. Jednak Janny i Lien chciały zapewnić przeżycie nie tylko sobie samym i swoim rodzinom, ale jak największej liczbie osób. Robiły to, co musiały i co mogły zrobić.

Kiedy ukrywających się było za dużo i napływ członków ruchu oporu do Wysokiego Gniazda przekraczał wszelkie granice, podejmowały odpowiednie decyzje. Przenosiły ludzi w inne miejsca, nie pozwalały nocować nieznanym i przygotowały cały protokół bezpieczeństwa dla osób z podziemia przychodzących do ich domu. Miały własny alarm, kryjówki dla każdego mieszkańca, podziemny korytarz, sieć informatorów wśród władz. Wazon w oknie był dobrym sygnałem, żeby ostrzec ludzi z zewnątrz przed niebezpieczeństwem. Przed zdradą jednak nie można się było obronić.

Lien i Eberhard razem z Kathinką siedzieli przy śniadaniu w swoim pokoju na dole od strony lasu, kiedy nagle usłyszeli hałas na dworze. Było krótko przed dziewiątą, Bob i Janny już wyszli, a reszta domowników dopiero się budziła; większość pozostawała zawsze jeszcze chwilę w swoich pokojach, żeby mieć nieco spokoju, zanim wkroczą w wir kolejnego dnia. Zesztywniali ze strachu popatrzyli na siebie i kątem oka ujrzeli obraz, który tak często prześladował ich w koszmarach sennych: na terenie posiadłości znajdowali się obcy mężczyźni.

Eberhard natychmiast zaczął działać. Zwinął dywan, otworzył właz, schował skrzynkę z zakazanymi przedmiotami do podziemnej dziury: nielegalne gazety, teksty żydowskich piosenek, pamflety ruchu oporu, książki o żydowskiej kulturze, które Lien studiowała z Leo Fuksem, i inne. Kathinka przyglądała się zaskoczona, a Lien wyszeptała pospiesznie:

– Nikomu o tym nie mów, kochanie!

Właz zamknięty, przykryty dywanem, stół i krzesła na nim. Walenie do drzwi.

– Otwierać!

Eberhard uścisnął rękę Lien i otworzył prowadzące na korytarz drzwi ich pokoju. Podszedł do drzwi wejściowych, nacisnął przycisk alarmowy i modlił się, żeby wszyscy na górze już nie spali i zareagowali, tak jak ćwiczili to wiele razy. Podczas gdy walenie i wrzaski nie ustawały, z rozmyślną powolnością,

żeby zyskać dodatkowe kilka sekund, otworzył drzwi wejściowe. Gdy tylko puścił ostatni zamek, do środka wpadł mężczyzna z twarzą czerwoną i wściekłą niczym u byka.

– Sicherheitsdienst!

Jego śladami podążał drugi, a za nimi Eberhard zobaczył jeszcze trzech innych stojących w ogrodzie i uważnie się rozglądających. Właśnie fakt, że wszyscy mieli cywilne ubrania, wywołał w nim strach; z jakiegoś powodu mniej bał się mężczyzn w mundurach, zupełnie jakby ich zadanie było im narzucone i jakby mogli z niego zrezygnować. Mężczyźni mówili po niderlandzku.

– Gdzie oni są?! – wrzasnął dowódca prosto w twarz Eberharda, czemu towarzyszyła fontanna kropelek śliny.

Eberhard patrzył zaskoczony. Lien próbowała stać się niewidzialna, z Kathinką wtulającą w nią twarz, przyłgnęła plecami do ściany korytarza.

– Kto? – zapytał Eberhard.

– Wy wszyscy do pokoju frontowego!

Mężczyzna wrócił do drzwi wejściowych, wychylił się na dwór i przywołał czekających kompanów. W holu wydał im rozkazy.

– Punt, pilnuj tej trójki. Hiemstra, ty idziesz ze mną.

I ruszył schodami na górę. Hiemstra, niepozornie wyglądający mężczyzna o zimnych oczach i bladej rybiej skórze, pobiegł za nim wielkimi krokami. Człowiek z SD, który był już w środku, przeszukiwał parter.

We trójkę siedzieli w pokoju frontowym, Eberhard, Lien i Kathinka, z Puntem z SD jako strażnikiem, i czekali w napięciu na to, co znajdą mężczyźni na górze. Puck i Liselotte zostały wprowadzone do pokoju jako pierwsze, dziewczynka miała gorączkę i zwinęła się niczym kotek na kolanach Puck. Mężczyźni kontynuowali przeszukiwanie.

– Mógłbym przysiąc, że widziałem tu stojącego przy oknie chłopaka, kiedy byliśmy na dworze – słyszeli czyjś głos przez drewniany sufit.

Lien wstrzymała oddech – to musiał być Willi. Pewnie wyjrzał z ciekawości przez okno, żeby sprawdzić, co się dzieje, gdy zobaczył błyskające światła alarmowe. A tak go prosili, żeby nigdy tego nie robił. Alarm oznaczał: schować się, natychmiast!

Moesbergen schodził od czasu do czasu na dół, żeby na nich wrzeszczeć, i wyciągał pojedynczo z pokoju, żeby groźbami zmusić do mówienia – ale oni milczeli i na razie mężczyźni nie znaleźli w domu nikogo innego. Lien cieszyła się, że przynajmniej Boba, Janny i Robbiego nie ma, i nagle przypomniał się jej umówiony znak. Wazon na parapecie okna pierwszego piętra musi zniknąć! Nie wiedziała, co Janny ma dzisiaj do zrobienia, celowo sobie tego nie mówili ani tego, o której wróci. Może już jest w drodze do domu. Kiedy Punt wyszedł na chwilę z pokoju, wyszeptała Kathince do ucha:

– Biegnij na górę, do dużego pokoju. Ja będę tuż za tobą. Teraz!

Popchnęła nieco dziecko i Kathinka wybiegła na korytarz, pobiegła po schodach na górę, do pokoju od frontu, a matka tuż za nią. Ludzie z SD zaczęli wrzeszczeć na nią i do siebie, kiedy Lien, udając, że rzuca się, żeby zatrzymać córkę, zamaszystym ruchem ręki strąciła wazon z parapetu. Ogłuszający brzęk skorup rozpryskujących się na podłodze zagłuszył wrzaski Moesbergena do jego ludzi. Kathinka nie miała pojęcia, co się dzieje, i wybuchnęła płaczem, a Lien szybko ją do siebie przytuliła.

Hiemstra popchnął je przed sobą po schodach na dół i przekazał dziecko z powrotem Puntowi, który patrzył zaskoczony. Lien przesłała Eberhardowi triumfalne spojrzenie nad głową łkającej Kathinki. Wazon zniknął.

– Macie ostatnią szansę: gdzie jest reszta?

Lien wpatrywała się w twarz Moesbergena, na karku nabrzmiewała mu pionowa żyła, a na czole pozioma. Pochylił się w kierunku Lien.

– Wiem, że ukrywacie tu więcej ludzi. Gdzie oni są?!

Lien wystraszyła się i zbladła. Czyżby ich obserwowali? Przez cały ten czas wiedzieli, że ktoś się tu ukrywa? Jeśli tak, to wszystko stracone. Musieli złapać jakiś ich kontakt w ruchu oporu i ten zaczął mówić. A może to ktoś z ukrywających się u nich wcześniej? Wiadomo było, że rzadko kto wytrzymuje tortury i nie można mieć o to pretensji. Ale kto to był, na Boga?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odpowiedziała spokojnie.

Z Eberhardem i Rudą Puck też nic nie wskórał, ale kiedy Moesbergen wyprowadził z pokoju Kathinkę, wybuchła panika. Po pięciu minutach dziewczynka weszła z powrotem i powiedziała dumnie:

– Obiecał, że dostanę czekoladę, ale nie chciałam. Nic nie powiedziałam, mama, tylko, że jest bardzo złym panem.

Lien przytuliła ją do siebie.

Po godzinie usłyszeli dudnienie na schodach. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wepchnięto Brama i Loes Teixeira de Mattosów z pustymi spojrzeniami i skulonymi ramionami. Moesbergen wpatrywał się przez chwilę w zgromadzoną przed nim na podłodze grupkę, rozkazał Bramowi wstać i pójść z nim. Stary mężczyzna podniósł się z trudem i poszedł za nim na korytarz. Słyszeli wszystko za zamkniętymi drzwiami.

– Jesteś więc Żydem!?

Moesbergen wydierał się tak, jakby musiał przekrzyczeć tłum.

– Nie, proszę pana – usłyszeli odpowiedź Brama, a jego i tak już słaby głos tłumili jeszcze grube ściany. Loes zaczęła płakać, pochylona do przodu, z twarzą ukrytą w rękach.

– Mamy tutaj Żyda, który nie wie, że jest Żydem!

Śmiech. Potem usłyszeli łoskot w korytarzu, dziwne dźwięki, przesuwające się meble czy szarpaninę, i wszyscy wpatrywali się w drzwi z zastygłym wyrazem napięcia na twarzach.

– Nadal nie jesteś Żydem? Może mam z ciebie zrobić Żyda?

Z każdym słowem Moesbergena grupa w pokoju frontowym kurczyła się w sobie. Nagle otworzyły się drzwi i Bram, potykając się, wszedł do środka. Rękoma trzymał się za gardło, oczy nabiegły mu krwią i ciężko oddychał. Z trudem zajął ponownie miejsce obok Loes, która chciała pochylić się nad mężem, ale ten odsunął się i wpatrywał w podłogę, jednocześnie łapiąc oddech otwartymi ustami. W tej sytuacji już nikt się nie odezwał.

Godzinę później: Jaap, Jetty i Simon.

– Proszę bardzo! – rzucił z przechwałką w głosie Moesbergen, z uśmiechem popychając ich przed sobą do pokoju. – Złapaliśmy następnych. Wszyscy zgnijecie w więzieniu!

Rozbili drewnianą podłogę i odkryli ich skrytki.

Około drugiej po południu nadszedł druzgocący cios: Janny i mały Rob. Potłuczony wazon nie uchronił ich przed przeznaczeniem.

Gdy od jakiegoś już czasu siedzą na podłodze w pokoju frontowym i wygląda na to, że tamci nie mogą znaleźć pozostałych, Janny zaczyna znów trzeźwo myśleć. Jej wcześniejsza panika zniknęła, zachowuje teraz lodowaty spokój. Trzeba natychmiast załatwić kilka spraw. Przede wszystkim ostrzec Boba w pracy. Ci, którzy nie zostali jeszcze odkryci, muszą pozostać tam, gdzie się schowali. No i trzeba zabrać stąd maluchy. Janny patrzy z napięciem na Lien i wie, że ona myśli o tym samym. Nadeszła chwila, którą ciągle przesuwają w czasie: muszą się rozstać z dziećmi.

– Proszę pana – Janny zaczyna mówić spokojnie do Punta – moja córeczka ma wysoką gorączkę.

Wskazuje na Liselotte uwieszoną na Puck. Dziewczynka ma senny wzrok i pąsowe policzki, niczym mały klaun. Mężczyzna wzrusza ramionami i patrzy na nią pytająco.

– Musi iść do lekarza. Nie przeżyje więzienia.

Punt odwraca wzrok i wygląda przez okno: ta wiadomość nie jest przeznaczona dla niego. Janny patrzy na Lien i kiwa głową.

– Teraz się nie przestrasz – szepcze Lien Kathince do ucha i zaczyna kwiczeć jak prosię. Kathinka odskakuje od matki, która leżąc na podłodze, dziko wymachuje rękami, jej głowa miota się na prawo i lewo, podczas gdy ona nie przestaje wrzeszczeć. Wszyscy w pokoju się wystraszyli, łącznie z Puntem, który wygląda, jakby zobaczył ducha. Zamierza się, żeby uderzyć, ale nie wie kogo.

– Tylko nie dzieci! Nie dzieci!

Lien drze się i piszczy. Udaje atak, ale rozpacz jest prawdziwa. Pluje, ślini się i turla po podłodze, Punt odskakuje i woła, żeby przestała, ale Lien nie przestaje.

– Weź mnie! Tylko nie dzieci, proszę, nie dzieci!

W oczach Janny też w tym momencie pojawiają się łzy. Reszta przygląda się oszołomiona, rozumieją, że to jest udawane, ale dobrze wiedzą, o co toczy się ta gra.

– Przestań, kobieto! Gdzie mają iść te dzieci? Dosyć tego!

Punt patrzy na drzwi, bojąc się, że wejdzie Moesbergen i znowu zobaczy, że Punt nie radzi sobie z sytuacją.

– Mogą iść do lekarza rodzinnego – mówi Janny spokojnie z kąta pokoju.

Punt odwraca się.

– Co?

– Tu niedaleko mieszka nasz lekarz rodzinny; na pewno przyjmie dzieci. Bardzo proszę. Mogę do niego zaraz zadzwonić.

Lien kwiczy niczym zranione zwierzę i nie przestaje mamrotać, „nie dzieci”. Punt obawia się, że w każdej chwili może nastąpić nowy atak. Daje głową znak Janny, ale wtedy do środka wchodzi Moesbergen. Wydaje Puntowi rozkaz zaprowadzenia całej grupy, poza starym małżeństwem Teixeira de Mattosami, na posterunek policji w Huizen. Nikt nie wie, dlaczego Bram i Loes zostają – może ze względu na widoczne problemy z chodzeniem, a może dlatego, że zbiry z SD mają nadzieję wydobyć więcej informacji z tych mało wytrzymałych ludzi. Dwóch miejscowych policjantów, którzy cały dzień pomagali tym z SD, Hiemstra i Boellaard, mają pójść razem z Puntem.

– Idźcie. No już.

Trzej mężczyźni pędzą ich przed sobą na podwórko i każą im ustawić się w szeregu przed Wysokim Gniazdem. Coraz wyraźniej widać, że to odkrycie jest dla nich całkowitym zaskoczeniem; są kompletnie nieprzygotowani: żadnego transportu, żadnego wsparcia, żadnego planu.

Cała grupa wyrusza pieszo w kierunku Huizen, ale po drodze Janny i Lien próbują urobić Punta: dzieci są tylko w połowie Żydami – niech je pan zaprowadzi do lekarza, a nas weźmie ze sobą. Gdyby miało się okazać, że kłamamy, zawsze może je pan potem zabrać. Lekarz mieszka tu za rogiem, proszę zobaczyć, prawie już jesteśmy: tam widać dom. Niech się pan zlituje, bardzo prosimy.

Punt ulega. Wysyła jednego policjanta na posterunek z resztą aresztowanych, a drugiego prosi, żeby poszedł z nim do lekarza. Skręcają w kierunku Nieuwe Bussummerweg, w kierunku domu doktora van den Berga, i dzwonią do drzwi.

Doktor otwiera i cofa się przestraszony, kiedy widzi stojące przed drzwiami dwie kobiety o białych jak kreda twarzach. To pani Brandes i pani Bos, z wtuloną w nie trójką ich małych dzieci; czasem im pomagał, wie, że obie kobiety są Żydówkami i że w Wysokim Gnieździe ukrywają potrzebujących. Za nimi stoi dwóch mężczyzn. Punt przedstawia się jako funkcjonariusz

Sicherheitsdienst, jego kolega jest z policji w Huizen. Czy mogą wejść do środka? Jeszcze zanim lekarz zdążył udzielić odpowiedzi, mężczyźni wchodzą do jego domu.

Od tej chwili wszystko idzie szybko. Lekarz i jego żona wyrażają zgodę, żeby przez jakiś czas zaopiekować się dziećmi. Punt nakazuje im, żeby dzieci były w każdej chwili dostępne dla SD: na tym etapie śledztwa ustalono, że matki są żonami Aryjczyków, więc dzieci są pół-Żydami. Jeśli jednak okaże się, że jest inaczej, zostaną zabrane i umieszczone w transporcie.

Robbie ma już prawie pięć lat i nagle zaczyna rozumieć, co się dzieje. Patrzy to na obcych mężczyzn, to na matkę, wczepia się w nią kurczowo palcami i widać, że zaraz zacznie płakać. Janny przyklęka przed nim i bierze jego twarz w dłonie. Dotyka nosem jego nosa, patrzy mu prosto w oczy i szepcze:

– Nie bój się. Wrócę, obiecuję. Tatuś po was przyjdzie, powiedz wtedy tatusiowi, że do was wrócę. Dobrze?

Jego ciało drży, a oczy robią się wielkie, ale kiwa lekko głową i pozwala jej złożyć ostatni pocałunek na swojej zasmarkanej buzi. Janny delikatnie go popycha i policjant przejmuje dziecko. Janny bierze teraz na ręce Liselotte, której policzki nadal płoną od gorączki. Lien robi to samo z Kathinką. Obie dziewczynki mają prawie po trzy lata i cichutko płaczą; nie rozumieją, co się dzieje, ale czują, że to coś straszego.

– Bądź grzeczna i spokojna, wszystko będzie dobrze – szepcze Lien we włosy Kathinki. Janny przytula do siebie po raz ostatni Liselotte, i lekarz zabiera całą trójkę do salonu.

Kiedy zamykają się za nimi drzwi wejściowe, zapada martwa cisza. Janny i Lien idą ścieżką w kierunku ulicy i jeszcze raz się odwracają. Troje maluchów pojawia się w oknie, ale nie machają. Potem popchnięcie w plecy i kobiety ruszają dalej.

10

KULA

SD rzeczywiście nie spodziewało się tak obfitego połowu; prawie nie da się już znaleźć Żydów w tym kraju. Myśleli sobie, jeden Żyd, może dwóch, ale nie licząc dzieci, jest ich aż ośmioro: Janny, Lien, Jaap, Bram, Loes, Jetty, Simon, Puck. I jeszcze ten niemiecki dezertor, zdrajca ojczyzny. Nawet Moesbergenowi nieczęsto zdarzało się dokonać tak cennego odkrycia.

Wszyscy, poza Bramem i Loes, zostają zamknięci w biurze policji w Huizen. Punt wraca natychmiast do Wysokiego Gniazda, żeby pomóc w poszukiwaniach pozostałym tam kolegom, Moesbergenowi i Krikkemu. Są pewni, że w tych wszystkich fachowo zbudowanych kryjówkach w tej willi w lesie ukrywa się jeszcze więcej osób. Walą młotkami w ściany, rozbijają je, podobnie jak podłogi, ściągają dywan, wykrzykują obsceniczne teksty, żeby wypędzić z kryjówek ich ewentualnych mieszkańców. Ale jest cicho jak makiem zasiał, cegły Wysokiego Gniazda milczą. Intruzi grożą, że poprzestrzelają cały dom z karabinów, udają, że rezygnują, głośno zamykają za sobą drzwi wejściowe i zaraz zakradają się z powrotem do środka, ale nic to nie daje. Są wściekli. Ukrywających się musi być więcej, policzyli materace w pokojach i szczoteczki do zębów przy umywalce.

Tymczasem tę dziewięcioosobową grupę trzeba w jakiś sposób przetransportować na przesłuchanie do kwatery głównej Sicherheitsdienst przy Euterpestraat w Amsterdamie. Tylko jak? Ponieważ nic nie zostało przygotowane, nie ma żadnych dostępnych samochodów policyjnych w Naarden czy Huizen. Członkowie SD dzwonią wszędzie, czy gdzieś w okolicy są do wynajęcia jakieś furgonetki – na próżno. Zastanawiają się, czy mogą przewieźć całą grupę pociągiem do Amsterdamu – to jednak zbyt niebezpieczne. Ostatecznie decydują się czekać, aż ktoś z SD przyjedzie policyjnym samochodem z Amsterdamu.

Janny tymczasem napisała na kawałeczku papieru numer telefonu do biura Boba i czeka, kiedy będzie mogła go przekazać właściwej osobie. Z doświadczenia wie, że w policji w Huizen pracują dobrzy ludzie; policjanci, którzy w istotnych momentach przymykają oko albo nawet przekazują informacje miejscowym ukrywającym się i ruchowi oporu. Wsuwa karteczkę w dłoń policjanta, który cały dzień jest z nimi. „Proszę zadzwonić: nie przychodzić do domu!” Mówi to prawie niesłyszalnie, przez zęby. Policjant zaciska pięść wokół karteczki i nic nie mówi. Janny zdaje się na los szczęścia.

Dopiero późnym popołudniem przyjeżdża samochód wysłany przez SD z Amsterdamu i transport opuszcza posterunek policji. Po drodze zabierają Brama i Loes z Wysokiego Gniazda, małżonkowie są bladzi jak śmierć, obydwójce wyglądają na zmaltretowanych. Pozostali nie wiedzą, co się z nimi przez ten czas działo, ale ostatnich czworo ukrywających się – Joseph, Fietje, Willi i Rita – najwyraźniej nie zostało zdradzonych ani odkrytych.

W drodze do Amsterdamu wszyscy milczą; boją się, że każde wypowiedziane słowo może zdradzić innych. Lien i Janny nie śmiały prawie na siebie spojrzeć, przegnębione rozstaniem z dziećmi i chore z powodu ojca i matki w kryjówece.

Gdy tylko wjeżdżają do Amsterdamu, ożywiają się. Dla wszystkich, oprócz Janny i Eberharda, to pierwsza od długiego czasu wizyta w mieście. Wjeżdżają od strony Weesperzijde, jadą w kierunku Amsterdamu Południowego, gdzie znajduje się kwatery główna SD. Atmosfera w mieście jest przygnębiająca. Żadnego ruchu na ulicy, dużo żołnierzy, policjantów. Nawet u schyłku tego słonecznego letniego dnia, kiedy centrum miasta normalnie pękałoby od hałasu i ruchu, wydaje się, że nad ludźmi i domami wisi chmura. Przez most i dalej Amstellaan, przecinają Rijnstraat, mijają charakterystyczny budynek przy Apollolaan, który zawsze nazywali Wieżą Pracy. To stalowy szkielet okryty zbrojonym szkłem, dumny drapacz chmur Rijksverzekeringsbank. Ledwie kilka lat temu siostry przyglądały się z otwartymi ustami wiszącej na zewnątrz gondoli przeznaczonej dla osoby myjącej okna: pierwsze takie urządzenie w Holandii. Uważały, że to przerażające, ale myjący okna pracownik pomachał do nich radośnie z góry. Na dachu budynku widać teraz reflektory i działa przeciwlotnicze Wehrmachtu. W Wysokim Gnieździe okupacja była na każdym kroku głównie odczuwalna, tu jest przede wszystkim widoczna.

I nagle: Euterpestraat, dawny budynek szkolny.

– Wysiadać!

Z samochodu przez główny hol do ciemnej piwnicy. Wąskie drewniane piętrowe łóżka przy ścianach. Drzwi zatrząskują się, gdy stoją przyciśnięci do siebie, jak w kolejce przed urzędem pocztowym. Wilgotna ciemność, jedna mała żarówka pod sufitem. Siadają po omacku na zimnej podłodze, czują obecność innych ludzi w pomieszczeniu. Nikt się nie odzywa.

Jeszcze tego samego wieczoru zostają przewiezieni policyjnym samochodem do nowocześniejszego budynku przy Marnixstraat. Po niespokojnej, przerażającej nocy, następnego ranka trafiają do piwnicy przy Euterpestraat. Bunkier przesłuchań. Omówili ze sobą możliwości ucieczki, ale strażnicy SS nie spuszczają ich z oka. Jedno po drugim są wyprowadzani z piwnicy. SS-Sturmbannführer Willi Lages, niemiecki szef SD na Holandię Północną, jest doświadczonym oprawcą, który uczestniczył w licznych egzekucjach. Obietnice, szantaż, plugastwa: wyciąga wszystko z zanadru, ale oni milczą. Żeby zaczęli mówić, grozi sprowadzeniem dzieci; Janny i Lien nie wiedzą, czy uda im się wtedy dalej milczeć. Zwłaszcza Lien jest przerażona, że oprawcy się dowiedzą, że ona i Eberhard nie są małżeństwem, a więc oficjalnie Kathinka jest żydowskim dzieckiem – a to powód do deportacji.

Kiedy wracają wieczorem na Marnixstraat, okazuje się, że Bram i Loes Teixeira de Mattosowie zostali wywiezieni do obozu Westerbork. Janny i Lien zdruzgotane idą korytarzami w kierunku kompleksu cel i nie wierzą własnym oczom: na końcu holu stoją Fietje i Joseph. Starzy, wąтли. Dłoń na ramieniu, krzyżujące się spojrzenia, wystarczająco długo, by zobaczyć swoje przygnębienie. Ojciec obejmuje matkę troskliwie ramieniem, jakby chciał ją ochronić, chociaż wie, że to nie wystarczy.

– Wytrzymaaliśmy najdłużej, jak mogliśmy – szepcze przepaszająco ojciec. Spuszcza oczy. – Znaleźli też pozostałych. I dokumenty Eberharda.

Przechodzą dalej, do celi. Lien chwieje się, szuka spojrzenia Janny: teraz to już koniec. Eberhard zakopał swoje dokumenty, między innymi oryginalny dowód osobisty, w ołowianej skrzyneczce w ogrodzie, gdy tylko zamieszkali w Wysokim Gnieździe. Po D-Day, pełni optymizmu, wykopali skrzyneczkę, żeby zobaczyć, czy dokumenty są jeszcze w dobrym stanie. Jednak były mokre i zdeformowane. W jednej z sypialni znajdował się kominiek, którego nie

używali; rozłożyli tam papiery, żeby wyschły. Eberhard zamierzał je później lepiej spakować i znowu zakopać w ogrodzie. Teraz znają jego prawdziwą tożsamość. Jean-Jacques Bos miał jeszcze szansę. Eberhard Rebling będzie wisiał.

W kwaterze głównej SD tymczasem panuje zachwyty: szesnastu ukrywających się, w tym dwoje dzieci, które na razie zostawiono w spokoju; *Mischlinge* (mieszkańcy) – nie muszą trafić do transportu. Z trzecim dzieckiem jest inaczej. Ponieważ zostały znalezione dokumenty Niemca, a także wiadomo, że nie ma on ślubu z Żydówką, ich dziecko jest Żydem. Moesbergen demonstruje zadowolenie z tej wiadomości i nakazuje doktorowi van den Bergowi dostarczyć osobiście dziecko jak najszybciej do biura SD przy placu Adam van Scheltemaplein.

Wszyscy z grupy dorosłych, oprócz Janny, Lien i Eberharda, trzeciego dnia trafiają do Huis van Bewaring – więzienia tymczasowego przy Weteringschans. Do tego samego więzienia, na które ich przyjaciel Gerrit van der Veen, kumpel Mika z „Wolnego Artysty”, kilka miesięcy wcześniej dokonał zamachu w nadziei na uwolnienie innych przyjaciół z ruchu oporu. Zamach, który przeprowadził na amsterdamskie biuro meldunkowe rok wcześniej, w marcu 1943 roku, tylko częściowo się udał, ale nie powstrzymało go to przed ponowną próbą, i to w samej paszczy lwa. W maju 1944 roku wdarł się do budynku przy Weteringschans, został postrzelony w plecy, ale uciekł. Kilka tygodni później został jednak złapany i w czerwcu stracony na wydmach przy Overveen. Rodzina Brilleslijperów i grupa ukrywających się u nich ludzi nie wiedzą nic na ten temat. Jednak w chwili, gdy przebywają przy Weteringschans, nie żyje już dwóch z trzech założycieli „Wolnego Artysty”: Mik van Gilse i Gerrit van der Veen. Trzeci z nich, ojciec Mika, kompozytor Jan van Gilse, umrze kilka miesięcy później z powodu złego stanu zdrowia, i w ten sposób światło „Wolnego Artysty” jako naczelnego symbolu ruchu oporu artystów zgaśnie na dobre.

Noc 12 lipca Lien i Eberhard spędzają razem w jednej celi. To ich ostatnia wspólna noc. Przytulają się, milcząc, przygotowują się do rozstania, myślą o Kathince, ale nie wymawiają jej imienia.

– Jeśli przeżyjemy, to widzimy się u Mieke i Haakona przy Johannes Verhulststraat, dobrze?

Eberhard patrzy pytająco na Lien, a ona przytakuje skinieniem głowy. To jedyne słowa, które się jeszcze liczą, chociaż opisują scenariusz najmniej prawdopodobny. Lien płacze, Eberhard tuli ją w swoich ramionach. Od Janny dostała tabletkę luminalu, środka uspokajającego, który mógłby powalić konia. Łamie ją na pół i daje połówkę Eberhardowi, żeby mógł zasnąć. Musi być wypoczęty, żeby wytrzymać przesłuchania następnego dnia. Śpią jak zabici, a następnego ranka, w czwartek 13 lipca, zostają rozdzieleni.

Wkrótce potem wszyscy, oprócz Janny i Eberharda, trafiają do Westerbork: Joseph, Fietje, Lien i Jaap. Dziewczyny Puck i Jetty. Simon. Bram i Loes. Ich córka Rita i zięć Willi. Ich już SD nie potrzebuje.

Od teraz SD koncentruje się na niemieckim dezercerze i Żydówce z ruchu oporu. Oboje są winni złamania niemal wszystkich wymogów dotyczących aryjskości i pozostaje wyłącznie pytanie, które z nich pierwsze zapłaci za to życiem. Holenderscy policjanci z komendy przy Marnixstraat są dla nich dobrzy, wydaje się nawet, że ubolewają nad ich losem, i Janny ryzykuje: może mogliby się wykupić? Policjanci mówią, że naprawdę chcą pomóc, ale po prostu nie da rady: SS jest wszędzie, nie ufa nikomu i także ich bardzo pilnuje.

Schemat jest ten sam: śpią na komendzie przy Marnixstraat, a przesłuchiwanie są w kwaterze głównej SD przy Euterpestraat. Tam są na zmianę zabierani na górę na przesłuchanie przez Sturmbannführera Williego Lagesa. Ten wysoki mężczyzna z czaszką w kształcie jajka, zagryzionymi wargami i spiczastym nosem, wyglądającym jakby ktoś ciągle go szczypał, jest w formie. Janny nie może patrzeć długo w jego twarz, tak ostre są jego rysy. Jest bita, żeby zmusić Eberharda do mówienia. Eberhard jest bity, żeby zmusić Janny do mówienia. Milczą, a Lages ich wyśmiewa.

– Twój los i tak już jest przesądzony – mówi szyderczo do Eberharda. – Dostaniesz karę śmierci za *Fahnenflucht* (dezercję), *Landesverrat* (zdradę ojczyzny), *Sabotage und Rassenschande* (sabotaż i zhańbienie rasy)!

To ostatnie słowo jest jak pełne obrzydzenia splunięcie w twarz. Zrobić dziecko Żydówce, niżej już jego aryjski rodak nie mógł upaść.

– Jutro staniesz przed sądem i już po tobie!

Janny i Eberhard po raz ostatni przebywają razem na komendzie przy Marnixstraat, wiedzą już, że dzień później czeka go egzekucja. Janny przewraca się z boku na bok i zamartwia przez całą noc, myśli gorączkowo, co jeszcze może zrobić, żeby uchronić Eberharda przed kulą, ale ma zupełną pustkę w głowie. Kiedy w końcu zasypia, śni, że wpada tyłem do głębokiego dołu, którego dna nie widać, mimo to rękami próbuje się wygrzebać; śni tak aż do momentu, kiedy do celi wczesnym rankiem 14 lipca przychodzą po nią strażnicy.

Kiedy prowadzą ją za Eberhardem do podstawionego już policyjnego samochodu, głowa o mało co nie rozpada się jej z powodu migreny. Poranne słońce wspina się po bezchmurnym niebie i już teraz zbyt mocno pali ją w oczy. Policyjny samochód z otwartymi z tyłu drzwiami, po lewej i po prawej stronie drewniane ławeczki. Zostają wprowadzeni przez funkcjonariuszy do środka, gdzie jakiś starszy więzień siedzi już i czeka. Wpatruje się w noski swoich butów. Dwóch policjantów w cywilu zajmuje miejsce obok nich i zamyka drzwi, okienka w drzwiach są otwarte, żeby wpadło trochę świeżego powietrza. Eberhard, Janny i policjant w rzędzie na jednej ławce; na ławeczce naprzeciwko nich tamten więzień i drugi mundurowy. Kiedy wóz rusza, cała piątka odwraca twarze do okienek i wpatruje się w pozostające za nimi ulice Amsterdamu. Dziwne, jadą na północ. Euterpestraat jest w Amsterdamie Południowym. Potem ulica Haarlemmerstraat. Janny i Eberhard patrzą przez chwilę na siebie. Ulica Spaarndammerstraat.

– Dokąd jedziemy? – pyta Janny. Słyszy swój głos gdzieś w blaszanej przestrzeni, jakby należał do kogoś innego.

– Najpierw na chwilę do Amsterdamu Północnego, zabrać jeszcze kogoś – odpowiada jeden z policjantów.

Jadą dalej w ciszy. Czarne plamy tańczą przed oczami Janny, ból głowy bębni jej w skroniach, ale ona nie chce zamknąć powiek. Pragnie widzieć swoje miasto, bo nie wie, kiedy tu wróci. Czy w ogóle wróci.

Samochód zatrzymuje się. Spaarndammerdijk. Policjant zajmujący miejsce obok Janny wysiada.

– Zaraz wracam – mówi i zamyka za sobą drzwi.

Janny mruga oczami, raz, dziesięć razy, żeby odpędzić pojawiające się przed nimi plamy. Eberhard odwraca się do niej, szuka jej spojrzenia, patrzy na klamkę obok niej. Czyżby ona...? Wtedy Janny pochyla się do przodu, ku twarzy policjanta na ławce naprzeciwko niej. Na jego kolanach leży broń. Aksamitnym głosem zaczyna przemawiać do niego. Eberhard rozumie, o co jej chodzi, musi działać, teraz. Ale zamiast tego cały sztywnieje. Nagle Janny rzuca się do przodu, w ramiona strażnika.

– Uciekaj! – wrzeszczy.

Eberhard za jej plecami rusza i przeciska się przez okienko policyjnego wozu na zewnątrz. Ręka chwytająca jego kostkę, pociągnięcie za poję przeciwdeszczowego płaszcza, materiał rozdziera się, Eberhard przerzuca ciężar ciała do przodu i biegnie trotuarem, byle dalej od policyjnego samochodu; płaszcz powiewa za nim. Policjant gwałtownie odpycha Janny i już jest na ulicy, strzela w powietrze. *Halt!* – ale Eberhard jest już za daleko. Wszędzie zamieszanie, ludzie zbierają się wokół nich, Janny wysiada i widzi, jak Eberhard znika gdzieś w mieście. Dudnienie w jej głowie zniknęło, nagle jest lekka niczym balon unoszący się nad wrzosowiskami. Potem wszystko robi się czarne i Janny upada na bruk.

Janny zostaje wniesiona nieprzytomna na posterunek policji. Na zmianę przytomnieje i znów traci przytomność, ale czuje jednak mrowienie triumfu: Eberhard uciekł.

Na początku zajęli się nią holenderscy policjanci, ale potem przychodzą Niemcy. Zostaje przewieziona z powrotem na Euterpestraat. Wszyscy są wściekli. Na nią, na siebie, na tego niemieckiego dezertera. I wtedy pojawia się SS-Sturmbannführer Willi Lages.

Zaczynają już w windzie jadącej do piwnicy; tłuką ją, biją i kopią wszędzie. Kiedy leży na podłodze, Willi Lages staje całym ciężarem na jej nogach, inni biją ją czym popadnie. Lages nie przestaje, ma pejcz, w ruch idą pięści i pałki. Wrzucają ją do jakiejś skrzyni albo do piwnicy, dla niej to czarna jak smoła dziura, Janny nic nie widzi, nawet odrobiny światła, ciemność chwyta ją za gardło. Mdleje, znów na chwilę odzyskuje przytomność – minęła może minuta, a może już godzina. Ból, ciemność. Kroki nad jej głową, ostre ukłucia w całym ciele. Przesuwa po omacku palcami wzdłuż ścian, woła o pomoc i znów zapada

w głęboki sen. Od czasu do czasu przytomnieje, słyszy gdzieś z daleka kroki ludzi i krzyczy z bólu, aż traci głos; nikt nie przychodzi.

W nocy jest zupełnie cicho.

Dzień później otwierają się drzwi. W drzwiach stoi na szeroko rozstawionych nogach Willi Lages.

– Dorwiemy cię, staniesz przed plutonem.

Światło pada wzdłuż jego sylwetki na jej nogi – jedna krwawa masa. Janny dotyka ostrożnie skóry: wszędzie rany, jej ciało jest od góry do dołu posiniaczone. Wtedy podnosi powieki i patrzy na Lagesa nieruchomym wzrokiem. Mikroskopijny błysk w jej oczach, uczucie triumfu przepędzające ból. Jest pewna, że zostanie zaraz rozstrzelana, ale ku jej zaskoczeniu skuwają ją kajdankami i zawożą do więzienia przy Amstelveenseweg.

Ledwie trzymająca się na nogach, wycieńczona Janny zostaje wprowadzona do celi, kajdanki zdjęte, drzwi zamykają się za nią. Dwuosobowa cela, w środku sześć osób. Przyjmują ją ciepło, pytają, co się stało. Wokół rozlega się stukanie w kraty i rury centralnego ogrzewania, żeby przekazać wiadomość o nowej. Inni więźniowie pomagają jej ostrożnie oczyścić i opatrzyć rany, i w ciągu kilku godzin przez inną celę przychodzi zawiniątko czystej pościeli, specjalnie dla Janny. Czysta powłoczka, co za luksus. Jest w niej liścik. Rozwija go, pozwala oczom przesuwając się po literach: „Eberhard jest bezpieczny i dzieci też. Bob”. Z jej gardła wyrывa się okrzyk, przepełniają ją emocje, zatyka ręką usta, jej ramiona drżą. Nie chce płakać, ale to łyzy radości.

Siedzą w sześcioro, czasem w ośmioro, w dwuosobowej celi w Huis van Bewaring II przy Amstelveenseweg. Przez pierwsze kilka dni Janny boi się, że w każdej chwili w drzwiach celi pojawi się twarz Williego Lagesa i że zabierze ją ze sobą przed pluton egzekucyjny. Ale nic się nie dzieje. Najwyraźniej nikt nie puścił pary z ust; mają dużo podejrzeń co do jej działalności w ruchu oporu, ale nic nie wiedzą. Jednak pytanie, kto zdradził, zżera ją od środka. Kto wiedział o Wysokim Gnieździe? Całymi godzinami wylicza w myślach wszystkie nazwiska: jej współlokatorzy, ludzie z podziemia, ukrywający się, kontakty, sklepikarze, u których w minionych latach robili zakupy, przechodnie na wrzosowisku, policjanci, członkowie NSB, przypadkowo spotkani dawni przyjaciele, którzy zostali wywiezieni.

Nocami trzeszczy jej w głowie, jakby tysiące owadów przemieszczały się na swoich odnóżach we wnętrzu jej czaszki, słyszy je, jak stukają o kości. Doprowadza się niemal do obłądu, mamrocze pod nosem nazwiska, aż zasypia, majacząc.

Moesbergen

Krikke

Punt

Hiemstra

Boellaard

Dni zmieniają się w tygodnie, lecz wciąż gryzie ją także inna niepewność: co z Lien i Jaapem, i ojcem, i matką, wszystkimi innymi mieszkańcami? Co się stało z Kathinką? W liściku od Boba jest napisane „dzieci” – czy ma na myśli całą trójkę? Czy Niemcy zabrali Kathinkę? Jej współwięźniowie cierpią z powodu takiego samego niepokoju o najbliższych, co nie pomaga atmosferze w ciasnej celi. Wybuchają kłótnie o najdrobniejsze rzeczy, niektórzy tracą panowanie nad sobą, podczas gdy inni pragną stać się niewidzialni. W celi siedzi też Ciotka Bet z dzielnicy Jordaan, strasznie oburzona, że została aresztowana – ma tylko dwóch żydowskich dziadków – i daje upust temu oburzeniu codziennie. Jednak każdego ranka, kiedy dostają kubek wody, żeby się umyć, Ciotka Bet woła: „Dziewczyny: myć cipy!”. I wszystkie znów się śmieją.

Tymczasem kilka kilometrów dalej, w centrum Amsterdamu, znaleziono inną grupę Żydów, która, tak jak mieszkańcy Wysokiego Gniazda, widziała już lśniący na horyzoncie koniec wojny.

4 sierpnia 1944 roku w kamienicy przy Prinsengracht 263 za obrotową szafą SD znajduje obszerną kryjówkę, a w niej ośmioro ukrywających się. Dom jest niderlandzką siedzibą główną niemieckiej firmy Opekta dostarczającej pektynę – surowiec potrzebny do produkcji między innymi dżemów. Żydowski dyrektor, Otto Frank, z żoną Edith i dwiema nastoletnimi córkami Anne i Margot ukryli się 6 lipca 1942 roku na terenie przedsiębiorstwa w tylnej oficynie: małej przestrzeni podzielonej na dwa piętra. Wkrótce potem dołącza do nich kolega

z żoną i dzieckiem, i jeszcze inny uciekinier. Wytrzymują tam dwa lata, ale tego letniego piątkowego ranka przy Prinsengracht melduje się grupka holenderskich członków SD, żeby przeszukać dom, co będzie równoznaczne z ich odkryciem.

WESTERBORK

Westerbork. *Judendurchgangslager*. Chociaż obóz przypomina stałe miejsce pobytu, ze szpitalem na prawie tysiąc osiemset łóżek i stoma dwudziestoma lekarzami, kliniką dentystyczną, żłobkiem i szkołą, biurem administracji i sklepem obozowym, w którym można płacić specjalną obozową walutą, nie wygląda na to, że ktoś może wrócić stąd do domu.

Jak na złość powstał w 1939 roku jako Główny Obóz dla Uchodźców Westerbork z przeznaczeniem dla Żydów uciekających z innych krajów w poszukiwaniu bezpiecznej przystani. Jednak po przejęciu przez SS wiosną 1942 roku staje się on przedsiönkiem wielu obozów koncentracyjnych za granicą. Holenderscy przedsiębiorcy budowlani budują w już istniejącym obozie kilka dodatkowych ogromnych baraków o wymiarach 84 na 10 metrów, tak że w szczytowym okresie wojny stoją tu jakieś dwadzieścia cztery drewniane baraki przypominające kurniki, do ostatniego rogu piaszczystej podłogi wypełnione ludźmi.

Aby deportacje przebiegały bez zakłóceń, życie codzienne w obozie – na ile to możliwe – upływa pod znakiem normalności: istniejąca już Joodse Ordedienst (Żydowska Służba Porządkowa) zostaje utrzymana przez Niemców. To „Żydowskie SS”, jak je nazywano, składa się w większości z młodych mężczyzn noszących zielone mundury z opaską na ramieniu: OD. Wątpliwe etycznie zajęcie przedłużające życie, ale ogłupiające. Żydowskiej Służbie Porządkowej pomagała w pierwszych latach holenderska żandarmeria, ale krótko przed przybyciem tutaj mieszkańców Wysokiego Gniazda zastąpiono ją funkcjonariuszami amsterdamskiej policji.

Najważniejsze zadanie wśród żydowskich pracowników obozu ma wydział administracji: tam są sporządzane listy do transportów. Komendant obozu SS-Obersturmführer Albert Gemmeker przekazuje co tydzień liczbę osób do deportacji i na tej podstawie żydowska administracja przygotowuje budzące lęk

listy nazwisk. Gemmeker nie musi wskazywać żadnego mężczyzny, kobiety czy dziecka; każe to robić samym Żydom.

Kiedy w połowie 1942 roku pociągi z Westerbork zaczęły wyruszać na wschód, były dwa transporty w tygodniu: w poniedziałek i w piątek. Pod koniec pierwszego roku licznik wskazywał 39 762 wywiezione osoby, z których większość trafiła do Auschwitz. Od początku 1943 roku transport wyjeżdżał co wtorek. Tydzień po tygodniu, do 15 lutego 1944 roku włącznie. Zamierzony rezultat stał się widoczny: społeczność żydowska zaczęła topnieć i transporty z Westerbork stały się nieregularne. Od tej chwili pociąg wyruszał co mniej więcej dziesięć dni, w środę, w piątek, nawet w niedzielę, z coraz mniejszą liczbą osób. Już nie ponad tysiąc, czy nawet dwa tysiące ludzi, jak w miesiącach poprzedzających, ale 809, 732, 599, 453. Według danych oficjalnych w 1943 roku wywieziono z Holandii dokładnie 50 919 osób.

Między czerwcem 1942 roku a wrześniem 1944 roku Koleje Holenderskie (NS) w dziewięćdziesięciu trzech transportach z dużą efektywnością i logistycznym zacięciem wywiozły z holenderskiego wspólnego życia prosto na niemiecką granicę łącznie sto siedem tysięcy osób – Żydów, Romów, członków ruchu oporu, homoseksualistów, mężczyzn, kobiet, dzieci.

Za każdym razem, kiedy rytmiczne stukanie rozpływało się w powietrzu i pociąg jadący na wschód zniknął na horyzoncie, kwadratowy obszar na błoniach w prowincji Drenthe spowijała upiorna atmosfera. Trująca mieszanina ulgi i bezsilności. Od momentu wyjazdu pociągu napięcie w obozie stopniowo znowu narastało, aż do tych ostatnich kilku dni poprzedzających ogłoszenie listy z nazwiskami, kiedy było już tak duże, że ludziom naprawdę robiło się od niego niedobrze. Kiedy w baraku ogłaszano, kto ma zabrać rzeczy i czyjeś nazwisko znalazło się wśród wymienionych, taka osoba odczuwała to prawie jak wyzwolenie. Niepewność, która je poprzedzała, była bowiem jeszcze okrutniejsza niż sam wyrok.

Nalot policji na Wysokie Gniazdo, minione tygodnie w Westerbork, zamartwianie się o Eberharda i córeczkę – Lien nadal nie wie, co się stało z Kathinką – a także o los młodszej siostry, która została w amsterdamskim więzieniu – wszystko to dużo kosztowało Lien. Po długim dniu pracy przy

brudnych stołach, gdzie demontują baterie i akumulatory, Fietje Brilleslijper zużywa co wieczór całą swoją energię, żeby wyciągnąć jakoś starszą córkę z dołka. Nie mogą pracować poza obozem, ponieważ siedzą w baraku karnym.

W barakach karnych przebywają ludzie z wykroczeniami na koncie popełnionymi w obozie albo poza nim. Są tutaj złapani ukrywający się, a także próbujący uciec, mówiąc krótko: osoby, które w jakikolwiek sposób śmiały złamać zasady ustalone przez Niemców.

Chociaż życie obozowe jest celowo zorganizowane tak, by stworzyć pozory pewnej normalności, żeby mieszkańcy nie zorientowali się, że jest to poczekalnia obozów koncentracyjnych, i w związku z tym nie wszczynali buntu, warunki są godne pożałowania. W Wysokim Gnieździe ukrywający się też żyli w dużym napięciu, nieustannie obawiając się odkrycia czy zdrady, ale tanto otoczenie dawało im spokój, przestrzeń i świeże powietrze oraz dom wyposażony we wszystkie udogodnienia. Nawet wtedy, gdy ukrywało się tam ponad dwadzieścia osób, było tam zawsze jakieś miejsce, żeby się zaszyć: w którymś z pokoi, w altance, w szopie, ogrodzie czy lesie. W Westerbork wszyscy siedzą sobie na głowach w przepelnionych barakach, które latem zdają się puchnąć jak trupy. Każdy centymetr kwadratowy jest zajęty przez ludzi uwięzionych w powietrzu wypełnionym potem i ludzkimi wyziewami. Dosłownie leżą na sobie: potrójne żelazne łóżka piętrowe (po trzy jedno na drugim), przez co zawsze są na czyimś widoku i czują czyjś oddech, gdziekolwiek się odwrócą. Pod sufitami wiszą długie sznurki z praniem. W Westerbork nie ma miejsca, gdzie mogliby się zaszyć – każda forma samostanowienia została im odebrana. Nawet kiedy wkładają głowę pod koc, żeby doświadczyć choć cienia prywatności, swędzenie ukąszeń pcheł i wszy przypomina im, że ten czas minął. Jedyne pytanie, jakie trzyma ich jeszcze na nogach, to jak długo jeszcze?

Zza ogrodzenia oddzielającego baraki karne od zwykłych Lien widzi resztę obozu. Czasem po drugiej stronie może zobaczyć Jetty i Simona albo kogoś innego z dawnych współlokatorów. Oni nie muszą, tak jak ona i reszta rodziny Brilleslijperów, nosić kombinezonu z białą opaską z dużą literą S na ramieniu, po czym można rozpoznać więźniów karnych. To ich nazwiska znajdują się na czele list deportacyjnych. Po drugiej stronie są nawet specjalne baraki rodzinne, małe budowle, gdzie ludzie mogą mieszkać z rodzinami, nie mężczyźni

i kobiety osobno, tak jak u nich, po stronie karnej. Można kupować tam też różne rzeczy w sklepie obozowym, a oprócz tego krąży plotka, że z normalnych baraków ma się większą szansę trafić zamiast do Auschwitz do Bergen-Belsen albo Theresienstadt – obozów, o których ludzie myślą, że są w nich większe szanse na przeżycie. Krążą opowieści, że z Bergen-Belsen, obozu leżącego w północno-zachodnich Niemczech, dzięki Czerwonemu Krzyżowi można trafić jeszcze dalej na północ, w kierunku Szwecji, gdzie Żydów wymienia się na niemieckich jeńców wojennych. Niektóre bogate rodziny zapłaciły fortunę, żeby znaleźć się na takiej liście do wymiany – z nieznanym rezultatem.

Wszyscy więźniowie ochoczo pracują, nie tylko dlatego, że na tej ziemi niczyjej wszystko jest lepsze niż przyglądanie się bez celu ulatniającym się minutom, do chwili, aż przyjedzie i odjedzie kolejny pociąg, ale także dlatego, że każdy wie, że najmniej użyteczni pojedą pierwsi. Lien ma szczęście, że ona i matka dzięki Samowi Polakowi, młodszemu bratu Bena i Hansa Polaków, ich przyjaciół z Hagi, dostały pracę przy demontażu baterii. To brudna i ciężka robota. Dłutem i młotkiem najpierw rozdzielają baterie, następnie wydłubują smołę i pręt grafitowy, które wrzucają do osobnych koszyków, a na końcu muszą jeszcze usunąć metalową czapkę śrubokrętem; to wrzucają do trzeciego. Po jakimś czasie ich palce są tak czarne, że nie widać, gdzie kończy się bateria, a zaczyna ręka. Ale to nie jest najgorsze. Trujące substancje, uwalniane przez cały dzień, zagnieżdżają się w ich płucach i sprawiają, że wszyscy pracownicy kaszlą bez przerwy. Powodujące uszkodzenia żeber potworne ataki suchego kaszlu przez szpary pomiędzy drewnianymi listwami baraków rozchodzą się po łąkach prowincji Drenthe nawet w nocy. Ale w warsztacie mogą przynajmniej ze sobą rozmawiać i liczy się każdy dzień, kiedy nie siedzą w pociągu na wschód – nieważne, że kosztem zniszczonych płuc.

Lien wypełnia dni pracą, zamartwianiem się i czekaniem. Wszyscy w obozie z lękiem wyczekują nowych transportów z Amsterdamu. Czasem ktoś zatrzymuje się nagle i patrzy, wstrzymując oddech, na suchą ziemię pod stopami. Czy to drzenie torów kolejowych? Nadjeżdża pociąg? Życzą ostatnim skutecznie ukrywającym się w kraju, żeby dotrwali do końca wojny i przechytrzyli Niemców. Niestety wydaje się, jakby w miarę upływu lat okupacji ludzie stawali się coraz lepsi w tropieniu ukrywających się Żydów.

Nawet w obliczu wyczekiwanego już wyzwolenia polujący na Żydów Holendrzy czują potrzebę działania na własną rękę – donoszenia na sąsiadów, przyjaciół i nieznajomych. Chociaż do takiego poniżenia nigdy nie da się przywyknąć, w obozie panuje również optymizm. Lien dowiaduje się od więźniów, którzy przebywają tu dłużej, że w kwietniu wyruszył tylko jeden transport z Westerbork w kierunku wschodnim. Potem w maju znowu jeden. Na początku czerwca kolejny, a następny dopiero pod koniec lipca. Po obozie nieśmiało rozchodzi się przeświadczenie: przetrwamy to.

Każdy w rodzinie Brilleslijperów po swojemu radzi sobie z okolicznościami i tym, co mówią ludzie. Japie poznał dziewczynę i po tym, jak przez kilka pierwszych dni wymieniali ze sobą ukradkowe spojrzenia, ma teraz odwagę spacerować z nią obozową ulicą. Po raz pierwszy od długiego czasu za zakurzonymi szklami okularów znowu widać blask w jego oczach. Fietje, jak zawsze, trzyma się i co wieczór w kobiecym baraku próbuje podnieść na duchu swoją najstarszą córkę. Tyle już razem przeszli, dzieci są bezpieczne – nie mogą teraz tracić nadziei. To już naprawdę nie może potrwać długo. Jednak Lien nie daje się przekonać, zresztą nie tylko ona. Joseph spędza dni w upale w baraku; za słabo widzi, żeby pracować z innymi mężczyznami w firmie naprawiającej kable. Mruczy i marudzi pod nosem, i wścieka się na żydowskich nadzorców, jacy podli i skorumpowani muszą być, żeby wykonywać tę pracę i załatwiać dla siebie przywileje u kierownictwa obozu. To, że przedstawiciele jego własnego narodu pilnują go tutaj, odebrało mu ostatnią wiarę w człowieka.

Kiedy Lien pewnego popołudnia zmierza do części karnej obozu, zmęczona i brudna po pracy przy bateriach, z przymrużonymi z powodu ostrego słońca oczami, widzi nagle w oddali ojca siedzącego w baraku dla mężczyzn. Ciemny cień z przygarbionymi ramionami i chudym karkiem. Przypomina sobie czasy, kiedy rodzice chodzili na przedstawienia operowe w Carré albo w Paleis voor Volksvlijt przy placu Frederiksplein, albo w teatrze Flora przy Amstelstraat. Wracali wówczas wieczorem do domu i ojciec wydawał się dziesięć centymetrów wyższy, z podniesioną brodą i piersią wypiętą do przodu. Kiedy zobaczył *Kupca weneckiego* Szekspira, był pod takim wrażeniem, że nauczył się na pamięć monologu Shylocka, i czy to pasowało do okoliczności czy nie, deklamował tę kwestię w ich mieszkanku na piętrze.

A dla jakich powodów? Bo jestem Żydem. Alboż Żyd nie ma oczu? Alboż Żyd nie ma rąk, członków, organów, zmysłów, uczuć i namiętności? Alboż się nie żywi tym samym pokarmem, ran nie odbiera od tej samej broni, nie ulega tym samym chorobom, nie leczy się tymi samymi lekarstwami, nie grzeje się i nie oziębia tym samym latem i tą samą zimą, co chrześcijanin? Gdy nas ukłujesz, czy nam krew nie ciecze? Czy nie śmiejemy się, kiedy nas łechcesz? Kiedy nam truciznę zadasz, czy nie umieramy? A gdy nas pokrzywdzisz, nie mamyż pomsty szukać?^[25]

Lien, patrząc na cień tego, co pozostało z jej ojca, uświadamia sobie, że największym upokorzeniem dla niego nie jest to, że odebrano mu człowieczeństwo, ale świadomość, że za cierpienia, jakie zadano jego rodzinie, prawdopodobnie nigdy nie będzie mógł nikomu odpłacić.

Pewnego dnia przychodzi do Lien Sam Polak i prosi, żeby poszła z nim do bramy przy barakach rodzinnych; ktoś chce z nią rozmawiać. Lien jest wystraszona. Przez te wszystkie tygodnie nie słyszeli nic o Janny – ale brak wiadomości to dobra wiadomość i każdy dzień, kiedy nie przyjeżdża pociąg z Amsterdamu, to dobry dzień. Lien ma nadzieję, że jej siostra nie trafi do Westerbork, że zostanie w Amsterdamie do wyzwolenia. Z niechęcią idzie za Samem w kierunku bramy.

Ku swemu zaskoczeniu po drugiej stronie widzi zbliżającą się Lily z małą Anitą za rękę. Napięta twarz Lien rozpogadza się, kiedy instynktownie wyciąga rękę w stronę przyjaciółki. Jednak pomiędzy nimi jest ogrodzenie i Lien opuszcza ramiona. Kobiety stoją naprzeciwko siebie w odległości dwóch metrów, zadowolone, że się widzą, ale przygnębione okolicznościami.

Ostatni raz widziały się w Huis van Bewaring Weteringschans. Amsterdamskie więzienie miejskie było zbieraniną złapanych ukrywających się i grubych ryb z ruchu oporu. Tego ranka, kiedy pożegnała się z Eberhardem, 13 lipca, wywieziono go ponownie na Euterpestraat na przesłuchanie, a Lien wtrącono do celi z pięcioma innymi kobietami i małą dziewczynką. Było jej wszystko jedno, straciła dziecko, a jej mąż miał stanąć tego dnia przed plutonem egzekucyjnym. Gdy tylko drzwi celi zatrzęsły się za nią z metalicznym dźwiękiem, a Lien zaczęła szukać dla siebie miejsca pomiędzy innymi kobietami, znalazła się jedna, która zatroszczyła się o nią i dodawała jej

otuchy – podczas gdy sama powinna się martwić o swoją córeczkę, zaledwie około ośmioletnią, która była zamknięta razem z nimi. Ta matka i córka to były Lily i Anita, i w tych dniach w celi kobiety trzymały się razem.

Carolina „Lily” Biet-Gassan była żoną Samuela Gassana ze znanej rodziny szlifierzy diamentów. Dwa lata wcześniej, w 1942 roku, Lily rozwiodła się z Samuelem, a on dosłownie w ostatniej chwili uciekł przed okupantem do Szwajcarii. Przez cały ten czas Lily ukrywała się z małą Anitą, najpierw w ciasnym pokoju z inną rodziną, w domu u rodziny z pięciorgiem dzieci. Tam musieli dzień i noc siedzieć cicho jak myszy pod miotłą, żeby dzieci właścicieli nie zorientowały się, że w domu są nielegalni mieszkańcy. Po jakimś czasie matka i córka przeprowadziły się do pensjonatu, zostały jednak przez kogoś wydane.

Kobiety dodawały sobie otuchy w chwilach, gdy wyczerpywały się ich własne rezerwy. Lien rozweselała Anitę, opowiadając jej bajki, które zawsze czytała Kathince wieczorami przed snem. Śpiewała cichutko z dziewczynką piosenki, tak żeby strażnicy nie słyszeli. Lily z kolei zrobiła dla Lien coś, co być może uratuje jej życie. Lien opowiedziała jej o Eberhardzie, ojcu ich córeczki Kathinki, z którym nie mogła wziąć ślubu z powodu norymberskich ustaw rasowych. Chcąc uniemożliwić Żydom uniknięcie deportacji, także w Holandii, 25 marca 1942 roku, wprowadzono zakaz zawierania mieszanych małżeństw: Żydzi nie mogli brać ślubu z nie-Żydami. Z tego powodu Lien i Kathinka były wyjęte spod prawa w przeciwieństwie na przykład do Janny, która wyszła za mąż za Boba przed nowymi przepisami i dzięki temu była matką dwójki mieszanych rasowo dzieci.

Lien nie skończyła jeszcze zdania o braku możliwości ślubu z Eberhardem, kiedy Lily złapała ją za rękę i pochyliła się w jej stronę.

– Musisz jak najszybciej dostać fałszywy akt ślubu, wtedy może będziesz jeszcze miała szansę. Znam kogoś!

Lien gapiała się na nią zaskoczona.

– Opiszesz tę historię w liście. Musimy go potem przeszmurować na zewnątrz, do kogoś, kto pójdzie za ciebie do prawnika Nina Kottingi. Znam go: jest świetnym amsterdamskim adwokatem. Nino pomógł już w ten sposób niezliczonej liczbie Żydów.

Lily miała trochę pieniędzy i właściwe kontakty wśród strażników więziennych; wiedziała dokładnie, który z nich nie jest nazistą, i załatwiła Lien kartkę papieru i ołówek. Lien zaadresowała list do swoich serdecznych przyjaciół, rodziny Stotijnów w Amsterdamie, i spróbowała krótko i konkretnie sformułować swoją wiadomość:

Moi Kochani!

To moja ostatnia szansa, żeby do Was napisać. Postarajcie się odebrać mój angielski akt ślubu i idźcie z nim do prawnika Kottingi. Spróbujcie mnie stąd wyciągnąć, dbajcie o dziecko i wyślijcie mi paczkę z ubraniami, jedzeniem itp. Nie mam nic, pomóżcie mi. J siedzi przy Avw.

Spróbujcie też usunąć moje S.

Pozdrowienia dla wszystkich i dużo buziaków, Lien

(„J” oznaczało Janny, „Avw” więzienie przy Amstelveenseweg, „S” – oznaczenie osoby w więzieniu karnym).

Wczesnym rankiem, już o czwartej, kobiety zostały zabrane z więziennej celi i poprowadzone do czekającego tramwaju. Kiedy Lien przechodziła obok motorniczego, wsunęła mu niezauważenie do torby list bez znaczka. Od Dworca Głównego podróż odbywała się pociągiem w kierunku wschodnim, coraz dalej od zamieszkanego świata. Pociąg zatrzymał się na przygnębiającej równinie Westerbork, Lily i jej córkę Anitę zaprowadzono do baraków rodzinnych – prawdopodobnie ze względu na sytuację majątkową – a Lien musiała iść na drugą stronę ogrodzenia, do części karnej. Nie wiedziała, czy jej ostatnie wołanie o pomoc trafiło w odpowiednie miejsce, czy też zaginęło pomiędzy papierami zupełnie obcego motorniczego tramwaju.

Jednak teraz Lily stoi po drugiej stronie ogrodzenia naprzeciwko niej i Lien ma nadzieję na dobre wieści od adwokata.

Lily przychodzi z zupełnie inną wiadomością. Rozmawiała z dawną przyjaciółką Lien, pianistką Idą Rosenheimer – tą, która akompaniowała jej, kiedy dla Eberharda było zbyt niebezpiecznie, i jako jedna z pierwszych w jej otoczeniu ostrzegła ją przed ostatecznymi planami nazistów: komorami

gazowymi. Lien niestety nigdy nie wierzyła w jej słowa. Lily przychodzi powiedzieć, że Ida z kilkoma innymi przyjaciółmi w Westerbork zebrała pieniądze, żeby wydostać Lien z baraku karnego, przenieść ją na ich stronę ogrodzenia i zamieścić jej nazwisko na liście uprzywilejowanych, którzy zostaną deportowani do Theresienstadt.

Lien wysłuchuje tego, wzruszona, że jej przyjaciele nawet w tych okolicznościach nadal myślą o innych, a następnie delikatnie potrząsa głową, że nie.

– Przepraszam, ale zostaję tutaj. Nie zostawię mojego młodszego brata i rodziców. Poza tym nie wiem, czy nie przywiozą tu Janny, bo jeśli tak, ona także na pewno trafi do baraków karnych.

Lily otwiera usta i znowu je zamyka, a potem spuszcza głowę. Widać, że z oddali zbliża się ktoś ze służby porządkowej; muszą się zbierać.

– Rozumiem – prawie niesłyszalnie szepcze na koniec Lily.

Lien kiwa z wdzięcznością głową, odwraca się i idzie z powrotem do matki.

OSTATNI POCIĄG

Na początku sierpnia 1944 roku otwierają się drzwi celi. Jest wcześnie rano, kiedy Janny po raz pierwszy od tygodni znowu stoi na dworze. Zimno nocy nie odeszło jeszcze całkowicie, ale świeże powietrze w jej płucach orzeźwia wspaniale. Amsterdam jest pogrążony w głębokim spokoju, a słońce ogrzewa brukowane ulice. Janny się rozgląda; nieco dalej zaczyna się Vondelpark – dobrze zna tę okolicę. Strażnicy prowadzą ich grupkę do tramwaju, który zabiera ich na Dworzec Główny. Janny patrzy przez okno i widzi przemykający jej przed oczami Amsterdam Południowy, centrum, kanały, piękne miasto. Nie zamieniają ze sobą ani słowa, wszyscy boją się tego, co się wydarzy, tylko piszcząca stal i trzeszczenie zwrotnic zakłócają ciszę. Utrwała w pamięci obrazy, wchłania detale – schodkowe zakończenia ścian szczytowych na tle niebieskiego nieba, bruk na chodnikach, kołyszącą się na wodzie łyskę.

Plac przy dworcu kolejowym, wysiadać, do środka bocznym wejściem, na peron. Zimny cień pada na Janny, kiedy znikają w ciemnym budynku. W tej samej chwili inna grupa ludzi jest wprowadzana do środka, też idą na peron. W ciszy posuwają się wszyscy w tym samym kierunku; ruch w jedną stronę na Dworcu Głównym – dziwne uczucie. Starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, rodzice z dziećmi. Janny widzi rodzinę w sportowych ubraniach; dwie nastoletnie córki z plecakami, zupełnie jakby jechały na wakacje, na twarzach ich rodziców przygnębienie. Otoczeni murami, strażnikami, towarzyszymi niedoli. Pułapka. Wraca myślami do podejmowanych przez siebie w minionych latach prób uchronienia ludzi przed trafieniem w bramy tej pułapki. Kiedy wspina się po ostatnich stopniach wiodących na peron i jej głowa powoli wynurza się z czeluści schodów, widzi czekający już pociąg osobowy, którego drzwi są otwarte.

Wyjście z pociągu. Gorące powietrze uderza w twarz Janny. Obóz jest duży, o wiele większy, niż się spodziewała. Wieś na leżących na uboczu płaskich

łakach prowincji Drenthe. Wszędzie ludzie. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Gdy patrzy się spod przymrużonych powiek, wygląda to prawie jak normalne miejsce, wiejski plac w westernie. Tylko szczegóły zdradzają rzeczywistość. Wszystko jest kanciaste, drewniane i starannie wytyczone. Teren jest kwadratowy, ograniczony głębokimi rowami i wysokimi ogrodzeniami zakończonymi drutem kolczastym. Wieże wartownicze niczym domki ratowników na wysokich słupkach. Długie szopy w prostych rzędach. Drewniane hangary tak duże, że naprawdę mogłyby pomieścić samoloty, jeden przy drugim, ich mniejsze modele. Ziemia jest sucha i tumany kurzu szaleją po terenie, wciskają się między deski baraków i nadają skórze mieszkańców matowy wygląd.

Ci w mundurach już na nich czekają. Czapki naciągnięte głęboko na czoło, rozżarzone punkciki papierosów zamiast oczu. Ku swemu zaskoczeniu Janny nie słyszy nigdzie niemieckiego, tylko niderlandzki. Niektórzy strażnicy wyglądają na Żydów, nie członków NSB czy policjantów. Odprowadzają ją z centralnej części obozu, do zamkniętej części z tyłu linii kolejowej. Więzienie w więzieniu. Baraki karne.

W końcu Janny dołącza do rodziny. Ponowne spotkanie jest wzruszające, ale ciche. Z siedemnastu mieszkańców tworzących główny trzon Wysokiego Gniazda aż dwanaścioro jest w Westerbork. Ojciec, matka, Lientje, Jaap: wszyscy Brilleslijperowie tu są. Także Ruda Puck jest z nimi. Pozostała szóstka trafiła na drugą stronę ogrodzenia, do baraków rodzinnych: Jetty i Simon, i cała rodzina Teixeira de Mattosów: Bram, Louise, ich córka Rita i jej mąż Willi. Kiedy Janny widzi ponownie twarze swojej rodziny pełne napięcia, ale jednak całe i zdrowe, czuje, jak jej ciało się rozluźnia.

Otwarte rany na jej nogach już trochę się goją, a siniaki na całym ciele zmieniły kolor z jasnoniebieskiego na ciemnofioletowy i żółto-brązowy. Ale jej kostka jest zmiądzona i Janny ledwo chodzi. Reszta rodziny wyraźnie widzi, co Lages i jego ludzie jej zrobili za to, że pomogła uciec Eberhardowi.

Janny przekazuje im fantastyczną wiadomość, otrzymaną w celi, że Bob i dzieci są bezpieczne – wychodzą z złożenia, że to dotyczy całej trójki dzieci. Najwyraźniej policjant z Huizen ostrzegł Boba w biurze. To są promyki nadziei:

nie tylko świadomość, że kilkoro z nich nie trafiło w ręce Niemców, ale i wiedza, że są jeszcze ludzie mający odwagę samodzielnie myśleć i działać.

Lien nie chce uwierzyć Janny, że Eberhard jest bezpieczny. Ten scenariusz jest dla niej zbyt różowy, żeby mógł być prawdziwy, a naiwny optymizm to luksus, na który już od dawna nie mogą sobie pozwolić. Lien jest przekonana, że został złapany podczas ucieczki albo nie udało mu się znaleźć adresu, gdzie mógłby się ukrywać, albo w międzyczasie znów został zdradzony – jest przeświadczona, że to się źle skończyło, i Janny w żaden sposób nie może jej przekonać, że jest inaczej.

W związku z przybyciem nowego transportu baraki po obu stronach ogrodzenia znowu się zapełniają. Dobrze widać, kto jest nowy. Wielkie oczy w napiętych twarzach, ludzie w czystych ubraniach ze starannie zapakowanymi torbami i walizkami szukający miejsca na pustej pryczy, rozbiegane spojrzenia obejmujące jednocześnie baraki, teren obozu i służby porządkowe. Niektórzy nowo przybyli ukrywali się miesiącami, czasem latami i łatwo ich rozpoznać po bezkrwistych twarzach i przypominającej gumę, żółtej skórze. Dla nich podróż pociągiem do Drenthe to pierwszy od długiego czasu raz, kiedy wyszli z duchoty swoich kryjówek, kiedy mogli rozprostować nogi i z ławek w wagonach osobowych znów widzieć mijający ich krajobraz Holandii. Rzeczywistość zaczęła docierać do nich dopiero wtedy, gdy pociąg powoli zaczął zwalniać bieg, rozmieszczone co trzydzieści metrów złącza szyn pod kołami coraz rzadziej dawały o sobie znać, a pasażerowie po ich obu stronach, zaniepokojeni, rozglądali się uważnie przez okna. Jak daleko mogli sięgnąć wzrokiem, wokół torów rozciągała się ziemia niczyja, aż do wieży strażniczej zapowiadającej pierwszy róg obozu, i pociąg wjechał do Westerbork.

Także rodzina, która zaledwie kilka dni temu została wyciągnięta przez SD z szafy w okazałym budynku przy Prinsengracht 263, trafia do baraków karnych: to rodzina Franków z dwiema córkami, Anne i Margot. Dziewczynki wraz z matką, Edith Frank, zaprzęgnięto do roboty przy rozbiórce baterii. Janny również przydzielono do tego baraku. Tak oto krzyżują się drogi dwóch ukrywających się żydowskich rodzin, a ich twarze zabarwiają się tak samo na czarno od unoszącego się pyłu smoły. Ponieważ jest to prosta i ogłupiająca praca, nie brakuje okazji, żeby ze sobą rozmawiać. W czasie pracy Edith

zwierza się Lien ze swojej troski o los córek. Przez dwa lata i miesiąc ukrywali się w ósemkę w pięciu pokojach w oficynie dużego budynku. Na parterze znajdował się magazyn z o niczym niewiedzącymi pracownikami, więc w ciągu dnia każdy ruch, każde kasznięcie lub przesunięty przedmiot mogły oznaczać ich koniec. Fakt doprowadzający do obłędu ich wszystkich, a już z pewnością dwie młode dziewczyny: piętnastolatkę i osiemnastolatkę. Prawie im się udało i wtargnięcie funkcjonariuszy zupełnie ich zaskoczyło – tak jak w Wysokim Gnieździe.

Nagle dzieją się dwie rzeczy, które całej rodzinie, a zwłaszcza Lien, znów dają nadzieję. Najpierw przychodzi list na jej nazwisko, w którym ku swemu zaskoczeniu znajduje kopię oficjalnego angielskiego aktu zawarcia małżeństwa.

Eberhard Rebling i Rebekka Brilleslijper, lat 26 i 25, zawarli związek małżeński w Londynie 28 marca 1938 roku.

Podpis, pieczęć, wszystko jak trzeba. Lien obraca kartkę papieru na wszystkie strony, jakby nie mogła w to uwierzyć, ale tam naprawdę jest tak napisane. Nie tylko policjant z Huizen, ale także nieznany amsterdamski motorniczy tramwaju z narażeniem życia pomógł zupełnie obcej osobie: dostarczył list do Mieke i Haakona. Dokument drży w jej brudnych palcach, a czarne paznokcie kontrastują ze sterylną bielą papieru. Nigdy nie będzie mogła podziękować temu mężczyźnie, nawet nie zna jego nazwiska. I jak będzie mogła kiedykolwiek odwdzińczyć się Lily za podanie jej nazwiska adwokata, któremu udało się dokonać tej administracyjnej sztuczki?

W celu wsparcia „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” okupant powołał do życia biuro decydujące w przypadkach wątpliwych. Jeśli ktoś uważał, że niesłusznie został zarejestrowany jak „Żyd”, mógł złożyć zażalenie do Abteilung Innere Verwaltung. Szefem biura jest niemiecki prawnik Hans Calmeyer, który musi rozpatrywać tysiące próśb od ludzi zwracających się o ponowne rozpatrzenie ich rejestracji – często to kwestia życia lub śmierci. Adwokat Nino Kotting i jego pracownik dostarczają swoim klientom wszystkie możliwe fałszywe dokumenty, wychodząc z założenia, że prawo nie musi być

przestrzegane, jeśli prowadzi do niesprawiedliwości, a Calmeyer patrzy następnie na te dokumenty przez palce. W wyniku tego dziwnego tańca dwóch prawników, holenderskiego i niemieckiego, tysiące ludzi zostają „nie-Żydami”.

Lien nie posiada się z radości, że dzięki Kottingowi jest teraz zarejestrowana jako żona w mieszanym małżeństwie i legitymuje się takim samym statusem jak jej siostra – ma nadzieję, że to zwiększa szansę na to, że nie zostaną rozdzielone. Szybko zanosí dokumenty do biura administracji obozu, gdzie zostają dołączone do jej akt.

Jeszcze jedna paczka trafia w ręce Lien przy bramie obozu. Gdy tylko przyjechała do Westerbork, napisała do Mieke list z usilną prośbą o przysłanie koców, ręczników, przyborów toaletowych i kilku pieśni w jidysz. Nie może uwierzyć, że jej przyjaciółka tak szybko zareagowała, i rozrywa pospiesznie tekturę pudełka. Obok niej na pryczy siedzi Fietje, przyglądając się z zaciekawieniem, co jej córka wyjmuje z kartonu. Rzeczywiście: koce, trochę innych rzeczy, o które Lien prosiła Mieke, a na samym dole: zapisane kartki papieru z tekstem i nutami. Lien podekscytowana wyjmuje stos papierów z pudełka i trzyma je zaciekawiona przed sobą w nieruchomych dłoniach, jakby ważyła złoto. Czyta gryzmoły; jej usta nieruchomieją, a oczy stają się większe, kiedy czyta tekst w jidysz: „Rejzele, wer wet der erschter lachn” [Rejzele, kto będzie się pierwszy śmiał].

Głowa Lien odwraca się do Fietje.

– To Eberhard! – Jej palec wyciska wgniecenie w papierze. – Eberhard to napisał! To jego charakter pisma, jest bezpieczny.

Lien przerzuca strony, szukając jeszcze jakiejś wskazówki od Eberharda. Pomiedzy papierzyskami jest jedna pieśń jidysz, którą razem ćwiczyli w Wysokim Gnieździe – niestety nigdy nie miała okazji, żeby zaśpiewać ją przed publicznością. Czyta na głos:

Wos bistu Kathinke brojgez,

Wos gejstu aropgelozt di noz?

Un efszer wilstu wisn majn jiches

Un fun wanen un fun vos.^[26]

To pierwsze wersy starej złodziejskiej piosenki. Szybko czyta dalej:

Zi iz baj di fun t' hof,

Di mame ganwet fisz in mark...^[27]

Tych słów nie zna, nie są częścią piosenki. Patrzy przez chwilę na Fietje, ale ta wzrusza ramionami. Lien zaciska powieki: co Eberhard chce jej powiedzieć? „Zi iz baj di fun t' hof”. Jest u ludzi z dworu. Dwór? A! De la Court! Ich przyjaciele Albert i Cilia de la Court, z Wassenaar, z pięciorgiem dzieci. Kathinka jest teraz szóstym dzieckiem w ich domu. Lien przyciska papier do piersi, zamyka oczy i oddycha głęboko.

Od momentu rozstania z Kathinką robiła wszystko, żeby jak najmniej o niej myśleć w obawie, że nie będzie mogła rano wstać z pryczy. Gdy tylko dopuściła do siebie strzęp myśli, że jej córeczka mogła zostać zabrana przez nazistów od lekarza w Huizen, ręce i nogi miała jak z waty. Wtedy szybko potrząsała głową, wbijała paznokcie w wewnętrzną część dłoni, że aż prawie pojawiała się krew, i skupiała się na bezustannym płaczu i kasłaniu otaczających ją ludzi, a Kathinka znikła z jej głowy. Jednak świadomość, że zarówno Eberhard, jak i jej córka są bezpieczni, od razu przywraca jej siłę, dzięki czemu znów potrafi uwierzyć: przetrwamy to.

Faktem jest, że alianci posuwają się do przodu. Od czasu D-Day wojska ruszają z Normandii dalej na wschód i północ i w sierpniu 1944 roku wyzwalają różne duże francuskie miasta. Armia Czerwona zwycięża w Rumunii, odzyskuje Białoruś i wschód Polski. 25 sierpnia przychodzi czas na kolejny ważny sukces, kiedy Charles de Gaulle wkracza do Paryża i ogłasza, że francuska stolica jest wolna.

Sobibór, niewielki obóz leżący we wschodniej części Polski i jednoznacznie wyspecjalizowany w mordowaniu, zostaje zamknięty przez samych Niemców po dużym powstaniu więźniów w październiku 1943 roku. Staje się to jednak już po tym, jak w bezdusznym mechanicznym tempie w ciągu półtora roku wymordowanych zostaje tam co najmniej sto siedemdziesiąt tysięcy osób – wśród nich większość z 34 313 Holendrów deportowanych do tego obozu.

Dokładna liczba ofiar nigdy nie będzie znana, ponieważ prawie nikt nie opuścił Sobiboru żywy.

Każdego dnia siostry Brilleslijper, podobnie jak siostry Frank, idą z baraku karnego do warsztatu i liczą baterie, które rozbierają, w nadziei, że to będzie te ostatnie dziesięć, dwadzieścia, sto przed wyzwoleniem.

W tym czasie dużo się rozmawia. Ktoś opowiada o rozpoczętym już triumfalnym pochodzie z Paryża w kierunku Belgii i że wojska brytyjskie powinny już być prawie w Arnhem. Ktoś inny jest pewien, że wszystkie transporty zostały wstrzymane, a znów ktoś inny twierdzi, że słyszał, że jeśli jeszcze jakiś pociąg wyruszy, to pojedzie nie do Auschwitz, ale do Wolfenbüttel, czyli także do obozu pracy. Sam Polak mówił, że nawet komendant obozu Gemmeker robi się nerwowy, ponieważ alianci dotarli ponoć do Limburgii.

Jedynym, który nie zamierza dać się ponieść tej całej optymistycznej brawurze, jest Joseph Brilleslijper. Z ich ojcem jest źle, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Schudł, słaby wzrok sprawia mu problemy i ciężko znosi pobyt w nieznośnie gorących barakach z innymi więźniami karnymi. Ma dość, kiedy słyszy wieczorami, jak jego córki budują zamki na lodzie na temat szybkiego wyzwolenia.

– Skończcie z tymi bredniami, robicie sobie tylko złudne nadzieje. Naprawdę myślicie, że oni nas tak po prostu puszczą, kiedy alianci będą blisko? Że nie będą się mścić, zanim tamci staną przy bramie?

Sapie i potrząsa głową, sfrustrowany naiwnością swoich córek, a może własną niemożnością, żeby zmienić ich sytuację.

Nie tylko Joseph zachowuje się nerwowo; napięcie związane z wyczekiwaniem wyzwoleniem opanowuje cały obóz. Nocą, kiedy więźniowie są poukładani na trzypiętrowych pryczach i pył opada, w barakach pod gwiazdzistym niebem prowincji Drenthe większość ludzi leży, nie mogąc zmrużyć oka na swoich słomianych siennikach. Nie mogą zasnąć z powodu upału przenikającego przez szpary pomiędzy drewnianymi deskami, z powodu odoru potu bijącego od tyłu zgromadzonych w jednym miejscu ludzkich ciał albo z powodu marudzących dzieci. Z powodu zmartwień o wywiezionych członków rodziny i obaw, co ich

samych czeka. Z powodu roztrząsania, jak do tego wszystkiego mogło dojść albo co takiego zrobili, że zasłużyli na taki los. Nie mogą zasnąć, ponieważ ciągle od nowa liczą na palcach, ile dni już minęło od 31 lipca, kiedy wyjechały ostatnie pociągi z Westerbork, zupełnie jakby z każdym dodatkowym dniem nieco się oddalali od wyroku, zmierzając ku innemu horyzontowi pojawiającemu się w oddali. Jeden z pociągów odjechał do Theresienstadt i zabrał ich dawnych współlokatorów z Wysokiego Gniazda, Jetty Druif i Simona van Krevelda. Drugi do stacji docelowej Bergen-Belsen zawiózł Lily Biet-Gassan i jej córeczkę Anitę.

Jest sobota 2 września, kiedy zapada wyrok. Na liście wezwanych do transportu znajduje się tysiąc dziewiętnaście nazwisk. Poza Willim i Ritą są tam wszyscy.

Brilleslijper Joseph
Brilleslijper-Gerritse Fijtje
Rebling-Brilleslijper Rebekka
Brandes-Brilleslijper Marianne
Brilleslijper Jacob
v.d. Berg-Walvisch Pauline
Teixeira de Mattos Abraham
Teixeira de Mattos-Gompes Louise
Frank Otto
Frank-Hollander Edith
Frank Margot Betti
Frank Annelies Marie

Ostatni pociąg do Auschwitz opuści Westerbork następnego dnia rano.

PORWANA

Wysokie Gniazdo zostaje osierocone. W środku nic nie jest takie samo; meble poprzesuwno, materace poodwracano, zasłony zerwano z karniszy. Na blacie kuchennym talerz pełen okruchów i nóż z resztkami masła są cichymi świadkami ostatniego posiłku jakiegoś policjanta.

Lekarz rodzinny van den Berg nie jest przygotowany na przyjęcie do domu dodatkowej trójki małych dzieci i pyta SD, czy dwoje z nich może przenieść do kolegi we wsi, doktora Schaaberga. Obiecuje zatrzymać dziewczynkę Kathinkę i nie spuszczać jej z oka. Prosi też o pozwolenie przyniesienia z Wysokiego Gniazda dziecięcych rzeczy. SD zgadza się i van den Berg przenosi Robbiego i Liselotte pod inny adres. Kiedy ich żony zajmują się dziećmi, van den Berg i Schaaberg idą do Wysokiego Gniazda po ubrania i łóżeczka dziecięce. Taszcząc to wszystko do swoich domów, zastanawiają się, co zrobić z dziećmi.

– Ci z SD kazali mi przysiąc, że zatrzymam dzieci u siebie, aż będą pewni, że nie są „pełnymi Żydami” – mówi van den Berg z namysłem. – Postaraj się, żeby ta dwójka dzieci nie uciekła, bo inaczej przyjdzie po mnie SD!

Schaaberg kiwa milcząco głową; rozumie, o co toczy się gra. Przed domem van den Berga zatrzymują się na chwilę i odpoczywają. W środku siedzi mała Kathinka, śmiertelnie zmęczona z powodu wszystkich wydarzeń tego dnia, zupełnie sama czeka, kiedy wróci ten obcy pan. Wtedy Schaaberg podnosi odłożone na chwilę rzeczy, unosi rękę na znak pożegnania i podąża drogą do własnego domu czterysta metrów dalej, gdzie w salonie cichutko siedzą na kanapie Robbie i Liselotte.

Gdy tylko do Jana Hemelrijka dociera wieść, że Wysokie Gniazdo zostało zdradzone, a dzieci tymczasowo umieszczone gdzie indziej, zdaje sobie sprawę z tego, że liczy się teraz każda minuta. Robbie i Liselotte – jako pół-Żydzi – są bezpieczni, ale to tylko kwestia czasu, że SD odkryje, że Lien i Eberhard nie

mają ślubu i Kathinka jest w pełni Żydówką. To oznacza, że dziewczynka zostanie deportowana. Hemelrijk natychmiast kontaktuje się z doktorem van den Bergiem i prosi, by jak najszybciej przekazał mu Kathinkę. Van den Berg odmawia. Dał słowo SD i wie, jaki los go czeka za pomoc w ukrywaniu Żyda – mimo że to niespełna trzyletnie dziecko.

Jan Hemelrijk apeluje o pomoc do dwójki przyjaciół rodziny Brilleslijperów mieszkających w okolicy. Pierwszym jest Karel Poons, ufarbowany na blond tancerz baletowy, z którym Lientje ćwiczyła co tydzień w okresie ich ukrywania się; w tym czasie zaprzyjaźnił się on także z Eberhardem i resztą rodziny. Drugą jest sąsiadka Karela, młoda Marion van Binsbergen.

Wojna przez przypadek połączyła Marion i Karela. Karel zaszył się w domku w ogrodzie przy willi Cecile Hanedoes w Huizen, a Marion, dwudziestolatka z Amsterdamu, tuż po studiach, przeprowadziła się w 1943 roku do domu tuż obok niego. Jako córka wolnomysliciela, który jest sędzią, i Angielki mającej problem z autorytetami, już od najmłodszych lat jest przyzwyczajana do samodzielnego myślenia. Kiedy zaczęła się okupacja, Marion studiowała pracę socjalną w Amsterdamie, ale kilka spotkań z faszystami zrobiło na niej takie wrażenie, że bardzo szybko dołączyła do ruchu oporu.

Jedno z tych decydujących wydarzeń przyniósł pewien piękny wiosenny dzień 1942 roku, kiedy zobaczyła, jak naziści opróżniają żydowski dom dziecka, gdy przypadkowo przejeżdżała tamtędy na rowerze. Zatrzymała się na ulicy. Wszystkie dzieci z sierocińca płakały i Marion widziała, jak jedno po drugim były wrzucane do ciężarówki – dosłownie. Od niemowląt przez przedszkolaki po dzieci mniej więcej ośmioletnie: jak worki kartofli do otwartej klapy ładowniczej, za rękę, nogę, za włosy. Przechodzące tamtędy dwie kobiety zobaczyły całą scenę i bez wahania rzuciły się na Niemców. Zostały obezwładnione i wepchnięte do ciężarówki obok dzieci. Marion stała i patrzyła na to wszystko, i w tamtej chwili podjęła decyzję, że musi stawić opór – nawet jeśli miałyby za to zapłacić głową.

Rejestruje żydowskie niemowlęta jako własne, a następnie szuka dla nich schronienia w całej Holandii. Przyjmuje na wiele miesięcy do domu dwuletniego chłopca i zajmuje się nim, jakby był jej synem. Pomaga Żydówce w zaawansowanej ciąży, ponieważ rodzina, u której się ukrywała, nie chce niemowlęcia: od razu po porodzie zabiera dziecko z Amsterdamu do

Rotterdamu, gdzie znalazła rodzinę z czwórką dzieci chcącą adoptować niemowlę. Jednak jej najodważniejsza akcja ratunkowa polega na znalezieniu bezpiecznego miejsca dla mężczyzny nazywającego się Freddie Polak i trójki jego małych dzieci: czteroletniego, dwuletniego i dwutygodniowego.

Jest sierpień 1943 roku, kiedy rodzi się to najmłodsze dziecko – Erica Polak. Matka jest członkinią ruchu oporu i natychmiast po porodzie zostaje aresztowana i uwięziona. Marion znajduje dla rodziny kryjówkę tuż pod Amsterdamem, we wsi Huizen, przypadkowo obok domu, gdzie ukrywa się Karel Poons. Marion wprowadza się natychmiast do Freddiego i dzieci, żeby się nimi zajmować, kiedy Freddie pracuje nad dysertacją doktorską. Marion jest niczym matka dla maluchów i nie wyprowadza z błędu okolicznych mieszkańców myślących, że to jej własne chrześcijańskie dzieci. Jednak strach przed wpadką jest duży. Pod kilkoma deskami przykrytymi dywanem buduje kryjówkę – wolną przestrzeń pod podłogą, gdzie Freddie i dzieci muszą się chować, gdy znów grozi im niebezpieczeństwo. Żeby podczas tych trudnych chwil nowo narodzona Erica była cicho, dostaje czasem tabletkę nasenną.

Pewnego wieczoru coś jednak nie wychodzi. Do domu wpada czterech członków SS pod dowództwem miejscowego policjanta, znanego członka NSB. Mężczyźni przeszukują dom, nic nie znajdują i wychodzą, ale policjant zostaje w okolicy, czekając na zapadnięcie zmroku. Marion zna tę taktykę i każe Fredowi pozostać w kryjówce. Jednak dzieci stają się tak niespokojne, że w pewnym momencie musi je wyjąć z kryjówki – tym razem żadnemu nie zdążyła podać tabletki nasennej. Policjant idzie za dom, wchodzi od tyłu do środka i staje oko w oko z trójką żydowskich dzieci. Marion ma sekundę na podjęcie decyzji. Łapie rewolwer, ukryty na półce na książki obok siebie, i zabija mężczyznę.

Zaczyna działać sieć cichych pomocników. Marion panikuje, obawia się o los ukrywających się u niej, gdy zostanie odkryte morderstwo, i wzywa na pomoc przyjaciela i sąsiada Karela Poonsa. Razem zastanawiają się, co robić. Marion chce zakopać ciało w ogrodzie na tyłach domu, ale Karel ma lepszy pomysł. Łamie godzinę policyjną, pędzi w ciemności do piekarza w Huizen, któremu ufa, i prosi, żeby zabrał ciało swoją furgonetką. Piekarz się zgadza i dostarcza zwłoki do miejscowego właściciela zakładu pogrzebowego. Marion błaga go o pomoc w pozbyciu się ciała mężczyzny, żeby uratować życie trójki dzieci.

Mężczyzna robi to. Zastrzelony policjant trafia do trumny razem z jakimś dopiero co zmarłym człowiekiem i następnego dnia zostaje złożony do grobu przez nic niepodejrzewającą rodzinę zmarłego.

Upływają dni, tygodnie, miesiące, a Marion ze strachem czeka, czy pod jej drzwiami nie pojawi się ktoś w poszukiwaniu holenderskiego policjanta, który zniknął z powierzchni ziemi. Członkowie rodziny, koledzy albo czterech esesmanów, którzy byli z nim tamtego dnia: ktoś chyba musiał zauważyć jego brak? Nikt nie przychodzi. Najwyraźniej nie tylko Marion ulżyło, że nie musi się obawiać tego mężczyzny.

To właśnie do tej pary apeluje Jan Hemelrijk o pomoc w ratowaniu życia małej Kathinki, zanim będzie za późno. Opowiada im, że prosił doktora van den Berga, żeby oddał mu dziewczynkę, ale ten odmówił, i o tym, jak następnie sam próbował zabrać Kathinkę z jego domu. Kiedy Jan Hemelrijk był w środku, pani van den Berg zaczęła wrzeszczeć jak syrena strażacka, po czym doktor zadzwonił po policję i Jan musiał błyskawicznie uciekać. Teraz przed domem stoi na warcie policjant.

Marion i Karel natychmiast się zgadzają, chociaż dziewczyna uważa, że powinna to zrobić sama: jeśli Karel zostanie złapany, jego los jako Żyda jest przypieczętowany, podczas gdy ona ma jeszcze może szansę wymigać się karą więzienia. Karel nie chce o tym słyszeć. Kathinka jest córką jego serdecznych przyjaciół, Lien i Eberharda, którzy notabene załatwili mu fałszywe dokumenty, i on chce koniecznie pomóc zapobiec deportowaniu dziewczynki. Jan Hemelrijk daje im instrukcje; musi się to wydarzyć następnego ranka.

14 lipca 1944 roku o wpół do dziewiątej rano Marion i Karel wyruszają w kierunku Huizen. Kiedy Karel przy drzwiach wejściowych rozmawia z policjantem i lekarzem, Marion wślizguje się przez tylne drzwi do domu, szukając Kathinki. Zastaje żonę lekarza i jej dzieci w łazience na górze, zajętych poranną toaletą. Kathinka także tam jest, ubrana, cała i zdrowa. Kiedy kobieta widzi obcą osobę, zaczyna wrzeszczeć, ale Marion wpycha ją bez pardonu do wanny, łapie dziewczynkę pod pachy i zbiega z nią po schodach przez tylne drzwi do swojego roweru, sadza dziecko w koszyku na bagażniku z tyłu, najpierw biegnie z rowerem, a potem wskakuje na niego i pedałuje jak szalona. Echa rozpaczliwych krzyków i zamieszania w domu docierają przez

otwarte okna aż na ulicę, ale dziecko z tyłu ani drgnie, jakby rozumiało, o co toczy się gra. Marion pędzi trzy kilometry w linii prostej przez wrzosowiska do Blaricum, gdzie dostarcza dziewczynkę pod umówiony adres do dwójki ludzi z ruchu oporu. Karel w tym czasie, wykorzystując całe zamieszanie, zmywa się niezauważony, Marion wraca spokojnie na rowerze do domu, a Kathinka przebywa w bezpiecznej kryjówce w Blaricum. Pół godziny później Gestapo stoi przed domem doktora van den Berga, żeby zabrać dziecko do deportacji.

Niemcy znaleźli w Wysokim Gnieździe dokumenty Eberharda. Willi Lages wie, że para nie ma ślubu, i rozkazuje żołnierzom zabrać Kathinkę od lekarza. Zanim deportuje dziecko, chce je wykorzystać, żeby zmusić ojca do mówienia. Kiedy agenci SD dowiadują się, że dziewczynka przed chwilą została porwana przez obcą kobietę na rowerze, wściekają się. Doktor van den Berg staje się ofiarą ich gniewu, ale ostatecznie wychodzi z tego wszystkiego wolno.

Wszędzie w Huizen pojawiają się plakaty ze zdjęciem Kathinki i tekstem pogrubionymi literami.

POSZUKIWANA!

KATHINKA ANITA BOS

UR. 8.8.1941

Nie pojawia się żadna informacja. Dziecko zniknęło.

Robbie i Liselotte przebywają jeszcze kilka tygodni u doktora Schaaberga w Huizen, a potem zostają zabrani do ich nieżydowskich dziadków, państwa Brandes w Hadze. Bob w dniu nalotu na Wysokie Gniazdo został ostrzeżony przez policjanta z Huizen i po pracy nie wraca do domu, tylko jedzie prosto do Trees Lemaire w Amsterdamie. Eberhard po tym, jak Janny umożliwiła mu ucieczkę z policyjnego auta, ukrywa się u Evy Besnyö przy Leidsekade, też w Amsterdamie. Mężczyźni spotykają się w tajemnicy w domu Evy, gdzie Bob mówi Eberhardowi, że wie od Jana Hemelrijka, że Kathinka jest bezpieczna. Eberhard z kolei opowiada, jak Janny uratowała mu życie.

Krótko po akcji ratunkowej Karel Poons i jego gospodyni Cecile Hanedoes przekradają się nocą przez las i wrzosowisko do Wysokiego Gniazda, żeby sprawdzić, czy zostało tam może więcej obciążających dokumentów,

i zabezpieczyć rzeczy osobiste. Podczas kiedy Karel, nerwowo chichocząc, stoi na czatach przed domem, Cecile wspina się po rynnie, wpycha do środka okno i przeszukuje dom. Wszystko, co według jej podejrzeń mogłoby jeszcze bardziej obciążyć wywiezionych mieszkańców, próbuje zabrać ze sobą. Także ukrytą pod podłogą skrzynkę z nutami i pieśniami Eberharda, której nie znaleźli Niemcy. Przez Boba trafiają one do Eberharda, a ten wysłała część z nich z ukrytą wiadomością swojej Lientje do Westerbork w nadziei, że to podniesie ją na duchu.

Bob, Robbie, Liselotte, Eberhard i Kathinka długo nie mogą ochłonąć z przerażenia. Są rozproszeni po całym kraju, ale po nalocie na Wysokie Gniazdo cudownym zrządzeniem losu bezpieczni. Bob i Eberhard modlą się, żeby ich żony, reszta rodziny Brilleslijperów i dawni współlokatorzy zostali w obozie Westerbork do chwili, gdy zbliżające się wyzwolenie stanie się faktem.



PRZETRWAĆ

Byliśmy tak przygnębieni, byliśmy zmęczeni, było nam zimno, od wielu dni nic nie jedliśmy, burczało nam w brzuchach z głodu – nie wiedzieliśmy już właściwie, czy jesteśmy głodni, czy nie, bo to przechodzi, nie wiem czy ty... Na szczęście nigdy tego nie doświadczysz, o Boże, obyś nigdy tego nie doświadczyła.

Janny Brandes-Brilleslijper

1

PODRÓŻ NA WSCHÓD

Wyczytano ponad tysiąc osób i po krótkiej chwili niedowierzania w obozie wybuchła panika. Pojawia się pytanie: dokąd jedzie ten transport? Chaos jest nie do opisanego. Niektórzy biegną, gdzie tylko się da, żeby dostać się do właściwych ludzi i uzyskać zwolnienie albo dodatkowe informacje. Inni zbierają rodzinę i zastanawiają się, jak najlepiej postąpić. Czy powinni trzymać się razem? Może spróbować uciec dziś w nocy? Wydostanie się z Westerbork nie wchodzi w grę. Może lepiej poczekać, aż będą siedzieli w pociągu, i wtedy wyskoczyć gdzieś po drodze. Co zrobić z dziećmi, czy uda się je gdzieś ukryć? Jednak jeśli pociąg jedzie do obozu pracy – najlepszy scenariusz – to czy nie lepiej pozostawić dzieci przy sobie, żeby razem czekać na wyzwolenie? Jeszcze inni wymyślają choroby sobie i maluchom, zastanawiają się, jak symulować objawy, albo zaczepiają lekarzy w obozowym szpitalu, prosząc o pomoc. W Westerbork znajdują się żydowscy lekarze, gotowi dużo zrobić, żeby ratować ludziom życie, ale dla rodziny Brilleslijperów ta droga jest zamknięta. Ponieważ siedzą w części karnej, mają o wiele mniej swobody poruszania się po terenie obozu, więc kontakt z medykami wymagałby uciekania się do jakichś nadzwyczajnych sposobów.

Dla Fietje Brilleslijper teraz, kiedy wymienione zostały nazwiska ich wszystkich, pewne jest tylko jedno: muszą zrobić, co tylko w ich mocy, żeby trzymać się razem. Nieważne, czy pojedą do Bergen-Belsen, Theresienstadt, Wolfenbüttel czy Auschwitz, najważniejsze, żeby tylko nie zostali rozdzieleni. Siedzą w piątkę, blisko siebie, obejmują się i rozmawiają, co muszą zrobić. Auschwitz wydaje im się najmniej prawdopodobny; Armia Czerwona jest w Polsce, dowiedzieli się, że Lublin jest już wyzwolony, a Auschwitz leży od niego jakieś czterysta kilometrów, w południowej części kraju. Jednak Janny myśli rozsądnie.

– Nie możemy niczego zakładać. Także tego, że inne obozy są lepsze. Słyszę, jak wszyscy wołają, że chcą do Theresienstadt, jakby to była wygrana na loterii,

ale kto tak twierdzi? Ile widzieliście osób, które wróciły z Theresienstadt?

Ojciec, sparaliżowany bezsilnością, kładzie się na pryczy. Inni chodzą zdenerwowani wokół baraków bez celu i jednocześnie w poszukiwaniu rozwiązania, które mogłoby uratować im życie. Japie szuka towarzystwa dziewczyny, którą poznał tutaj, w Westerbork. Otto Frank, którego także wyczytano razem z rodziną, kilka razy mijają ich w pośpiechu, chodzi od Annasza do Kajfasza, żeby zdobyć jakieś informacje. Wierzy, że naprawdę pojedą do Theresienstadt i że tam wszystko będzie dobrze.

Czas jest ich wrogiem. Z każdą upływającą minutą pociąg, który ma ich zabrać, skrada się po torach i z każdym mijanym podkładem jest coraz bliżej.

Po długim dniu, podczas którego niektórzy więźniowie zrozpaczeni biegali w różne strony, a inni w ciszy zbierali swoje rzeczy, wszyscy gromadzą się przed zmrokiem w barakach i wokół nich. Największy sierpniowy upał już zelżał i wieczorami ziemia szybciej się ochładza. Rodziny są razem, z dziećmi na kolanach, wszyscy się obejmują. Fietje siedzi na pryczy i przywołuje do siebie swoją rodzinę na ostatnią rozmowę, zanim zaczną się przygotowywać do nocy, która zakończy się początkiem ich podróży. Pochyla się ku nim, żeby odizolować się od panującego hałasu, ale kiedy zaczyna mówić, wszystko wokół nich jakby cichnie.

– Przeżyjcie tę odrobinę życia, jaka nam jeszcze została, najlepiej jak potraficie.

Fietje patrzy przenikliwie na trójkę swoich dzieci, wypowiada z naciskiem każde słowo, ale jej twarz pozostaje delikatna. Tylko bruzdy biegnące między nosem a policzkami stały się głębsze.

– I nie zapominajcie, że to też się kiedyś skończy.

Ściska dłoń Josepha. Potem zwraca się do swoich córek.

– Janny, Lientje: zróbcie wszystko, żeby was nie rozdzielono! Nie martwcie się o mnie i o waszego ojca, my damy sobie razem radę.

Patrzy na Josepha, jej brwi się unoszą, a on kiwa głową i patrzy na przemian to na jedną, to na drugą córkę, w jego spojrzeniu zaś pojawia się nagła stanowczość pozwalająca im zobaczyć przeblysk mężczyzny, którego już od jakiegoś czasu im brakuje.

Fietje kontynuuje:

– Jaap sobie poradzi. Jest młody i silny i ma wystarczająco dużo wytrzymałości za nas wszystkich.

Przy tym ostatnim próbuje wyczarować na ustach uśmiech dla swego najmłodszego dziecka ze skrzyżowanymi na piersi rękoma opierającego się o pryczę. Jednak twarz Jaapa pozostaje napięta, chłopak nie jest w stanie odpowiedzieć matce tym samym, nawet udając. Oczywiście, że sobie poradzi, ale martwi się straszliwie o siostry i rodziców. W końcu, gdy nic więcej nie da się już powiedzieć, wstają i się obejmują. Zakładają, że jutro będzie ogromny chaos, skoro ponad tysiąc osób jednocześnie ma być umieszczonych w wagonach, i już nie będzie czasu, żeby coś sobie powiedzieć – nie mówiąc o pożegnaniu.

3 września 1944

Niedzielny ranek. Jest jeszcze ciemnawo na dworze, ale kiedy służby porządkowe z wrzaskiem wpadają do baraków, nikt nie budzi się przestraszony. Ludzie są gotowi do podróży, z pięcioma parami spodni jedno na drugich, podwójnymi swetrami, puderniczką ukrytą w staniku, pomadką do ust w bucie. Zdjęcia i liściki ukochanych zaszyte w kieszeniach. Schodzą z górnych łóżek, chorzy i starzy poruszają się z trudem, zmęczone dzieci przecierają oczy. Ojcowie i matki biorą pociechy za ręce, końcówki ich palców są już białe, zanim jeszcze wyszli z baraku. Ludzie zbierają rzeczy osobiste i spieszą na dwór pędzani wściekłymi gestami służb porządkowych.

– Przechodzić!

– Szybko! Pospiesz się!

– Nie brać za dużo!

Mieszkańcy baraków karnych udają się w stronę torów kolejowych. Z drugiej strony obozu widzą zbliżające się setki ludzi. Nawet o tak wczesnej godzinie komendant obozu jest obecny, jego wypucowane oficerki to jedyne, co tutaj błyszczą. Z członkami SS i kilkoma dużymi psami stoi z boku, przyglądając się, zrelaksowany, ale ze spojrzeniem jastrzębia, zrelaksowany, ale śmiertelnie poważny, jeśli chodzi o zadanie, które go czeka. Janny i Lien kurczowo trzymają się blisko siebie i blisko rodziny, próbują znaleźć w morzu głów tych znajomych, którzy zapowiadali, że spróbują po drodze wyskoczyć z wagonu, w nadziei, że im samym uda się to zrobić razem z nimi. Ale w tym momencie

zaczyna się wyczytywanie nazwisk i wszystko się miesza. Ludzie idą pod prąd, członkowie rodzin nawołują się. Ostatnie dotknięcie, potem rozdzielają się drogi: Janny i Lien w jedną stronę, Joseph i Fietje w drugą. Jaap znika w masie ludzkiej, ostatnie, co widzą, to jego nieustannie zaskoczony wyraz twarzy z brwiami uniesionymi niczym łukowate przęsła mostu.

Nadjeżdża pociąg. To nie wagony osobowe z ławkami, korytarzami i oknami, jak te, które przywiozły Janny z Dworca Głównego w Amsterdamie do Westerbork, ale ciężkie drewniane wagony bydłce, jak minibaraki na kołach, z pełnymi ścianami aż po dach – nie widać żadnych otworów wentylacyjnych. Z wagonów rozchodzi się przenikliwy ostry zapach. Kwaśny, szczypie w nos. Skład wydaje się nie mieć końca. Ludzie tłoczą się przed torem kolejowym, przepychają, potykają, ale Gemmeker i jego świta patrzą zadowoleni, jak wszyscy powoli, ale pewnie, są rozdzielani i znikają w wagonach. Siostry tracą z oczu rodziców, widzą jeszcze tylko, jak są przepychani w kierunku wagonu razem ze starszym małżeństwem Teixeira de Mattosami. Mają jedynie nadzieję, że Jaap jest z nimi.

Dziesiątki ludzi w wagonie, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt osób, z upchniętym obok bagażem, aż wewnątrz zapełnia się, a ludzie palcami u nóg i nosami wystają poza skraj. Pierwszy rząd patrzy przed siebie, stojąc metr nad ziemią, która za chwilę będzie prześlizgiwać im się pod stopami. Wtedy zasuwają się drzwi, tuż przed ich twarzami, a teren obozu i światło słoneczne znikają. Żelazny pręt obraca się o sto osiemdziesiąt stopni w celu zaryglowania, a liczba znajdujących się w środku zostaje wypisana wapnem na zewnętrznej ścianie. Następny wagon.

Ludzie wyciągają do siebie ręce, wspinają się do środka, Lien i Janny trzymają się nawzajem za ubrania, boją się, że w ostatniej chwili zostaną rozdzielone. Ale są razem, prawdopodobnie dlatego, że obie zostały zakwalifikowane jako więźniarki polityczne. Siedzą w środku, wciśnięte pomiędzy obce ludzkie ciała. Wszyscy próbują się jakoś wpasować i przesunąć, dzieci znikają pomiędzy nogami matek, starszankowie usiłują bezskutecznie złapać się czegoś, dorośli mężczyźni są posklejani ze sobą jak guma do żucia, a wszystko to trzymają razem cztery szczelne drewniane ściany, które nie ustępują ani o centymetr. Tylko cienkie, pochyłe deski na górze wpuszczają do

środką odrobinę powietrza, ale duchota jest odczuwalna już wtedy, kiedy drzwi są jeszcze otwarte. Do tego pusta beczka i wiadro wody.

– Ręce! Nogi! – krzyczy strażnik i pierwszy rząd próbuje przesunąć się jeszcze o milimetr do tyłu. Potem drzwi się zamykają.

W wagonie panują egipskie ciemności, ludzie mają uczucie, jakby zostali pogrzebani żywcem. Wszędzie wokół oddechy, płacz, dzieci wpadające w panikę, ponieważ zupełnie nic nie widzą, ktoś stoi na jednej nodze, gdzieś w rogu słychać chroniczny kaszel, który już teraz działa na nerwy. Lien się boi, jej pierś porusza się ciężko w górę i w dół, a kiedy próbuje inaczej stanąć, zauważa, że nawet jej stopy są zaklinowane pomiędzy stopami kogoś innego. Wysoki dźwięk wydobywa się z jej ust i zaczyna głośno dyszeć, ale Janny szczypie ją tak mocno w skórę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, że zadaje jej ból.

– Stój po prostu na swoim miejscu, nie ruszaj się. Zachowaj spokój. – Janny uspokaja siostrę, aż odwraca jej uwagę i Lien zabiera rękę.

Krzyki na zewnątrz, ciężkie kroki wzdłuż wagonów, kilku Niemców dowcipkuje. Odgłosy słabną i powoli robi się coraz ciszej, także w środku. Stoją tam po prostu, wydaje się to trwać wieki. Wtedy nagle przez wagon przechodzi szarpnięcie, jakby z jednych ust wydobywa się krzyk, kiedy wszyscy przewracają się niczym kostki domina, ale ściany trzymają ich prosto, a pociąg rusza. Tłoki zaczynają powoli swoje mielące ruchy, nawet dzieci są teraz cicho. Podskok, potem jeszcze jeden, zaczynają coraz szybciej następować jeden po drugim, aż wreszcie koła w równomiernym rytmie stukają na spojeniach szyn. Podczas gdy nad obozem Westerbork słońce wspina się po niebie, pociąg z tysiącem dziewiętnastoma ludźmi upchniętymi dosłownie jeden na drugim wolno znika na horyzoncie.

Chociaż obie próbują się coraz bardziej skurczyć, zawartość wagonu wydaje się powiększać. Kilkoro ludzi usiłuje siedzieć, a to na swojej torbie, a to na podłodze, ale większość musi stać. Każdy centymetr wolny na początku podróży jest teraz zajęty, a odrobina tlenu przedostająca się przez szpary do środka wydaje się wysysana przez coraz więcej ust. A oni przecież dopiero od niedawna są w drodze: godzinę, dwie? Kilkoro starszków płacze cichutko, nie dając się pocieszyć, matki mówią do swoich dzieci. „Przestań płakać”, „Nie

kołysz się tak”, „Nie możesz teraz siusiać”. Ktoś wymiotuje. Od smrodu robi się niedobrze, ale można się przyzwyczaić.

Wtedy pociąg zwalnia bieg. Janny i Lien szczypią się nawzajem, próbują uchwycić swoje spojrzenia, ale jest zbyt ciemno. Zacinając się i szarpiąc, pociąg zatrzymuje się. Wszyscy w wagonie są cicho i wstrzymują oddech. To już? Czy to dobry znak? Na dworze słychać hałasy, krzyki po niemiecku, takie same ciężkie kroki przechodzą się tam i z powrotem, jakby nigdy nie opuścili Westerbork. Majstrowanie przy drzwiach, zgrzyt żelaza i zaraz potem: jaskrawe światło słoneczne. Zaciskają oczy i otwierają usta. Świeże powietrze wpada w dużej ilości do wagonu, a oni wciągają je, połykają tlen, jakby to była woda. Jest zimno jak na tę porę roku: około piętnastu stopni, i czują, jakby ich zwiotczałe mięśnie i kości znowu powoli twardniały.

Wybawienie trwa krótko: z boku nadchodzą strażnicy, popychając przed sobą ludzi, znane twarze z obozu. Zatrzymują się przed ich otwartym wagonem i słychać wrzaski – że mają wdrapać się do środka. Zamieszanie: to niemożliwe, nie zmieszczą się, szemranie z tyłu, ale nie ma wyjścia. Odsuwają się, to zaledwie centymetry, połowa szerokości dłoni, wciągają tamtych za wyciągnięte ręce i kiedy już stoją w środku, twarzą w twarz z tymi z pierwszego rzędu, drzwi za nimi zostają zasunięte. Co się stało? Nowi opowiadają.

W jednym z ostatnich wagonów doszło do próby ucieczki. Niektórym się udało: przez dziurę w przedniej ścianie wagonu kilku więźniów wyskoczyło z jadącego pociągu. Ktoś przemycił ząbkowany nóż do chleba i na zmianę piłowali tym tęnym narzędziem drewnianą ścianę wychodzącą na bufory między dwoma wagonami, aż powstało wycięcie. Następnie jeszcze jedno takie samo – na tyle długie, że zrobił się otwór, przez który z trudem mógł się precyzyjnie człowiek. Pierwszy wystawił stopy na zewnątrz, znalazł oparcie na stalowych buforach pomiędzy dwoma wagonami, pod którymi z zawrotną szybkością przemykały podkłady. Nie wahał się, zanurkował jak pływak w dziurę i zniknął pod jadącym pociągiem. Następny, kiedy już wydostał się przez otwór, stał na trzęsących się nogach na buforach, aż ktoś zasyczał, że musi skakać, bo czekają następni. Skoczył. Nikt nie wiedział, czy wpadł pod koła czy nie. Potem kobieta. Wystawiła nogi z dziury i przesunęła się na pośladkach na zewnątrz, aż usiadła na zimnych, gładkich buforach. Wiatr ciął wzdłuż wagonów, krajobraz przelatywał obok, a ona siedziała tam po prostu

z wielkimi oczami. Kiedy już nikt się tego nie spodziewał, ześlizgnęła się w dół, na plecy, pod jadący pociąg. W ten sposób z tego bydłowego wagonu uciekło w sumie aż sześcioro czy siedmioro ludzi – zginęli czy przeżyli, tego nikt nie był w stanie powiedzieć – zanim Niemcy się zorientowali i kazali zatrzymać pociąg. Wszyscy zostali pobici i wypchnięci z wagonu, sam wagon z dziurą odczepiono, a pozostałych pasażerów porozdzielano do innych wagonów.

Kiedy koła znów ruszają, jeden z nowo przybyłych opowiada, że do ucieczki i postoju musiało dojść w okolicach Zwolle – słyszał to od kogoś, kto zna okolicę. Znów rozgorzały rozmowy na temat miejsca, do którego zmierzają. Mieli przecież jechać na wschód? Dlaczego pojechali w kierunku Zwolle? Janny przysłuchuje się temu, ale nic nie mówi. Wie, że pociągi z Westerbork muszą zostać najpierw przekierowane na linię kolejową Assen-Zwolle, skąd zaczyna się podróż do Polski. Jednak nie wierzy, że jadą aż do Auschwitz czy nawet tylko do Wolfenbüttel; Armia Czerwona powinna przecież być już pod Berlinem? Nie, nie będą jechać daleko.

W kolejnych godzinach wszyscy stoją i wiszą na sobie w przepełnionym wagonie pędzącym do przodu. Na początku każdy próbuje w jakiś sposób dostosowywać się do ludzi ściśniętych najbliżej niego. Jeśli sąsiad chce na chwilę usiąść, wstajesz ty, a kiedy dziecko chce przedostać się do starszej siostry znajdującej się kilka osób dalej, pomiędzy nogami stojących, wszyscy robią, co mogą, żeby pozwolić mu przejść. Kiedy ktoś prawie mdleje z braku powietrza, pozwala się mu przez chwilę złapać oddech pod żelaznymi prętami pod sufitem, a jak przez przypadek ktoś kogoś kopnie albo potrąci, mówi „przepraszam”. Ale kultura to niewiele więcej niż właściwe okoliczności i dlatego nie trwa długo, a uprzejmości ustępują miejsca instynktowi samozachowawczemu. Janny i Lien nie puszczają się ani na sekundę i tworzą w ten sposób bufor przeciwko wzmagającej się agresji w dusznym pomieszczeniu. W miarę upływu dnia niektórzy ludzie nie mogą już ustać na nogach ze zmęczenia i osuwają się, przez co ktoś inny zostaje przygnieciony i zaczyna krzyczeć. Ci, którzy znaleźli miejsce na podłodze, albo – jeszcze lepiej – na odrobinie słomy, są unieruchomieni, często dostają kopniaka albo kolanem w twarz. Gdy jedno z dzieci jest cicho, następne zaczyna płakać, i tak atmosfera powoli staje się straszna. O ile jeszcze na początku wszyscy byli

w takiej samej sytuacji, o tyle wkrótce większość czuje się tak okropnie, że ma przed oczami tylko jeden cel: wyjść cało z tej klatki, bez względu na koszty.

Jest tu drewniana beczka wielkości wiadra, w którą mogą załatwiać swoje potrzeby, ale nikt oprócz dzieci nie robi tego przez te pierwsze godziny. Kiedy zapada wieczór i pociąg nie ma najmniejszego zamiaru zwolnić, także dorośli, jeden po drugim, ulegają ciśnieniu pęcherza. Wciśnięci pomiędzy obcych zajmują miejsce na wiadrze i pozwalają odpłynąć resztkom godności. Beczka prawie się przelewa, a powietrze wiszące między głowami jest już tak ciężkie i ostre, że mogą je czuć na językach.

Kiedy zapada noc, tracą tę odrobinę orientacji, którą jeszcze mieli, bo zanurzają się całkiem w czarnej plamie oleju. Nie pozostaje im nic innego, jak się temu poddać, i stopniowo robi się w wagonie nieco ciszej. Janny i Lien znalazły sposób, żeby się odrobinę zdrzemnąć. Stoją prosto, opierając się o siebie plecami, i próbują w ten sposób utrzymać względną równowagę. Jedyne, co podtrzymuje je jeszcze na duchu, dosłownie i w przenośni, to uczucie, że ich ciała są przyciśnięte do siebie, zupełnie jak dawniej, w łóżku, w domu w Amsterdamie.

4 września 1944

Wstrząs, koła ślizgają się jeszcze kawałek, jeszcze jeden wstrząs, pociąg zatrzymuje się. Ciała przesuwają się wyłącznie na skutek wstrząsów i szarpnięć wagonu, już nie same z siebie. Żadnego hałasu albo płaczu, wszyscy są śmiertelnie zmęczeni po minionych dwudziestu czterech godzinach. Rygiel się podnosi, drzwi przesuwają. Poranne słońce. Nikt nie reaguje, nadal siedzą, leżą lub stoją i gapią się przed siebie przez półprzymknięte powieki.

– Wysiadać!

Żadnej reakcji.

– *Dalli, dalli! Schnell!*^[28]

Zaczynają się ruszać, około dwudziestu więźniów może zejść na peron, żeby opróżnić beczki z moczem i napełnić wiadra wodą. Z powrotem, do wagonu, drzwi zasunięte, rygiel opuszczony. Wszystko znowu jest ciemne i czuć taki sam fetor jak wczoraj, jakby nic się nie stało. Pociąg przyspiesza i zanim się

orientują, pod ich stopami znów rozbrzmiewają równomierne stukania połączeń torów.

Janny odkryła, że oprócz szczelin u góry wagonu także w ścianie są dwie kratki z grubą gazą z przodu, przez które przedostaje się do środka trochę powietrza. Razem z Lien próbują krok po kroczku dostać się w pobliże kraterów, przemieszczają się w tamtym kierunku z twarzami zwróconymi w stronę sufitu, jakby w ten sposób mogły już złapać zaliczkowo odrobinę świeżego powietrza. W masie stłoczonych ciał jest także pewien ruch, ponieważ przy kratkach można nie tylko zaczerpnąć powietrza, ale też bardzo mocno tam wieje. Lien robi centymetr miejsca dla Janny, Janny robi centymetr miejsca dla Lien – i tak się przesuwają.

Trzeci otwór znajduje się przy ryglu. Można tamtędy wyrzeć na zewnątrz; przy odrobinie szczęścia przychodzi twoja kolej. Kiedy Janny w końcu może przycisnąć policzek do drewna i widzi świat, oddycha głęboko i zapisuje każdy obraz, każdy kolor i każdy dźwięk z zewnątrz w swojej pamięci. Na niebie nie ma żadnej chmurki, a jasny błękit odznacza się od ochrowej żółci pól zbóż. Ktoś próbuje ją odepchnąć, ale ona się nie daje. Przed jej jednym okiem wszystko jest tak słoneczne i kolorowe, i spokojne, że na kilka sekund zapomina, że reszta jej ciała znajduje się w beznadziejnych warunkach. Wtedy zostaje odepchnięta na bok – jej moment mija.

Siostry próbują liczyć godziny, ale ich mózgi się poddają. Znajdują się w środku, w wagonie, wciśnięte pomiędzy ludzi, ale świadomość czasu i przestrzeni odpłynęła jednocześnie z czuciem w ich kończynach. Mają jeszcze kawałek starego chleba, ale są tak wyczerpane, a smród jest już tak obezwładniający, że nie mogą przełknąć ani okruszka. Ludzie wokół nich majaczą, dzieci cichutko zawodzą, zwrotnice zgrzytają, a metal przenikliwie piszczy, aż dźwięk i otoczenie zlewają się w nową nieskończoną noc.

5 września 1944

Leżą na sobie i pod sobą niczym worki z piaskiem rzucone jeden na drugi, noga kończy się ręką, głową, stopą. Klatka piersiowa unosi się i opada na dół, i już się nie rusza. Przy każdej zmianie toru rzuca nimi, jakby były jedną istotą, włosy rozpostarte niczym wachlarze na brudnej podłodze. Beczki już się nie

używa. Dziurki w drzwiach też nie. Siostry spoglądają na siebie od czasu do czasu. Do Wolfenbüttel nie jest przecież aż tak daleko, to chyba nie...

Trzeciej nocy pociąg się zatrzymuje. Drzwi zostają odryglowane, reflektory świecą z wysoka z czarnego nieba w wagony. Ujadające psy, rozkazy po niemiecku, wrzask w oddali. Ręce grzebią w ich wagonie w poszukiwaniu martwych ciał. Metaliczny głos rozchodzi się w świeżym powietrzu, jakby byli na stadionie, i zagłusza wszystko inne.

– *Alle raus, schneller, schneller!*^[29]

– *Aussteigen, alle Koffer hinlegen!*^[30]

Siostry ledwo mogą się podnieść, oślepione, ich nogi i powieki są ciężkie, tak bardzo ciężkie. Potykają się o ciało w wagonie, na peronie tracą równowagę, ale ktoś je podtrzymuje, żeby nie upadły; jakiś mężczyzna w pasiaku mówi do nich szeptem:

– *Ihr seid gesund. Lauft. Steigt nicht in die Wagen!*^[31]

Nie rozumieją tego, obejmują się i idą dalej, uwięzione w grubych wiązkach światła, w których maleńkie cząsteczki kurzu opadają na nie, wirując jak płatki śniegu. Lien ogląda się za siebie, nowy koc przysłany przez Mieke leży jeszcze w wagonie. Przechodząc obok innych wagonów, widzą jednak, jak torby wyrywane są ludziom z rąk i rzucone na wielkie sterty na peronie. Słyszą krzyki:

– *Alles Gepäck liegen lassen, nichts mitnehmen!*^[32]

Obok gór z rzeczami powstają stosy martwych ciał z rozmachem wyrzucanych z wagonów przez strażników, zupełnie jak w zabawie Jonasz w brzuchu wieloryba^[33]. Owczarki niemieckie stoją na tylnych łapach, smycze trzymające je w ryzach są mocno owinięte wokół rąk wystających z rękawów mundurów, poniżej widać wysokie skórzane oficerki. Obnażone kły zbliżają się przerażająco. Szybko, przechodzić, dalej z peronu.

Formują się rzędy. Mężczyźni po jednej stronie, kobiety i dzieci po drugiej. Na podwyższeniu stoi esesman, jego wielka ciemna postać odznacza się na tle jaskrawego światła. Zamyka i otwiera usta, na jego szyi nabrzmiewają żyły. Co on mówi? Co mają robić? Janny i Lien nie puszczają swoich rąk ani na sekundę.

– *Alte und Kinder auf den Lastwagen!*^[34]

Starcy i dzieci mają wchodzić na ciężarówki. Ludzie pięćdziesięcioletni i starsi niebędący w stanie utrzymać się na nogach po ciężkiej podróży są wyłapywani z szeregu i popychani w kierunku ciężarówek, tak samo dzieci patrzące tępo przed siebie. Matki biegną za potomstwem. Siostry wypatrują w tłumie znajomych twarzy. Lien wyciąga do góry rękę, kiedy wydaje jej się, że dostrzegła w oddali Jaapa, jego sklepienie brwi ponad morzem ciemnych głów, ale nie jest pewna – i chłopaka już nie ma. Janny wydaje się, że przez ułamek sekundy widziała przy ciężarówce cień ojca i matki, ale wówczas znowu popędzono je do przodu.

– *Dalli, dalli! Schneller!*^[35]

Stoją razem w szeregu i ściskają się za ręce, próbują pozbyć się smrodu z wagonu, ale wtedy czują to coś. Czują zapach, którego już nigdy nie zapomną, są tego pewne.

W nocy z 5 na 6 września 1944 roku, pod koniec Dolle Dinsdag – dnia, w którym w Holandii masowo wyciąga się ze strychu flagi i sztandary, ponieważ ludzie liczą na to, że w każdej chwili będą mogli powitać wyzwolicieli, rodzina Brilleslijperów przybywa do Auschwitz.

Esesman krzyczy nad ich głowami. Szereg staje się coraz mizerniejszy, ale na peronie mrowią się nadal setki ludzi.

– *Ruhe!*^[36]

Patrzą w górę, nadstawiają uszu, ale jest taki hałas i chaos.

– Wywołam teraz pięćdziesiąt nazwisk! *Extra Schutzhaftbefehl!*^[37]

Specjalny nakaz izolacji z dodatkowymi obostrzeniami. Nagle robi się zupełnie cicho. Mężczyzna pochyla głowę i odczytuje nazwiska ze swojej kartki.

– Brandes Marianne... Rebling Rebekka.

Są razem; efekt sfalszowanego aktu małżeństwa. Wymienieni mężczyźni zostają natychmiast odprowadzeni, kobiety muszą się zgromadzić przy Scharführerze z listą na sztywnej podkładce do pisania, który jeszcze raz sprawdza ich nazwiska. Stanowią zaledwie niewielką grupę. Czeka

i z każdym oddechem czują swąd spalenizny. Ponad reflektorami oświetlającymi peron niebo jest nadal zupełnie ciemne. Teraz one też muszą iść.

Wieże strażnicze. Betonowe słupy wznoszą się wysoko ponad nimi, u góry wyginają się w taki sposób, jakby je pozdrawiały. Rozciągnięte pomiędzy nimi druty kolczaste są pod wysokim napięciem. Janny i Lien patrzą na siebie i myślą o tym samym. To nie jest obóz pracy. Gęsia skórka, może ze zmęczenia. Nie wiedziały, że można być tak zmęczonym i nadal żyć. Lien prawie nie potrafi oderwać stóp od ziemi, zupełnie jakby brodziła w roztopionym asfalcie. Kolana się jej zderzają i wyginają kostki, po jej policzkach płyną łzy. Już dłużej nie chce. Janny łapie ją szybko za ramię, opiera ciężar ciała siostry na sobie i podtrzymuje.

Niemłoda kobieta idąca przed nimi także słania się na nogach, biorą ją między siebie, jedno ramię z każdej strony. Wydaje się być z porcelany, tak lekka i krucha. Kobieta musi być dawno po siedemdziesiątce, może nawet starsza.

– Dziękuję – szepcze.

Starają się, żeby nie straciła przytomności, pytają o nazwisko.

– Luise Kautsky. – Mówi to ledwie słyszalnie, ale Lien i Janny je rozpoznają.

– Żona Karla Kautskiego?

Skinienie głową i delikatne uniesienie kącika ust na wspomnienie. Jej mąż był znanym czesko-austriackim politykiem i teoretykiem socjaldemokracji. Siostry wiedzą, że krótko przed wojną zmarł na wygnaniu w Amsterdamie. Bob i Eberhard często rozmawiali o jego pracach. Dziwna chwila ludzkiego kontaktu i wspomnienie ich dawnego życia pomagają wszystkim trzem pokonać ostatnie metry. Przy niskim budynku zostają zapędzone do środka i tracą Luise z oczu.

Długi kamienny korytarz, zimny i szary. Gdziekolwiek spojrzeć, esesmani w mundurach i więźniowie w pasiakach. Długie stoły, jakby musiały się zapisywać na zawody pływackie.

– *Ausziehen, alle Kleider hinlegen!*^[38]

Głos esesmana brzmi metalicznie, rozkaz odbija się echem w pomieszczeniu. Ani jedna kobieta w ich grupce nie zaczyna się rozbierać, patrzą na siebie pytająco. Nie ma żadnego osobnego miejsca, żadnej zasłony, wszędzie stoją ludzie.

– *Dalli, dalli, schneller!*^[39] – krzyczy mężczyzna raz jeszcze.

– *Ihr werdet desinfiziert!*^[40] – wtóruje mu więzień w pasiaku stojący nieco dalej. Janny i Lien patrzą na siebie przestraszone, ale inne kobiety zaczynają się już pozbywać ubrań i one biernie idą za ich przykładem. Nie mają siły, żeby się sprzeciwić, a poza tym niezliczeni strażnicy stoją i tylko czekają na pretekst, żeby się zamachnąć. Zdejmują ubrania, które tak starannie wybrały w Westerbork w nadziei, że będą dobrze przygotowane. Westerbork. Ta nazwa wydaje się nagle echem z dalekiej przeszłości, jak ulica, przy której mieszkało się w dzieciństwie. Zdjąć buty, skarpetki, koszulę. Wahanie.

Stanik.

Majtki.

Stoją bosymi stopami na zimnej podłodze, ręce skrzyżowane z przodu, a spojrzenie skierowane w podłogę, żeby nie musiały się widzieć w oczach obcych.

– Przechodzić!

Wzdłuż stołów, szybciej, esesmani poganiają je za pomocą pejczy i psów. Tyle krzyku, ale za każdym razem się boją, wciskają głowę w ramiona i podnoszą ręce w obronnym geście, jakby to dawało jakąś ochronę. Janny jest już dalej i Lien przyspiesza, starając się znowu znaleźć obok siostry. Więźniowie w obozowych ubraniach siedzą gotowi z narzędziami do golenia, ich spojrzenie zwrócone jest w dal. Zostają porozdzielane. Gdzie której się trafi, tam zostanie ogolona – nieważne, czy przez mężczyznę czy przez kobietę. Ręce w górę. Pachy. Rozstawić nogi. Owłosienie łonowe. Odwrócić się. Włosy na głowie złapane i jednym ruchem krótko obcięte.

Przechodzą, jeszcze bardziej nagie niż przed chwilą. Więcej stołów. Ktoś łapie je za przedramię i wbija igłę. Nie czują bólu. Pod ostrzem drapiącej igły pojawia się powoli seria pięciu cyfr na ich skórze, na zewnętrznej stronie lewego przedramienia. Podczas gdy mężczyzna z igłą przewierca jej skórę i wstrzykuje krople tuszu, Janny patrzy w bok na Lien, która z wyciągniętym ramieniem gapi się przed siebie, z włosami sterczącymi na wszystkie strony i lekko opuszczoną dolną szczęką.

88420.

Wystarczy, że Janny raz widzi ten numer; na zawsze pozostanie wyryty w jej pamięci.

Prysznice. Mizerna strużka jest na zmianę nieznośnie gorąca i lodowata. Drżą, przeciąg świszczą wzdłuż ścian. Pomiedzy ciałami innych kobiet próbują złapać kilka kropli w złożone ręce, trą skórę mokrymi palcami, ale brud jest wszędzie. Ręce i nogi dygoczą tak mocno, że ich ruchy przypominają drgawki. Niektóre kobiety jak pijane chwiejnie poruszają się po pomieszczeniu. Strażnicy, poganiając je pejciami, przywołują do porządku – trzymając na odległość.

– *Schneller!*^[41]

Luise Kautsky, ta starsza pani, upada na podłogę i leży na kafelkach. Innej kobiecie udaje się ją podnieść. Wszędzie grupki kobiet próbujących na próżno z rękoma złożonymi w miseczki dopchać się pod prysznic. Para zbiera się wokół ich głów i po raz pierwszy ukrywa przed wzrokiem strażników. Janny i Lien patrzą na siebie, chwytają się za ręce, znowu razem, jak wcześniej.

– Musimy to przetrwać – mówi Janny.

Bezdźwięcznie, czytanie z ust. To postanowienie. Obie kiwają głowami.

CZY ZNASZ MOŻE MOSSELMANA?

Wieczór babiego lata w Amsterdamie, kolacja u ojca i matki. Janny przyjechała pociągiem z Hagi i przemierza ostatni kawałek drogi do domu rodziców ulicami, na których zna każdą płytę chodnikową, każdą nierówność nawierzchni. Macha do znajomych. Pora zamykania sklepów, dawni przyjaciele idą do knajpy. Woda w rzece Amstel pluszcze pomiędzy brzegami. Ruch na placu Waterlooplein powoli zamiera i potoki ludzi płyną w kierunku teatru Carré. Z otwartego okna sutereny brzmi fałszywie trąbka, chłopak za pulpitem ćwiczy na instrumencie. Rowerzyści z trudem pokonują stromy most Magere Brug, niektórzy zsiadają i idą pod górę, śmiejąc się z własnej niemożności. Janny skręca za mało widoczny róg przy Nieuwe Achtergracht i wchodzi do budynku pod numerem 14/II. Lientje już tu jest, ojciec peroruje na temat jej bezsensownej kariery tanecznej, Lien wywraca oczami, kiedy widzi młodszą siostrę wchodzącą do środka. Dają sobie buziaka. Kiedy roztargniona twarz Japiego pojawia się w drzwiach, pozdrawiają go chórem. Matka jest w kuchni, parują garnki, pada polecenie. Janny jej pomaga. Fietje prosi Josepha o otwarcie okna. Duszna bryza wpada do środka, a odgłosy centrum Amsterdamu tworzą brzęczący chór w tle.

Do stołu. Tyle opowieści, planów i marzeń do omówienia. Handel, rodzina, troski finansowe. Jaap myśli o kontynuowaniu nauki, już prawie skończył wieczorową średnią szkołę handlową. Lien odsuwa na bok trochę ziemniaków.

– Jestem za gruba – dąsa się.

– Nie jesteś gruba, jesteśmy małe – odparowuje matka, nie podnosząc wzroku znad talerza.

Janny narzeka na pracę, nie wiedząc, czego chce. Od kilku miesięcy jest w Hadze opiekunką do dzieci u znakomitej rodziny, wielmożnego pana de Brauw i jego potomstwa, ale nie podoba jej się to zajęcie. Praca w Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom – to dopiero jest

pożyteczne. Jak może opiekować się dziećmi, kiedy w sąsiednich krajach faszyści dochodzą do władzy? Świat staje w płomieniach! Jak ojciec może prowadzić interesy z Niemcami, kiedy ten okropny człowiek jest tam u władzy? Nadal jest zła, że Joseph dostarczył dużą partię warzyw i owoców do stalowni w Niemczech; kłócili się na ten temat, że aż się wszystko trzęsło. Częściowo z tego powodu i dlatego że ojciec uważał jej pracę w Czerwonej Pomocy za zbyt niebezpieczną, wyprowadziła się z domu i zamieszkała w Hadze. Wprowadziła się do Lientje. Ojciec potrząsa głową, uważa, że córka przesadza, ale nie chce psuć atmosfery; tę dyskusję przeprowadzali już wcześniej. Nie chce wiedzieć, co Janny wyprawia w tej swojej „walce przeciwko złu”, jak ona zawsze to nazywa, a poza tym nie wierzy, że będzie aż tak źle. Musi prowadzić firmę, a to jest już wystarczająco trudne w tych czasach.

– A ja zostanę gwiaaazzzdddą! – W środku rozmowy Lien wyrzuca obie ręce w górę i wyśpiewuje to ostatnie słowo, rozciągając je do granic możliwości. Wszyscy wybuchają śmiechem i napięcie przy stole znów opada. Na dworze podzwania miedziany dzwonek wózka z lodami w rytm piosenki *Zeg, ken jij de Mosselman* [Czy znasz może Mosselmana?]^[42]; natychmiast patrzą na matkę, trzy pary brwi unoszą się pytająco. Dźwięk nabrzmiwa, zbliża się od strony kanału. Fietje patrzy przez chwilę surowym wzrokiem, a potem uśmiecha się szeroko. Kiwa głową, a oni jak małe dzieci zeskakują ze swoich krzeseł.

Wstawać, na dwór, szybko. Prawie potykają się o siebie w pośpiechu, jedna za drugą, obok siebie, doganiają kogoś, nie chcą znaleźć się na skraju, ale w środku tłumu, który się tworzy. Zaczyna padać. Nie jakiś lśniący wiosenny deszczyk, który się nasila, ale prawdziwe oberwanie chmury, jakby ktoś wylał na nie wywrotkę wody. Szare chmury zamykają się nad ich głowami, szybko zabarwiają niebo na równie ciemny kolor, jaki ma ziemia. Janny zajmuje miejsce w szeregu, szybko zerka, czy jest Lien; ta stoi za nią. Na szczęście. Patrzy znów przed siebie i dołącza do pozostałych. Woda spływa już strużkami po jej twarzy, krople spadają z jej rzęs. W ciągu kilku minut ubranie jest przemoczone – a przecież było jeszcze wilgotne po poprzedniej ulewie. Dygocze pod cienkimi łachmanami, które już od wielu dni nie mogą wyschnąć. Drewniane chodaki toną w błocie i zaczynają się napędnąć wodą. Były z nich bardzo zadowolone, doskonale sprawdzały się im przez pierwszy miesiąc, ale nic nie jest odporne na te warunki. Bardzo ostrożnie, żeby nikt nie zobaczył,

próbuję wyciągnąć je jeden po drugim z papki, w którą zapadła się tymczasem już po kostki. Każdy ruch może być jednym za dużo. Kapo wrzeszcza, ciągle przybiegają kobiety, spóźnione są bite, przewracają się twarzą w błoto. Nie można być wśród ostatnich, nie można znaleźć się w zewnętrznym szeregu, nie można zwracać na siebie uwagi, nie można w żaden sposób się wyróżniać. Obie z Lien mają szczęście, że są takie małe.

Mijają godziny i odliczanie trwa. Jeden błąd i od nowa, od samego początku, setki głów rozmieszczonych na gigantycznej szachownicy. Czasem ktoś upada i pojawia się dziura we wzorze. Janny wpatruje się w plecy kobiety przed sobą i próbuje się nie buntować, nie buntować się przeciwko nieustannym wrzaskom kapo i *Aufseherinnen*, nadzorczyń, przeciwko deszczowi, głodowi albo mrowiącemu bólowi w kurczącym się ciele. Zostały obrane, warstwa po warstwie, jak cebula, aż nie pozostało nic poza istotą ich istnienia. Najpierw odebrano im pracę, szkoły, domy i miasto. Sąsiadów i przyjaciół. Potem rodziny i wolność. W końcu ubrania, włosy, własne odbicie w lustrze. Ale nie ich istotę, na tym muszą się skupić, tego nigdy nie oddadzą. Bo widzą, co się wtedy stanie, widzą to w żywych trupach włóczących się po terenie obozu. To *Muselmänner*, muzułmani. Poddali się i oddali się, zanim jeszcze naziści popchnęli ich w przepaść. Widok muzułmanów przypominających osoby w śpiączce to może dla faszystów większy sukces niż dymiące obozowe kominy. Mężczyźni i kobiety leżą, włóczą się bez celu i przewracają. Wykończeni i wyniszczeni, nerwy stępione i utracona mowa, szczęki jak żelazne zaciski i oczy jak szklane kulki, które niczego już nie widzą. Muzułmani to ci, którzy podczas selekcji jako pierwsi zostają wysłani gestem na jedną stronę, jeszcze przed chorymi, ciężarnymi, dziećmi i starcami: do przejścia do komór gazowych, które w głowie dawno już przeszli. Nie krzyczą i nie płaczą, nie są już świadomi sytuacji, a może właśnie zbyt świadomi jej beznadziejności. Właśnie dlatego reszta więźniów ich unika.

Deszcz tłucze o głowę Janny, całkowicie przemoczone ubrania stopiły się z jej skórą. Dygocze w długiej koszuli. Nie ma majtek, wiatr przewiewa ją na wskroś. Straciła czucie w stopach z powodu zimna, tak że wydaje się, jakby drewniane chodaki wyrastały prosto z jej nóg. Jednak za każdym razem, kiedy grozi im utrata istoty ich istnienia, znajdują w sobie nawzajem ostatnie resztki oparcia, którego większości tutaj brakuje. Dzięki drugiej pierwsza pamięta, kim

są, ponieważ druga przypomina jej, kim kiedyś były: dwiema siostrami z Amsterdamu.

FIOŁEK LIEN

Janny i Lien szybko zrozumiały, że obóz funkcjonuje jak piramida upokorzeń, w której wszyscy są napuszczani na siebie nawzajem. Chociaż teren Auschwitz-Birkenau na pierwszy rzut oka wygląda jak zatopiony w błocie chaos, w rzeczywistości jest to perfekcyjnie zorganizowana maszyna do zabijania, zaprojektowana w najmniejszych szczegółach na stołach kreślarskich SS – włącznie z komorami gazowymi i krematoriami – i urzeczywistniona na mokradłach wokół polskiej wsi Brzezinka. Już przy budowie więźniowie padali jak muchy. Wybór terenów bagnistych sprawił, że przy wykonywaniu fundamentów ziemia wręcz pochłaniała robotników przymusowych. Reichsführer-SS Heinrich Himmler zorganizował tam, z upoważnienia Hitlera, modelowy obóz zagłady.

Podjęcie Himmlera nie było czysto eksperymentalne; miał on już duże doświadczenie. W 1933 roku otworzył w Dachau pod Monachium pierwszy nazistowski obóz koncentracyjny dla więźniów politycznych. Ten elegancki człowiek w okularach bez oprawek, o jajowatej głowie urzędnika i wąskich ustach, którego lojalność wobec Hitlera była większa niż miłość do matki, fascynował się ideą stworzenia czystej rasy nordyckiej, przy czym siebie widział jako ostateczną instancję w dziele oczyszczania rasy. Nic zatem dziwnego, że koncentrował się na kobietach. Kobiety żydowskie muszą zostać jak najszybciej wytępione, ponieważ wydają na świat kolejne pokolenia Żydów, którzy będą chcieli pomścić swoich ojców, a kobiety aryjskie muszą się jak najszybciej rozmnażać. W ramy tego właśnie planu, do Auschwitz-Birkenau jako jednej ze stacji docelowych, trafiły Janny i Lien.

Piramida instancji nadzoru sięga od komendanta obozu na samej górze, aż po baraki na samym dole. To tam wybrani więźniowie mogą dostać ostatni ochłap władzy, żeby utrzymać wyższą pozycję przez możliwie dotkliwie kopanie będących niżej – bo ta pozycja decyduje o życiu i śmierci. Wyższy status oznacza dodatkowy kawałek chleba, kiedy inni głodują, albo przepustkę do

życia, gdy reszta wysyłana jest do komór gazowych. Dzięki wykorzystywaniu w ten sposób więźniów do pilnowania siebie nawzajem oszczędza się pieniądze, a przez podburzanie ofiar przeciwko sobie próbuje się zniszczyć od środka wspólnotę czy co tam z niej jeszcze zostało.

I tak *Stubenälteste*, szefowa baraku, słucha *Blockälteste*, blokowej, a ta znów musi podporządkować się kapo, które zdają sprawozdanie przed *Aufseherinnen*, strażniczkami z SS nadającymi ton swym brutalnym podejściem, każda we własnym stylu. Jedna ze stoickim spokojem okłada więźniarki pejczem, dopóki nie zostaną z niego strzępy, podczas gdy inna potrafi ciężkimi buciorami zmiażdżyć komuś czaszkę, że aż mózg wypływa na ziemię. Ludzie zdeptują się nie tylko w hierarchii pionowej, lecz także podsycane są między nimi bezustannie konflikty. I tak Polki nastawiane są przeciwko Rosjankom, Rosjanki przeciwko Węgierkom, a Węgierki z kolei przeciwko mieszkankom Europy Zachodniej. Siostry szybko zauważają, że kapo to w większości Polki nienawidzące zwłaszcza Francuzek i Holenderek.

Janny i Lien siedzą razem z innymi więźniarkami politycznymi w osobnym bloku. To kobiety przeróżnych narodowości – pochodzą z Grecji, Francji, Włoch, Rosji i Danii. Wszystkie są głodne, wyczerpane i tęsknią za dziećmi i rodzinami. Siostry bezustannie poszukują gorączkowo informacji o bliskich, ale nie udało im się jeszcze odnaleźć ani Jaapa, ani ojca i matki. Nie ma też śladu po Rudej Puck i starszym małżeństwie Loes i Bramie Teixeira de Mattosach, ale to o niczym nie świadczy: sam obóz Birkenau jest większy niż trzy i pół setki boisk piłki nożnej, z dziesiątkami tysięcy więźniów w setkach baraków. A jest jeszcze obóz podstawowy, Auschwitz I, a dalej Auschwitz III. Tam znajduje się kompleks przemysłowy, między innymi z niemieckim koncernem chemicznym IG Farben, gdzie przy pomocy niewolników Trzeciej Rzeszy produkuje się syntetyczną gumę. Kiedy w nocy znów nie mogą spać, wciśnięte pomiędzy inne niespokojne kobiece ciała na deskach, próbują sobie wyobrazić ojca, matkę i Jaapa przy przesuwającej się taśmie. Zmęczonych i brudnych, ale z bijącymi sercami. A może wylądowali w jednym z czterdziestu mniejszych obozów w okolicy i pracują na roli? W tych nocnych godzinach, które wloką się niemiłosiernie, przed ich oczami przesuwają się wszelkie możliwe optymistyczne scenariusze, jednak gdy stoją na apelu w ciemnościach

przed świtem, pierwsze, co widzą, to komin triumfalnie wznoszący się nad terenem obozu.

Kiedy pierwszego ranka po przybyciu w końcu kobieta ubrana w pasiak prowadziła ich do baraku, gdzie odbywała się kwarantanna, przechodziły obok tego niskiego budynku z grubym kominem.

– Co to za fabryka? – zapytał ktoś z grupki.

Kobieta nie odwróciła się nawet, a na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień.

– Fabryka? – powiedziała i wskazała brodą komin. – Tam jest wasz transport. Idzie właśnie do pieca.

Chcą wierzyć, że reszcie rodziny też się udało, ale każdego dnia, podczas którego ciągle nie przychodzi wyzwolenie, piece spalają nowy ładunek. Bez przerwy. O tym nieustannie przypomina im smród przykrywający niczym koc teren obozu i ich głos, który każdego dnia, kiedy wymawiają pierwsze słowa, staje się coraz bardziej ochrypły.

Dni wypełnione są bezsensowną pracą albo niekończącym się staniem na apelu. Sześć godzin bez przerwy, czasem dwanaście albo przez całą dobę, aż znowu wyjrzy niewyraźne polskie słońce. W pierwszym miesiącu włoski na ich ramionach jeszcze reagują, wyciągają się jak pędy w kierunku źródła ciepła przynoszącego krótkotrwałą ulgę, kiedy one zdychają razem z tysiącem, czasem nawet dwoma tysiącami ludzi w grupach po dwadzieścia pięć osób. Kiedy jednak wrzesień przechodzi w październik, na niebie zawisa całun, z którego leją się ulewne deszcze, tak że twarde jak kamień podłoże nasącza się szybko, przekształcając się w grubą warstwę śmierdzącego błota. Ich ubrania nigdy nie schną, a baraki zamieniają się w wilgotne obory, gdzie błyskawicznie mnożą się pleśń i robactwo.

W ich baraku stoją trzypiętrowe prycze, ale właściwie to nic innego jak drewniane regały, na których ułożeni są ludzie. Każdy poziom teoretycznie przeznaczony jest dla dwóch osób, ale z powodu przeludnienia w obozie leży na nich po pięć albo sześć kobiet, w poprzek. Na jedną trzypiętrową pryczę przypada zatem jakieś osiemnaście dygoczących, stłoczonych ciał. Jeśli mają szczęście, jest tam trochę słomy, ale przeważnie tylko przerażająco skrzypiące drewno, kawałek koca i własna ręka zamiast poduszki.

Wiercenie się w nocy jest nie do wytrzymania. Kościste pośladki obcej osoby przy twoim brzuchu, nieustanny kaszel, usta pełne wrzodów i pęcherzy na języku oddychające ci prosto w twarz – bez względu na to, jak się człowiek obróci – i zawrodozenie kogoś, kto nie może już odepchnąć od siebie myśli o swoich zaginionych dzieciach. Z nosem opartym o łuszczący się czubek głowy sąsiadki, kolanem w plecach, czyjąś ropiejącą raną dotykającą twojej skóry. Ktoś grzebie w dłoni, w której trzymasz kurczowo cenne drobiazgi. Kobieta nad tobą jest chora i wszystko się z niej wylewa, inna bredzi, a jeszcze inna robi się agresywna. Jednak wszystkie te niedogodności są niczym w porównaniu ze swędzeniem. Swędzeniem wpełzającym pod skórę, zakradającym się przez krwiobieg do mózgu, doprowadzającym do szaleństwa, niedającym ani chwili odpoczynku. Janny myśli czasem, że więcej osób traci rozum z powodu świądu niż wszystkich innych cierpień razem wziętych. Wszy, pchły, pluskwy i inne robactwo siedzą wszędzie: na ich ubraniach, na ich głowach, na ich rzesach, pomiędzy palcami u nóg, pod pachami i w okolicach intymnych. Dziesiątki, setki maleńkich ugryzień na całym ciele, w każdej minucie, w każdej sekundzie, rano, w południe, wieczorem i w nocy. Kiedy stoją na apelu, kiedy siedzą w sraczu i kiedy leżą na pryczy. Robaczki są tak małe i jest ich tak dużo, że ma się wrażenie, jakby się było żywcem zjadanym przez niewidzialną armię – ludzie stają się od tego *meszuge*, niepoczytalni. Zdzierają sobie całe pasy skóry, paznokciami i zębami albo za pomocą wystającego gwoźdźca. Inni rozdrapują sobie czaszki, aż chodzą z wrzodami na głowie, które powolutku znajdują drogę do jej wnętrza. Nie można w żaden sposób pozbyć się swędzenia i największe wyzwanie polega na poddaniu się mu, bez poddawania się wszystkiemu.

Janny powtarza siostrze: musimy to przeżyć. Wystarczy, że będą trzymać się razem, nie tracić rozumu i troszczyć się o siebie nawzajem. Nie myśleć o dzieciach. Utrzymywać czystość. Jeść, co się uda zdobyć. Nie rozdrapywać skóry. A przede wszystkim: nie zostać wyselekcjonowanym przez doktora Mengele i jego zespół lekarzy z SS.

Selektion wisi nieustannie w powietrzu i jest to coś, czego wszystkie najbardziej się obawiają. Największa selekcja odbyła się już oczywiście na rampie, zaraz po przybyciu. Słabi, chorzy, niemowlęta, dzieci poniżej piętnastego roku życia szli z pociągu prosto do komór gazowych. Jednak na tym

się nie kończy. W najbardziej nieoczekiwanych momentach, raz w miesiącu, raz w tygodniu – choć czasem nawet nic się nie dzieje przez dwa błogie miesiące – doktor SS Josef Mengele przychodzi i decyduje. Dokonuje selekcji tych, którzy mogą jeszcze pracować albo są interesujący dla jego eksperymentów medycznych, i tych zupełnie bezużytecznych. Może wysłać ludzi do komór gazowych gestem ręki przypominającym odpędzanie muchy. Jeśli się trafi do jednej z dwóch pozostałych żalosnych kategorii, pozostaje jeszcze przynajmniej jakaś nadzieja.

Często selekcje odbywają się zaraz po *Zählappell*, kontrolnym liczeniu więźniów. Pewnego dnia znów się to dzieje: po niekończącym się czekaniu nie zostają rozdzielone do pracy, ale nagle wszczyna się tumult. Strażnicy, psy, nerwowe kapo, wrzaski jeszcze głośniejsze niż zwykle.

Großer Appel! Antreten zur Selektion!^[43]

Schnell!^[44]

Tłum rozpierzcha się, każdy do swojego bloku, rozbierać się. Panika w baraku jest ogromna. Nagie kobiety biegają bez ładu i składu, jedna pyta o coś drugą, szukają rodziny, dzieci, przyjaciółek obozowych. W zasadzie nie ma na to czasu, ale każda lękliwie dokonuje inspekcji swojego ciała albo ciała kogoś innego, prosi sąsiadkę lub przyjaciółkę o potwierdzenie.

- Widzisz tu gdzieś plamy?
- Czy te krostki to liszajec zakaźny?
- Czy jeszcze schudłam?
- Przyciskaj rękę do boku, masz tam ranę, której nie mogą zobaczyć.

Ktoś smaruje policzki kawałkiem starannie przechowanej margaryny, żeby wyczarować trochę połysku na matowej skórze. Jakaś kobieta bije się mocno po twarzy, żeby pobudzić do życia szare oblicze; inna zagryza usta i rozsmarowuje krew. Okruch pomadki do ust jest na wagę złota, na pewno trzy dzienne porcje chleba: odrobina koloru może uratować przed *Malech ha-mowes*, jak nazywają doktora Mengele w jidysz. Anioł Śmierci.

Janny już się rozebrała i patrzy na Lien, widzi, jak bardzo schudła. Jej piękna siostra, za którą w czasach ich młodości uganiali się wszyscy chłopcy, z godną pozazdroszczenia figurą i ciemną, gęstą czupryną, wygląda na kruchą i pokonaną, jej włosy sterczą teraz jak drut kolczasty wokół czaszki. Z rozpaczą

patrzy na chaos w baraku. Lien cały czas się o wszystko martwi; to pożera energię. Janny jest bardziej odporna, opanowana, czasem stoicka, jak matka, dlatego lepiej to wszystko znosi.

Ciemnoniebieska plama rozlewa się pod prawym okiem Lien jako pamiątka jej porywczosci. Przedwczoraj jakaś dziewczyna w ich baraku zwinęła jej w nocy spod głowy chodaki i kiedy następnego ranka Lien zażądała ich zwrotu, wzięły się za łby. Stały, wrzeszcząc i ciągnąc za jeden chodak, i zanim Lien udało się wyrwać dziewczynie drugi, tamta walnęła nim ją prosto w twarz. Lien zobaczyła wszystkie gwiazdy, ale odzyskała buty.

– Lientje! – Janny łapie siostrę za rękę. – Uważaj teraz. Musimy przez to przejść. Ojciec, matka i Japie gdzieś na nas czekają, nie możemy zostać wyselekcjonowane, słyszysz?

Lien kiwa spokojnie głową, ale nie może z siebie wykrzesać nawet odrobiny motywacji, żeby być gotową na próbę sił z Mengelem. Stały wiele godzin na apelu, jest tak zmęczona i wygłodniała, że najchętniej położyłaby się na chwilę na pryczy. Tylko na chwileczkę. Kiedy Janny nią potrząsa, jej głowa przytakuje bezwiednie niczym złamana główka tulipana na łodyżce.

– Śnił mi się Eberhard.

Lien szepcze to prawie niesłyszalnie, spuszczać oczy. Kobiety wokół nich zaczynają już wybiegać z baraku i Janny patrzy zniecierpliwiona na siostrę. Ta nagle podnosi wzrok.

– Jak się dowiedzą, że Kathinka jest Żydówką, nigdy już nie zobaczę mojej córeczki, Janny. I możesz sobie mówić, że Eberhardowi udało się uciec, ale...

Nagle wybucha gwałtownym szlochem i jeszcze bardziej opuszcza ramiona. Janny ciągnie ją w górę i przysuwa twarz tak blisko jej twarzy, że prawie dotykają się nosami, a ciemne oczy rozjaśniają się, kiedy mówi:

– Dostyc tego! Są bezpieczni. Mamy coś innego na głowie, do cholery! – krzyczy w niemal już wymarłym baraku.

Janny potrząsa siostrą, aż ta poirytowana próbuje się wyrwać z jej uścisku i zaczyna przeklinać. Janny jej nie puszcza, dopóki Lien się nie wkurza, i zaczynają walczyć prawie jak bojowe koguty, zupełnie jak kiedyś; policzki mają czerwone z wysiłku. Wtedy Janny robi krok do tyłu i wypuszcza powietrze z płuc.

– Dobra – mówi. – A teraz na dwór z głową do góry.

Psy ujadają, słysząc szczekliwe rozkazy esesmanów po niemiecku – że mają przechodzić. Szybko, biegiem, bosymi stopami po lodowatym błocie, wiatr smaga ich nieosłonięte ciała. Przerażliwie boją się dogów niemieckich kłapiących na nie czworokątnymi szczękami. Kiedy psy przebiegają obok, piana z ich pysków rozpryskuje się na skórze kobiet.

Ustawić się w rzędach, a potem po kolei na selekcję. Zadowolony Mengele stoi gotowy ze swoim personelem medycznym i kontroluje wzrokiem jakość każdego ciała. Ma na sobie nienaganny jak zawsze mundur, jego twarz jest symetryczna, wygolone skronie znikają pod czapką wojskową, brązowe oczy są pełne oczekiwania, co też przyniesie dzisiejsza selekcja. Zachwycają go zwłaszcza bliźnięta, ale tych już prawie nie znajduje wśród ludzi z dawnych transportów – wyłapuje je natychmiast od razu na rampie. Charakteryzuje go niespotykany zapał do pracy, nawet w dni wolne pojawia się wraz z innymi lekarzami w nadziei na dobry połów. Tu, w Birkenau, może bez ograniczeń kontynuować badania naukowe nad czystością rasy, które prowadził wcześniej na uniwersytecie we Frankfurcie – i wiele innych. Niecałe dziesięć lat temu, mając zaledwie dwadzieścia kilka lat, obronił doktorat na temat *Badania rasowo-morfologiczne zuchwy u czterech grup rasowych*, jednak jego aryjskie fantazje nie znają granic, a w Birkenau zapas królików doświadczalnych jest nieograniczony. Mengele próbuje zmienić ciemny kolor oczu na niebieski i prowadzi eksperymenty polegające na połączeniu krwiobiegu bliźniąt. Kobiety słyszały, że zszywa ze sobą bliźnięta, żyły z żyłami, plecami do siebie, nadgarstki z nadgarstkami. Ale krążą również opowieści, że przynosi im mleko i ciasteczka. Nie wiedzą już zbyt dobrze, w co wierzyć.

– Następna!

Zebrane w jednym miejscu wychudzone kobiety przesuwają się w równym tempie, jak taśma produkcyjna z ludźmi. Przód zostaje poddany inspekcji. Odwrócić się, tył. Odwrócić się z powrotem i czekać na gest. Na lewo oznacza pracę albo blok eksperymentalny, na prawo – komorę gazową. Twarz Mengelego wydaje się miękka, nie napięta, jak u wielu innych esesmanów; doktor chodzi różnym krokiem, kiwa głową to tu, to tam, jego anielskie oblicze to kwintesencja uroku. Rosyjska więźniarka opowiadała, że kazał kiedyś

wrzucić całe ciężarówki dzieci poniżej piątego roku życia do gigantycznej dziury ognia, ponieważ w tym wieku trudno byłoby je umieścić w komorach gazowych. Jakies dziesięć ciężarówek pełnych maluchów podjechało tyłem do jamy, po czym dzieci, jedno po drugim, za rękę lub nogę były wrzucane w płomień przez esesmanów pod jego nadzorem. Dzieci, które płoną, próbowały wydostać się z ognia, były tam z powrotem wpychane za pomocą długich drągów.

– Następna!

Krok do przodu. Są już coraz bliżej. Prawie kolej na Lien. Nie mogą przestać patrzeć na ręce Mengelego, którymi on, jak kontroler lotów, nadaje kierunek.

Na lewo.

Na prawo.

Przechadza się pomiędzy rzędami, przyjaźnie, z plecami prostymi jak świeca, niczym jeździec na koniu. Co kilka sekund wydaje bezgłosny wyrok.

Na lewo.

Na prawo.

Wszyscy w obozie są wychudzeni, ale jeden ma się gorzej niż inny.

Czy to tam pod pępkiem to brzuszek? Na prawo, nie chcemy kobiet w ciąży.

Czy to wysypka? Przygląda się z bliska, podchodzi inny lekarz i razem oglądają nagą dziewczynę. Skinienie: na prawo.

Jakąś kobietę szczypią w ramię, czy jest tam jeszcze trochę tłuszczu, żeby mogła pracować? Na lewo.

Ktoś ma garb. Wzbudza to zainteresowanie Mengelego; postukuje w niego, przesuwa palcami po kręgosłupie tej kobiety, sprawdza potem jej klatkę piersiową, na której żebra wystają niczym konstrukcja kadłuba statku, i kiwa potakująco. Do bloku eksperymentów.

Teraz ty, wyciągnij przed siebie ręce, odwróć się. Masz świerzb, *Krätze*: na lewo, do bloku tych ze świerzbem, *Krätzeblock*. Roztocze świerzbu króluje w obozie, ten pasożyt wierci korytarze pod skórą i składa tam jajeczka, co powoduje piekielne swędzenie, ale od tego się nie umiera. Jak cię doprowadzą do ładu, znów można cię wykorzystać. Dokładnie w ten sposób Anne Frank trafiła do *Krätzeblock* oddzielonego wysokim murem od reszty obozu. Margot

od razu zaczęła udawać, że zasłabła, żeby móc iść z Anne. Od tamtej pory Janny ich nie widziała.

Na lewo.

Na prawo.

Grupa kobiet stopniowo się zmniejsza, masa rozstępuje się jak morze, kiedy Mengele przez nią przechodzi. Dołączyć do szeregu, Janny stoi nieco z tyłu za Lien i cały czas ma ją na oku. Lekarz przechadza się między kobietami, jest coraz bliżej, ocenia i kiwa głową, jest wesoły i pełen zapału, jak zawsze.

Zatrzymuje się przy Lien i zaczyna się śmiać. Janny wstrzymuje oddech. Mengele włożył nonszalancko kciuki za pasek. Mówi do jej siostry. Janny nadstawia uszu.

– *Was hast du gemacht?*^[45]

Rozbawiony, z przekrzywioną głową patrzy na Lien, Janny widzi lukę pomiędzy jego przednimi zębami. Lien nie reaguje. Janny widzi, jak jej ramiona i szyja sztywnieją. Dlaczego ona nic nie mówi?

Mengele pochyła się bardziej ku niej i z uśmiechem wskazuje na jej twarz.

– *Woher hast du den das Veilchen?*^[46]

Lien nie rozumie. Unosi jedno ramię, kręci krótko głową.

Veilchen – fiołek? Ma na myśli kwiat? Co on mówi?

– *Ich habe keine Blumen*^[47] – odpowiada zrozpaczona Lien.

Nagle wszystko staje się dla niej jasne. Bierze się w garść. Janny widzi to po plecach Lien, odprężają się. Broda Lien unosi się i kobieta patrzy bez lęku na doktora.

– *Ach so. Ja, ich hab mich mit einem Mädchen gestritten, und sie hat mir mit einem Holzschuh auf's Auge geschlagen*^[48].

Mengele wybucha śmiechem, klepie ją ręką po gołym tyłku i wskazuje na lewo. Lien może iść.

Janny rozluźnia pięści i czuje, jak paznokcie powoli wychodzą z ciała.

Kobieta za Lien jest kłębkim nerwów, kiedy podchodzi do niej Mengele. Siostry ją znają, pochodzi ze znanej rodziny ramiarzy z Amstelveen. Nie zna w ogóle niemieckiego, więc kiedy Mengele zaczyna do niej mówić, o mało się

nie dusi. Kąciki ust Mengelego opadają, podnosi jedną brew, przyglądając się jej.

– *Und du? Was hast du gemacht?*^[49]

Niezadowolony patrzy na jej brzuch, który nie jest jeszcze tak zapadnięty jak u innych, i czeka na odpowiedź. Kobieta rozgląda się zdesperowana, nie rozumie, czego się od niej oczekuje, aż Mengele wskazuje na jej brzuch.

– *Nein, nein*^[50]... – jąka się i jak szalona kręci głową. – Ja... *ich*... mam... moje małeństwo w domu, dwa latka. – Pokazuje ręką do wysokości kolana i kiwa pytająco głową w stronę doktora w nadziei, że on rozumie. Nie rozumie.

Na prawo.

– Nie!

Wrzeszczy, błaga po niderlandzku, ale Mengele skończył rozmowę i chce iść dalej. Kobieta zaczyna płakać, krzyczy, że to pomyłka, jej gałki oczne nabiegają krwią. Janny zagryza wargi, prawie nie może się powstrzymać. Mengele cofa się i uderza kobietę mocno w głowę. Potem pokazuje strażnikom, żeby ją wyprowadzili.

Kilka sekund później Mengele przechodzi obok Janny i daje jej zielone światło. Rzędy prawie zniknęły, na placu zostało niewiele osób; powinna być zadowolona, ale jest tak wściekła na to, co przed chwilą się stało z Holenderką, że trzęsąc się z wściekłości, chodzi po terenie obozu. Wtedy dostrzega holenderską *Aufseherin*, strażniczkę SS. Niewiele myśląc, podbiega do niej i łapie ją za ramię.

– Ta kobieta nie jest w ciąży i dobrze o tym wiesz! To więźniarka polityczna i nie jest Żydówką. Jeśli zostanie zagazowana, ty będziesz za to osobiście odpowiedzialna.

Janny jest mała, ale syczy kobiecie w twarz, stając na palcach. Potem odwraca się i idzie z powrotem do baraku. Jakimś cudem Holenderka zostaje wyciągnięta sprzed samej komory gazowej i widzą się potem żywe.

MARSYLIANKA

Janny i Lien najbardziej boją się kapo. Ci wyznaczeni przez SS więźniowie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, są rekrutowani raczej spośród przestępców niż wśród nauczycieli i czerpią przyjemność z poniżania współwięźniów. Siostry zastanawiały się już w pierwszym tygodniu, jak ich własna blokowa, zdrowo wyglądająca polska Żydówka o imieniu Rosa, może ich traktować z takim sadyzmem – aż zobaczyły, jak Rosa jest traktowana przez kapo. Gdyby im nie dorównywała, musiałaby zapłacić własną głową. Nie mija wiele czasu, a Lien sama ma do czynienia z gniewem takiej kapo.

Ruth Feldman jest krzepką Holenderką z ich bloku, dawną przełożoną pielęgniarek w Centrale Israelitische Ziekenverpleging. Przybyła razem z nimi w wagonie z Westerbork do Auschwitz, zaraz po przybyciu została wywołana wraz z nimi i wraz z nimi przeszła łaźnię – budynek, w którym tamtej nocy zostały wytatuowane.

Pewnego dnia siostry i Ruth siedzą w sraczu, jak nazywają latryny: długim ceglany budynku z okrągłymi dziurami w podłodze na całej długości, gdzie muszą załatwiać swoje potrzeby. Śmierdzi tu straszliwie i jest brudniej niż w chlewie, ale z tego powodu jest to jedno z niewielu miejsc, gdzie nie przychodzą esesmani, więc można tam spokojnie porozmawiać. Ruth ma rozwolnienie i nie może wstać znad dziury, chociaż Janny i Lien już skończyły. Po krótkim czasie wpada kapo, żeby je wygnąć. Kiedy Ruth nie podnosi się, jest chora i boi się ubrudzić, kobieta się wścieka. Rzuca się na Ruth i próbuje ją wepchnąć przez dziurę na dół, do szamba. Kobiety przenikliwie piszczą i wrzeszczą, kiedy Ruth desperacko próbuje wydostać się z dziury. Niewiele myśląc, Lien zdejmuje drewniany chodak i z całej siły rzuca nim w głowę kapo. Dźwięk jak odkorkowywanej butelki. Kapo puszcza Ruth i krzyk cichnie. Wtedy Lien odwraca się i pędzi przed siebie co sił w nogach, z przeklinającą

kapo, która depta jej po piętach. Kobieta szybko gubi ją na ogromnym terenie obozu i zanim nadchodzą posiłki, Lien rozplywa się w ludzkiej masie.

Kiedy znacznie później Lien wraca do baraku, to zanim siostry się przytulią, Janny robi jej straszną awanturę: obie wiedzą, że gdyby kapo złapała Lien, zabiłaby ją. Jednak ten incydent najprawdopodobniej ratuje im życie, bo kiedy Ruth ponownie je widzi, mówi:

– Zgłaszam się jako pielęgniarka, a wy idziecie ze mną.

Obojętne, jak bardzo naziści starają się całkowicie pozbawić więźniów ich osobowości, oni, gdy są sami w barakach, z uporem robią wszystko, żeby zachować resztki ludzkich cech. Przedrzeźniają oficera SS chodzącego na swoich krótkich nóżkach po terenie obozu kołyszącym się krokiem, jak kaczka, z wysuniętą do przodu dolną szczęką jak u piranii i niewolniczo salutującego, gdy tylko obok przechodzi ktoś wyższy rangą. Plotkują o tej kapo w mięciutkim jak pisklę swetrze z angory, krótkiej spódnicy, wysokich oficerkach i z upiętymi włosami. Janny marzy o utopieniu tego swetra z angory w polskim błocie, tak żeby nie został z niego nawet najmniejszy miękki kłaczek. Jednak większość rozmów w baraku dotyczy jedzenia. Pulpecików i tłuczonych ziemniaków z warzywami z sosem w dołku pośrodku, makaronu al dente z sosem bolognese i kawałeczkami parmezanu, i wyjętych prosto z piekarnika francuskich kotlecików z jagnięciny z miodem i tymiankiem. Czerwonego wina z drewnianych beczek, kawy z palonych ziaren i szklanki świeżej lemoniady cytrynowej z podzwaniającymi o ścianki kostkami lodu. Opowiadają sobie o tym, aż bolesna pustka w ich brzuchu wypełnia się urojonym jedzeniem.

Kiedy robi się zbyt przyjemnie, do środka wpada kapo, żeby zakończyć zabawę.

– *Jetzt wird nicht gefressen, jetzt wird gestorben!*^[51]

A kiedy wychodzi z baraku, idzie za nią chuda kobieta w postrzępionej koszuli, na szeroko rozstawionych nogach, przyjmując taką samą arogancką postawę i siląc się na złośliwe spojrzenie, dzięki czemu obserwujące ją doskonale się bawią na swoich trzypiętrowych pryczach.

Każdy dzień jest walką: o jedzenie i życie, walką o ukradzione rzeczy albo dobre miejsce przy kranie z wodą, gdzie kobiety czasem wytrącają sobie z rąk kubki za jedną jej kroplę, o podarty koc, który po robocie zastają na pryczy;

z powiązanych kawałków materiału kobiety robią sobie majtki chroniące przed przeciągiem wkradającym się im pod koszule. Ale jednocześnie z pomocą resztek waleczności próbują wydobyć się nawzajem z beznadziei. Janny śmieje się z furii Włoszek i podziwia pomysłowość Francuzek. Kawałkiem szkła i połamanym grzebykiem z trzema zębami potrafią modelować swoje ogolone głowy i krzaczaste brwi, rysują ozdobny łuk nad oczami zmoczoną ziemią. Z kokieteryjnym spojrzeniem zawiązują sobie chusteczkę na szyi. Nie jest to próżność, ale *esprit*, jak Janny tłumaczy siostrze nowo poznane słowo, wymawiając je z przesadną artykulacją.

W całej tej brzydocie nie zamilkł także głos Lien. Nuci czasem cichutko Janny kołysanki, które śpiewała dzieciom na dobranoc, albo pieśni jidysz ze swojego repertuaru wykonywanego z Eberhardem. Przenosi je to do czasów w Wysokim Gnieździe, gdy były wystraszone, ale nie umierające – a poza tym byli jeszcze wszyscy razem. Czasem wydaje się, że to w jakimś innym życiu. Jednak kiedy Lien śpiewa, Janny zamyka oczy i widzi siebie idącą w stronę domu, od przystanku tramwajowego przy Ericaweg, po długim dniu, w towarzystwie sokoła pustułki, który unosi się nad nią na czystym błękitnym niebie. Pojawia się las, ścieżka wysypana muszelkami, płótek, czerwone okiennice, ktoś siedzi za stołem jadalnym w pokoju frontowym i macha do niej. Idzie wzdłuż szopy, pozdrawia Japiego pochylonego nad warsztatem, Lien stoi za domem, w ogrodzie przed altanką, z trójką dzieci i śpiewa. Jeśli Janny wyciągnie palce, może ich prawie dotknąć.

Pewnego dnia wygnano je wszystkie z baraku.

– *Läusekontrolle! Alles ausziehen! Raus, raus!*^[52]

Kilkaset kobiet zostawia łachmany w kupkach na podłodze i spieszy nago w październikowe zimno. To nie apel, zostają pozostawione swojemu losowi na terenie obozu, zbierają się w grupki i przysuwają się blisko siebie. Ich bose stopy zapadają się w błoto.

– Żadna tam kontrola zawszawienia – mówi jakaś kobieta w grupce, w której są siostry. – Zdjęcie ubrań oznacza komorę gazową.

Dygoczą. Każda zna opowieści o doktorze Mengelem, który podczas epidemii tyfusu wygonił z baraków kilkuset nagich Romów prosto do komór gazowych. Za efektywne podejście do epidemii dostał nawet medal, „medal

tyfusowy”, jak czasem mówią, chichocząc. Jednak teraz wcale nie jest im do śmiechu.

Niczym Marsjanie stoją, milcząc, na gołym polu pod polskim jesiennym niebem, ich ciała są jak szkielety, wielkie głowy kiwają się na cienkich szyjach. Nagle Francuzka z ich grupy, Michelle, zaczyna śpiewać. Delikatnym sopranem intonuje pierwsze dźwięki piosenki *Chevaliers de la table ronde*, znanej francuskiej pieśni biesiadnej o rycerzach Okrągłego Stołu, której w normalnych warunkach towarzyszą skrzypce, tamburyn i gitara. Mowa jest tam o przyjemności płynącej z degustacji wina i o chęci bycia pogrzebanym w piwnicy na wino, z ustami pod kurkiem beczki, do tego powtarzający się refren: „*Oui, oui, oui; non, non, non*”, który normalnie śpiewają wszyscy obecni, biorąc się pod ręce i kołysząc. Pozostałe patrzą zdumione. Michelle śpiewa niewzruszenie dalej i zamiast prawdziwego tekstu z błyskiem w oku wplata drwiący wers o Hitlerze i tchórzliwych kolaborantach z Vichy, czyli nieokupowanej części Francji, której rząd sympatyzuje z nazistami. Lien dołącza się, gdy tylko łapie melodię, kilka innych kobiet cichutko nuci razem z nimi.

Kiedy wybrzmiewają ostatnie dźwięki, Lien zaczyna śpiewać piosenkę w jidysz. To wesoła melodia z zabawnym tekstem. Coraz więcej kobiet gromadzi się wokół nich, a te, które znają piosenkę, wtórują cichutko. Głos Lien wiruje nad ogolonymi głowami i krąży wokół, jednoczy je, podczas gdy kapo wywracają wszystko do góry nogami w ich baraku. Następnie Lien zaczyna żydowską pieśń partyzancką, *Zog nit kejn mol, az du geist dem lectn weg*^[53] – i niespodziewanie dołącza się do niej kilka Polek. Pieśń powstała niedawno w getcie w Wilnie, ale szybko rozeszła się wśród Żydów z reszty okupowanej Europy. Lien nie zna jeszcze całego tekstu, ale Polki ją uzupełniają. Wkrótce wszystkie kobiety z ich baraku stoją w dużym kręgu wokół nich, nagie i trzęsące się z zimna, z twarzami skierowanymi ku sobie – i śpiewają razem, tak jak potrafią.

Lien nie skończyła jeszcze śpiewać, ale już patrzy na Michelle. Ta nauczyła ją wcześniej słów pieśni *Le chant de la liberation*, hymnu francuskiego ruchu oporu. Michelle kiwa głową i razem zaczynają śpiewać hymn walki. Śpiewają wszystkie Francuzki, ale także kobiety z innych krajów znają tę pieśń z podziemnego Radia Londyn – BBC ustawiła ją jako początkowy sygnał

audycji. Z pewnością, odkąd naziści zakazali *Marsylianki*, pieśń *Le chant de la liberation* zostaje przyjęta jako alternatywny hymn – oczywiście nie w Vichy.

Ami, entends-tu le vol noir des corbeaux sur nos plaines?

Ami, entends-tu le cris sourds du pays qu'on enchaîne?

Ohé partisans, ouvriers et paysans, c'est l'alarme!

Ce soir l'ennemi connaîtra le prix du sang et des larmes.

Przyjacielu, słyszysz ciemny lot, wroni lot, ciemny nad polami?

Przyjacielu, słyszysz krzyk, naszej ziemi niemy krzyk, skutej kajdanami?

Hej, chłopi, robotnicy, partyzanci, bojownicy, czas do broni!

Dziś za krew, dziś za łzy, czas najwyższy przyszedł, by wroga przegonić!^[54]

Pieśń w normalnych warunkach jest śpiewana przy akompaniamencie werbli, w których rytm można dobrze maszerować w miejscu – i tak właśnie robią. Śpiewając cichutko, unoszą równomiernie kolana, ich stopy poruszają się w rytmie słów. Na chwilę zapominają o dymiącym za nimi kominie, o zimnie, o głodzie, o numerze na przedramieniu. Razem tworzą jeden głos i każda bosa stopa uderzająca w rozpryskujące się błoto sprawia, że ich krew płynie nieco szybciej.

Tego dnia nikt nie zostaje wysłany do komory gazowej. Nawet ich blokowa Rosa, zwykle zimna jak stal, jest wzruszona do łez piosenkami w jidysz i wciska Lien dodatkowy kawałek chleba. Wkrótce potem Michelle zostaje pobita na śmierć, a duża grupa Francuzek wywieziona. Jednak kiedy ciężarówka rusza w kierunku komór gazowych, słyszą, jak Francuzki pod plandeką ciężarówki pełną piersią śpiewają zakazaną *Marsyliankę*:

Allons enfants de la Patrie,

Le jour de gloire est arrive!

Contre nous de la tyrannie

L'étendard sanglant est leve.

L'étendard sanglant est leve:

Entendez-vous dans les campagnes

Mugir ces feroces soldats?

Ils viennent jusque dans vos bras

Egorger vos fils, vos campagnes!

I naprzód marsz, Ojczyzny dzieci,

Bo nadszedł chwały naszej dzień.

To tyran przeciw nam zawiesił

Zbroczony krwawo sztandar ten.

Zbroczony krwawo sztandar ten.

Słyszycie z bitew pól niesiony.

Żołnierzy przeokrutnych ryk?

Już idą, wam zaciągnąć stryk,

By zarznąć wasze syny, żony.^[55]

W tym czasie Lien zaczyna chorować. Wszystkie czują się kiepsko przez cały czas, ale dopóki mogą podnieść się z pryczy i dają radę stać podczas apelu i w pracy, przedzierają się przez mgłę po polskich bagnach, dzień po dniu. Kilka z nich próbuje uciec podczas apelu, ale zostają złapane i powieszono na oczach współwięźniarek. Pozostałe muszą potem wracać do pracy. Składają plastik dla samolotów, resztkami sił rozrywają buty i taszcą kamienie z jednego miejsca na drugie wskazane przez kapo. Żadne z tych zajęć nie ma dla nich sensu. Nie zadawać pytań, wzrok wbity w dal, powtarza Janny niczym mantrę, nawet kiedy ból jej zdeptanej kostki rozchodzi się aż do zębów. Jedna z dziewczyn z ich grupy ignoruje tę radę: otwiera usta, narzeka i natychmiast ponosi karę. Klęcząc na kamieniu, musi trzymać cały dzień nad głową głaz; każdy centymetr, o który opuszcza ręce, powoduje uderzenie pejczem w jej chude ciało.

Pewnego ranka Lien już nie ma siły. Jest jeszcze ciemno, gdy zostają wezwane na apel, czwarta albo piąta, i nie mogą się spóźnić. Ale jej jest już wszystko jedno. Podniesienie powiek przekracza jej możliwości, nie mówiąc o zsunięciu nóg na brzeg pryczy i utrzymaniu prosto tego słabego ciała. To już lepiej umrzeć. Jest rozpalona jak piec, a energia opuszcza jej ciało tak szybko, że Janny zdaje sobie sprawę, że musi interweniować. Dziewczynka w ich baraku ma szkarlatynę, zaraźliwą infekcję bakteryjną gardła przenoszoną drogą kropelkową podczas kasłania. Dotarło to do nich dopiero, gdy dziecko pokryte już było czerwonymi plamami – jej język, twarz, całe ciało – i mogła zarazić połowę baraku. Janny z oporami prowadzi siostrę do *Krankenblock*, obozowego szpitala, i zostawia ją tam z ciężkim sercem. Po raz pierwszy się rozdzielają.

W kolejnych dniach Janny skrada się niczym drapieźnik wokół baraku dla chorych. Jest niespokojna i uważnie obserwuje lekarzy i pielęgniarki. Mowę ich ciała, szepty, rozmowy ludzi opuszczających barak: we wszystkim szuka wskazówek. Lekarze SS także w barakach dla chorych wyszukują najsłabszych do selekcji – ale kiedy? Lien śpi i śpi i nikt nie wie, co jej jest. Gorączka wysysa resztki energii z jej ciała i Lien już nic nie mówi. Kilkadziesiąt metrów dalej Janny w nocy nie może zmrużyć oka i myśli tylko o słowach matki wypowiedzianych tego ostatniego wieczoru przed transportem, skierowanych do całej piątki w Westerbork: Zróbcie wszystko, żeby was nie rozdzielono!

Trzeciego dnia interweniuje. Podchodzi do wejścia baraku dla chorych i zagaduje do lekarki z Czech. Kobieta wysłuchuje jej, kiwa głową i wchodzi do środka. Zatrzymuje się przy łóżku Lien.

– *Komm*^[56], wstawaj. Twoja siostra stoi na dworze.

Lien otwiera oczy, wzdycha i znów je zamyka. Potrząsa delikatnie głową.

– Nie mogę. Jestem chora.

Kobieta bierze ją za bark, ciągnie za materiał koszuli i nalega.

– Chodź, nie odejdziesz, dopóki ze mną nie przyjdiesz.

Kobieta stoi przy jej łóżku tak długo, aż Lien w końcu zsuwa na jego brzeg patykowate nogi i wstaje na tyle, by lekarka mogła ją podnieść, chwytając pod pachy. Przy wejściu oddaje ją Janny, a ta kiwa z wdzięcznością głową. Jej siostra nie czuje się lepiej, ale gorączka spadła.

– Gdybyś mnie stamtąd nie wyciągnęła, wysłaliby mnie do gazu – mówi kilka dni później Lien do siostry, słaba, ale już nie chora.

Słyszały, że znów zbliża się selekcja. Janny wzrusza ramionami. Jeśli nie będą się o siebie troszczyć, wszystko się skończy.

Na tle mocnego światła reflektora ten człowiek jest widoczny tylko jako sylwetka, ale to bezspornie on. Z rękoma założonymi na plecach, lekko uniesionymi kącikami ust, energiczny jak zawsze, stoi przed tłumem niczym dyrygent przed chórem. W napięciu czekają na następny gest jego ręki. Obok niego długi stół z kolegami esesmanami, pióro i papier w gotowości. Waga oddziela kobiety od stołu. Sala jest wypełniona po brzegi, mają przed sobą dziś wielką pracę do wykonania.

Mengele kiwa głową i następna kobieta robi krok do przodu. Jest naga i łysa. Wystające żebra tworzą dwuspadowy dach nad zapadniętym pępkiem, dwa skrawki skóry tworzą wspomnienie po piersiach. Na jej plecach kręgi niczym łańcuch z koralu. Tak jak u tej za nią, i za następną. Na wagę. Prawie nie może ustać, kolana zderzają się ze sobą. Ręka Mengelego.

Na prawo. Wypisać.

Następna.

Ta kobieta jest kopią poprzedniczki, ale wydaje się mieć nieco więcej sprężystości w kończynach. Minimalna różnica.

Mengele wskazuje.

Na lewo.

Następna.

Grupa po prawej szybko się powiększa. Za stara. Za chora.

– Mam dwadzieścia dziewięć lat – woła kobieta do Mengelego. – I jeszcze nigdy nie miałam biegunki!

On nie mrugnie nawet okiem.

– Na prawo!

Jego głos rozbrzmiewa w pomieszczeniu. Niewzruszony, jakby rozdzielał drużyny sportowe w sali gimnastycznej.

Następna.

Edith Frank występuje do przodu.

Mengele natychmiast pokazuje gestem.

Na prawo.

Nurkuje pod reflektorem i szybko się odwraca; teraz nadchodzi najważniejsze.

– Następna!

Anne i Margot występują do przodu. Ciało Anne pokryte jest strupami po świerzbie. Niedawno wypisano ją z baraku chorych; Margot była przy niej przez cały czas. W świetle reflektora wychodzą razem przed stół selekcji. Margot szturcha swoją siostrę i Anne prostuje plecy.

– Na lewo!

Pióro skrzypi na papierze. Dziewczynki znikają po drugiej stronie pod metalową lampą, w ciemności. Edith łapie ustami powietrze.

– Dzieci! O Boże... dzieci! – krzyczy za nimi, ale już ich nie ma.

Jest 30 października 1944 roku. Właśnie zakończyła się ostatnia selekcja w Auschwitz-Birkenau.

OBÓZ GWIAZDY

Kawał chleba, kawałek kielbasy i pasek twardego sera. Przechodzić, na następny peron.

– *Dalli, dalli!*^[57]

Psy, pejcze, krzyk. Już to znają. Szybko dalej. Podstawione wagony bydłece, jak w Westerbork.

– *Schneller! Hier rein!*^[58]

Do góry, do środka, znany zapach. To nic straszego, na szczęście opuszczają Auschwitz, a przynajmniej na to wygląda. Jeszcze więcej ludzi, przesuwiają się. Siostry ściskają się za ręce, nie puszczać. Znane już uczucie, kiedy obce osoby przyciskają się do nich. Tylko ciała stały się bardziej kanciaste. Drzwi się zamykają, w ostatniej chwili pomiędzy nogami stojących zostaje wsuniętych do środka kilka garnków z wodą, głucho uderzenie i kurtyna opada. Czarno jak smoła. Mruganie powiekami, ale nie ma różnicy, czy są otwarte czy zamknięte. Oddech Lientje obok Janny. Lekki, przyspieszony. Nie może dostrzec jej twarzy, ale wie na pewno, że oczy Lien skierowane są na nią. Obie patrzą na siebie, ale się nie widzą.

– Wyjeżdżamy stąd – szepcze Janny i wie, że jej siostra potakuje głową.

Mają wrażenie, że się cofają. Cofają się w czasie, cofają w przestrzeni, wracają do Holandii. Dźwięk mknących po torach kół, rytm złączeń pod ich stopami pokonuje czas. Liczą każde stuknięcie, aż robi im się niedobrze, aż minuty znów stają się tak wieloma godzinami, że muszą używać starych sztuczek, żeby się nie załamać. Trzymać się jak najbliżej drzwi, łapać powietrze przy szparze. Stać przy bocznych ścianach, gdzie jest się trochę chronionym. Drzemać, opierając się o siebie plecami. Jednak nie jest tak samo. Są o wiele słabsze niż wtedy. Nie mają już nawet siły na zachowywanie pozorów ogłady; każdy myśli tylko o sobie.

Ciągle się zatrzymują, jadą krótkie odcinki i wtedy znów rozbrzmiewa alarm przeciwlotniczy. Najpierw dźwięk odpalanego motoroweru, po nim długi rozpęd syreny, coraz wyższy, aż chór syren ze wszystkich kierunków zagłusza bicie ich serc. Ostrzał, głośnie wybuchy, strażnicy zeskakują z pociągu i szukają osłony, podczas kiedy one zeszywniałe ze strachu zostają w stojących wagonach i zadają sobie pytanie, co się tam na zewnątrz na miłość boską dzieje. Mają wrażenie, że w każdej chwili może im spaść na głowę bomba. Radość z powodu posuwających się do przodu aliantów zniknęła.

Dzień. Noc. Pierwsi ludzie umierają i leżą pomiędzy ich nogami. Koce szybko znikają z ciał. Postój, drzwi się otwierają, kawałek chleba i trochę wody, drzwi się zamykają. Powietrze w wagonie jest gęste i ciężkie, ich oddechy stają się krótkie, mięśnie wiotczeją, a w głowach łomocze. Przyciskają twarze do ścian, usta do szpar, żeby złapać trochę tlenu. Zimno, jest tak bardzo zimno, ale nawet zimno nie wypędza smrodu. Słyszą dudnienie kół po torze. Nie wiedzą, dokąd jadą, ale dopóki słyszą ten dźwięk, wiedzą, że żyją.

Dzień. Noc. Mogą na chwilę wysiąść. Horyzont, łąki, drzewa przy rowie; wszystko jest ciemne, szare i mokre, ale jest cudownie. Ktoś mówi, że są w Niemczech, a więc naprawdę jadą z powrotem. Do środka, szybko, tylko nie puścić swoich dłoni. Wsiadają jako ostatnie, żeby stać blisko drzwi, przy szczelinach z powietrzem. Z tyłu w wagonie, na brudnej podłodze, znajome twarze, oczy szeroko otwarte, nieruchoma dolna szczeka. Zamknięcie drzwi i stalowego rygła, ciemność. Znów z mozołem idą w ruch tłoki.

Hałas na zewnątrz, stoją. Pisk kół pociągów naokoło nich, ostre dźwięki gwizdka, rozmowy po niemiecku pod ich drzwiami, śmiech. Zachrypnięty szept z ciemnego kąta.

– Według mnie to Ravensbrück.

Obóz kobiecy niedaleko Berlina? Opowieści o dzieciach wrzucanych żywcem w ogień, niemowlętach pozostawionych w pustych pomieszczeniach. Janny i Lien drżą i obejmują się, ich palce kurczowo zaciskają się wokół patykowatych ramion, brudne derki na ramionach. Wstrząs, przesuwiają się kawałek, pociąg znów rusza.

Dzień. Noc. Niczym zdychające ryby łapią ustami powietrze. Kto jeszcze żyje, przyciska się do ścian wagonu i drapie paznokciami drewno. Nie myślały, że pozostało w nich coś jeszcze, co można im odebrać, ale to było złudzenie.

Ojciec, matka, Jaap: czasem siostry zamykają powieki i wydaje im się, że widzą ich żywych siedzących obok. Mogą ich prawie dotknąć. Jednak gdy wyciągają ręce w ich kierunku, dotykają kogoś obcego. Fuknięcie, pacnięcie. Gdzie są ich najbliżsi? Zostali w Auschwitz? Ich policzki płoną od gorączki, ale ciała są zmarznięte, w ich głowach straszą obrazy. Nie ma ich rodziny, nie ma ich najbliższych, kobiet i dziewczyn, z którymi były w Auschwitz, nie ma. Wagon kołysze się na każdej zwrotnicy, jakaś kobieta na nie upada, spychają ją z siebie. Od wielu godzin już się nie rozmawia, może nigdy się nie rozmawiało, może nawet nie mają głosu. Nikt nie wie, kto jest jeszcze przytomny, a kto już nie. Nawet smród już nie przeszkadza. Uszczypnięcie w palec, jesteś jeszcze? Uszczypnięcie w odpowiedzi.

I wtedy pociąg się zatrzymuje.

Czy jest coś przyjemniejszego niż zapach sosen jesienią? Przez włoski w nosie prosto do mózgu, szeleszczący i świeży, jak początek nowego dnia. Łóżka posłane, bawełna sztywno naciągnięta w nogach łóżka, pierwsze lodowe kwiaty rysują się już na oknach. Na dół i przez drzwi kuchenne na dwór, chmurki oddechu, powietrze jak zamrożone żelazo na policzkach, ale jeszcze nie tak śmiertelnie zimne, jak w następnych miesiącach. Spacer z Bobem po wrzosowisku, trzymając się za ręce. Jak daleko sięgnąć wzrokiem, krajobraz pagórkowaty z zaroślami pod warstwą puchowej mgły, jakby szli przez chmury w niebie. Nawet nie musi stawiać stóp, wszystko dzieje się samo. Unoszą się nad kulkami z waty. Przed nimi przesuwają się jakaś inna para. A przed nią jeszcze kolejna i następna. Niekończący się szereg pochyłonych do przodu postaci, przemieszczających się po wrzosowisku i znikających na fioletowym horyzoncie. Kredowe słońce zaczyna się rozmywać za ciemną warstwą chmur i zaraz potem Janny czuje na policzku pierwszą kroplę. Patrzy w górę. Niebo zamyka się nad nimi, zaciąga brezent z cienia nad wrzosowiskiem. Muszą wracać do Wysokiego Gniazda, zanim się zacznie. Janny odwraca się, ktoś się z nią zderza. Szereg za nimi też jest nieskończenie długi. Bob szarpie ją za rękę, ciągnie do przodu.

– Janny, chodź!

Lien syczy do siostry, ciągnie ją za ramię.

Idą dalej, potykają się od czasu do czasu o korzenie drzew, o kamień. Nie mają czucia w stopach, trzeba podnosić je wyżej. Nie ma unoszących się chmur. Janny już wie, gdzie są. Stacja Celle, Niemcy. Tam zostały wypędzone z wagonów, ledwo stoją na nogach.

– *Raus!*^[59]

Musiały wynieść zwłoki z wagonu, ale już nie dawały rady. Ich ręce szarpały i ciągnęły, jakby były oddzielone od ciał. Położyć na peronie, ciężkie i kredowoblade, stopy rozchylone na zewnątrz. Iść dalej, popędzane przez psy i strażników.

Jeszcze ciaśniej otulają się derkami, ale zimno kąsa ich gołe łydki. Zaczyna padać. Wiatr się wzmacnia, ale leśne powietrze nadal jest wspaniałe. Płuca, serce, iść.

Kiedy na początku wędrówki szły przez miasteczko, ich krew zaczynała szybciej krążyć, głowy prostowały się w górę. Zamieszkały świat. Normalni ludzie. Strażnicy i psy utworzyli szpaler między pochodem potykających się szkieletów a mieszkańcami. W przerwach tego szpalera pełne nadziei szukały ich twarze, ich oczu, ulica po ulicy, kilometr po kilometrze. Mężczyzna, kobieta, piekarz, masarz, grupka dzieci, starsze małżeństwo. Jednak kiedy trafiały na ich spojrzenie, ludzie spuszczały oczy. Mijali ich, zdążając w przeciwnym kierunku, na rowerze, na wozie, omijali ich łukiem i zachowywali się, jakby ich nie widzieli. Przechodnie po obu stronach stawali na poboczu i gapili się na nie. Nikt nic nie mówił.

Brną dalej, ile jeszcze kilometrów? Celle pozostawiły za sobą wiele godzin temu. Leśna ścieżka, którą idą, wychodzi na kawałek wrzosowiska. Idą teraz bez osłony. Deszcz smaga ich policzki, biegnie strużką po karku, pozostaje we wgłębieniach za kośćmi obojczykowymi. Porywy wiatru przyspieszają na otwartej przestrzeni, biorą rozbieg i próbują je przewrócić, ktoś upada. Nie zatrzymywać się. Kolana w górę i przejść nad nią. Kto wypadnie z rytmu, już po nim. Krople zmieniają się w kulki gradowe, wiatr wzmacnia się, przechodzi w wichurę. Nawałnica. Rozkazy są prawie niesłyszalne, taki hałas. Ich ciała pochylają się mocno do przodu. Drut kolczasty. Teren obozu.

Bergen-Belsen.

Siostry patrzą na siebie, łapią się za ręce i oddychają głęboko, lśniący grad toczy się od granicy ich włosów przez kąciaki oczu po policzkach. Ktoś to już powiedział, kiedy przybyły na stację Celle, ale nie śmiały w to wierzyć. To naprawdę to. To dobrze. Bergen-Belsen jest dobre. Tu nie ma komór gazowych. To po prostu obóz.

Zostają pozostawione same sobie, niczym zwierzęta na ogrodzonym drutem pastwisku. Żadnego apelu, żadnych szeregów, żadnej pracy, żadnego krzyku. Tylko zamglony, pusty teren pełen szarych sylwetek w deszczu, namiotów i szop, jak wzrokiem sięgnąć. Janny i Lien osuwają się wycieńczone na położoną wyżej górę piasku i przesuwają się blisko siebie, podciągają aż pod nos przemoczone koce. Wydaje się, jakby były pod ziemią, wszędzie dym i para, ludzie siedzą w kucki, kulą się, chodzą pochyleni, jak gdyby wisiał nad nimi niski sufit. Mija ich jakiś otumaniony nastolatek, nie ma na sobie nic poza pasiastą koszulą, nogi wystają jak tyczki spod materiału. Leżąca na ziemi więźniarka łapie za rękę przechodzącego strażnika i przyciska do niej usta, nie puszcza go, aż ten odpycha ją, uderzając ręką w czoło, a ona upada tyłem w błoto. Ktoś miesza w garnku nad ogniskiem, jakaś kobieta stoi pochylona do przodu z gołym tułowiem, kiedy inna wylewa wiadro lodowatej wody na jej włosy. Chmura pary strzela w górę jak spiczasty płomień.

Kulą się pod kocami. Głodu już nie czują, pustka jest jak blok cementu tkwiący w ich żołądkach od miesięcy. Ale to zimno w ich kościach, zimno, które zamieniło ich skórę w różowy papier ścierny i ściska ich szczęki, do zimna nie mogą się przyzwyczaić. W deszczu zbliża się jakiś nieokreślony kształt. Dwie łyse głowy wystają z niego jak zamrożone ptaki. Patrzą na siebie. Fala ciepła i szczęki się rozluźniają. Okrzyk radości ginie w porywie wiatru. Potem zrzucają koce i cała czwórka z płaczem pada sobie w objęcia. To Anne i Margot.

Znajdujące się na niemieckim wrzosowisku Bergen-Belsen nigdy nie było pomyślane jako obóz koncentracyjny, ale jako obóz dla jeńców wojennych, między innymi dla dużej liczby rosyjskich wojskowych. Z biegiem wojny poszerzyło się o teren trzydziestu kilometrów kwadratowych, z różnymi podobozami. Z powodu złych warunków i wielu chorób zakaźnych większość żołnierzy szybko zmarła. Choroby takie jak czerwonka i tyfus plamisty są

przekazywane z sąsiada na sąsiada i przenoszone dalej przez wszy i roztocza. Gdy ktoś zachorował, życie dosłownie uchodziło z niego wszystkimi otworami w ciele, aż prawie wszystkie wrogi mundury znikają bez konieczności oddania choćby jednego strzału.

Dopiero rok przed przybyciem sióstr, w 1943 roku, dowództwo przejęło SS i Bergen-Belsen stało się także obozem przejściowym dla Żydów. Plan był taki, żeby wymieniać tych ludzi na niemieckich jeńców wojennych w innych krajach. Wybrani Żydzi znajdują się na tak zwanej liście palestyńskiej i są umieszczani w *Sternlager*, Obozie Gwiazdy. Obowiązkowo noszą na ubraniu żółtą gwiazdę. Z wymiany więźniów niewiele wychodzi, ale uwięzione tutaj osoby nie wykonują zwykle pracy przymusowej i nie noszą więziennych ubrań – poza tym nie ma komór gazowych. Dlatego po Europie szybko rozchodzi się plotka, że to jest jedno z lepszych miejsc.

Ten mit w ciągu kilku miesięcy przestaje odpowiadać rzeczywistości. Wiosną 1944 roku Niemcy postanawiają zabrać z gett tysiące polskich i węgierskich kobiet, a poza tym z innych obozów koncentracyjnych wszystkich chorych, ale nieumierających Żydów i przenieść do Bergen-Belsen, żeby „wrócili do zdrowia”. W tym celu dodano nowe kwatery: *Zeltlager*, obóz namiotowy, w wielkich namiotach cyrkowych, mogący pomieścić kilka tysięcy kobiet. Nie ma tu jednak żadnej opieki medycznej, żadnych urządzeń sanitarnych, żadnego dodatkowego zaopatrzenia w wodę czy jedzenie ani żadnej formy organizacji, by je przyjąć, nie mówiąc o warunkach do powrotu do zdrowia.

Późnym latem 1944 roku, kiedy na Pustaci Lüneburskiej dopiero co wyrosły namioty, dochodzi do logistycznej katastrofy. Przepełnione pociągi zrzucają ładunek na stacji Celle, szesnaście kilometrów dalej, i codziennie pod bramami obozu pojawia się armia wycieńczonych więźniów. Mężczyźni, kobiety, dzieci; skala napływu jest nie do przewidzenia. SS nakazuje więźniom w szybkim tempie wybudować na placu apelowym Obozu Gwiazdy dodatkowe baraki dla nowych transportów chorych, które mają przybyć z Birkenau: jakichś trzech tysięcy kobiet. Transport, którym przybywają siostry, miał być także tam umieszczony, ale baraków nie ukończono na czas.

Namioty są tymczasem wypełnione po sufit dogorywającymi ludźmi – czasem prawie po tysiąc osób w namiocie – i do czasu, kiedy Janny, Lien, Anne i Margot przybywają tam na początku listopada, liczba mieszkańców obozu

Bergen-Belsen się podwaja. Największa fala ma jeszcze nadejść. Z powodu nadciągającej Armii Czerwonej w kolejnych miesiącach będzie ewakuowanych coraz więcej obozów koncentracyjnych. Janny, Lien, Margot i Anne, które obejmuje pierwsza faza tej masowej ewakuacji, mają jeszcze to szczęście, że podróżują w bydłych wagonach. Na przełomie roku Niemcy w obawie przed nadciągającym frontem pędzą setki tysięcy ledwie mogących ustać na nogach mężczyzn, kobiet i dzieci w niekończących się marszach śmierci. Przewracają się oni po drodze jak kostki domina, z wycieńczenia, zimna albo dlatego że strażnicy na miejscu przeprowadzają egzekucje. Tylko nieliczni szczęśliwcy docierają do Bergen-Belsen.

Zimą na przełomie 1944 i 1945 roku obóz nawiedza prawdziwa katastrofa z powodu chorób i chaosu, z którymi nikt już nie umie sobie poradzić. W ciągu kilku miesięcy umierają tysiące więźniów, a ich ciała tworzą prawdziwe wały na obrzeżach obozu.

6

BURZA

Namioty są przepełnione, wszystkie drewniane prycze do spania zajęte do trzeciego piętra. Dlatego w pierwszych dniach leżą we cztery na podłodze blisko siebie, na odrobinie słomy. Janny i Lien biorą pod opiekę o ponad dekadę młodsze od nich siostry Frank, dbają, by myły się codziennie pod kranem na terenie obozu, także wtedy, gdy świszczy lodowaty wiatr i odczuwają wielki opór przed zdjęciem z siebie koców i cieniutkich sukienek. Być czystym, jeść, być razem. Kiedy odnalazły dziewczynki na górze piasku, ich radość była nie do opisania. Przebyły już tak daleką drogę, z Holandii do Polski, a potem do Niemiec, i już utraciły tylu ludzi, odkąd przybyły do Westerbork. Przepytyują się wzajemnie, kogo widziały podczas transportu i w którym wagonie były. A gdzie była ich matka Edith?

– Wyselekcjonowana – mówi po prostu Anne.

Są śmiertelnie zmęczone i dużo śpią, chociaż także tutaj wszy prawie uciekają z ich kocami. Robactwo jest wszędzie; wszy odzieżowe, wszy głowowe, wszy łonowe. Czasem Janny gapi się zafascynowana na ogoloną czaszkę jakiejś więźniarki i wydaje się jej, jakby skóra się poruszała. Kiedy myśli, że już naprawdę straciła rozum, widzi wyglądającą jak hełm warstwę żywych wszy pełzających po głowie ich nosicielki.

W ciągu dnia pracują w zakurzonej baraku, gdzie gołymi rękami muszą odrywać podeszwy od starych skórzanych butów. W zamian dostają trochę wodnistej zupy i kawałek chleba. To ciężka praca i ich paznokcie i koniuszki palców zamieniają się szybko w krwawe kikuty. Wokół nich ludzie umierają z powodu zatrucia krwi. Anne i Lien odpadają. Margot i Janny wytrzymują dłużej.

Znowu zaczyna padać. Najpierw delikatnie, nieco niewinnego bębnienia w płótno namiotu, ale szybko deszcz zmienia się w dziką kaskadę wodospadów

lejących się na płótno. Wiatr wyje, a łopoczące pokrycia namiotów strzelają niczym uderzenia pejcem. Podłoga robi się mokra, słoma przesiąka, koce ociekają wodą. W nocy 7 listopada rozpętuje się prawdziwa nawałnica.

Pod wieczór, kiedy każda z nich znów musi znaleźć miejsce do spania, Anne i Margot stoją na dworze w deszczu i się kłócą. Namioty są pełne chorych i zdezorientowanych kobiet. Wejście do namiotu i wyjście na dwór to dramat, jakby wszyscy wchodzący na stadion musieli przejść jednocześnie przez to samo wejście. Gdy się już jest w środku, nie można tak łatwo wyjść aż do następnego ranka: w namiocie jest ciemno i leży tu kilkaset kobiet jedna na drugiej. Wyjście na chwilę na siusiu nie wchodzi w grę, chociaż i tak latryny – w zasadzie zwykle otwarte doły pełne płynnych odchodów – są tak obrzydliwe, że nie chce się tam być po ciemku. Tak jak przy wejściu na stadion, każdy stosuje własną taktykę: niektórzy stoją zawsze z przodu, bo chcą mieć najlepsze miejsca; inni zdają się na los. Strategia Janny i Lien jest zawsze taka sama: patrzą z pewnej odległości, jak ludzie walczą i napierają na siebie, i dopiero kiedy tłum się ułoży, wchodzi jako ostatnie do namiotu i spokojnie szukają miejsca. Jednak tego wieczoru siostry Frank nie chcą na nie czekać: pogoda jest tak zła, że starają się jak najszybciej znaleźć w środku.

Janny i Lien czekają na zimnie, patrząc, jak jedna po drugiej pochylone postacie znikają pomiędzy płachtami namiotu – szeregi wydają się nie mieć końca. Dopiero kiedy znika ostatnia osoba, wślizgują się do środka. Namiot jest bardziej wypełniony niż kiedykolwiek – nadal każdego dnia przychodzą transporty z ludźmi – i muszą wspinać się pod sam sufit, żeby znaleźć miejsce.

Jest ciemno i normalny hałas kaszlących, stękających, kłócących się kobiet jest tego wieczoru zagłuszany przez burzę i deszcz. Można odnieść wrażenie, jakby cały teren obozu trząsł się w posadach. Nagłe podmuchy wiatru krążą wokół namiotu, ciągną i pchają boczne ściany, grad wali w dach. Woda płynie już przez przemoczony materiał, po ich twarzach, po ziemi. Płachta namiotu w niektórych miejscach groźnie opada, prawie mogą jej dotknąć palcami. Janny i Lien przysuwają się do siebie. Kiedy zaczynają walić pioruny, w środku robi się zupełnie cicho. Błyski światła strzelają po namiocie i oświetlają twarze zniekształcone strachem. Grzmot bierze dudniący rozpęd i wybucha potem z tak głośnym hukiem prosto nad nimi, że oczekują, że ziemia pod nimi się rozstąpi i znikną w głębi wraz z namiotem i ze wszystkim. Zesztywniałe leżą na pryczy.

Nagle wrzask, piekielny rozgardiasz, dźwięk rozdieranego materiału i rozłupywanego drewna, prycze pod nimi zapadają się, mocne uderzenie w głowę i mają uczucie, jakby wpadły pod wodę. Nie mogą oddychać, wszystko jest czarne, stłumione głosy dochodzą jakby z daleka. Podpory nie wytrzymały, płótno zostało rozdarte i cały namiot się zapadł, z kilkuset kobietami w środku.

Nieprzeniknione ciemności, wymachujące ręce, kopnięcie w szczękę, poderwanie w górę, upadek w dół, wydobyć się spod brezentu, tlen. Deszcz tłucze ją po głowie, łyk powietrza i Janny wydostaje się. Gdzie jest Lien? Tutaj, jestem tutaj. Byle tylko wyjść, szybko, po głowach i ciałach, czołgać się, spod płótna namiotowego wydobywają się krzyki i jęki, kobiety zupełnie nic nie widzą. Udaje im się wydostać na otwarty teren, całe się trzęsą, szczękają zębami. Wszędzie leżą ranne, przewróciło się więcej namiotów; tam gdzie wcześniej wznosiły się ich czarne sylwety, nie ma teraz nic. Martwe ciała w błocie. Brezent na ziemi porusza się tam i z powrotem niczym chiński smok, kiedy setki kobiet na czworakach próbują się spod niego wydostać. Janny i Lien miały szczęście: ponieważ leżały na samej górze, nie zostały przygniecione przez inne i mogły wydostać się z namiotu przez dziurę w brezencie.

W końcu przybiegają esesmani. Ich wrzaski giną w odgłosach burzy, kobiety widzą tylko szeroko otwierające się usta. Każda, której udało się uratować, jest gnana do namiotu kuchennego. Tam stoją, drżąc, stłoczone, aż wiele godzin później pierwsze niewyraźne promienie słońca odsłonią skalę spustoszenia.

Teren jest usiany gruzem, drewnem, ubraniami, ludźmi. Zdezorientowane ranne kobiety chodzą, jęcząc; nie zauważyły w ciemnościach, że mogą się schronić w namiocie kuchennym. Cały *Zeltlager* zniknął z mapy. Nie ma dodatkowej wody ani jedzenia, żadnej pomocy medycznej. Z namiotu kuchennego zostają przeniesione do baraku, gdzie pracuje się przy butach, i tam odnajdują Anne i Margot. Dziewczynki trzęsą się z zimna, ale są całe. Przytulają się i patrzą na bałagan wokół: stoły pełne porozrywanych butów i stosy szmat, gruba warstwa brudu przykrywa podłogę. Nikt już nie wierzy, że przeniesienie do Bergen-Belsen jest dla nich ratunkiem.

Te, które przeżyły burzową noc, zostają ulokowane w małym obozie dla kobiet przylegającym do Obozu Gwiazdy. Strażnicy robią szerokie ogrodzenie z drutu kolczastego, wypełnione belami słomy, żeby oddzielić je od kobiet z tamtego

obożu; już samo zbliżenie się do ogrodzenia i rozmowa z kimś po drugiej stronie jest surowo karana, nie mówiąc o przerzucaniu rzeczy czy jedzenia. W razie przyłapania grozi spędzenie dnia na mrozie z kamieniem trzymanym nad głową lub kula. Jednak ludzie ryzykują; więźniarki w Obozie Gwiazdy mają lepiej, więc niektórzy gotowi są zaryzykować życie dla ciepłego swetra albo puszki z jedzeniem.

W ich nowym obozie jest tylko kilka baraków, niektóre kobiety są więc umieszczane w innych częściach, ale przychodzą ciągle nowe transporty i po prostu nie ma miejsca dla wszystkich. Wieczorami trzeba szukać gdzieś skrawka do spania, ci, którzy nie znajdą na czas pryczy, są rozstrzeliwani. W tym całym chaosie Janny i Lien na kilka dni tracą z oczu siostry Frank.

Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. W Birkenau najsłabsi byli wyłapywani, kiedy zaczynali podupadać na zdrowiu, a one zawsze pozostawały z silniejszymi. Tutaj przychodzi im być świadkami tego podupadania, każdego małego kroku w tym procesie, do momentu aż jakaś kobieta wyda ostatnie tchnienie, leżąc obok którejś z nich. Małe krematorium huczy i wypływa czarne kłęby dymu, ale to nie wystarczy. Każdej nocy na tym ogromnym obozowym terenie gasną setki istnień, a każdego ranka za barakami rosą sterty ciał. Codziennie przy bramie pojawiają się duże grupy nowych więźniów, jednak społeczność obozowa nie rośnie tak szybko, jak by sugerowała liczba nowo przybywających. Racje żywnościowe robią się mniejsze, czysta woda jest rzadkością, a otwarte doły pełne odchodów, z których codziennie korzystają wspólnie dziesiątki tysięcy więźniów, są ogniskami infekcji: tyfusu, gruźlicy, czerwonki. Ktoś, z kim rozmawiało się jeszcze wieczorem, leży następnego ranka na stosie trupów za barakiem. Do tego nie można przywyknąć. Jedna rzecz staje się szybko jasna: ten, kto jest sam, nie ma cienia szansy. Janny i Lien idą szukać znajomych, żeby utworzyć grupkę, i odnajdują Anne i Margot. Od tej chwili jako kobiety z Holandii starają się być blisko.

W baraku są trzy holenderskie pary sióstr: Janny i Lien Brilleslijper, Anne i Margot Frank, Annelore i Ellen Daniel. Z jednego z późniejszych transportów dołączają do nich jeszcze Sonja Lopes Cardozo i pani Auguste van Pels. Sonja ma dopiero dziewiętnaście lat i przebyła tę samą drogę co siostry Frank i Brilleslijper: złapana podczas ukrywania się trafiła do Westerbork i stamtąd do Auschwitz, gdzie zostawiła rodziców i o rok starszego brata Matthieu. Nie wie,

czy jeszcze żyją. Jej rodzice to Greetje van Amstel i Lodewijk Lopes Cardozo z ulicy Kerkstraat w Amsterdamie, znajomi Janny i Lien sprzed wojny. Sonja jest pogodną i mądrą dziewczyną, którą wszystkie bardzo polubiły. Nigdy nie marudzi i cały czas próbuje nie tracić odwagi; wycina laleczki z kawałków chleba i daje je innym, co wywołuje uśmiech na ich zapadniętych twarzach. Auguste van Pels ukrywała się wspólnie z siostrami Frank na poddaszu i jest najstarsza z grupy: ma już ponad czterdzieści lat. Niektórzy myślą, że jest matką Anne i Margot, ponieważ są ze sobą tak blisko. W tym samym baraku jest jeszcze Rachel van Amerongen-Frankfoorder, Żydówka ze środowiska socjalistycznego, która oprócz pracy w domu towarowym de Bijenkorf wykonywała nielegalną pracę dla ruchu oporu. Ona także była w tym samym okresie co rodzina Brilleslijperów i rodzina Frank w obozie Westerbork, a następnie trafiła do Auschwitz.

Kobiety się wspierają, dodają sobie odwagi i kombinują, gdzie tylko się da, jak zdobyć coś do jedzenia, i potem się ze sobą dzielą. Zawsze któraś stoi na czatach, żeby zobaczyć, czy kuchnia właśnie nie wydaje posiłku; jeśli nie jest się jedną z pierwszych, szansa dostania czegoś tego dnia przepada.

Anne i Margot dzielą ze sobą pryczę pod Janny i Lien, i próbują razem wypełniać puste godziny, opowiadając sobie najróżniejsze historie. Opowieści dla dzieci, bajki, dowcipy, wspomnienia o Amsterdamie i oczywiście niekończące się rozmowy o jedzeniu. Niektóre kobiety w baraku uważają, że to straszne, kiedy mówi się o jedzeniu; robi im się niedobrze i wychodzą, przeklinając. Ale nie te cztery siostry. Niczym wyszkolone kucharki zarządzają wyobrażoną kuchnią, układają menu i opisują w szczegółach potrawy, które będą jadły, gdy wrócą do domu.

Pewnego dnia fantazjują, jak to we czwórkę wchodzi do okazałej Café Américain przy Leidseplein i tam zamawiają całą kartę. Kiedy pozostałe z zamkniętymi oczami przełykają zbierającą się ślinę i widzą się już wchodzące do pięknego lokalu ze sklepieniami sufitami, Anne wybuchła nagle płaczem. Ona wie, że szanse na to, że pewnego dnia wrócą do Amsterdamu, zmniejszają się z każdym dniem, i nawet najpiękniejsze zamki na lodzie nie są w stanie tego powstrzymać.

Pod koniec 1944 roku ich barak wypełnia się transportami dziewcząt i kobiet z Węgier, Czech i Rosji; są to Żydówki, Romki i więźniarki polityczne. Bariera językowa utrudnia kontakt. Pewnego dnia w czasie porannego apelu do Janny zwraca się łamanym niemieckim węgierska dziewczynka. Dziecko opanowała widoczna gołym okiem panika, ale Janny nie rozumie, czego od niej chce. Nieco później wraca z przyjaciółką i walizką pełną rzeczy. Janny zrozumiała, że w ich baraku ma być duże odwszawianie, co oznacza, że dziewczynki muszą oddać wszystko, co przy sobie mają. Czy Janny mogłaby przechować walizkę do czasu, aż odwszawianie się zakończy? Janny bez zastanowienia bierze walizkę i ukrywa ją na najwyższej pryczy, u Lientje. Kiedy małe Węgierki z ulgą wracają wieczorem po walizkę, chcą zapłacić Janny za przysługę. Handel w obozie kwitnie, a walutą wymienną może być kawałek chleba czy cebula, ciepły sweter albo majtki zrobione z resztek koca. Jednak Janny odmawia; uważa, że nie zrobiła nic wyjątkowego, i cieszy się, że mogła im pomóc. Ukryta walizka staje się początkiem związku z grupą węgierskich więźniarek politycznych, które od tej chwili pomagają jej i Lien, jak tylko mogą.

Kilka z tych węgierskich kobiet pracuje w kuchni SS i od czasu do czasu dają Janny coś ekstra. Cebulę, ziemniaka, trochę kiszonej kapusty dla Lien cierpiącej na biegunkę, a raz nawet kubek mleka. Napój jest kwaśny i grudkowaty, ale to droga ratunku trzymająca je z dala od stosu zwłok. Może jeszcze ważniejsze niż jedzenie jest to, że Węgierki mają nowe informacje. Gestami rąk i nóg oraz łamaną niemczyzną Janny przepytuje kobiety, a wieczorem składa raport swoim holenderskim koleżankom. Zbliżają się alianci, Hitler jest już prawie na kolanach i jeśli jeszcze trochę, naprawdę jeszcze tylko trochę, wytrzymają, wyjdą z tego żywe. Czy to prawda czy fikcja nikt nie wie, ale nie mają niczego innego, co trzymałoby je przy życiu.

1 grudnia 1944 roku nowym komendantem obozu w Bergen-Belsen został Josef Kramer. Siostry znają go jeszcze z Birkenau. Zwalista postura, twarz jak u żaby i zaciśnięte wargi zapowiadały prawdziwego brutala w porównaniu ze szczupłym aniołem śmierci, Mengelem. Mengele przeprowadzał selekcje aksamitną ręką, a Kramer odpowiadał za to, żeby wybrani trafili do komór gazowych. Ten były księgowy z Monachium odnalazł w SS swoją pasję, której mu brakowało w cywilu, i w ciągu ostatnich dziesięciu lat zrobił wielką karierę

w obozach koncentracyjnych. Od strażnika wspinał się krok po kroku aż do stanowiska komendanta obozu. Kramer wprowadza rządy terroru, chociaż gdy przybywa do Bergen-Belsen, w całym obozie nie ma ani jednego więźnia, który byłby w stanie podnieść bodaj palec na nazistów. Od fizycznego znęcania się i szczucia psami aż po grupowe egzekucje nad krawędzią grobów masowych: nie bez powodu Kramer trafi do podręczników historii jako „Bestia z Bergen-Belsen”.

Od stycznia 1945 roku co tydzień umiera w obozie średnio ponad dwa tysiące ludzi. Co rano gromadzi się za barakami jakieś trzysta nowych ciał i w żaden sposób nie da się nadążyć z ich paleniem. W krajobrazie wrzosowisk pojawiają się doły tak wielkie jak baseny pływakie, znikają w nich ofiary dogorywającego reżimu nazistowskiego. Ich groby są anonimowe, ale ich dziedzictwo pozostanie na zawsze związane z obszarem Pustaci Lüneburskiej.

ŚWIĘTA

Janny widzi, jak się pogarsza stan zdrowia jej siostry i sióstr Frank; ich ostrzyżone głowy z ostro wystającymi kośćmi policzkowymi przypominają trupie czaszki. Od Węgierek Janny słyszy, że alianci robią szybkie postępy, więc wszystkie muszą utrzymać się przy życiu, aż wojska alianckie staną u bram obozu. Przygotowuje plan, żeby w ostatni wieczór grudniowy świętować jednocześnie Boże Narodzenie, sylwestra i Chanukę. Wszystkie są zachwycone; już same przygotowania wprawiają je w dobry nastrój. Od tej chwili zbierają każdy okrusz chleba, a dzięki przyjaciółkom z kuchni SS Janny dostaje dwie pełne garście obierek od ziemniaków. Anne wyczarowuje skądś ząbek czosnku, siostry Daniel cudownym sposobem „znajdują” rzepę i marchewkę, a Lien śpiewa piosenki dla strażników i zarabia w ten sposób kromki chleba i odrobinę kiszzonej kapusty. Rankiem wielkiego dnia każda z nich zachowuje odrobinę brązowej porannej papki w cynowym kubku, żeby mieć też coś do picia.

Tego wieczoru podekscytowane zbierają się w swojej holenderskiej grupce na najwyższych pryzkach pod dachem ceglanego baraku, z jedzeniem umieszczonym pomiędzy nimi. Wszystkie tu są: Janny, Lien, siostry Frank, siostry Daniel, Auguste i Sonja. Rozmawiają i jedzą, i pobudzają apetyt opowiadaniem o tym, co będą robiły, jak znajdą się w domu. Anne rozmarza się już na samą myśl. Pierwsze, co chce zrobić, to zjeść coś w eleganckiej restauracji na rogu ulicy Leidsestraat i Prinsengracht: Dikker & Thijs. Wokół nich zbiera się więcej kobiet z baraku, są zaciekawione hałasem przełamującym wciąż obecną atmosferę przygnębienia. Zimno, ból w kościach i tęsknota za bliskimi zostają na chwilę zapomniane, kiedy jedzą świąteczną kolację, siedząc po turecku na drewnianych pryzkach. Wtedy ktoś zaczyna śpiewać starą piosenkę szkolną:

Wóz sobie jechał po piaszczystej drodze,
Księżyc świecił jasno, jaśniej już nie może

Koń sam w stronę domu zmierzał
Założyć się mogę, że trafi bez trudu
Woźnica leniwie leżał
Wracaj szczęśliwie, mój druhu, mój druhu
Wracaj szczęśliwie, mój druhu.^[60]

Dołączają wszystkie i kołyszą się na pryczach w rytm muzyki. I dalej *Konstancja na biegunach miała konika*, a potem *Dzwoneczek dzyń, dzyń* i *Słoneczko nas zostawi*. Jak grupa przedszkolaków na lekcji śpiewu klaszczą w dłonie, wymawiają niderlandzkie słowa, jakby jeszcze nigdy nie słyszały czegoś równie pięknego. Niektóre kobiety w baraku zaczynają się denerwować taką porcją radości i po francusku, po rosyjsku, niezrozumiałymi słowami, ale mającymi dla nich oczywisty sens, syczą, żeby było cicho. Ale to nic, energia, która już dawno temu opuściła ich ciała, płynie znów w ich kończynach i sprawia, że kręci im się w głowach.

Wtedy nagle Czeszki reagują ostrzej niż reszta. Wychylają się z pryczy z palcem przyciśniętym do ust.

– Cii! Cii!

Janny i inne milkną wystraszone. Przyjaźnią się z tą grupą i nie bardzo rozumieją, o co chodzi. Gdy cztery Czeszki zaczynają śpiewać, reszta baraku także cichnie. To jest przepiękne. Na cztery głosy śpiewają żartobliwą holenderską piosenkę, idealnie oddając melodię, choć niemiłosiernie kaleczą niderlandzki: „Konstancja na biegunach miała konika / bez głowy i bez ogonka konik ten pomyka / po pokoju pomyka chyłkiem / tak po prostu z gołym... / Konstancja na biegunach miała konika” i tak dalej. Napięcie w pomieszczeniu nagle opada i grupa Holenderek pod dachem wybucha płaczem, zapominając na chwilę, że nadal muszą być silne.

Jest początek 1945 roku, śmierć panoszy się wokół i to, co Janny może zrobić, przypomina gaszenie pożaru naparstkiem wody. Razem z Lien próbuje ratować, kogo się da. Prawie każdy w ich małym obozie kobiet jest już zbyt chory i zbyt słaby, żeby pracować. Anne, Margot, Sonja i Auguste zostają w barakach, które są wylęgarnią bakterii. Lien także źle się czuje. W nocy lodowata woda

przecieka przez dach na prycze, a rano pozostaje im tylko owijać zmarłych w ich własne mokre koce i rzucać na stos na dworze.

Janny znów zgłosiła się do pracy jako pielęgniarka i bez pytania podniosła także rękę Lien, kiedy SS szukało więcej kandydatek: są teraz pielęgniarką i pomocą pielęgniarki. Dostają białe opaski na ramię, mają dostęp do apteki obozowej i mogą się poruszać nieco swobodniej po terenie. Janny chodzi niczym nakręcona mrówka robotnica, rozkazuje i wydaje polecenia. Jej ciało kurczy się z dnia na dzień, a głowa staje się coraz cięższa, ale trzyma się obietnicy złożonej matce i swoim dzieciom: Lien i ona z tego wyjdą. Trzeba zbierać wodę, żeby dawać pić chorym, żeby ich myć i prać ubrania. Z powodu chaosu i przeludnienia w obozie przy pompie jest niebezpiecznie, także w drodze powrotnej do baraków ktoś może wytrącić tak po prostu wodę z rąk. Janny organizuje sobie eskortę kobiet, żeby szły razem z nią bezpiecznie po wodę. Z kubkami i garnkami chodzą tam i z powrotem, dbają o czystość, próbują płukać najbrudniejsze ubrania i suszyć je na mrozie. Panuje tyfus, a one nie mają nic, żeby zwalczać chorobę. Żeby oddać chorym przynajmniej odrobinę człowieczeństwa, Janny kradnie z apteki garście śmierdzącego środka do zwalczania wszy i pcheł.

Pewnego ranka Lien prosi siostrę, żeby poszła z nią do małego bloku w ich części obozu, który właśnie zapełnił się kobietami z nowego transportu. Ku zaskoczeniu Janny są tam tylko Holenderki stłoczone jedna przy drugiej, z kilkoma bardzo małymi dziećmi i kilkoma staruszkami. Niektóre z nich zna, jak Marianne „Zus” Asscher z trójką dzieci. Niektóre kobiety nie mogą się nawet utrzymać na nogach, a i dzieci są bardzo chore. Nikt nie jęczy i nie płacze, tylko gapi się wielkimi oczami, które niewiele już dostrzegają.

Okazuje się, że nie jest to nowy transport; kobiety opowiadają, że dotąd mieszkały z mężami w innej części obozu. To wszystko rodziny handlarzy diamentami, które są już w Bergen-Belsen dłużej, ale mogły oszukiwać los, płacąc. Kiedy nie było już diamentów ani złota, żeby przekupić komendanta obozu i jego oficerów, ich mężowie zostali skierowani do transportu. Przetrwały w Bergen-Belsen, ponieważ trzymały się razem, ale teraz, kiedy rodziny porozdzielano, wszystko rozsypało się jak domek z kart. Chęć życia odeszła razem z wywózką ich mężczyzn.

Siostry od razu rzucają się w wir działań. Wysyłają po wodę kobiety, staruszkom pomagają wspiąć się na prycze, dzieci myją na dworze na lodowatym zimnie i energicznie wycierają do sucha kawałkami materiału. Tu i tam próbują wykombinować coś do jedzenia dla grupy. Pani Asscher jest apatyczna, dwóch synków, Brammetje i Jopie, nie odstępuje jej na krok, a córeczka, Truusje, urodzona pod koniec 1943 roku w Westerbork, leży jak lalka z rozpostartymi kończynami w brudnym wózku. Janny chwyta spojrzenie Lien; myślą o tym samym. Liselotte. Kathinka. Szybko odrzucają tę myśl i ruszają dalej, nie ma czasu do stracenia.

Ta nowa grupa kobiet i dzieci jest w tak złym stanie, że Janny i Lien zostają wyznaczone do całodobowej opieki nad tym małym barakiem i obie się tam wprowadzają. Proszą Anne i Margot, żeby przeprowadziły się razem z nimi, ale Margot ma biegunkę i z powodu zakażenia tyfusem brzuszny nie może opuścić bloku. Anne próbuje dbać o starszą siostrę, na ile to możliwe, a Janny i Lien mają je obie na oku. Janny i Lien są odpowiedzialne za chorych i zmarłych w ich nowym, małym „baraku diamentowym”, muszą przynosić dla wszystkich jedzenie i wodę i utrzymywać czystość. Godzinami wyskubują wszy z koców i ubrań, żeby choć odrobinę ulżyć chorym.

Do grupy „diamentowych” kobiet należy także niejaka Henriette van Amerongen. Siostry Brilleslijper mówią jej, że w ich poprzednim baraku jest też kobieta o nazwisku van Amerongen – Rachel. Okazuje się, że to jej synowa. Szybko przyprowadzają Rachel i chociaż to ponowne spotkanie wyraźnie dobrze działa na panią van Amerongen, to nie wystarcza: jest zbyt chora, żeby się podnieść, i wkrótce umiera. Janny i Lien zamykają jej oczy i zanoszą na stos. Zanim ktoś obcy zabierze, ratują jeszcze futro i obrączkę, które później tego samego dnia przekazują Rachel.

Podczas codziennego apelu Janny musi zgłaszać strażnikom SS, ile osób już naprawdę nie daje rady chodzić ani stać. W czasie jednego z takich apeli strażniczka pochyła się nad wózkiem Truusje Asscher i prostuje się szokowana. Brzuszek Truusje jest wzdęty niczym balon, z którego jak patyczki wystają ręce i nogi. Przerazona strażniczka wypisuje bon na codzienną półlitrową porcję papki mlecznej. Truusje przestaje oddychać jeszcze tego samego dnia, ale Janny wykorzystuje bon dla licznej grupy innych dzieci.

W jeszcze innym baraku Niemcy umieścili grupę holenderskich dzieci, co do których nie mają pewności, czy są pełnymi Żydami. Janny i Lien próbują trochę podnieść na duchu siostry Frank i proszą Anne i Margot o pomoc w opiece nad tymi dziećmi. Coś im czytać, bawić się z nimi, obcinać paznokcie i włosy – wszystko po to, żeby pomóc przetrwać dzień. Anne i Margot idą do baraku dziecięcego kilka razy, śpiewają niderlandzkie piosenki dla dzieci i opowiadają kilka bajek, ale wkrótce stają się zbyt słabe, żeby opuścić swój barak. Margot nie ma już siły ustać na nogach, a Anne pozostaje przy boku starszej siostry.

Janny i Lien podejmują ostatnią próbę postawienia na nogi dziewczynek i przyprawiają do nich dzieci zostawione przez panią Asscher, Japiego i Brammetje, żeby się z nimi pobawiły, ale siostry wycofały się już do świata cieni, zbyt słabe, by reagować na ich obecność. Lien i Janny gromadzą jedzenie i od czasu do czasu zanoszą dziewczynkom, ale pewnego dnia znajdują puste prycze. Anne i Margot zostały przeniesione do baraku dla chorych. To zła wiadomość. W baraku dla chorych nie ma żadnego leczenia, są za to narażone na jeszcze więcej bakterii. Leżą tu tylko pacjenci terminalni cierpiący na czerwonkę albo tyfus plamisty.

Lien i Janny odwiedzają tam dziewczynki i próbują je przekonać, żeby poszły z nimi – na próżno. Barak dla chorych jest ogrzewany, jest w nim więc ciepło, a poza tym mogą spać razem na jednej pryczy. Anne mówi im, że chce zostać przy Margot. Margot nie mówi już nic.

MIASTO UMARŁYCH

Janny stoi na brzegu gigantycznego dołu i patrzy w górę na rozgwieżdżone niebo nad Pustacią Lüneburską. Księżyc w pierwszej kwadrze oświetla stosy ciał w środku. Ona tam po prostu stoi, ze zwieszonymi ramionami, z zaciśniętym pomiędzy palcami rogiem koca, z którego przed chwilą stoczyło się w dół nagie kobiece ciało – ten koc musi zabrać ze sobą. Uniosła krótko ostrzyżoną głowę. Smród jest tak przenikliwy, że nawet kiedy zaciska usta i wstrzymuje oddech, odór rozkładających się ciał wdziera się jej do nosa. Chmary ptaków krążą nad ciałami i nurkują do dołów. Janny nie rusza się, wpatruje się w niebo i szuka w gwiazdach jakiegoś znaku.

Marsze śmierci sprowadzają coraz więcej ludzi i obóz pęka w szwach. W baraku przeznaczonym dla osiemdziesięciu żołnierzy upchnięto ponad tysiąc czterysta kobiet. Nowo przybyłe muszą walczyć z innymi więźniarkami o miejsce na brudnej podłodze. Dla wielu liczy się tylko chęć dania ciała odpoczynku, którego ono tak bardzo łaknie, i upadają tam, gdzie stoją. Wszy ubraniowe zawsze stanowiły problem, ale z powodu braku środków je zwalczających i nadmiaru nowych więźniów teraz naprawdę nie mają już żadnych ograniczeń i w obozie stanowią prawdziwą plagę. Setki tysięcy maleńkich robaczków krążą po barakach, napełniają się po brzegi ludzką krwią i wokół każdego z nich rozpinają sieć tyfusu plamistego, przed którym nie ma ucieczki. Zaczyna się bólem głowy, mdłościami, bólem wszystkich mięśni i wysoką gorączką. Po niecałym tygodniu ciało pokrywa się jaskrawoczerwoną wysypką i większość chorych ma objawy delirium. Pacjent znajduje się we mgle między życiem a śmiercią i w miesiącach zimowych 1945 roku rzadko kto powraca na jasną stronę.

Lien także choruje. Margot jest już dłuższy czas chora i jej stan szybko się pogarsza. Janny biega po barakach, próbuje robić, co może, a od czasu do czasu zagląda do Margot i Anne. Margot ma wysoką gorączkę i może jedynie szeptać.

Anne nie odstępkuje jej na krok, ale także ma już temperaturę, płonące policzki i wielkie oczy. Próbuje troszczyć się o siostrę, ale Janny widzi, że ta jest już jedną nogą na tamtym świecie. Tak niewiele może dla nich zrobić.

Janny czuje, że sama też jest chora – policzki płoną, widzenie się zamazuje. To wyścig z czasem. Musi działać dalej, pędzi z jednego baraku do drugiego, próbuje utrzymać Lien w czystości, obcina chorym odmrożone palce u rąk i nóg, przynosi wodę dla niezliczonej liczby chorych i żuje dla nich stary chleb, ale ludzkie życia przesypują się jej między palcami jak piasek. Jakaś kobieta w jej baraku umiera z żywym niemowlęciem w ramionach. Jakby to była praca przy taśmie, Janny zamyka oczy, które już nie widzą, zabiera użyteczne jeszcze rzeczy dla innych więźniów i wynosi ciała do dołów. Jednak nie nadąża. Zwłoki leżą porozrzucane w całym obozie niczym sterty chrustu, z kończynami wyciągniętymi w kierunku nieba. W barakach i wokół nich panuje cisza, chociaż liczba więźniów rozrosła się tymczasem do wielkości małego miasta.

Nagle przed Janny wyrasta Anne – naga, ma tylko koc zarzucony na kościste ramiona. Jest zimno, śnieg dopiero zaczyna topnieć między drzewami. Janny przyciąga ją do siebie.

– Co ty tu robisz? Gdzie twoje ubranie?

– Margot jest tak bardzo chora. – Dziewczynka prawie nie może się wysławić. – I te wszy...

Rusza głową i drapie się palcami, cieniutkimi jak pajęcze nóżki.

– Wszyscy są chorzy, Anne. Chodź tutaj – mówi Janny, zbierając jednocześnie jakieś ubrania i wciskając je w ręce Anne. Prawie nie ma już jedzenia, czasami przez kilka dni nie dostają nic od kierownictwa obozu, ale Janny daje Anne odrobinę reszty chleba, który zachowała dla Lien.

– Weź to ze sobą i zostań w swoim baraku. Przyjdę do was najszybciej, jak będę mogła. Idź.

Wkrótce potem Margot spada z pryczy głową na betonową podłogę i już się nie budzi. Anne jest przekonana, że jej ojciec i matka nie żyją; po śmierci siostry nie widzi już więc żadnego powodu, żeby żyć, i także się poddaje. Kiedy kilka dni później Janny i Lien znowu idą zobaczyć, co u dziewczynek, znajdują puste prycze. Wychodzą na dwór, szukają w stosach trupów i znajdują ich

pozbawione życia ciała. Z pomocą dwóch innych kobiet owijają siostry w koce i niosą do jednego z dołów, do którego spuszcza ją jedna po drugiej.

Wszystko jest niewyraźne, jakby siatkówka w jej oczach była porysowana. Kolory zniknęły i Janny widzi jeszcze tylko sylwetki w odcieniach szarości włączące się po terenie obozu. W jej głowie łomocze bez przerwy – wydaje się ona zbyt ciężka dla szyi. Dni i noce zlewają się ze sobą, mijają tygodnie i życia. Lien jest nieco mniej chora, ale Janny już prawie nie może ustać na nogach. Teren obozu przypomina chaotyczny jarmark obłąkanych, chorych i umierających. Od czasu do czasu słychać alarm przeciwlotniczy, syreny wyją od strony drzew przez równinę, choć nic się nie dzieje, tak że mieszkańcy obozu w końcu przestają patrzeć w górę, żeby sprawdzić, czy alianci przybywają na ratunek. Ludzie wszędzie potykają się o trupy, nikt nie ma już siły, żeby je sprzątać. Leżą w rowach, na ścieżkach albo jeszcze w barakach; są ich setki, a może i tysiące – nie ma nikogo, kto by liczył.

Większość ludzi leży lub siedzi apatycznie na pryczach, przy ścianach lub po prostu na zimnej ziemi na dworze. Nie ma już prawie jedzenia, czasem trochę brukwi na wodzie; ciepłej albo zimnej, często zepsutej. Od węgierskich kobiet Janny słyszy najdziwniejsze historie. Anglicy mieli już podobno dawno przybyć, ale nie mają odwagi wejść do obozu ze względu na choroby. Niemcy ponoć podłożyli ładunki wybuchowe pod obozem i mają go wysadzić razem z nimi w środku. Nic takiego się jednak nie dzieje.

Na dworze nie jest już tak zimno, a może to gorączka rozgrzewa jej kości. Janny kradnie aspirynę z apteki i pożera ją, musi być na chodzie, żeby przynosić wodę sobie i Lien. Lien to jej jedyna szansa na przetrwanie, bez niej nie chce wracać do Holandii.

Znów alarm przeciwlotniczy, samoloty, strzały ze wszystkich stron, nie wiedzą, niemieckie czy alianckie. Strażnicy uciekają i nagle w obozie robi się cicho. Kilku więźniów idzie do baraków SS i szybko stają z powrotem w drzwiach z informacją: nie ma ich! Ludzie zaczynają krzyczeć, biegać, zrywają ze ścian portrety Hitlera. Janny nie może się już prawie ruszać i obserwuje to wszystko z odległości. Gdzieś leżą dwa wielkie stosy brukwi, na które rzucają się wygłodniaли więźniowie. W ciągu kilku minut brukiew znika. Myśl, że wkrótce naprawdę zostaną wyzwoleni, wznieca u niektórych zwierzęcą

furię. Wszędzie rozpalane są ogniska, w szarym krajobrazie czerwone płomienie strzelają w górę. Ci więźniowie, którzy wkładają mundury SS, żeby się ogrzać, zostają pobici przez innych więźniów.

Nagle znów słyhać strzały, ktoś krzyczy, że szkopy wróciły. Rozlega się gwizdek na apel, a po nim wrzaski, jak zawsze, strażnicy krzyczą, że więźniarki muszą się pospieszyć. Janny jak we śnie wlecze się na plac apelowy. Kręci się jej w głowie, czuje, jakby unosiła się w powietrzu.

Tam stoi komendant obozu Josef Kramer. On i jego ludzie nagle noszą białe opaski na ramieniu i w dziwny sposób są mili. Ze wszystkich stron nieufnie zbliżają się więźniowie, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia. Kramer wchodzi na podwyższenie i kiwa na nie:

– *Kommen sie her, kommen sie, meine Damen*^[61].

Jego twarz wykrzywia grymas. Ludzie hałasują, ktoś krzyczy, że to nie jest żaden apel, Anglicy są już pod bramą, nie słuchajcie go!

Janny po prostu tam stoi, a wszyscy wokół niej biegają tam i z powrotem. Jacyś ludzie w mundurach biją i kopią Kramera, ktoś zrywa białą opaskę z jego ramienia i wrzuca go do jeepa. Kiedy Janny na to patrzy, czuje, jak z brzucha po całym ciele rozchodzi się fala ciepła. Wtedy widzi zbliżające się w jej stronę księżycowe ludziki w gumowych kombinezonach i osuwa się na ziemię.

Jest 15 kwietnia 1945 roku i Anglicy wyzwalają Bergen-Belsen. Na terenie całego obozu znajdują sześćdziesiąt tysięcy wycieńczonych więźniów i trzysta tysięcy trupów w różnych stadiach rozkładu. W postawionych w błyskawicznym tempie szpitalach ratunkowych zaczyna się ratowanie tych, którzy przeżyli; w kolejnych tygodniach umrze jeszcze co czwarty z nich.

OSTATNIA DROGA

Janny opiera głowę o szybę i wygląda na zewnątrz, zapamiętuje każdy obraz i próbuje oddychać. Przez Amsterdam Południowy wjeżdżają do miasta. Wiosna ozdabia ulice kolorami, które ona już prawie zapomniała. Fiolet i fuksja, i zielone jabłuszko, i nieskończenie niebieskie niebo. Patrzy w górę, twarze ojca, matki i Japiego pojawiają się na niebie, w czerwonej cegle, wśród liści na drzewach. Nie ucieknie przed nimi. To pora roku, którą tak lubią. Miasto budzi się z zimowego snu. Okna znów się otwierają, bawełniana pościel powiewa na parapetach, plac Waterlooplein tętni ruchem. Ojcu i matce zawsze lżej się pracowało, kiedy pojawiało się słońce. Czy oni też teraz patrzą na to niebo, gdzie indziej w mieście? Ostre ukłucie bólu w skroniach, jej wzrok robi się mętny. Zaciska powieki i odpycha od siebie obraz Japiego i rodziców, nie myśleć o tym teraz. Będzie na to czas później.

Aleje Noorder Amstellaan, Apollolaan.

Okazałe domy przy szerokiej Apollolaan. Szykowne siostry Jansen – czy one jeszcze żyją? Ciąg solidnych drewnianych drzwi frontowych po obu stronach zielonego trawnika rozdzielającego jezdnię przemyka za oknem samochodu. Bob i Eberhard, którzy w swoich odświętnych ubraniach poszli do sióstr Jansen, żeby podpisać umowę na wynajem Wysokiego Gniazda, ich życie w lasach, nielegalna praca w Amsterdamie, nieudane spotkanie na placu Roelof Hartplein, zdrada. Pamięta jeszcze, jak stała na skrzyżowaniu trzech ulic Van Baerlestraat, J.M. Coenenstraat i Roelof Hartstraat. Zdecydowany krok, z Robbiem za rękę. Wtedy też był taki piękny dzień. Wydaje się, że to sto lat temu albo fragment filmu, który kiedyś widziała. Nie ona, nie jej własne życie niecały rok wcześniej. Janny patrzy przez chwilę na swoje ręce spoczywające na patykowatych udach. Niebieskie żyły prawie wychodzą przez przezroczystą skórę; pomiędzy udami można zmieścić piłkę nożną. Auto mknie dalej. Wrażenie uderzenia pięścią w brzuch, czuje, jak zawartość żołądka podchodzi do gardła, ale nie udaje się jej przełknąć.

Skrzyżowanie osi Apollolaan-Stadionweg, budynek RVS ze stali i szkła; jeszcze tu stoi.

De Toren van de Arbeid. Wieża Pracy. Niemieckie reflektory na dachu. Patrzy na chwilę w bok i łapie spojrzenie siostry myślącej o tym samym. Lien siedzi obok niej, z plecami prostymi jak świeca w za ciepłym futrze z królików – wymienionym za codzienną rację papierosów, które dostały w obozie przejściowym w Soltau, niedaleko Bergen-Belsen. Jej ręce leżą bez ruchu na kolanach. Żadna z nich nie jest w stanie wymówić słowa.

W prawo, w ulicę Beethovenstraat, przez wodę, druga w lewo.

Kołyszą się wraz z samochodem z jednej strony na drugą. Ich ramiona dotykają się przez chwilę i obie się odsuwają. Wszystko w mieście wydaje się inne – puste, cichsze – ale kiedy jadą mostami, wszystko jest takie, jak było. Woda płynęła przez cały ten czas, jakby świat się nie zatrzymał. Słyszały opowieści o „Głodowej Ziemi”, która kosztowała życie tysięcy ludzi. Ekstremalne zimno, brak ogrzewania, zachodnia część Holandii odcięta od wszystkiego i wszystkich. Ale woda w Amsterdamie nadal płynie.

Ulica Jacob Obrechtstraat. Wąskie domy ze sklepionymi oknami ustępują miejsca szerokim bryłom z prostokątnymi framugami.

Janny przesuwa się na tylnym siedzeniu i przemieszcza stopy, mocno pociera palcami o wnętrze dłoni. Próbuje znów przełknąć, ale ma sucho w ustach. W oddali widzi już plac, zna filharmonię w najdrobniejszych szczegółach.

– Tutaj w prawo – słyszy mówiącą do kierowcy Lien. Ten skręca kierownicą.
– Numer 26. – Lien wskazuje.

Ulica Johannes Verhulststraat 26. Haakon i Mieke.

Samochód się zatrzymuje. Wąskie domy z łukowatymi wejściami, balkony wsparte ciężkimi ornamentami. Janny nie może się ruszyć, patrzy w górę na schody prowadzące do drzwi wejściowych, czarne plamki tańczą przed jej oczami. Kłapanięcie zamykanych drzwi samochodu, Lien wbiega po schodach i prawie natychmiast wraca na dół z kartką w ręku, wykonuje ćwierć obrotu, przebiega chodnik i zatrzymuje się kilkoro drzwi dalej. Janny już nie wytrzyma. Wydaje się, że minęła wieczność, i Lien pojawia się znowu, teraz z drugą kartką w rękach, pędzi do auta i ciężko siada obok Janny. Trzyma kartkę przed jej nosem. Litery przesuwały się po papierze. Janny odpycha kartkę.

– Nie mogę.

– Daj.

Mężczyzna za kierownicą wyciąga rękę do tyłu i bierze kartkę.

– Na drzwiach wisiała dla nas kartka – mówi Lien. „Gdyby przyszedł tu Lientje i Janny, trzy domy dalej, u Jopiego Benneta, leży dla was list od Eberharda”.

Lien dyszy, mówiąc. Jeszcze żadna z nich nie wróciła do zdrowia. Kiedy przyszedli Anglicy, ważyły mniej niż dwadzieścia osiem kilogramów.

Dentysta czyta na głos: „Bob mieszka z dwójką dzieci przy Amstel 101, a ja mieszkam w Oegstgeest u pana Blomsma”.

Lien łapie Janny za rękę i ściska ją. Kąciki jej ust podnoszą się z drżeniem.

– Tam idziesz, siostrze.

Janny próbuje odwzajemnić uśmiech, ale się jej nie udaje. Ciało już na nic nie reaguje.

Amstel 101. Jak to? Na wysokości czego to jest mniej więcej? Nie potrafi się skupić.

Mężczyzna nie zna drogi; nie pochodzi stąd. Spotkały go w starym budynku szkolnym w Enschede, gdzie je ulokowano. Nie oczekiwano ich tam i nie witano. To był kolejny żałosny przystanek w czasie długiej drogi powrotnej do domu. Tylu podróżujących ludzi po drodze. Wszędzie ciężarówki jadące we wszystkich kierunkach. Codziennie tylko jakieś trzydzieści kilometrów. Postój. Odwszawianie, rejestracja. Jakby Holandia nie chciała ich z powrotem.

Pewnego dnia dostały trójbarwną flagę do ręki i kiedy samochodami przekroczyły granicę, wszystkie śpiewały na całe gardło *Wilhelmusa* – hymn Holandii. Wszyscy w ciężarówce płakali i w końcu, tak, w końcu, zostały serdecznie powitane. Szpalery wiwatujących dzieci z powiewającymi flagami stały wzdłuż drogi. Jednak to nie było dla nich, to było dla żołnierzy, którzy z lizakami i czekoladą, i innymi słodkościami w podobnych ciężarówkach przekraczali granicę. Dzieci odchodziły rozczarowane, a one stały tam z tą flagą w rękach.

W Enschede po raz setny odwszawiono je i po raz tysięczny zarejestrowano. I jeszcze w dodatku przydzielono do kobiet członkiń NSB. Kiedy jedna z nich

zaczęła na nie krzyczeć, Janny miała dość i przywołała kierownictwo do porządku.

– Witamy w Enschede? Przeprowadzono nas do śmierdzącej, pustej szkoły, znów musimy spać na słomie i co dostajemy do żarcia? Brukiew! Mamy to gdzieś!

Jednak nic to nie dało: z powodu chorób zakaźnych nikt nie mógł wjeżdżać do Holandii Południowej i Holandii Północnej ani z nich wyjeżdżać. Był już koniec maja, a one nie mogły się nigdzie ruszyć. Dopiero kiedy po kilku dniach spotkały znajomego Jana Hemelrijka, coś się zmieniło. Dostały pozwolenie, żeby wrócić do domu, a ten dentysta szukający zaginionego członka rodziny był tak dobry, że zaproponował tego niedzielnego poranka, że odwiezie obie siostry i jeszcze dwie inne kobiety.

Najpierw wysadzili starszą panią w Harderwijk, a potem młodą kobietę w Hilversum. Przed południem przyjechali do Harderwijk. Na ulicy było cichutko, cztery kobiety siedziały sztywno z napięciem w aucie, nie wiedząc, jak zostanie przyjęta. Jednak kiedy rodzina kobiety ją zobaczyła, cała ulica wybuchła radością. Szybko dalej, do Hilversum. Pod adresem drugiej z kobiet było zupełnie ciemno, pusty dom. Mąż, dzieci: zniknęli. Widok jej twarzy był nie do wytrzymania, ale siostry chciały tylko jechać dalej. Do Amsterdamu. Janny z białym misiem i powłóczką na poduszkę wypełnioną rodzynekami i marcepanem na kolanach; usta zasznurowane. Lien w swoim najlepszym ubraniu obok niej. Kieruje dentystę we właściwą stronę od ulicy Johannes Verhulststraat.

– Jedź najpierw z powrotem na most Berlagebrug, stamtąd pojedziemy wzdłuż rzeki Amstel.

Mężczyzna rusza. Dom Mieke i Haakona znika z widoku.

Ta sama droga z powrotem, przez wodę, skręcić w Apollolaan, prosto po Noorder Amstellaan. Obok ławeczki. Siedziała tam kiedyś z Bobem.

Bob. Dobrze umiała odsuwać od siebie myśli o nim i o dzieciach, w obawie, że wpadnie w niekończącą się otchłań. Ale w ostatnich tygodniach obrazy dzieci i Boba wciąż ją nawiedzają. Twarz Liselotte w wełnianej czapeczce, z kokardką pod brodą. Robbie, jak zanosi się śmiechem, skacząc po liściach w lesie. Bob, wracający z pracy, prowadzący rower albo siedzący naprzeciwko

niej i czytający jej wieczorem. Czy on ją jeszcze rozpozna? Ręka Janny wystrzela w górę, przyciska do głowy niesforne kosmyki.

– Nie! Nie obcinać! – wykrzyknęła, kiedy szwajcarska pielęgniarka znów znalazła wesz. Mimo że była słaba, udało się jej temu zapobiec. Tylko nie znów łysa głowa.

Była tak bardzo chora. Z pewnością czternaście dni leżała nieprzytomna, otworzyła każde drzwi w korytarzu między życiem a śmiercią. Ciągłe od nowa znajdowała powód, żeby wrócić. Czysta pościel na jej zniszczonej skórze. Ciepło w kościach pod promieniami słońca wpadającymi przez okno. Miły głos pielęgniarki. Doktor Jim, rudy Irlandczyk, który emanował wiarą, że wszystko będzie dobrze. Codziennie to samo pytanie, na które nie była w stanie odpowiedzieć.

– *Where are you from?*

Iskrzące oczy, szelmowski uśmiech.

– Z Amsterdamu.

W końcu jej się udało. Bez dźwięku, musiał czytać z ust.

Poszukam twojej siostry, powiedział. Jak mi obiecasz, że coś zjesz, pójdę poszukać twojej siostry. Jednak Janny nie mogła jeść, miała tyle wrzodów w ustach, że nie mogła przełykać. Jej pierś ściśnięta jakby niewidzialną taśmą nie mogła oddychać: musi jeść, inaczej on nie pójdzie szukać Lientje. Kiedy leżała w śpiączce, docierały do niej strzępki rozmów pielęgniarek o rozkładających się trupach, niezliczonych chorych umierających codziennie setkami, o masowych grobach. Musiała zdążyć znaleźć Lientje, ale nie mogła się ruszać, jej duch był oddzielony od jej ciała.

Plac Daniel Willinkplein, gdzie trzy ulice Amstellan zbiegają się, tworząc Y z charakterystycznym środkiem w postaci dwunastopiętrowego budynku.

Kiedy mijają ten budynek, Janny wlepia oczy w górę. Dwa betonowe wieżowce z metalowymi balkonikami. Razem z Lien chichotały wcześniej, zastanawiając się, kto tam, tak wysoko, na miłość boską chce mieszkać. „Ta Lientje to pewnie nie żyje”. Słyszy pielęgniarkę szepczącą do doktora Jima, czuje, jakby ktoś wstrzyknął prosto w jej żyły lodowatą wodę. Jej ciało było zimne i bezwładne, stopy opadały luźno na zewnątrz, a wnętrza dłoni

wskazywały bezbronne sufit, ale od środka wylewała się z niej rozpacz. Łzy płynęły jej po policzkach i nie przestawały płynąć, a ona nie mogła ich zetrzeć.

Wieżowiec za ich plecami, przecinają ulicę Rijnstraat. Niewielu ludzi na ulicy. Tramwaj 8 nie jeździ już od 1942 roku. Dalej po Amstellaan, w oddali most.

Lien gestykułuje w kierunku miłego mężczyzny: prosto. Janny śniła nocami o Lientje, chodziła w koszuli nocnej bosymi stopami po terenie obozu, szukając jej w stosach ciał, i budziła się ciągle z twarzą pielęgniarki nad łóżkiem, z przepraszającym wyrazem oczu; żadnych wieści. Wszędzie wokół siebie widziała sylwetkę Lientje, widziała ją przez okno na końcu sali, widziała idącą pomiędzy łózkami, słyszała jej głos tak znajomy, że wydawało się, jakby wydobywał się z jej własnego ciała, i podniosła rękę. Pierwotny krzyk, zamknięcie w objęciach, jakby mogły zniknąć w sobie nawzajem, żeby już nigdy nic ich nie rozdzieliło.

– Zabieram cię stąd, już cię nie zostawię, zabieram cię ze sobą! – szeptała Lien w jej ucho.

Przyprowadziła dwie silne kobiety i wyniosły Janny z punktu medycznego, szybko, zanim ktoś zobaczył, do baraku, gdzie przebywała Lien. Ale Janny była tak słaba, nie mogła jeść. Lien przeżuwała dla niej, wpychała delikatnie jedzenie w jej usta. Nie udawało się. Janny leżała na dolnym łóżku i mogła tylko płakać. Była tak bardzo chora. Lien karmiła ją jak ptaszka, „proszę, musisz coś zjeść, samolot do Holandii prawie odlatuje, proszę” – ale Janny niemal się udusiła i czym prędzej zaniesiono ją z powrotem do punktu medycznego.

Samolot odleciał bez nich.

Most Berlagebrug. Rogatki Amsterdamu.

Od innych Holendrów po drodze dowiedziały się, że kilka dni po wyzwoleniu kanadyjskie oddziały wojskowe wjechały do miasta przez most Berlagebrug. Cóż to musiał być za widok! Kiedy zbliżają się do mostu, Janny widzi wieżyczkę wznoszącą się ze środkowego filaru i wystającą ponad resztę mostu. Jadąc od strony centrum, można zobaczyć w górnej części tej wieżyczki wykonaną z ceramiki kobiecą postać Geniusza Amsterdamu. Patronka miasta wylania się z fal rzeki Amstel, a blask popołudniowego słońca połyskuje na jej

koronie. Ojciec od dzieciństwa zwracał im uwagę na te detale, ale one nie chciały uważać. Najwyraźniej coś jednak zapamiętała.

Przez most. Rytmiczne uderzenia opon o tory tramwajowe, zupełnie jak kiedy jechały pociągiem.

Janny wstrzymuje oddech i ściska pośladki, próbuje nie czuć połączeń, nie słyszeć. Zjechać z tego mostu.

Po kolejnym tygodniu pozwolono jej opuścić punkt medyczny, z pojemniczkami tabletek na zaburzenia pracy serca. Doktor Jim martwił się tym, ale jej serce jeszcze biło i tylko to było ważne. Siedziały na drewnianej ławeczce z tyłu ciężarówki, z obcymi, każdy tak samo mizerny i przejęty, bojący się tego, co zastanie w domu, kto jeszcze żyje i czy ich domy jeszcze stoją. Jeśli pokonywały dwadzieścia pięć kilometrów dziennie, to było dużo, ale też wystarczało, bo przeżyły to, skąd przyszły, a nie wiedziały, czy dadzą radę temu, co na nie czeka. Lientje nie chciała tego po sobie pokazywać, ale czuła się kiepsko. Wzięła ukradkiem tabletki na serce od Janny i prawie po nich umarła. Szpital, płukanie żołądka, ale następnego dnia znów siedziały w pociągu towarowym. Każdy chciał, żeby drzwi podczas jazdy pozostały otwarte, ale nie było mowy.

– W lewo – mówi Lien do dentysty.

De Weesperzijde. Amstel 101 – dlaczego oni tam są? Nieuwe Achtergracht biegnie prostopadle do Amstel, może oni wszyscy, razem... Bob, dzieci, ojciec, matka i Japie, w nowym domu?

Ciało Janny wciska się w siedzenie, jakby chciała powstrzymać samochód, spowolnić. Nabrzeże i woda zlewają się, może naprawdę wjeżdżają do wody. Powoli głową w wodę. Widzi Boba, Liselotte i Robbiego w wodzie głębokiej po kolana, z ostatniego wzgórza, jak się wychodzi z lasu, gdzie jezioro IJsselmeer otwiera się jak książka obrazkowa u stóp. Może w ogóle jej nie rozpoznają? Bez włosów. Bez tłuszczu na ciele. O kilka żyć starszą. Odwraca się, jakby ucieczka była jeszcze możliwa. Na moście Berlagebrug patrzy za nimi Geniusz w słonecznej koronie, z ręką wzniesioną w geście pozdrowienia, dodającą otuchy.

Janny wybucha płaczem. Mocnym, z długimi łkaniami, smarkami i łzami. Nie może przestać. Dentysta zerka chwilę przez ramię przestraszonym

wzrokiem, jadą dalej Weesperzijde, a Janny wyje na tylnym siedzeniu. Lien się wścieka.

– Ciesz się, kobieto, prawie jesteśmy na miejscu! A ja muszę, cholera, jeszcze do Oegstgeest.

Ale Janny płacze dalej i Lien złości się coraz bardziej. Odwraca się w swoim szykownym palcie i wymyśla siostrze.

– Czyś ty kompletnie zwariowała? W końcu jedziemy już do Boba i dzieci, a ty ryczysz! Co to ma być? Naprawdę oszalałaś?

Przeklina i wrzeszczy, tak jak Janny często w ostatnim czasie zachowywała się w stosunku do niej.

– Głupia idiotko! Natychmiast masz przestać, słyszysz?

Janny zaczyna śmiać się przez łzy. Dentysta jedzie pełnym gazem prosto i niby zainteresowany patrzy na okazały Amstel Hotel, kiedy siostry kłócą się z tyłu.

Auto musi zwolnić, gdy jadą wąską uliczką przy kanale rzeki Amstel, woda po lewej stronie, a kamienice nad kanałem po prawej. Tuż przed teatrem Carré, gdzie po prawej stronie przy Nieuwe Achtergracht znajduje się ich dom rodzinny, nagle cichną. Kiedy auto powoli mija uliczkę, obie patrzą na prawo, jakby było tam coś do zobaczenia. Jakby Joseph tam stał i z rozpostartymi ramionami i wypiętą piersią czekał na nie. Nie ma nikogo. Ulica jest pusta. Mijają Carré, samochód jedzie powolutku, na most. Wtedy Lien łapie Janny za rękę.

– Patrz! To są wasze zasłonki z Hagi!

Wskazuje na dom na rogu po drugiej stronie mostu.

– Widzę Boba!

Dentysta nie zdążył się jeszcze zatrzymać, a Lien już wyskakuje z samochodu. Janny nie ma odwagi podnieść wzroku i siedzi tam ze spuszczoną głową, z rękoma na kolanach, jej ciało nic już nie może. Bob wybiega na dwór, otwiera gwałtownie drzwi auta, podnosi ją jak piórko i wnosi do domu. Robbie tańczy radośnie wokół nich i woła:

– I widzicie: moja mama wróciła! Chodźcie wszyscy zobaczyć, moja mama wróciła!

Wbiega z nimi do środka i znów wybiega na ulicę.

– Chłopaki, chodźcie wszyscy zobaczyć, znów mam własną mamę! Moja mama wróciła!

Chłopiec potyka się o własne nogi w drzwiach wejściowych, wpada matce w ramiona i patrzy na ojca.

– Tata, przecież mówiłem: mama mi obiecała, że wróci.

Wszyscy stoją w korytarzu, płaczą i się obejmują. Obcy dentysta, Bob, Lien i Janny. Robbie trzyma w ręku powłóczkę od matki i rozdaje przechodzącym rodzynki.

– Moja mama jest w domu! Chodźcie wszyscy zobaczyć, moja mama jest w domu! – woła nad kanałem.

Janny doszła już trochę do siebie i szuka Liselotte.

– Gdzie jest moja córeczka?

Znajduje oszołomioną dziewczynkę pod łóżkiem, oczy ma wielkie jak spodki. Janny wyciąga ją stamtąd i przytula delikatnie do siebie. Robbie sadowi się obok nich i siedzą na podłodze w ich nowym domu przy Amstel 101.

– Zostań u nas na noc – proponuje Bob Lien, ale ona kręci głową.

– Chcę do Oegstgeest, do Eberharda – mówi i patrzy pytająco na dentystę.

– Chodź – rzuca ten bez wahania.

Piet Verhoeve, bo tak nazywa się teraz Eberhard, i Haakon Stotijn stroją instrumenty i się przygotowują. To jeden z ich ostatnich koncertów domowych u rodziny Blomsma przy Emmalaan w Oegstgeest i bardzo się z tego cieszą. Haakon będzie najpierw grał koncert na oboju, Piet potem koncert Beethovena na fortepianie, razem zagrają później sonatę na fortepian i obój, a skończą kantatą weselną Bacha. Żaden tam sztywny kościelny kawałek, pełen smutku i pokuty, ale lekki tekst, śpiewany przez sopran, który porównuje rozkwit miłości z zapowiedzią wiosny. Pani Kramer bierze na siebie arie.

Dom wypełnia się gośćmi, panuje radosna atmosfera. Koncerty stały się już tradycją w tej okolicy; w czasie głodowej zimy były dla wielu pocieszeniem. Nikt nie wie, że Piet już od roku ukrywa się u rodziny Blomsma.

Granie wychodzi im wspaniale i prawie już kończą koncert. Pani Kramer zaczyna swoje ostatnie arie z towarzyszeniem zarówno Haakona, jak i Pieta. Jej czysty głos unosi po wyzwolonych ulicach radosne nuty kantaty:

*Und dieses ist das Glücke,
Daß durch ein hohes Gunstgeschicke
Zwei Seelen einen Schmuck erlanget
Au dem viel Heil und Segen pranget.*^[62]

Auto jedzie Emmalaan, powoli i niepewnie. Zaciekawione twarze pojawiają się w oknach; tu od miesięcy nie widziano samochodu osobowego, w minionych latach tylko pojazdy wojskowe. W to ciche niedzielne popołudnie wysokie tony oboju Haakona docierają daleko od domu. Nagle wóz zatrzymuje się. Drzwi się otwierają, ktoś biegnie ścieżką.

Palce Pieta tańczą na klawiszach, jego tułów kołysze się w rytm muzyki Bacha. Przygląda się z zadowoleniem, jak w pełnym salonie ludzie z przymkniętymi oczami czerpią przyjemność z muzyki. Nagle tuż za oknem pojawia się twarz. Dwoje dużych brązowych oczu, czarne sterzące włosy. Pani Kramer śpiewa dalej, ale jego ręce sztywnieją nad klawiaturą. Zeskakuje ze stołka, mija skrzydło fortepianu, biegnie wśród publiczności do drzwi wejściowych i bierze Lientje w ramiona. Całują się i płaczą, i prawie się zgniatają. Lien jest tak chuda, że Eberhard czuje to na własnych kościach. Trzymając się za ręce, wchodzi do środka, gdzie wszyscy stoją z błyszczącymi od łez oczami i chusteczkami w dłoniach, radośni z powodu tego wyjątkowego ponownego połączenia. Lien przyjęto owacją na stojąco. Także Haakon przytula ją do piersi i koncert się kończy.

– Nie, nie, nie przerywajcie!

Lien siada na jednym z krzeseł i patrzy pełna oczekiwania na swojego mężczyznę.

– Tak długo nie słyszałam dobrej muzyki, proszę, kontynuujcie.

Patrzają pytająco na Eberharda, krótkie skinienie głową, i z powrotem zajmują swoje miejsca. Pani Kramer jest tak przejęta, że pomiędzy nutami pociąga nosem, ale kiedy Haakon swoim solo wprowadza ostatnią arię, jej głos trafia bezbłędnie we właściwe tony, a palce Eberharda nie pomijają żadnego klawisza. Ogłuszający aplauz wypełnia dom i ulicę; wszyscy stoją i biją brawo, aż bledną im od tego dłonie. Tylko Lien siedzi na krześle, zbyt wycieńczona, żeby wstać. Eberhard klęka przed nią i bierze jej szczupłą twarz w swoje ręce.

– Jutro przywiozę Kathinkę od Cilli i Alberta z Wassenaar i wtedy znów będziemy razem.

Na dworze samochód rusza i opuszcza ulicę. Lien chciałaby podziękować dentyście za to, co dla nich zrobił, ale on po cichutku wyszedł. Nigdy nie dowiedzieli się, jak się nazywał.

EPILOG

Człowieku, odważ się żyć (bis)

W oddali słycać szum autostrady A1, a pod moimi stopami szeleszczą wyschnięte liście, poza tym jest cicho i pusto. Światło między drzewami pada na grób wyglądający jak dawne łóżeczko dziecięce: zardzewiałe pręty, nagrobek, który przypomina wezglowie. Spomiędzy prętów wyrastają chwasty. Podchodzę tam, próbuję dojrzeć nazwisko, część roku, nic. Następny. Zapadnięty kamień, gdzie tuż przed nazwiskiem wyrosła młoda choinka. Odchylam ją na bok, żeby zobaczyć litery. Pozacierane. Idę dalej, wzdłuż pozbawionych głów aniołów i wykruszonych kolumn wyraźnie odcinających się na tle nieba. Ostrożnie stawiam duże kroki na grubej warstwie liści, ale przy każdym kroku kilka przyczepia się do obcasów. Wydaje się, że jest jesień, ale to najgorętszy dzień roku: trzydzieści siedem stopni. Fala upałów w Holandii.

Przez pierwsze pół godziny szukałam na cmentarzu rzymskokatolickim. Weszłam przy ruchliwym skrzyżowaniu Brediusweg i Amersfoortsestraatweg, od strony drogi równoległej do głównej i wyszłam prosto na rozległe pole; od ulicy groby były wyraźnie widoczne. Cmentarz bardzo zadbany, z lśniącymi nagrobkami i wyznaczonymi ścieżkami. Starsza pani z konewką pielęgnowała grób męża; jak mi się zwierzyła – co tydzień któregoś dnia rano. Było tam niewiele drzew, słońce prażyło mnie w czubek głowy, a pot spływał po skroniach, jednak kąciem oka widziałam tę kobietę, jak zmierza zdecydowanie tam i z powrotem do kranu z wodą.

Szłam i czytałam, rząd po rzędzie, nagrobek po nagrobku. Daty przypominające mi dziadków i daty przypominające przyjaciół. Daty przypominające dzieci pomijałam; po jakimś czasie byłam już pośrodku cmentarza i rozglądałam się, obracając powoli. Wszystko wydawało mi się tutaj zbyt nowe, pełne zbyt świeżo zmarłych. Przypominałam sobie artykuł o braku miejsca w Holandii i usuwaniu starych grobów. Zaczęłam tracić nadzieję. Starsza pani obserwowała mnie uważnie przez cały czas i w końcu nie wytrzymała.

– Kogo szukasz, dziecko?

Stałyśmy naprzeciwko siebie, oddzielone dziesięcioma rzędami nagrobków. Wyjaśniłam jej, a ona zaczęła się zastanawiać, patrzyła w dal, a pełna konewka ciągnęła jej rękę w dół. Czułam się winna. Oczywiście ta kobieta nie mogła wiedzieć, gdzie powinnam szukać, więc tylko niepotrzebnie zawracałam jej głowę.

– Byłaś już na Starym Cmentarzu?

Aż podskoczyłam.

– A to nie tutaj?

Zaśmiała się i pokręciła głową.

– To jest cmentarz katolicki, a tam leżą protestanci i Żydzi.

Wskazała między drzewa za nami.

– Stary Cmentarz Naarden?

Kiwnęła głową, a ja, wciąż jej dziękując, ruszyłam przed siebie zadowolona z tej nowej możliwości. Ale nie spodziewałam się zbyt wiele po jakimś niewielkim, zapadłym kącie wciśniętym między dzielnicę mieszkaniową a skrzyżowanie z hotelem Jan Tabak.

– Pójdę z tobą.

Kobieta szła w tę samą stronę w pewnej odległości obok mnie, w rękę nadal trzymała konewkę. Spotkałyśmy się przy bramie.

– Patrz. – Wskazała na ścieżkę znikającą pomiędzy drzewami. – Jak pójdziesz tą ścieżką, dojdiesz do ogrodzenia po lewej stronie. To jest Stary Cmentarz Naarden. Nie wiem, czy można tam wejść.

Podziękowałam raz jeszcze i poszłam ścieżką wśród zarośli. Drzewa zamykały się za moimi plecami i nagle znalazłam się w morzu zieleni. Wysokie stalowe ogrodzenie pomiędzy zapadniętymi słupami. Zamknięte. Na lewo trochę niższe ogrodzenie. Pchnięcie, dźwięk zgrzytającego metalu i byłam w środku.

Cmentarz jest ogromny, pewnie ze trzy razy większy niż ten, na którym przed chwilą byłam, i piękny. Przede mną rozciąga się główna aleja wysadzana lipami. Po obu stronach masa nagrobków zarośniętych zielenią. Szary kamień

ciosowy otoczony dziką trawą, drewniane krzyże ozdobione girlandami bluszczu i popękane marmurowe płyty, z których wyrasta aksamitny mech. Zorganizowany chaos podzielony na kwatery szpalerami cisów. Spaceruję pomiędzy zardzewiałymi ogrodzeniami i dzikimi krzakami, zatrzymuję się przy neogotyckim kościółku na rodzinnym grobie, odkrywam maleńkie kapliczki i ponadczasowe ornamenty i mam wrażenie, jakbym na jednym z najruchliwszych skrzyżowań het Gooi odkryła tajne miejsce.

Nie mogę sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek wcześniej była równie jak teraz zaskoczona jakimś miejscem w tej okolicy. Jednak tak, uświadamiam sobie nagle, jeden raz wcześniej: kiedy po raz pierwszy wjechałam na leśną ścieżkę wiodącą do Wysokiego Gniazda i rozpostarły się przede mną dom i ogród. Tak jak ten dom stał tam na wzniesieniu, okazały i ponadczasowy, odwrócony plecami do dzielnicy mieszkaniowej zbudowanej wokół niego i ze spojrzeniem skierowanym na las i na wodę, obojętny na pęd codzienności. Oniemiałam. Bezpieczna przystań. Miejsce zapraszające, by się ku niemu wspiąć, śmiejąc się na cały głos, albo by siedzieć w ciszy na ławce i rozgarniać ogień. Bardziej zainspirowany chęcią oderwania się od pracy i ospałością wynikającą z upału niż będący kolejnym niezbędnym krokiem w moich poszukiwaniach spontaniczny plan, żeby w to piątkowe popołudnie ruszyć na poszukiwanie grobu, wydaje się nagle całkowicie logiczny.

Tu, gdzie teraz stoję, musiało być czarno od ludzi tego zimowego piątkowego popołudnia, 18 listopada 1932 roku. Ścieżki cmentarza wypełnione setkami żałobników; mężczyźni w długich, wełnianych paltach i wysokich kapeluszach, starannie uczesane kobiety w pięknych futrach. Obecni byli wszyscy wybitni przedstawiciele holenderskiego świata sztuki i teatru. Artysta kabaretowy Louis Davids, śpiewaczka operowa Antoinette van Dijk, Stella Fontaine – babcia tak uwielbianej u mnie w domu prezenterki Dieuwertje Blok – duet kabaretowy Tholen i van Lier, pierwszy holenderski autor powieści detektywistycznych Jakob van Schevichaven publikujący pod pseudonimem Ivans. Nie byli tu bez powodu: Dirk Witte był znanym holenderskim *avant la lettre* tekściarzem, pierwszym, którego piosenki cieszyły się sławą w całym kraju. Razem z Jeanem-Louise Pisuisse'em uznawany był za pioniera holenderskiego kabaretu. Jego śmierć wywołała szok. Trzy dni wcześniej pożegnał się z przyjaciółmi w kawiarni Schiller na placu Rembrandtplein, źle się poczuł

w samochodzie w drodze do domu i wjechał do kanału Weespertrekvaart. Kilka lat wcześniej Pisuisse także skończył tragicznie, kiedy zwolniony przezeń śpiewak zastrzelił jego i jego żonę na placu Rembrandtplein. Piosenki Wittego były nierozdzielnie związane z I wojną światową i dlatego zapisały się w zbiorowej pamięci Holendrów. Jego żona, Jet Looman, kazała wyryć na kamieniu nagrobnym ostatnią zwrotkę jego najsłynniejszej piosenki *Mensch, durf te leven* [Człowieku, odważ się żyć].

Życie jest piękne, życie to wspaniałość
Lecz – wyfruń z gniazda, musisz iść na całość!
Człowieku, odważ się żyć!
Więc pierś wypięta dumnie i do góry głowa.
Wy, co się tak wymądrzacie, nic mi tutaj po was!
Ważne jest serce mieć pełne ciepła i miłości
Lecz w swoich sprawach bądź panem na włościach!
Nikt ci nie będzie mówił, jaki ty masz być!
Człowieku, odważ się żyć!^[63]

Grób już prawdopodobnie w 1971 roku był do tego stopnia zaniedbany, że tekstu nie dało się odczytać. W 2005 roku Witte został przeniesiony do mogiły rodzinnej Loomanów. Szukałam jej już ponad godzinę bez powodzenia.

Siadam na ławce w cieniu pod drzewami i myślę o długiej drodze, która mnie tu przywiodła, odkąd w 2012 roku zamieszkaliśmy w Wysokim Gnieździe. Przystudiowałam dzieje prześladowania Żydów, historię obozów koncentracyjnych i sytuację polityczną tamtych czasów. Zrekonstruowałam osobno każdy rok wojny i prześledziłam drogę rodziny Brilleslijperów. Próbowałam sporządzić własną „kartę punkcików” z członkami NSB w het Gooi, zagłębiałam się w rolę holenderskiej elity i szukałam prawidłowości w działaniach ruchu oporu. Co roku 4 i 5 maja^[64] ustawiałam przed Wysokim Gniazdem stolik z księgą gości, w której opisałam krótko historię wojenną tego miejsca i zamieściłam prośbę o informacje o tych czasach.

W archiwum Fundacji Shoah założonej przez Stevena Spielberga znalazłam zdjęcia ukrywających się tu dzieci, które bawiły się w naszym ogrodzie, a przez amerykańskie uniwersytety dotarłam do anegdot o samym domu i działalności

ruchu oporu. Szukałam kontaktu z ekspertami, biografami, rodziną i przyjaciółmi, nawiązałam wyjątkową więź z dziećmi Janny i Lien i powierzono mi historie, których nie mógłby wymyślić nawet autor najlepszych scenariuszy. Otrzymałam dostęp do osobistej spuścizny po Janny w archiwum Anne Frank, gdzie znalazłam listy obu siostr i ich bliskich, a także odręcznie napisane oświadczenie Janny, że Anne i Margot Frank zmarły w jej obecności w Bergen-Belsen. Pojechałam do Izraela i znalazłam tam więcej informacji o Wysokim Gnieździe niż w Holandii, ale od ludzi, których tam spotkałam, słyszałam przede wszystkim usilną prośbę: opowiedz tę historię, bo jest inna niż wiele historii znanych światu. Żydzi nie pozwolili się bezwolnie prowadzić na śmierć – byli także z całą pewnością żydowscy członkowie ruchu oporu. Na dodatek kobiety!

Dzieci ukrywające się w Wysokim Gnieździe mają obecnie po siedemdziesiąt lat. Przyjechały z różnych stron z powrotem do tego domu i zobaczyły, że tam, gdzie bawiły się w czasie wojny, teraz, w czasach wolności, bawią się moje dzieci. Biurko, przy którym powstała ta książka, znajduje się tuż nad skrytką, gdzie błyskawicznie schowano wszystkie ważne dokumenty, kiedy łowcy Żydów otoczyli dom. Uświadamiam sobie, że prawdziwe odrestaurowanie Wysokiego Gniazda nie polegało na odnowieniu ścian, ale na rekonstrukcji wyjątkowych wydarzeń, które się w tych ścianach rozegrały.

Słońce tymczasem prawie zniknęło. Mroczne cienie otuliły groby, ciepłe powietrze unosi się między drzewami. Wstaję i szukam nadal. Kilka kilometrów dalej czekają na mnie pustulka i zimne piwo, ale nie odejdę, dopóki nie znajdę Dirka. Nagle pomiędzy liśćmi dostrzegam lśniąca szarą powierzchnię wystającą nad ziemię, niezniszczoną, niezarośniętą; jakby ktoś się mnie spodziewał i właśnie przetaił ją chusteczką. Podchodzę do niej i oto jest, w grobie rodzinnym Loomanów: Dirk Witte, 1885–1932. Poza tym kamień jest pusty, jego znane wezwanie do walki zniknęło. Nie szkodzi. Chciałabym opowiedzieć Dirkowi, jak Janny i Lien w tym wybudowanym przez niego domu wprowadzały w życie jego słowa. Wspomnienie o wojnie wydaje się zamglone, ale ich nieustraszoną na zawsze wyryta jest w murach Wysokiego Gniazda.

Nikt ci nie będzie mówił, jaki ty masz być!

Człowieku, odważ się żyć!^[65]

PO WYSOKIM GNIEŹDZIE

Joseph Brilleslijper, urodzony 27 lutego 1891 roku, 6 września 1944 roku przybył do Auschwitz-Birkenau i najprawdopodobniej od razu po przybyciu został zagazowany.

Fijtje „Fietje” Brilleslijper-Gerritse, urodzona 14 stycznia 1891 roku, 6 września 1944 roku przybyła do Auschwitz-Birkenau i najprawdopodobniej od razu po przybyciu została zagazowana.

Rebekka „Lien” Rebling-Brilleslijper, urodzona 13 grudnia 1912 roku, zmarła 31 sierpnia 1988 roku. W 1952 roku przeprowadziła się do Berlina Wschodniego i z tego powodu odebrano jej obywatelstwo holenderskie. Kiedy w marcu 1964 roku przyleciała do Holandii na ślub siostrzenicy, Liselotte, została otoczona na lotnisku Schiphol przez policję do spraw cudzoziemców. Janny była wściekła i zadzwoniła do jednej z wpływowych osób z kręgu swoich przyjaciół, żeby uwolniono traumatyzowaną siostrę i wydano jej holenderski paszport, co się w końcu udało. Lien do późnego wieku występowała na całym świecie z repertuarem w jidysz oraz z pieśniami ruchu oporu, między innymi z Eberhardem oraz ich córkami Kathinką i Jaldą.

Marianne „Janny” Brandes-Brilleslijper, urodzona 24 października 1916 roku, zmarła 15 sierpnia 2003 roku. Janny, Bob i ich dzieci mieszkali w domu nad rzeką Amstel. Janny – także po wojnie wraz z Bobem – bardzo ostro występowała przeciwko wciąż otwarcie demonstrowanemu w Holandii antysemityzmowi i przez resztę życia była zaangażowana w działania podtrzymujące pamięć o ofiarach wojny – działała między innymi w Międzynarodowym Komitecie Oświęcimskim, fundacji Anne Frank Stichting oraz fundacji Stichting 40–45. Co roku podczas obchodów wspomnieniowych strajku lutowego Janny gotowała wielki garnek zupy z soczewicy dla ludzi wracających na mrozie spod pomnika Dokera niedaleko ich domu.

Jacob „Japie” Brilleslijper, urodzony 7 czerwca 1921 roku, przybył do Auschwitz 6 września 1944 roku, gdzie zginął po 15 września 1944 roku, najprawdopodobniej 30 września 1944 roku.

Eberhard Rebling, urodzony 4 grudnia 1911 roku, zmarł 2 sierpnia 2008 roku. Jako jeden z pierwszych Niemców otrzymał po wojnie obywatelstwo holenderskie. Był redaktorem muzycznym „De Waarheid”. W 1952 roku przeprowadził się do Berlina Wschodniego, dlatego odebrano mu obywatelstwo holenderskie. W Berlinie został dyrektorem konserwatorium. Otrzymał medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, przyznawany przez instytut Yad Vashem.

Bob Brandes, urodzony 20 lutego 1912 roku, zmarł 27 września 1998 roku. Pracował między innymi w gminnym żyrobanku i do końca był podporą i ostoją dla Janny, która musiała uporać się z wieloma stratami w rodzinie i utrzymującymi się przez całe życie skutkami wojennej przeszłości. Bob cierpiał na ciężką formę epilepsji i musiał przyjmować dużo leków; Janny mówiła często: „Ach, gdyby żył jeszcze Gerrit [Kastein]; powiedział, że po wojnie mu pomoże”.

Kathinka Rebling, urodzona 8 sierpnia 1941 roku. Przeprowadziła się jako dziecko z rodzicami do NRD, od dziecięcych lat pobierała lekcje gry na skrzypcach, w wieku osiemnastu lat rozpoczęła studia w moskiewskim konserwatorium i obroniła doktorat, idąc w ślady ojca jako muzykolożka. Wróciła do Berlina, żeby uczyć innych, i dawała na całym świecie koncerty oraz prowadziła kursy mistrzowskie.

Jalda Rebling, urodzona 13 lutego 1951 roku w Amsterdamie, rok później przeprowadziła się z rodzicami i siostrą Kathinką do NRD. Studiowała w Szkole Teatralnej w Berlinie, została aktorką teatralną i piosenkarką, specjalizującą się w żydowskiej muzyce europejskiej. Jest kantorem i przywódcą duchowym Kongregacji Ohel Beit Ha-Chidush w Berlinie.

Robert Brandes, urodzony 10 października 1939 roku. Rzeźbiarz zamieszkały w Holandii.

Liselotte Brandes, urodzona 6 września 1941 roku, zamieszkała w Holandii.

Jetty Druif, urodzona 16 stycznia 1919 roku, 31 lipca 1944 roku deportowana do Theresienstadt, 28 września 1944 roku przewieziona do Auschwitz, zmarła tam 3 października 1944 roku.

Simon Isidoor van Kreveld, urodzony 27 stycznia 1921 roku, 31 lipca 1944 roku deportowany do Theresienstadt, od 28 września 1944 roku w Auschwitz, zmarł tam 3 października 1944 roku.

Pauline (Puck) van den Berg-Walvisch (czasem w pisowni Paulina albo Walvis), urodzona 26 maja 1924 roku, 3 września 1944 roku deportowana do Auschwitz-Birkenau, 27 października 1944 roku przewieziona do Liebau (obecnie Lubawka), filii obozu Gross-Rosen, który 8 maja 1945 roku został wyzwolony przez Rosjan. 11 czerwca 1945 roku wróciła do Holandii. Obecna sytuacja nieznana.

Abraham „Bram” Teixeira de Mattos, urodzony 31 maja 1888 roku, około 6 września 1944 roku przybył do Auschwitz-Birkenau i został zagazowany 31 października 1944 roku.

Louise „Loes” Teixeira de Mattos-Gompes, urodzona 12 sierpnia 1890 roku, około 6 września 1944 przybyła do Auschwitz-Birkenau i najprawdopodobniej zaraz po przybyciu została zagazowana.

Rita (Grietje) Jaeger, urodzona w 1920 roku, pozostała jako pracownica w Westerbork aż do wyzwolenia w kwietniu 1945 roku. Zmarła 30 listopada 2015 roku.

Chaim Wolf (Willi) Jaeger, urodzony 17 marca 1914 roku, pozostał w obozie Westerbork jako piekarz aż do wyzwolenia w kwietniu 1945 roku. Zmarł

w 2006 roku.

Jan Hemelrijk, urodzony 28 maja 1918 roku, zmarł 16 marca 2005 roku, po wojnie pracował jako profesor statystyki na uniwersytecie w Amsterdamie. W książce *De Avonden* [Wieczory] Gerarda Revego postaci Hermana i Lidii są wzorowane na Janie i Aleid Hemelrijkach. Jan wraz z Bobem van Amerongenem był założycielem słynnej grupy ruchu oporu PP – nazwanej tak od fantastycznych stworów Porgel i Porulan z wiersza *De Blauwbilgorgel* Ceesa Buddingha^[66]. Loes Gompes i Sander Snoep nakręcili o tym film dokumentalny *Fatsoenlijk land* [Przyzwoity kraj]. Po śmierci ojca Jana, Jaapa Hemelrijka w 1973 roku, ścieżka leśna wychodząca na ulicę Buerweg – gdzie Janny przebywała z resztą rodziny – otrzymała nową nazwę: Hemelrijklaantje.

Aleid Hemelrijk-Brandes, urodzona 16 grudnia 1914 roku, zmarła 28 listopada 1999 roku.

Leo Fuks, urodzony 29 grudnia 1908 roku, zmarł 12 lipca 1990 roku. Po wojnie wykładowca uniwersytecki zajmujący się współczesnym hebrajskim oraz jidysz.

Louise Christine „Loes” Fuks-de Betue, urodzona w 1905 roku, zmarła w 1962 roku.

Maarten „Mik” van Gilse, urodzony 2 czerwca 1916 roku, rozstrzelany 1 października 1943 roku.

Jan Hendrik „Janrik” van Gilse, urodzony 5 czerwca 1912 roku, zastrzelony przez Sicherheitsdienst podczas próby ucieczki 28 marca 1944 roku.

Jan van Gilse, urodzony 11 maja 1881 roku, zmarł 8 września 1944 roku.

Gerrit van der Veen, urodzony 26 listopada 1902 roku, rozstrzelany 10 czerwca 1944 roku. Dawna siedziba główna Sicherheitsdienst oraz ulica Euterpestraat w Amsterdamie zostały po wojnie nazwane jego imieniem: Gerrit van der

Veenschool (obecnie Gerrit van der Veen College) oraz Gerrit van der Veenstraat.

Elleke Spijer, urodzona 20 lipca 1924, zmarła 4 marca 1973 roku w Haren.

Herbert Spijer, urodzony 25 kwietnia 1925 roku, zmarł 25 sierpnia 1948 roku w Enkhuizen.

Dirk Uipko Stikker, urodzony 5 lutego 1897 roku, zmarł 23 grudnia 1979. Dyrektor firmy Heineken w latach 1935–1948. Po wojnie między innymi pierwszy przewodniczący Partii Ludowej na rzecz Wolności i Demokracji (VVD).

Frits Reuter, urodzony 19 lutego 1912 roku, zmarł 8 listopada 1985 roku. Po wojnie członek izby niższej parlamentu z ramienia Komunistycznej Partii Holandii i przewodniczący związków zawodowych.

Rhijnvis Feith, neurolog z Hagi, urodzony w Utrechcie 21 lipca 1909 roku, zmarł w Hadze 13 stycznia 1964 roku.

Gerrit Kastein, urodzony 25 czerwca 1910 roku, zmarł 21 lutego 1943 roku. 20 czerwca 2017 roku pokój w Binnenhofie, budynku parlamentu, z którego okna Gerrit wyskoczył, został nazwany jego imieniem: Gerrit Kasteinkamer.

Karel Emanuel Poons, urodzony 14 sierpnia 1912 roku, zmarł 12 marca 1992 roku. Po wojnie współzałożyciel i dyrektor akademii tańca Scapino Dansakademie.

Marion Pritchard–van Binsbergen, urodzona 7 listopada 1920 roku, zmarła 11 grudnia 2016 roku. Po wojnie pracowała dla UNRR-y w Niemczech, w 1947 roku przeniosła się wraz z mężem do Stanów Zjednoczonych, gdzie prowadziła między innymi praktykę psychologiczną i do śmierci dawała odczyty na temat Holocaustu. Otrzymała medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przyznawany przez instytut Yad Vashem.

Fred Lodewijk Polak, urodzony 21 maja 1907 roku, zmarł 17 września 1985 roku. Po wojnie dyrektor Centraal Planbureau, członek izby wyższej parlamentu, profesor, założyciel i pierwszy przewodniczący akademii telewizyjnej Teleac.

Grietje Kots, urodzona 7 stycznia 1905 roku, zmarła 13 maja 1993 roku. Malarka i rzeźbiarka. Po wojnie pracowała jako twórczyni masek, lalek i marionetek.

Anton Mussert, urodzony 11 maja 1894 roku, 12 grudnia 1945 roku skazany na śmierć i 7 maja 1946 roku stracony na równinie Waalsdorpervlakte.

Eduard „Eddy” Moesbergen, urodzony 26 czerwca 1902 roku. Po wojnie ścigany i skazany na śmierć w listopadzie 1948 roku. W 1949 roku ułaskawiony przez królową Julianę; kara została zamieniona na dożywocie. W 1959 roku ponownie ułaskawiony, karę skrócono do dwudziestu trzech lat (najdłuższa kara ze wszystkich członków kolumny Henneickego). W 1961 roku został wypuszczony i wyemigrował do Nowej Zelandii, do żony i dzieci. Zmarł 8 listopada 1980 roku.

Willi Lages, urodzony 5 października 1901 roku, zmarł 2 kwietnia 1971 roku. Po wojnie ścigany i skazany na śmierć, dzięki ułaskawieniu kara zamieniona na dożywocie. W 1955 roku internowany, w 1966 roku otrzymał „ze względów humanitarnych” (miał problemy z jelitami) przerwę w karze na maksymalnie trzy miesiące. Wyjechał do Niemiec, został zoperowany i żył od tej chwili jako wolny człowiek, ponieważ nie można było dokonać jego ekstradycji.

Harm Krikke, urodzony w 1896 roku, po wojnie ścigany i skazany na śmierć, po ułaskawieniu kara zamieniona na dożywocie. Data śmierci nieznana. W gazecie „Frise Koerier” z 15 lipca 1969 roku pojawił się nekrolog Harna Krikkego, z datą zgonu 12 lipca 1969 roku, ale nie jest pewne, czy chodzi o tę samą osobę.

Willem Punt, urodzony 12 października 1894 roku w Ransdorp. W czasie wojny detektyw policji w Amsterdamie, po wojnie oskarżony, zmarł 31 marca 1963 roku w Amsterdamie.

Annie Bochove, urodzona 9 lipca 1913 roku. Zaraz po wojnie, na początku 1946 roku, małżeństwo Bochove poprosiło o dokumenty emigracyjne, chcieli przeprowadzić się do Stanów Zjednoczonych. Dokumenty przysły dopiero 16 lipca 1949 roku i tego samego dnia Annie zmarła. Otrzymała pośmiertnie medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przyznawany przez instytut Yad Vashem.

Bert Bochove, urodzony 1 października 1910 roku, wyemigrował po wojnie do Stanów Zjednoczonych, gdzie zmarł w Kalifornii 13 sierpnia 1991 roku. Otrzymał medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przyznawany przez instytut Yad Vashem.

Eva Besnyö, urodzona 29 kwietnia 1910 roku, zmarła 12 grudnia 2003 roku. Po wojnie była sławna jako fotografka.

Mieke Stotijn-Lindeman, później Riezouw-Lindeman, urodzona 15 grudnia 1914 roku, zmarła 23 kwietnia 2009 roku. Po wojnie działała w socjaldemokratycznej Partii Pracy (Partij van de Arbeid, PvdA), założycielka dzielnicowego centrum kultury Vondelpark-Concertgebouwbuilt w Amsterdamie.

Haakon Stotijn, urodzony 11 lutego 1915 roku, zmarł 3 listopada 1964 roku. Po wojnie solista oboista w orkiestrze filharmonii w Amsterdamie.

Kurt Kahle, urodzony 18 października 1897 roku, zginął w 1953 roku w wypadku samochodowym. Po wojnie operator filmowy i dokumentalista.

Marianne Gerritse-Lootsteen (matka Fijtje), urodzona 28 maja 1858 roku, zmarła 23 grudnia 1916 roku.

Jacob Gerritse (ojciec Fijtje), urodzony 19 sierpnia 1858 roku, zmarł 27 grudnia 1936 roku.

Isaac Gerritse (brat Fijtje), urodzony 5 maja 1882 roku, zmarł w Auschwitz 27 sierpnia 1943 roku; pięcioro z sześciorga jego dzieci zginęło w obozach koncentracyjnych.

Mozes Gerritse (brat Fijtje), urodzony 15 sierpnia 1895 roku, zmarł w obozie pracy Jawischowitz (Jawiszowice, kopalnia węgla), przy Auschwitz 1 stycznia 1944 roku. Jego żona i dwójka dzieci zginęli w obozach koncentracyjnych.

Debora Beesemer-Gerritse (siostra Fijtje), urodzona 7 stycznia 1898 roku, zmarła w Sobiborze 21 maja 1943 roku. Jej mąż i trójka z jej czwórki dzieci zmarli w obozach koncentracyjnych.

Alexander Gerritse (brat Fijtje), urodzony 10 listopada 1900 roku, zmarł w Auschwitz w 1942 albo 1943 roku, jego żona i trójka dzieci zginęli w obozach koncentracyjnych.

Trees Lemaire, urodzona 15 stycznia 1919 roku, zmarła 10 grudnia 1998 roku. Po wojnie właścicielka galerii w Amsterdamie, szefowa wydziału filmów dokumentalnych VARA i członkini izby niższej z ramienia Partii Pracy. Trees i Janny były najlepszymi przyjaciółkami aż do śmierci.

Carolina „Lily” Biet-Gassan, urodzona 20 lipca 1913 roku, zmarła 14 października 1975 roku.

Anita Leeser-Gassan, urodzona 17 września 1935 roku, po wojnie adwokat i sędzia rodzinna, wiceprezes sądu w Amsterdamie.

Edith Frank-Hollander, urodzona 16 stycznia 1900 roku, zmarła 6 stycznia 1945 roku. Kiedy Anne i Margot Frank pod koniec października zostały wysłane do Bergen-Belsen, żyły w błędnym przekonaniu, że ich matka została wysłana do

komory gazowej w Auschwitz. Edith umarła jednak wkrótce potem z powodu choroby i wycieńczenia w Auschwitz.

Otto Frank, urodzony 12 maja 1889 roku, zmarł 19 sierpnia 1980 roku. 27 stycznia 1945 roku Rosjanie wyzwolili obóz w Auschwitz i Otto wrócił do Holandii; bezustannie szukał informacji o losie swoich córek Anne i Margot. Czerwony Krzyż skierował go do sióstr Brilleslijper. W lipcu 1945 roku odwiedza zarówno Lien, jak i Janny, od których dowiaduje się, że Anne i Margot zmarły w Bergen-Belsen.

Margot Frank, urodzona 16 lutego 1926 roku, zmarła w lutym lub marcu 1945 roku w Bergen-Belsen.

Anne Frank, urodzona 12 czerwca 1929 roku, zmarła w lutym lub marcu 1945 roku w Bergen-Belsen.

Ida (Simons-) Rosenheimer, urodzona 11 marca 1911 roku, zmarła 27 czerwca 1960 roku. We wrześniu 1943 roku deportowana do Westerbork, gdzie grała jako pianistka w orkiestrze obozowej. We wrześniu 1944 roku deportowana do Theresienstadt, w lutym 1945 roku przewieziona do Szwajcarii, a latem 1945 roku wróciła do Holandii. Po wojnie została sławną pisarką, jej książka *Een dwaze maagd* [Zwariowana dziewczyna] z 1959 roku stała się bestsellerem.

Alexander de Leeuw, urodzony 15 maja 1899 roku, podczas okupacji ukrywał się od czasu do czasu, w maju 1941 roku aresztowany i w lipcu 1942 roku wsadzony do transportu do Auschwitz, gdzie 4 sierpnia 1942 roku został zagazowany.

Kees Schalker, urodzony 31 lipca 1890 roku. Pod koniec 1943 roku został złapany podczas konspiracyjnego zebrania komórki Komunistycznej Partii Holandii i 12 lutego 1944 roku rozstrzelany na równinie Waalsdorpervlakte.

PODZIĘKOWANIA

Ta wyjątkowa opowieść mogła powstać tylko dzięki pomocy innych i mam dług wdzięczności wobec wielu osób. Dziękuję mieszkańcom okolicznych wsi, którzy zagłębiali się w swojej pamięci, starych dokumentach i zostawiali zdjęcia w mojej skrzynce na listy, przychodzili do mnie albo wysyłali mi mejle pełne osobistych historii.

Rodzinom ofiar wojny, które tak odważnie chciały ze mną współpracować i wspierały mnie mimo własnego obudzonego w ten sposób bólu i smutku.

Pisarzom i historykom, których wiedzę mogłam wykorzystywać i którzy mnie inspirowali, między innymi świętej pamięci Evelien Gans – tak bardzo chciałabym przekazać jej egzemplarz tej książki.

Archiwistom w wydawnictwach prasowych, bibliotekach, dawnych obozach koncentracyjnych i archiwach w kraju i za granicą, którzy z takim zapałem szukali razem ze mną, a także z własnej inicjatywy dostarczali mi więcej informacji.

Osobom z okolicy Wysokiego Gniazda, które z sympatią zaakceptowały naszą rodzinę, dostarczały mi zdjęć, informacji, anegdot i od czasu do czasu miały oko na wszystko, a byli to między innymi: Fransje Sydzes-Westerman, Frans Bianchi, Randi i Alois Stasowie, babcia Aartje i dziadek Lambert Kruyningowie, Maria Wesselius, rodziny Kosów i Westlandów, Marijke i Nico Buijsowie i wielu innych.

Holenderskiej fundacji Nederlands Letterenfonds, pracownikom fundacji Anne Frank Stichting, pracownikom Yad Vashem, Loes Gompes, Davidowi Shneerowi, Co Rol, Sylvii Braat, Louise Paktor, Buckowi Goudriaanowi, Marise Rinkel Bochove i Paulowi Schiffersowi.

Mistrzom w pisarskim fachu Willy'emu Lindwerowi i Adowi van Liemptowi, którzy w krytycznych momentach popychali mnie do działania.

Całej ekipie Lebowski Publishers i wydawnictwa Uitgeverij Overamstel i szefowi wszystkich szefów Oscarowi van Gelderenowi, *my jaunty publisher*

with an impish smile.

Mojemu redaktorowi i kumpłowi Jasperowi Hendersonowi, człowiekowi, który w chwili, kiedy chcesz wyrzucić całą swoją pracę przez okno, mówi ci, że najpierw powinnaś spokojnie zjeść banana.

Dzieciom Janny i Lien, które przyjęły mnie jak swoją z miłością, obdarzyły zaufaniem i własnymi wspomnieniami oraz udostępniły wszystkie osobiste dokumenty obu sióstr; mogę mieć tylko nadzieję, że oddałam wam sprawiedliwość.

Mojej kochanej rodzinie i przyjaciołom, którzy mnie wspierali i rozumieli moją fizyczną, a często także duchową nieobecność.

Wreszcie mojej pierwszej, i mam nadzieję ostatniej, miłości Jorisowi – jest dla mnie jak Merlin dla Dory, a czasem jak Creed dla Rocky’ego – mojej nadprogramowej córce Anne i moim dzieciom Josephine, Ducowi i Ceesowi, które w trudnych chwilach zasypywały mnie buziakami, przytuleniami, omletami z majonezem i torebkami cukierków; uszczęśliwicie mnie bardziej, niż możecie to sobie wyobrazić.

Zanurzenie przez dłuższy czas w szczegółach dotyczących Holocaustu bardzo zmienia człowieka, jednak z przekory, odwagi i humoru sióstr Brilleslijper mogę czerpać przez całe życie. Na koniec pragnę przytoczyć słowa innego bojownika ruchu oporu, Alberta Camusa: „Au milieu de l’hiver, j’apprenais enfin qu’il y avait en moi un été invincible” (W środku zimy zrozumiałem wreszcie, że mam w sobie niezniszczalne lato^[67]).

ŹRÓDŁA

Ta opowieść powstała na podstawie informacji z niezliczonych źródeł, część z nich stanowi historia mówiona. Prawie wszystkie historie zweryfikowałam w różnych źródłach lub oficjalnej dokumentacji. Jeden aspekt pozostaje niejasny. Janny Brilleslijper zawsze powtarzała, że rodzinę Franków widziała po raz pierwszy na Dworcu Głównym w Amsterdamie, chociaż wtedy jeszcze nie znała ich osobiście. Na listach Holenderskiego Czerwonego Krzyża osób wywożonych z Amsterdamu do Westerbork nazwiska rodziny Frank i Janny Brilleslijper nie są zapisane pod tą samą datą. Może to oznaczać, że Janny się pomyliła albo źle zapamiętała, albo na listach wystąpił błąd administracyjny, co wielokrotnie się zdarzało. Biorąc pod uwagę, że w całej opowieści podążam za wspomnieniami Janny, a ona była zawsze konsekwentna i dbała o szczegóły, postanowiłam trzymać się jej wersji.

Dokumenty osobiste i wywiady

Bouwtekening, vergunningaanvraag en staat van inlichtingen van de architect bij de bouw van 't Hooge Nest [Projekt architektoniczny, podanie o pozwolenie na budowę oraz wyjaśnienia architekta w odniesieniu do budowy Wysokiego Gniazda], 1920

Brandes-Brilleslijper Janny, *Eberhard Rebling: 90 jaar!, memoires voor besloten kring van Janny Brandes-Brilleslijper* [Wspomnienia dla zamkniętego kręgu Janny Brandes-Brilleslijper], 2001

Brandes-Brilleslijper Janny, *Voltooid en onvoltooid verleden tijd*, memoires voor besloten kring, van Janny Brandes-Brilleslijper [Czas przeszły dokonany i niedokonany, wspomnienia dla zamkniętego kręgu], 1986

Briefwisselingen en documenten van het Nederlandse Rode Kruis [Wymiana korespondencji i dokumenty Holenderskiego Czerwonego Krzyża]

Gefilmde getuigenis Jalda Rebling [Sfilmowane świadectwo Jaldy Rebling], Jiddish Book Center, 11 marca 2014

Gefilmde getuigenis Janny Brandes-Brilleslijper [Sfilmowane świadectwo Janny Brandes-Brilleslijper], USC Shoah Foundation, the Institute for Visual History and Education, 1996

Gefilmde getuigenis Janny Brandes-Brilleslijper, *De laatste zeven maanden van Anne Frank* [Sfilmowane świadectwo Janny Brandes-Brilleslijper, Ostatnie siedem

- miesiący Anne Frank], film dokumentalny Willy'ego Lindwera, 1988
- Geregistreerde gesprekken met onder meer Janny Brandes-Brilleslijper, Lien Rebling-Brilleslijper, Eberhard Rebling, Karel Poons, Marion Pritchard, Bert en Annie Bochove, Jan Hemelrijk en vele andere betrokkenen [Zapis rozmów z Janny Brandes-Brilleslijper, Lien Rebling-Brilleslijper, Eberhardem Reblingiem, Karelem Poonssem, Marion Pritchard, Bertem i Annie Bochove, Janem Hemelrijkiem oraz wieloma innymi]
- Lin Jaldati, Eberhard Rebling, *Sag nie, du gehst den letzten weg: Erinnerungen* [Nie mów nigdy. Oto jest ostatnia z dróg. Wspomnienia], Buchverlag Der Morgen, 1986
- Persoonlijke documentatie Eberhard Rebling in de Yad Vashemarchieven [Dokumenty osobiste Eberharda Reblinga i rodziny Brilleslijper w archiwach Yad Vashem]
- Persoonlijke documentatie van Janny Brandes-Brilleslijper en de familie Brilleslijper in het Anne Frankarchief [Dokumenty osobiste Janny Brandes-Brilleslijper i rodziny Brilleslijper w Archiwum Anne Frank]
- Persoonlijke gesprekken met onder meer Kathinka Rebling, Jalda Rebling, Rob Brandes, Willy Lindwer, Ad van Liempt, en vele andere betrokkenen [Zapis rozmów między innymi z Kathinką Rebling, Jaldą Rebling, Robem Brandesem, Willym Lindwerem, Adem van Liemptem i wieloma innymi]
- Politieverhoren, getuigenverklaringen, transportlijsten e.d., Nationaal Archief [Przesłuchania policyjne, zeznania świadków, listy transportów itd.], Archiwum Narodowe
- Slesin Aviva, *Secret Lives: Hidden Children and Their Rescuers During World War II*, [Sekretne życia: Ukrywane dzieci i ich wybawcy w czasie II wojny światowej], film dokumentalny, 2002

Archiwa i strony internetowe

- 100 jaar Joods Bussum [100 lat żydowskiej gminy Bossum], Żydowska Gmina Bussum archiwum on-line, nig-bussum.nl
- Adolf Eichmann's Testimony in Jerusalem about the Wannsee Conference [Zeznania Adolfa Eichmanna w Jerozolimie na temat Konferencji w Wannsee], Haus der Wannsee-konferenz, Gedenk-und Bildungsstätte
- Anne Frank Stichting, Fundacja Anne Frank, annefrank.org
- Archief 'De Vrije Kunstenaar', Vakbeweging in de oorlog [Archiwum „Wolnego Artysty”, Związki zawodowe w czasie wojny], bit.ly/3CkjkRj, dostęp: 11.06.2023, afdeling erfgoedgids, kranten, personen (dział przewodnik po dziedzictwie narodowym, gazety, osoby), archieven.nl
- Archiwum „Illegale Parool” 1940–1945, hetillegaleparool.nl

Archiwum Eemland, archiefeemland.nl

Art Is My Weapon: The Life and Work of Lin Jaldati [Sztuka jest moją bronią. Życie i dzieło Lin Jaldati], *projekt medialny* Davida Shneera

Artistiekbureau, czasopismo online Nicka ter Wala, informacje między innymi o Gerritcie van der Veen i Miku van Gilse

Auschwitz Bulletin, fundacja Nederlands Auschwitz Comité

Beeldbank WO2 [Bank zdjęć z II wojny światowej], NIOD, beeldbankwo2.nl

Beleidsnota Bestuur Gooise Meren, Beheervisie Oude Begraafplaats Naarden [Nota o zasadach postępowania dla zarządu Gooise Meren. Wizja zagospodarowania Starego Cmentarza w Naarden], 2004

De Theaterencyclopedie, Bijzondere Collecties (UvA) en Stichting tin [Encyklopedia teatru, Zbiory Specjalne Uniwersytetu Amsterdamskiego i Fundacji TiN], theaterencyclopedie.nl/wiki

Dodenakkers.nl, archiwum Fundacji Dodenakkers, Funerair Erfgoed, między innymi o śmierci Jana Verleuna i generała porucznika Seyffardta

Drenthe in de Oorlog [Drenthe w czasie wojny], Lourens Looijenga i RTV Drenthe, drentheindeoorlog.nl

Encyclopaedia Britannica, Encyclopaedia Britannica Inc., britannica.com

Fundacja Joods Erfgoed Den Haag, joodserfgoeddenhaag.nl

Fundacja Oneindig Noord-Holland, omh.nl

Herinneringscentrum Kamp Westerbork [Centrum Pamięci obozu Westerbork], archiwum i kolekcja obozu Westerbork, kampwesterbork.nl

Het Verzetsmuseum Amsterdam [Muzeum Ruchu Oporu, Amsterdam], zbiory i biblioteka muzeum

Historical Papers, archiwum czasopism Wits University w Johannesburgu

Holocaust Survivors and Remembrance Project [Ocaleni z Holocaustu i Projekt Pamięci], Holocaust Rescuers, isurvived.org

Humanistische Canon, Humanistisch Verbond i.s.m. Humanistisch Historisch Centrum [Kanon Humanistyczny, platforma Stowarzyszenia Humanistycznego stworzona we współpracy z Humanistycznym Centrum Historycznym], humanistischecanon.nl

Jewish Virtual Library [Wirtualna Biblioteka Żydowska], American-Israeli Cooperative Enterprise (AICE), jewishvirtuallibrary.org

Joods Monument, Joods Cultureel Kwartier [Pomnik Żydowski, jako część Żydowskiej Dzielnicy Kulturalnej], joodsmonument.nl

Kranten Regionaal Archief Alkmaar [Archiwum Prasy Regionalnej Alkmaar], kranten.archiefalkmaar.nl

Krantenviewer Noord-Hollands Archief [Przeglądarka prasy archiwalnej z Noord-Holland], nha.courant.nu

Nederlands Instituut voor Oorlogsdocumentatie (NIOD), Instituut voor oorlogs-, holocaust-en genocidestudies [Niderlandzki Instytut Dokumentacji Wojennej, Instytut badań nad wojną, holocaustem i ludobójstwem], niod.nl

Nederlandse vrijwilligers in de Spaanse Burgeroorlog [Holenderscy wolontariusze w hiszpańskiej wojnie domowej], baza danych Internationaal Instituut voor Sociale Geschiedenis, spanjestrijders.nl

Nuremberg Trials Project [Projekt Trybunały Norymberskiej], Harvard Law School Library

Onderzoeksgids oorlogsgetroffenen WO2, terugkeer, opvang, nasleep [Przewodnik poszukiwań osób poszkodowanych w II wojnie światowej, powrót, przyjęcie, konsekwencje], Nederlands Instituut voor Oorlogsdocumentatie (NIOD) i Huygens Instituut voor Nederlandse Geschiedenis (Huygens ING), oorlogsgetroffenen.nl

Parlementaire enquête regeringsbeleid 1940–1945, parlement.com

Protokoły Konferencji w Wannsee, dnia 20 stycznia 1942, Haus der Wannsee-konferenz, Gedenk-und Bildungsstätte i Yad Vashem, The World Holocaust Remembrance Center

Przemowy Reichsführera-SS Heinricha Himmlera w Poznaniu 4 i 6 października 1943, Harvard Law School Library, Nuremberg Trials Project

The Holocaust Education & Archive Research Team, H.E.A.R.T., holocaustresearchproject.org.

United States Holocaust Memorial Museum, archiwa i wywiady, ushmm.org

Wallenberg Lecture 1996 [Wykłady Wallenbergowskie 1996], Marion P. Pritchard, 16.10.1996

World Holocaust Remembrance Center Yad Vashem, The Holocaust Martyrs' and Heroes' Remembrance Authority, yadvashem.org

Książki

Agamben Giorgio, *Co zostaje z Auschwitz. Archiwum i świadek*, przeł. Sławomir Królak, Warszawa 2008

Block Gay, Drucker Malka, *Rescuers: Portraits of Moral Courage in the Holocaust* [Wybawcy. Portrety odwagi moralnej w czasie Holocaustu], New York 1992

Braber Ben, *Waren mijn ogen een bron van tranen: een joods echtpaar in het verzet, 1940–1945* [Gdyby moje oczy były źródłem łez. Żydowskie małżeństwo w ruchu oporu, 1940–1945], Amsterdam 2015

- De Jong Loe, *Het Koninkrijk der Nederlanden in de Tweede Wereldoorlog* [Królestwo Niderlandów w okresie II wojny światowej], Den Haag 1969–1991
- Enzer Hyman A., Solotaroff-Enzer Sandra (red.), *Anne Frank: Reflections on Her Life and Legacy* [Anne Frank. Refleksje o jej życiu i dziedzictwie], Champaign 1999
- Fischel Jack, *The Holocaust* [Holocaust], Westport 1998
- Fournet Caroline, *The Crime of Destruction and the Law of Genocide: Their Impact on Collective Memory* [Zbrodnia zniszczenia i zasady ludobójstwa: ich wpływ na pamięć zbiorową], Farnham 2007
- Gompes Loes, *Fatsoenlijk land. Porgel en Porulan in het verzet* [Przyzwoity kraj. Porgel i Porulan w ruchu oporu], Amsterdam 2013; wersja cyfrowa Rozenburg Quarterly 2014
- Goudriaan Buck, *Verzetsman Gerrit Kastein (1910–1943). ‘Een communistische intellectueel van een vreeswekkende koelbloedigheid’* [Człowiek ruchu oporu Gerrit Kastein (1910-1943). „Komunistyczny intelektualista o przerażająco zimnej krwi”], Leiden 2010
- Hoeven Liesbeth, *Een boek om in te wonen: De verhaalcultuur na Auschwitz* [Książka, w której trzeba zamieszkać. Kultura narracji po Auschwitz], Hilversum 2015
- Keller Sven, *Günzburg und der Fall Josef Mengele: Die Heimatstadt und die Jagd nach dem NS-Verbrecher* [Günzburg i przypadek Josefa Mengelego. Miasto rodzinne i polowanie na hitlerowskiego zbrodniarza], München 2010
- Kershaw Ian, *Hitler*, t. 1, przeł. Przemysław Bandel, Poznań 2001
- Klemperer Victor, *Chcę dawać świadectwo aż do końca. Dzienniki 1933–1945*, t. 1–3, przeł. Anna i Antoni Klubowie, Kraków 2000
- Land-Weber Ellen, *To Save a Life: Stories of Holocaust Rescue* [Ratować życie. Historie uratowania z Holocaustu], Champaign 2006
- Lee Carol Ann, *Anne Frank 1929–1945: Het leven van een jong meijse, de definitieve biografie* [Anne Frank 1929–1945. Życie młodej dziewczyny, biografia ostateczna], Amsterdam 2009.
- Lee Carol Ann, *Roses from the Earth. The biography of Anne Frank* [Zasadź róże. Biografia Anne Frank], London 1998
- Levi Primo, *Czy to jest człowiek*, przeł. Halszka Wiśniowska, Kraków 2008
- Liempt Ad van, *Aan de Maliebaan, de kerk, het verzet, de NSB en de SS op een strekkende kilometer* [Przy Maliebaan, kościół, ruch oporu, NSB i SS na jednym kilometrze długości], Amsterdam 2015
- Liempt Ad van, *Frieda: Verslag van een gelijmd leven* [Frieda – relacja z posklejanego życia], Westerbork 2007
- Liempt Ad van, *Kopgeld* [Cena za głowę], Amsterdam 2003

- Lindwer Willy, *De laatste zeven maanden van Anne Frank* [Ostatnie sześć miesięcy Anne Frank], Meppel 2008; film dokumentalny Lindwera pod tym samym tytułem miał premierę w 1988 roku
- Minney R.J, *I Shall Fear No Evil: The Story of Dr. Alina Brewda* [Zła się nie ulękne. Historia doktor Aliny Brewdy], London 1966
- Pollmann Tessel, *Mussert & Co: De NSB-leider en zijn vertrouwelingen* [Mussert i spółka: przywódca NSB i jego poplecznicy], Amsterdam 2012
- Rol Co, *En nu een gewoon Hollandsch liedje. Leven en werken van Dirk Witte (1885–1932)* [Zwykła holenderska piosenka. Życie i twórczość Dirka Wittego (1885–1932)], Zaandam 2006
- Romijn Peter, *Burgemeesters in oorlogstijd: Besturen onder Duitse bezetting* [Burmistrzowie w czasach wojny. Władze pod niemiecką okupacją], Amsterdam 2006
- Schütz Raymond, *Achter gesloten deuren: Het Nederlandse notariaat, de Jodenvervolgning en de naoorlogse zuivering* [Za zamkniętymi drzwiami. Holenderski notariat, prześladowanie Żydów i powojenne czystki], Amsterdam 2010
- Schütz Raymond, *Kille mist: Het Nederlandse notariaat en de erfenis van de oorlog* [Wilgotna mgła. Holenderski notariat i dziedzictwo wojny], Amsterdam 2016
- Seymour David M., Camino Mercedes, *The Holocaust in the Twenty-First Century* [Holocaust w dwudziestym pierwszym wieku], London 2017
- Went Nicolaas, *Hoe de Leider voor volk en vaderland behouden bleef* [Jak uratowano Wodza dla dobra narodu i ojczyzny], Bussum 1942
- Würzner Hans, *Österreichische Exilliteratur in den Niederlanden 1934–1940* [Austriacka literatura emigracyjna w Holandii 1934–1940], Amsterdam 1986
- Zee Sytze van der, *25 000 Landverraders, de SS in Nederland/Nederland in de SS* [25 000 zdrajców ojczyzny. SS w Holandii/Holandia w SS], Den Haag 1967

Artykuły, czasopisma, gazety

- Artykuły Dwighta Jona Zimmermana (Przewodniczącego Military Writers Society of America), Defense Media Network, Military History, defensemedianetwork.com/sections/military-history
- Bruggeman Hans, *In memoriam: Jannie Brandes-Brilleslijper (1916–2003), Verzetvrouw* [Pamięci Jannie Brandes-Brilleslijper (1916–2003), bojowniczkii ruchu oporu], „Auschwitz Bulletin”, 2003, nr 3
- „Delpher”, regionalne archiwa czasopism i archiwum czasopism online

„De Huizer Courant”

„De Jacobs ladder”, kwartalnik wydawany przez Historische Vereniging „Otto Cornelis van Hemessen”

„De Typhoon, Dagblad voor de Zaanstreek”, dziennik dla regionu Zaanstreek

„De Zuidkanter”

„De Groene Amsterdammer”

„De Omroeper”, kwartalnik wydawany przez fundację Vijverberg

„Historisch Nieuwsblad”

Flap Henk, Tamme Peter, *De electorale steun voor de Nationaal Socialistische Beweging in 1935 en 1939* [Poparcie wyborcze dla Ruchu Narodowosocjalistycznego w 1935 i 1939 roku], „Mens & Maatschappij” 2008, s. 23

„Leeuwarder Courant”

„Maatstaf, tijdschrift”

Mensch durf te leven [Człowieku, odważ się żyć], „De Omroeper” 2006, s. 75–80

Meyers J., *Mussert in mei veertig* [Mussert w maju roku czterdziestego], „Maatstaf”, rocznik 30, 1982

„Nieuw Israëlitisch Weekblad”

„Ons Amsterdam”

„Over Oegstgeest”

Rolfs David W., Schaberg prof., *The Treachery of the Climate: How German Meteorological Errors and the Rasputitsa Helped Defeat Hitler's Army at Moscow* [Zdrada klimatu. Jak niemieckie błędy meteorologiczne i Rasputica pomogły pokonać armię hitlerowską pod Moskwą], „Special Topics in History: World War II” 2010

Shneer David, *Eberhard Rebling, Lind Yaldati, and Yiddish Music in East Germany, 1949–1962* [Eberhard Rebling, Lin Jaldati i muzyka jidysz w Niemczech Wschodnich 1949–1962], w: Frühauf Tina, Hirsch Lily, *Dislocated Memories. Jews, Music and Postwar German Culture* [Wspomnienia rozproszone. Żydzi, muzyka i powojenna kultura niemiecka], s. 161–186, Oxford 2014

„The New York Times”

„Vrij Nederland”



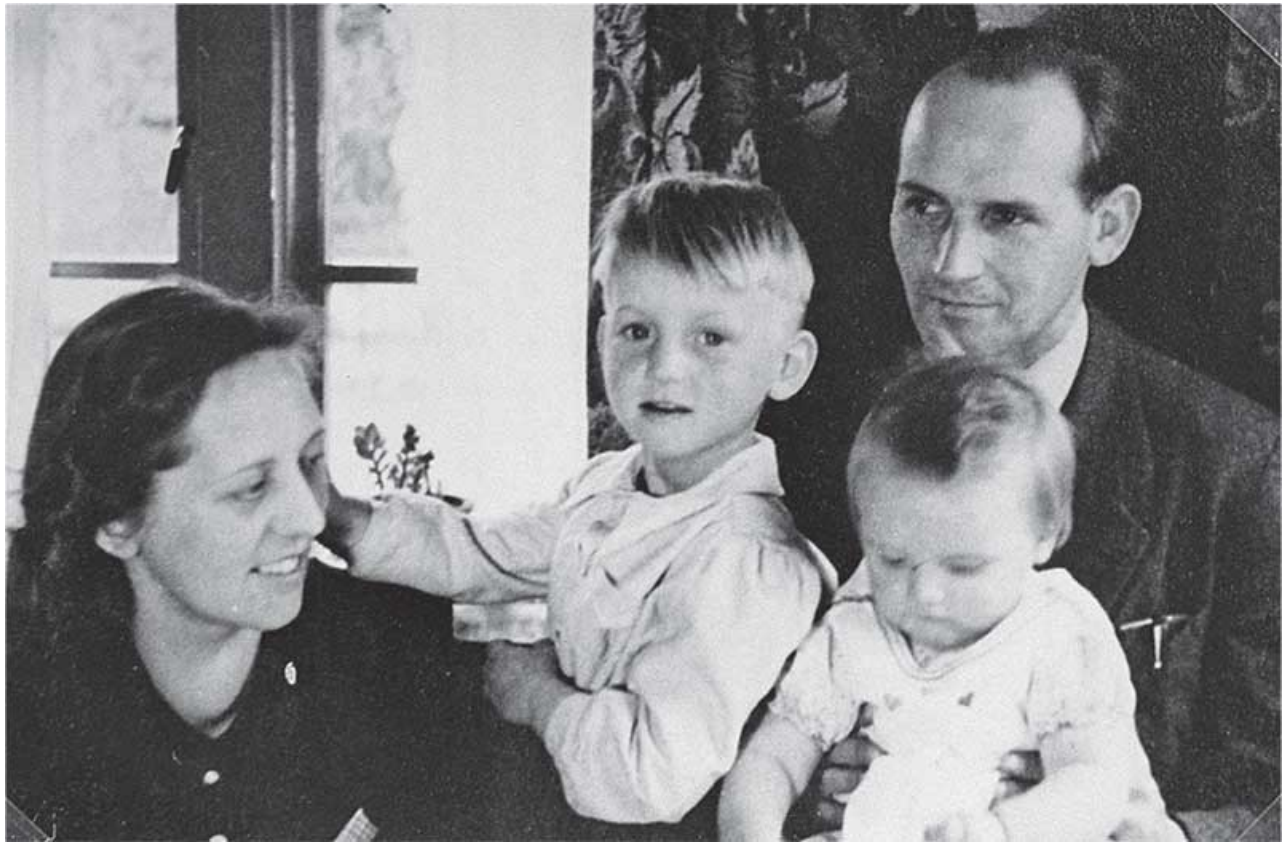
Lien, Janny, Joseph i Fietje Brilleslijperowie (od lewej), 1918 Z archiwum prywatnego rodziny Rebling/Brandes



Jaap Brilleslijper jako dziecko, 1929
Z archiwum prywatnego Roba Brandesa



Eberhard, Kathinka i Lien ponownie razem, sierpień 1945
Z archiwum prywatnego rodziny Rebling



Bert i Annie Bochove oraz ich dzieci Eric i Marise, 1945

Ze zbiorów United States Holocaust Memorial Museum, dzięki uprzejmości Rescuers: Portraits of Moral Courage in the Holocaust



Słoneczny letni dzień w 1921 roku, Dirk Witte z żoną Jet i świeżo narodzoną córeczką Doralize w wózku pozują dumni przed swoim nowym domem – Wysokim Gniazdem
Dzięki uprzejmości Co Rol



Gerrit Kastein, data nieznana
Ze zbiorów oorlogsgravenstichting.nl



Jan Hemelrijk, data nieznana
Ze zbiorów czasopisma „Rozenberg Quarterly”



Karykatura przywódcy NSB Musserta w czasopiśmie ruchu oporu „Metro”, datowana na 6 grudnia 1944 roku. W tle stóg siana, w którym według plotek miał ukrywać się Mussert podczas inwazji Niemców na Holandię
Fot. Marten Toonder



Janny z papierosem, 1956
Z archiwum prywatnego Roba Brandesa



Lien i Mik van Gilse, 1936 Z archiwum prywatnego rodziny Rebling



Lin Jaldati, 1952
Fot. Plato Film / Abraham Pisarek



Lien i Eberhard w studiu tańca, 1939
Z archiwum prywatnego rodziny Rebling, fot. Hans Sibbelee

HUURCONTRACT

De ondergetekende *mevr. C. M. Jansen*, wonende te *Amsterdam subnummer 88 F* Landelinde *hier bij als Vraagde* van de minderyougen *J. C. Jansen*, en *H. O. Jansen* verkiert te hebben verhuurd aan de(n) mede-ondergetekende *mevr. J. A. Bos*, wonende te *Amsterdam tramhalte: 87 de Raaf*

die verkiert te hebben gehuurd: *En gemeenlickeel*
Landhuis Duijnweg 102
te Amsterdam.

welke huurovereenkomst is aangegaan onder de navolgende bedingen:
de huur is aangegaan voor den tijd van *De duur van het Contract*
en *te rekenen van den 1sten maart 1943*
tot ingang van *En te rekenen van 1943*
en alzoo etwijgende *met een maandel. opzeg.*
de huurprijs bedraagt *En konink. tarief publicit. in 1943*

*als dan ook in het perceel met huur
geen een gedeelte te bewonen, en in
het geve van den huurder. dan met
groaten dan skin personen.
4 Partijen menschen geen naclen.
om de hijnig van het geen. kanmesig is
Al den opgemecakt en getieket in
Dupla. te Amsterdam den
30 Januari 1943.*

De Verhuurster De Huurder
C. M. Jansen *J. A. Bos*

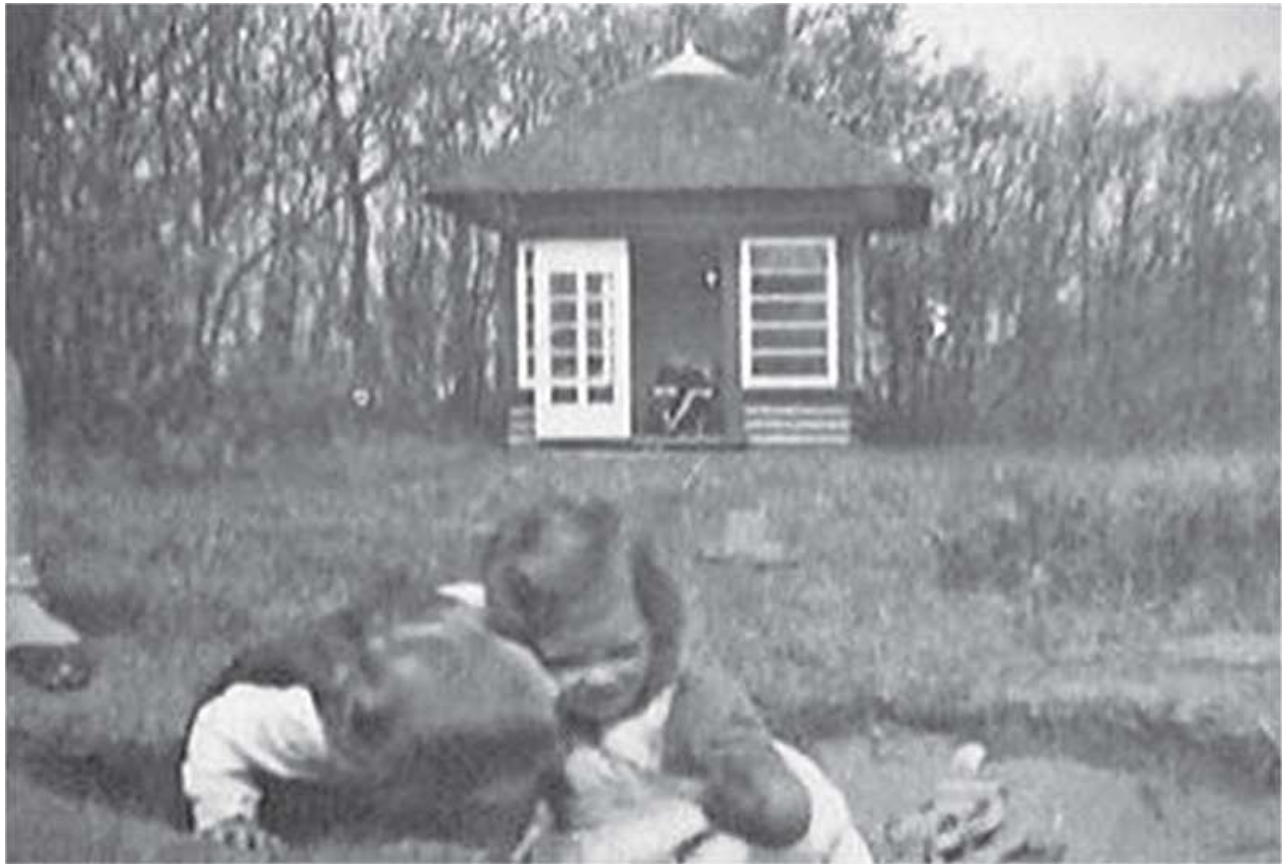
Umowa wynajmu Wysokiego Gniazda, podpisana 30 stycznia 1943



Lien i Kathinka, Wysokie Gniazdo, czerwiec 1943
Z archiwum prywatnego rodziny Rebling



Dzieci w ogrodzie Wysokiego Gniazda. Rob w balii, Kathinka po prawej, w tle altanka, 1943
Z archiwum prywatnego Roba Brandesa



Dzieci bawiące się w ogrodzie na tyłach Wysokiego Gniazda, 1943
Z archiwum prywatnego rodziny Rebling

Programma Huisconcert 14-4-'45

Muziek voor hobo en piano
uitgevoerd door Haakon Stotijn en Piet Verhoeve

- | | | |
|------|---|--------------------|
| I. | Hobo-concert | Benedetto Marcello |
| | Allegro moderato - Adagio - Allegro | |
| II. | Sonate Es-Dur op. 81a, "Les Adieux", voor piano L. v. Beethoven | |
| | " Les Adieux, Das Lebewohl", Adagio - Allegro | |
| | " L'Absence, Die Abwesenheit", Andante espressivo | |
| | "Le Retour, Das Wiedersehen", Vivacissimamente | |
| III. | Hobo en piano: Aria | Max Reger |
| | Piece | Claude Debussy |
| | Habanera | Maurice Ravel |
| III. | Piano: La cathédrale engloutie | Claude Debussy |
| | Allegro barbaro | Béla Bartók |
| | Sonnenspiel | Ernst Toch |
| | De Jongleur | Ernst Toch |
| IV. | Sonatine voor hobo en piano | Marcel Mihalovici |
| | Pastorale - Scherzo - Notturmo - Ronde | |

Program nielegalnego koncertu domowego w Oegstgeest w wykonaniu Haakona Stotijna i Pieta Verhoevego (Eberharda Reblinga), 14 kwietnia 1945
Z archiwum prywatnego rodziny Rebling



Maski zrobione dla Lien przez Grietje Kots oraz rysunki przedstawiające maski i Lien, wykonane przez Grietje
Z archiwum prywatnego Roba Brandesa



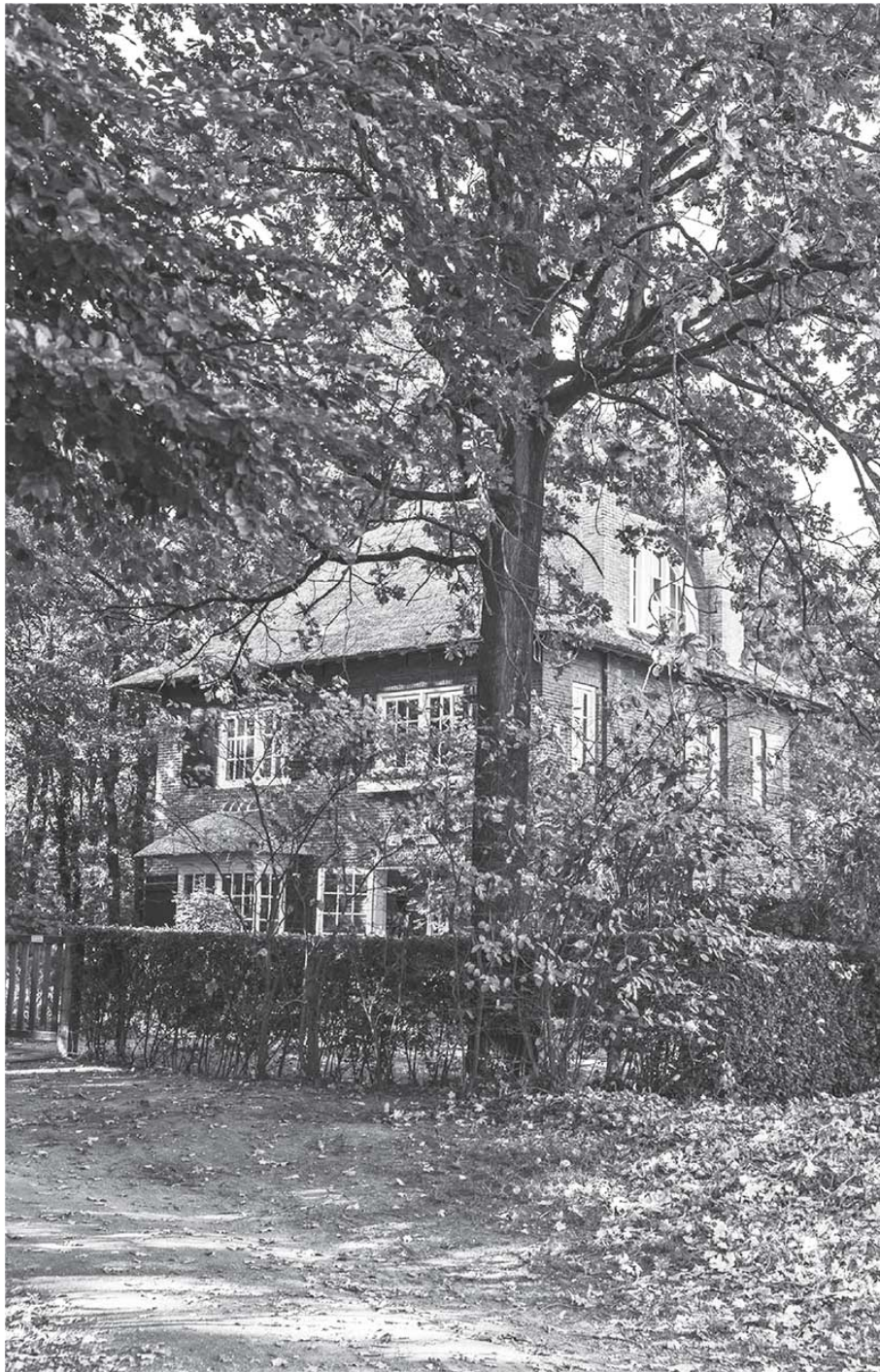
Bob i Janny, około 1956
Z archiwum prywatnego Roba Brandesa



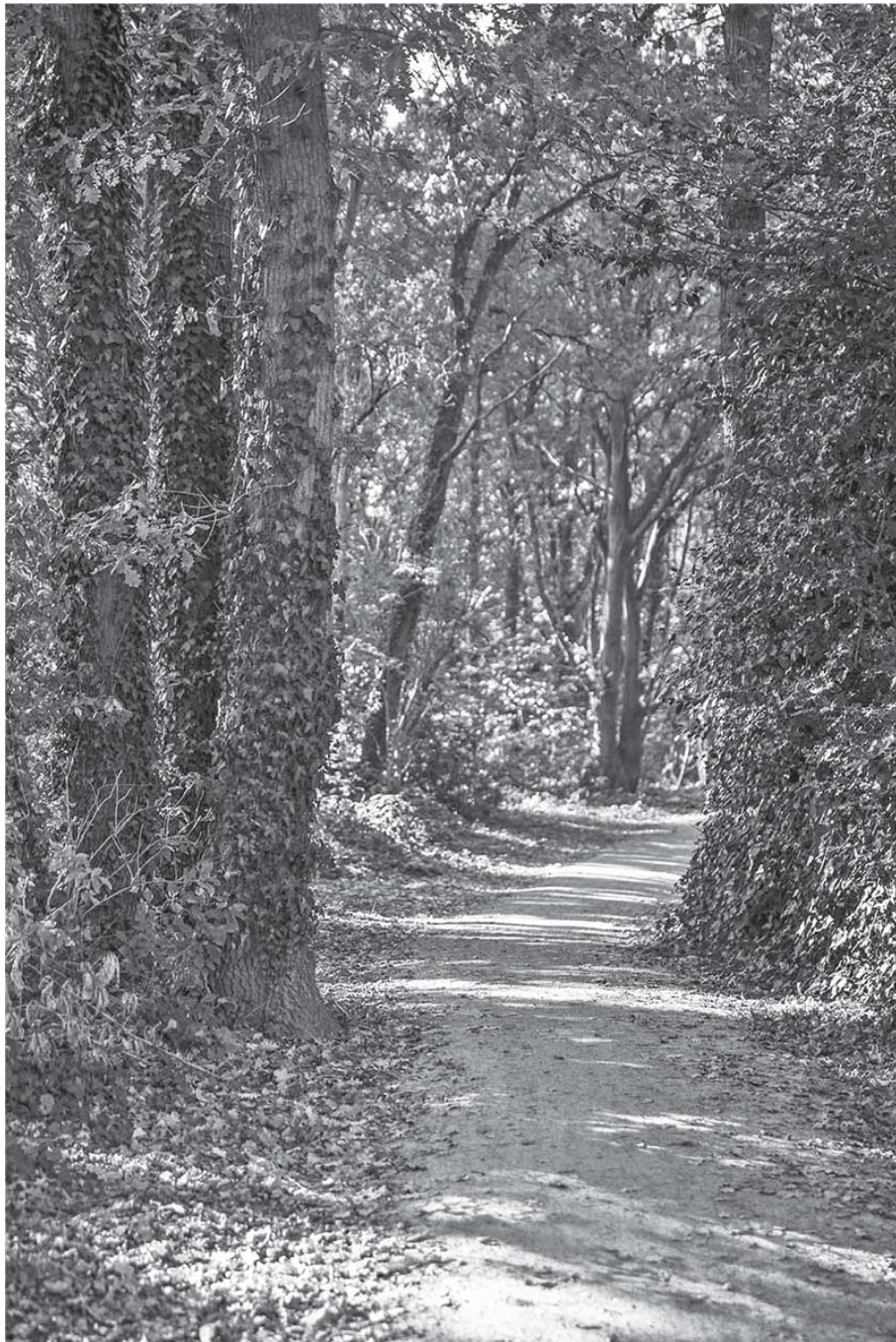
Dom nad rzeką Amstel, gdzie Janny połączyła się ze swoją rodziną i gdzie mieszkała z Bobem i dziećmi po wojnie
Z archiwum prywatnego Roba Brandesa



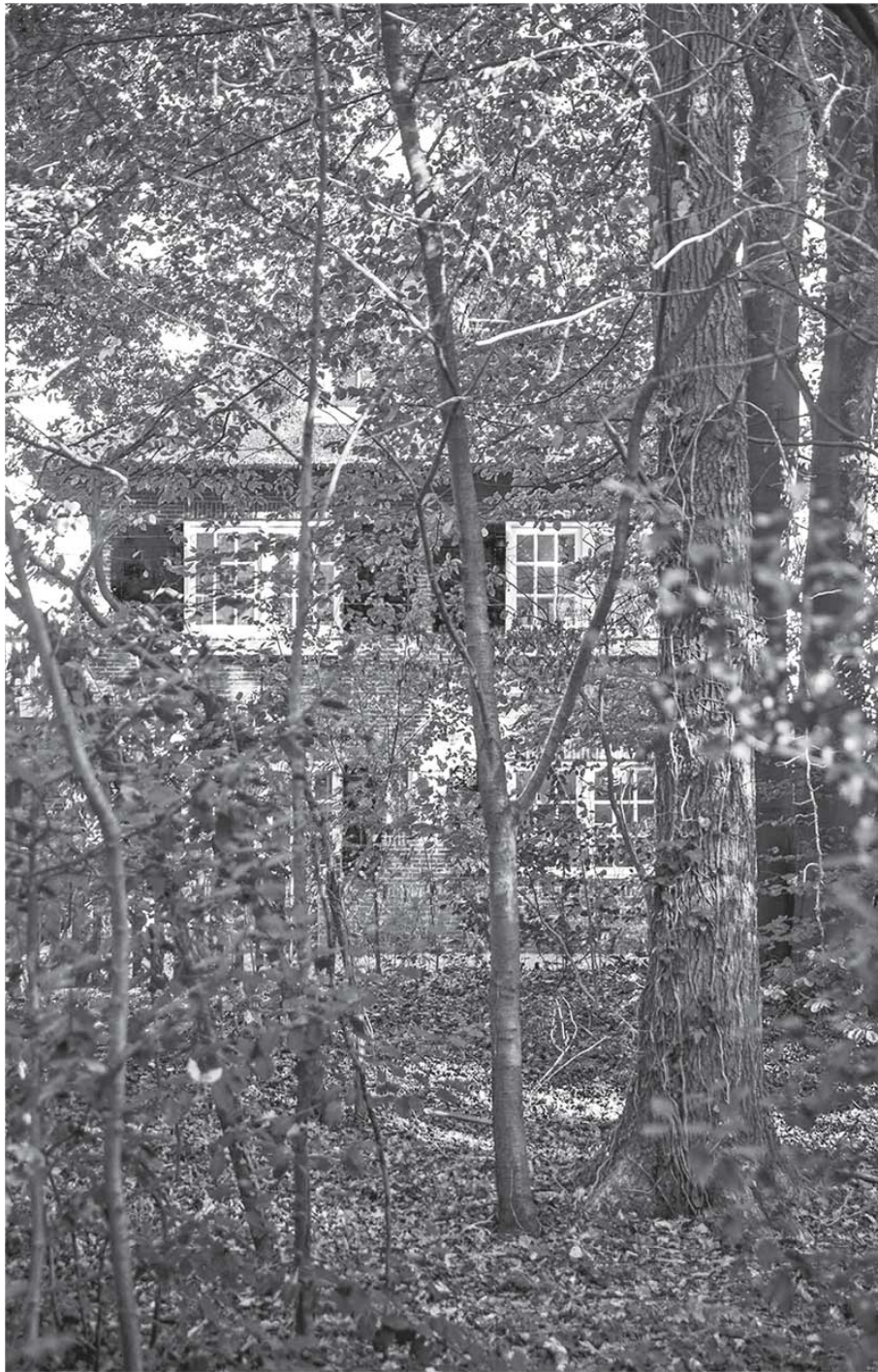
Ogród na tyłach Wysokiego Gniazda, 2018
Fot. Jan Willem Kaldenbach



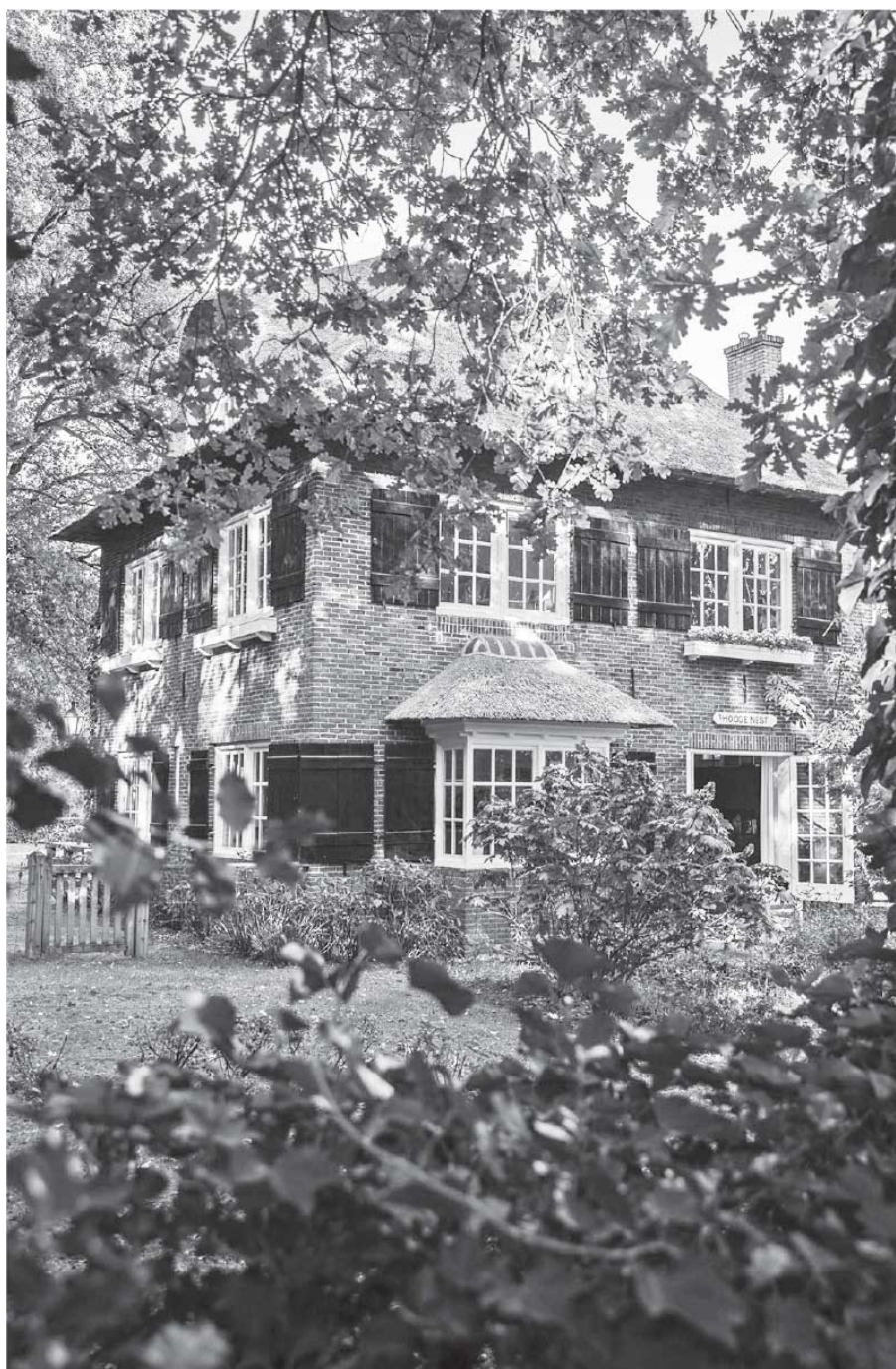
Wysokie Gniazdo widziane przez zbliżających się do niego mieszkańców
Fot. Jan Willem Kaldenbach



Leśna dróżka prowadząca do Wysokiego Gniazda
Fot. Jan Willem Kaldenbach



Wysokie Gniazdo schowane za drzewami
Fot. Jan Willem Kaldenbach



Biała tablica pomiędzy oknami parteru i pierwszego piętra z wypisaną czarnymi literami nazwą
WYSOKIE GNIAZDO
Fot. Jan Willem Kaldebach



Cmentarz z epilogu *Człowieku, odważ się żyć (bis)*. W poszukiwaniu grobu Dirka Wittego, 2018
Fot. Roxane van Iperen

PRZYPISY

[1] „De Omroeper” 2006, r. 19, nr 2 (przyp. aut.).

[2] Tu i niżej w przekładzie Ryszarda Turczyna (jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki).

[3] W przekładzie Ryszarda Turczyna.

[4] W przekładzie Ryszarda Turczyna.

[5] Amsterdamska grupa ruchu oporu, której nazwa wywodzi się od adresu, pod którym powstała – Corellistraat 6.

[6] Hans Verwer (1911–2007) – urodzona w Amsterdamie tancerka, autorka książek o balecie.

[7] Frederik van Eeden (1860–1932) – holenderski psychiatra i pisarz. W 1887 roku opublikował baśniowo-symboliczną powieść *De kleine Johannes* (wyd. pol. *Mały Janek*, 1904, przeł. F.L. Lubodziecka).

[8] Mój wilczek (niem.). Aluzja do pseudonimu Wolf (wilk), używanego przez Hitlera we wczesnym okresie jego działalności.

[9] „Daventry calling!” – działająca w Daventry od 1925 roku do 1992 roku rozgłośnia BBC nadająca na cały świat na falach długich.

[10] W Holandii Świętego Mikołaja przypada 5 grudnia.

[11] Holenderska organizacja podziemna, która dostarczała podczas II wojny światowej ruchowi oporu i osobom ukrywającym się sfałszowane karty identyfikacyjne. PBC zostało założone przez rzeźbiarza Gerrita van der Veena.

[12] Dowód proszę! (niem.) (Ten i pozostałe zwroty z języka niemieckiego w przekładzie Ryszarda Turczyna).

[13] W porządku! (niem.)

[14] Jeden z czterech oficjalnych pałaców należących do rodziny królewskiej w Holandii.

- [15] W Holandii zwyczajowo nie zaciąga się wieczorem zasłon w salonach.
- [16] Założone w Amsterdamie w 1920 roku, swoją nazwę wzięło od nazwiska pisarza, publicysty i badacza folkloru żydowskiego Szymona An-skiego (1863–1920).
- [17] Instytucja kulturalna stworzona przez Niemców w czasie okupacji Holandii. Tylko ludzie kultury zrzeszeni w tej instytucji mieli prawo do legalnego wykonywania zawodu.
- [18] HVV – Haagsche Voetbal Vereeniging: Haskie Stowarzyszenie Futbolowe.
- [19] W przekładzie Ryszarda Turczyna.
- [20] Jeden z domów należących do kolonii anarchistyczno-chrześcijańskiej sekty Międzynarodowe Braterstwo, która miała swoją siedzibę w Blaricum do 1911 roku.
- [21] S.A. Rudelsheimstichting – założona w 1919 roku w Hilversum placówka edukacyjna dla umysłowo upośledzonych żydowskich dzieci.
- [22] Historyczne centrum Rotterdamu zostało zniszczone 14 maja 1940 roku w wyniku dywanowego nalotu niemieckiej Luftwaffe.
- [23] W przekładzie Grażyny Zakrzewskiej.
- [24] W przekładzie Leopolda Staffa.
- [25] W przekładzie Leona Ulricha.
- [26] Zmodyfikowany przez Eberharda tekst oryginalnej piosenki *Was bistu kecele brojgez* [Cóżeś taka zła, kotku?] „Cóżeś, Katinko, taka zła? / Czemu ze spuszczonego chodzisz nosem? / Może pochodzenie moje chcesz znać / I wiedzieć co i jak?”
- [27] „Jest u tych z dworu, / Matka kradnie ryby na targu...”
- [28] Jazda, jazda! Szybko! (niem.)
- [29] Wszyscy wychodzić, szybciej, szybciej! (niem.)
- [30] Wysiadać, wszystkie walizki na ziemię! (niem.)
- [31] Jesteście zdrowe. Przechodźcie. Nie wsiadajcie do ciężarówek! (niem.)
- [32] Wszystkie bagaże zostają, nic nie zabierać! (niem.)
- [33] Zabawa polegająca na tym, że rodzice łapią dziecko, jedno za ręce, a drugie za nogi, i po rozkołysaniu rzucają je na poduszki albo na łóżko.
- [34] Starcy i dzieci do ciężarówki! (niem.)

[35] Jazda, jazda! Szybciej! (niem.)

[36] Cisza! (niem.)

[37] Specjalny nakaz umieszczenia w areszcie prewencyjnym (niem.).

[38] Rozbierać się, wszystkie rzeczy na ziemię! (niem.)

[39] Jazda, jazda, szybciej! (niem.)

[40] Będzie dezynsekcja! (niem.)

[41] Szybciej! (niem.)

[42] Powszechnie znana holenderska piosenka dziecięca o poławiaczu małży (*mosselman*). Tutaj wykorzystano brzmieniowe skojarzenie z niemieckim określeniem wycieńczonego więźnia *Muselman* (muzułman).

[43] Ogólny apel! Wychodzić do selekcji! (niem.)

[44] Szybko! (niem.)

[45] Co ci się stało? (niem.)

[46] Skąd masz tego siniaka? *Veilchen* – fiołek, albo potocznie: siniak. (niem.)

[47] Nie mam żadnych kwiatów. (niem.)

[48] A, no tak. Rzeczywiście, pokłóciłam się z jedną z dziewczyn i uderzyła mnie w oko drewniakiem. (niem.)

[49] A ty? Co ci się stało? (niem.)

[50] Nie, nie. (niem.)

[51] Nie ma żarcia, teraz jest umieranie! (niem.)

[52] Kontrola zawszawienia! Zdejmować wszystko! Wychodzić, wychodzić! (niem.)

[53] *Nie mów nigdy: Oto ostatnia z dróg* – pieśń żydowskich partyzantów, której tekst napisał w 1943 roku Hirsch Glik (1922–1944) do melodii skomponowanej w roku 1937 przez Dmitriego (1899–1978) i Daniela (1905–1954) Pokrasowów.

[54] W przekładzie Ryszarda Turczyna.

[55] W przekładzie Edwarda Porębowicza.

[56] Chodź. (niem.)

[57] Jazda, jazda! (niem.)

[58] Szybciej! Tu do środka! (niem.)

[59] Wychodzić! (niem.)

[60] W przekładzie Ryszarda Turczyna.

[61] Proszę podchodzić, proszę podchodzić, drogie panie. (niem.)

[62] „A toć bywa wam oną szczęśliwością, / iż poprzez podarek wzniosły Fortuny / duszyce dwie biorą ów kleynot cenny, / lszczący się dobrodzieystwem, pomyślnością” – w przekładzie Filipa Adama Zielińskiego.

[63] W przekładzie Ryszarda Turczyna.

[64] 4 maja w Holandii obchodzone jest narodowe święto pamięci o zmarłych i poległych w czasie wojen światowych i w służbie kraju (Nationale Dodenherdenking), 5 maja natomiast święto wyzwolenia Holandii spod okupacji niemieckiej (Bevrijdingsdag).

[65] W przekładzie Ryszarda Turczyna.

[66] Cees Buddingh (1918–1985) – holenderski poeta, prezenter telewizyjny i tłumacz.

[67] W przekładzie Marii Leśniewskiej.